

ĆWIEK

JAKUB



SZWINDEL

— KRYMINAŁ —

MARGINESY



ĆWIEK JAKUB

SZWINDEL



MARGINESY



Wydawca i redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja KAROLINA MACIOS
Korekta KAROLINA WĄSOWSKA, MARIOLA HAJNUS
Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne MICHAŁ PAWŁOWSKI
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Jakub Ćwiek
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2019

Warszawa 2019
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66140-66-0

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa
tel. 48 22 6632519
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Motto](#)

[PROLOG](#)

[I. PRZYGRYWKA](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[Skutki I](#)

[II. LEGENDA](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[Skutki II](#)

[III. PROFIL GAPA](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[Skutki III](#)

[IV. W GRZE](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

Skutki IV

V. SZWINDEL

23

24

25

26

27

Skutki V

VI. ŁUP

28

29

Skutki VI

EPILOG

POSŁOWIE

Kłamać, mówić pięknie o rzeczach niebyłych, to prawdziwy cel sztuki.

Oscar Wilde (przełożył Bartosz Czartoryski)

Niezbyt to miłe znaleźć się tam, gdzie całymi dniami kantuje się ludzi, prawda?

Nevil Shute (przełożył Bartosz Czartoryski)

PROLOG

Ferdynand Górski zmarł o godzinie czwartej trzynastej nad ranem; umierając, cierpiał.

Tego zdania nie było oczywiście w raporcie, jednak Kinga Wilk, pielęgniarka od dwunastu lat pracująca na Oddziale Opiekuńczo-Lecznicznym Domu Spokojnej Starości Trzy Dęby w Piasecznie, wiedziała aż za dobrze, jak wygląda koniec w ostatnim stadium przewlekłej obturacyjnej choroby płuc. Zapytana o to kiedyś przez jedną ze stażystek, przyrównała agonię przy POChP do tonięcia. Sama co prawda nigdy się nie topiła, ale tak właśnie widziała to oczyma wyobraźni – pełną desperackiej szamotaniny walkę o każdy, coraz płytszy oddech. Czas, kiedy umysł stopniowo się poddaje, już świadom, że to beznadziejne, choć ciało wciąż toczy bój, wyzbywając się resztek sił, aż przychodzi ostatnia konwulsja, ostatni wydech. A potem jest już tylko ciemność.

Teraz, wpatrzona w kartki zapisane drobnym, starannym pismem Małgorzaty Krysiak, koleżanki, która właśnie zesłała z dwunastogodzinnego, wyczerpującego dyżuru i która przekazała jej smutną wieść, Wilk nie przestawała się dręczyć. Czy pomogłoby mu, gdyby tu była? Czy czułby się pewniej? Czy w ogóle by ją widział?

Na podstawie nagromadzonego latami doświadczenia mogła ze stuprocentową niemal pewnością stwierdzić, że nie zrobiłoby mu to już żadnej różnicy. Ale głowa swoje, a serce swoje. Po raz pierwszy na tym oddziale odszedł ktoś, kogo szczerze mogła nazwać przyjacielem. A jej tu wtedy nie było...

Zgodnie z tym, co Krysiak odnotowała w raporcie, wejście pacjenta w stan agonalny nastąpiło około drugiej. Pielęgniarka robiła wówczas obchód, zaalarmował ją przestraszony pacjent Staniszcza, leżący z Górskim na sali. Wypadł na korytarz z okrzykiem: „Siostró, on się chyba dusi!”.

Zapoznawszy się z sytuacją, Małgorzata Krysiak wezwała drugą pielęgniarkę, Zofię Malicką, oraz skontaktowała się z lekarzem. Ten telefonicznie zlecił podanie hydrokortyzonu, teofiliny i terapię tlenową. Poprosił ponadto, by go informować, a Krysiak zapewniła, że tak zrobi. Kolejny raz zadzwoniła już z prośbą o przyjazd i stwierdzenie zgonu.

To wszystko znajdowało się w leżącym przed Kingą raporcie. Według niego działania personelu przebiegły zgodnie z procedurami i standardowym postępowaniem w takich przypadkach. Jednak to, co interesowało teraz Wilk, a czego raport oczywiście nie uwzględniał, to drobiazgi. Czy ktoś chwycił Górskiego za rękę? Czy ścierając mu pot z czoła, powiedział, żeby się nie bał? Czy gdy konający otworzył oczy, zobaczył pocieszający uśmiech? Czasem tak się zdarzało, a czasem nie. Rzeczy, kwestie, których nie dało się przewidzieć, których nie można było tak po prostu wymagać, oczekiwać, wpisać w listę obowiązków.

W jakimś stopniu Kinga Wilk cieszyła się, że nie miała wtedy dyżuru, bo nie wiedziała, jak by to przyjęła. Z jednej strony takie miejsca jak to odbierały kosztusze element zaskoczenia, a pacjentom współczucie ze strony personelu. Bo przecież właściwie każda z pomarszczonych twarzy pacjentów wyrażała to samo przeświadczenie, że wszyscy oni są tutaj na ostatniej prostej. A ci z mocno zaawansowaną przewlekłą obturacyjną chorobą płuc, jak Górski, gdyby tylko wyciągnęli rękę, mogliby już nawet musnąć wstęgę na mecie.

Z drugiej strony Kinga Wilk nigdy wcześniej nie żegnała przyjaciela. Właściwie to nie miała ich w życiu zbyt wielu.

Przyjaźń z Ferdynandem zaskoczyła ją. Jakiegokolwiek pozazawodowe relacje personelu z pacjentami zdarzały się nad wyraz rzadko, a i sam Górski niczym specjalnym się nie wyróżniał. Był niekłopotliwym starszym panem, którego jedyne przewinienia wobec regulaminu sprowadzały się do tego, że kiedy jeszcze starczało mu sił, by wychodzić na zewnątrz, czasem popalał za krzakiem skradzione papierosy. Dużo czytał, a do snu niekiedy włączał sobie książki w formacie audio. Często też pisał, ale nie chciał powiedzieć, co takiego, i prosił ją, by nigdy nie sprawdzała tego na własną rękę. Mimo

ciekawości uszanowała jego wolę.

Zgodnie z zapisem w dokumentacji miał siedemdziesiąt trzy lata i zanim przeniesiono go na ten oddział, ponad rok zajmował wygodny pokój w drugim skrzydle budynku, tam gdzie znajdowały się pomieszczenia domu spokojnej starości. Podobno bawił wnuki innych pensjonariuszy, pokazując proste sztuczki z kartami i monetami, i znał mnóstwo sprośnych dowcipów, ale już na oddziale nie afiszował się ani jednym, ani drugim. Kindze też ich nie opowiadał, bo czułaby się wtedy niezręcznie, a on bardzo dbał o jej samopoczucie. Troskliwy i czuły, przypominał kochanego ojca, którego kilka lat wcześniej straciła, i dopiero dzięki Ferdynandowi i ich rozmowom powoli zaczęła godzić się ze stratą.

A teraz Górski nie żył.

Ciekawe, zastanawiała się Wilk, czy dyżurujące dziewczyny nie złościły się przez to na niego. Czwarta trzynaste to niefortunna godzina na umieranie, bo sprawia personelowi kłopot. O godzinie piątej zgodnie z rozkładem dnia powinny się rozpocząć poranne toalety, następnie przygotowanie raportów do przekazania porannej zmianie, tak by wyrobić się ze wszystkim na siódmą. Zgon oznaczał natomiast czekanie na lekarza, jego przyjazd i oficjalne oświadczenie, powiadomienie rodziny, oporządzenie ciała, usunięcie cewników, wenflonów, przewiezienie do Post Mortem, by odczekać regulaminowe dwie godziny przed powtórzeniem sprawdzania czynności życiowych. Wszystko to generowało stres i opóźnienia. Dobrze, że chociaż oddział nie był mocno obłożony.

Kinga wstała i przeciągnęła się, mało nie przewracając kubka i nie zalewając raportu herbatą. Wsunęła go do teczki zawierającej resztę dokumentacji i odłożyła na miejsce.

Zerknęła na zegarek na ścianie i uświadomiła sobie, że najwyższa pora wziąć się do roboty. Honorata, koleżanka ze zmiany, zachowała się co prawda bardzo w porządku, dając Kindze czas na oswojenie się ze stratą, ale przecież nie mogła tego nadużywać. Pracy na oddziale, nawet przy wsparciu salowych, było aż nadto, zwłaszcza rano.

Na żałobę przyjdzie czas później, uznała. Po skończonej zmianie, po

powrocie do pustego domu. A najlepiej po dotrzymaniu ostatniej obietnicy danej zmarłemu.



I
PRZYGRYWKA
(lipiec)



1

Olgierd Pychel nie potrzebował kawy, ale nie uśmiechało mu się to bezsensowne spacerowanie ulicami warszawskiego Mokotowa. Oddawał się temu już blisko pół godziny, a spotkanie miał dopiero o trzynastej. Nie pozostawał mu już żaden wariant do przegadania sobie pod nosem, czemu chodzenie sprzyjało, a przebywanie na świeżym powietrzu przypominało tylko o rzuconym pół roku wcześniej paleniu.

Wtedy naprawdę dużo chodził, często rezygnując z przejazdu autobusem czy tramwajem, byleby zyskać czas na spokojnego i godnego dymka. Palenie na chybicka pod wiatą, tuż obok przepełnionej popielniczki, uważał po prostu za uwłaczające. Przypominało szybkie kończenie posiłku nad śmietnikiem, by potem nie nosić zatłuszczonej serwetki czy papierka.

Ostatecznie zdecydował się na najbliższą kawiarnię. CzarnoWidzę była jednym z tych nowo powstałych przybytków, który do podkreślenia swej oryginalności wykorzystywał wszystkie już sprawdzone i zgrane przez innych sztuczki. I tak zamiast obradowanych parasoli nad niewielkim ogródkiem rozciągnięto markizę z wzorem w porośniętą mchem dachówkę, płotek zbito z postarzanych desek, a w głębi, za stolikami, ustawiono drewnianą huśtawkę z zaimpregnowanych słupów telefonicznych, drewnianego konia na biegunach i zjeżdżalnię tak niską, że nawet czterolatek, siadając na szczycie, niemal dotykał nogami ziemi. Wchodzących do ogródka witały stojak na plastikowe miski, metalowy dzbanek z wodą i informacja, że mile widziane są wszystkie czworonogi i ci spośród dwunogów, którzy wiedzą, jak się zachować.

Olgierdowi żaden zwierzak nigdy nie przeszkodził w posiłku, czego nie mógł powiedzieć o rozwrzeszczanych dzieciakach czy nawet kilku dorosłych, więc uznał to za bardzo celną i dowcipną uwagę, i to chyba właśnie ona sprawiła, że zdecydował się właśnie na ten lokal. Nie na ogródek jednak, bo

trzy z czterech stolików były zajęte, a czwarty nieuprzątnięty po poprzednich gościach. Poza tym liczył, że w środku będzie nieco chłodniej i dzięki temu przestanie się tak bardzo pocić. Nie miał ochoty wracać przed spotkaniem do hotelu, by się przebrać.

Minął drzwi zachęcająco otwarte na oścież i zdobione w serduszka i kwietne ornamenty, przez co przywodziły na myśl te z chat baśniowych wiedźm, i wszedł do lokalu.

*

Sasza schodziła akurat z antresoli ulokowanej nad barem, niosąc w lewej ręce tacę z dwiema wysokimi szklankami po mrożonej latte, prawą przytrzymując się poręczy. Była już na przedostatnim schodku, gdy wszedł – taki elegancki w garniturze dobrze dobranym, choć raczej nie szytym na miarę. W dłoni ścisnął czarną aktówkę i rozglądał się, przyzwyczajając oczy do półmroku.

Przystanęła, czując, że serce zaczyna jej bić zdecydowanie zbyt szybko. Ukradkiem zerknęła na siedzącego przy barze Marcina. Ten, choć zajęty bajerowaniem stojącej za barem Justyny, wychwycił jej spojrzenie, obejrzał się i delikatnie skinął Saszy głową, potwierdzając wszelkie wątpliwości. Tak, to on. To ten.

Ręka kelnerki zadrżała, szklanki na tacy zabręczały, mężczyzna stojący w progu posłał jej uśmiech. Zmusiła się, by odpowiedzieć tym samym, i z trudem pokonała ostatnie dwa schodki i dystans dzielący ją od kontuaru. Odstawiła tacę, spocone dłonie wytarła w fartuszek i przeprosiła Justynę, mówiąc, że musi do łazienki.

– Jasne – odparła tamta. – Ale zajmiesz się tym nowym.

– Oczywiście.

Oczywiście, że się nim zajmę, pomyślała. W końcu czekała na niego tak długo. Tyle przygotowań, ćwiczeń, pracy. Wszystko miało zostać zweryfikowane właśnie teraz.

Na zapleczu stanęła przed umywalką, zmoczyła ręcznik i przyłożyła sobie

do rozgrzanego karku. Z odbicia patrzyła na nią piegowata, naiwna nastolatka, ale w jej oczach tliła się determinacja. Zrobi to, da radę. Nie zawiedzie.

– Pamiętaj – powiedziała na głos. – To jest bardzo zły człowiek. Należy mu się.

*

Olgierd rozważał chwilę miejsce na antresoli, ale uznał, że będzie tam za gorąco. Z kolei gdyby usiadł w pierwszym pomieszczeniu, czułby się jak intruz, jak akademicki współlokator, który nie zrozumiał, co oznacza wywieszony na kłamce krawat. Wszystko przez to, że w tej sali była jedynie dziewczyna za barem i facet zachowujący się jak jej chłopak. Zdecydował się więc na salę po prawej, skąd jak sugerowały strzałki i znaczki, miał również niedaleko do toalety.

Zajął miejsce przy stoliku przy oknie. Położył aktówkę na kolanach, wyjął z niej dwie papierowe teczki i „Newsweeka”, przejrzał menu służące za podkładkę.

Wtedy pojawiła się przy nim kelnerka, młoda, rumiana dziewczyna z jasnobrązowymi włosami, spiętymi w koński ogon, niemal ładna. Miała na sobie białą bluzkę z krótkim rękawem i czarną spódnicę do kolan oraz fartuszek, w którego kieszonce trzymała wysłużony kołnотatnik, pozbawiony już większości wkładu, i ściereczkę.

Wyrastając przy Olgierdzie, pstryknęła długopisem i uśmiechnęła się pogodnie.

– Dzień dobry, czy mogę zaproponować coś do picia? – Mówiła ładnie, poprawnie, ale z wyraźnym wschodnim zaśpiewem, co sprawiło, że Olgierd odruchowo się skrzywił. Jego samego czasem brano za przybysza z Ukrainy i przez to długo nie traktowano w stolicy do końca poważnie. Nieważne, że pochodził z Piotrkowa Trybunalskiego, do ubiegłego roku mieszkał w Łodzi, a najdalej na wschód był bodaj raz w Lublinie. Choć ludzie z jego otoczenia na co dzień wykazywali się pożałowania godną ignorancją, akurat w zakresie

wcale nie tak przecież oczywistej genezy jego nazwiska nadspodziewanie błyskali wiedzą.

Ale i tak mogło być gorzej, pomyślał. Mógł w życie startować teraz, gdy co drugi autostradowy McDonald rozbrzmiewał charakterystycznym przedniojęzykowym L, a w większości dużych polskich miast, nie tylko w Warszawie, Ukrainka stało się właściwie synonimem słowa sprzątaczką. Lub dziwka.

Zdał sobie sprawę, że milczy trochę za długo, więc pochylił się znów nad kartką z menu, jakby jeszcze nic nie wybrał.

– Poproszę kawę. Czarną. – Zawahał się. – I jakieś ciasto do tego.

– Mogę polecić nasze ciasto dnia. W środę zawsze mamy bezy. Dziś jest z kremem na bazie mascarpone i owocami leśnymi – wyrecytowała dziewczyna i rozejrzała się teatralnie, by zaraz dodać już ciszej: – Naprawdę świetne, ale szefowa nie jest przekonana do nowej cukierni, więc namawiamy, by szybko się rozeszło.

Olgierd roześmiał się i skinął głową.

– Niech będzie. W takim razie czarna kawa i beza.

– Duża, mała ta kawa?

Pychel zerknął na zegarek.

– Niech będzie duża.

– Świetnie, to zaraz do pana wracam.

Obróciła się i zrobiła krok w stronę baru, gdy nagle zawróciła.

– Był pan już u nas wcześniej? – zapytała.

– Nie, to pierwszy raz.

Ta odpowiedź, sądząc po jej minie, wyraźnie ją usatysfakcjonowała. W oczach błysnęła autentyczna radość, szeroki uśmiech zaprezentował dwa rzędy śnieżnobiałych zębów, o które, zdaniem Olgierda, zwracającego szczególną uwagę na uzębienie, musiała wręcz obsesyjnie dbać.

– W takim razie jeżeli pan chce, kawa może być za darmo – powiedziała. – Mamy na stronie taką aplikację do zbierania punktów. Dzięki niej można się

załapać na specjalne promocje. No i pierwsza kawa jest za darmo.

– Dziękuję, ale nie będę tu bywał zbyt często.

Dziewczyna znowu się rozejrzała.

– To pan później odinstaluje – odparła. – Dają nam tu bonusy za ściągnięcia aplikacji, a pan zyska darmową kawę.

Olgierd wyjął z kieszeni telefon. Właściwie czemu nie? Chciała być miła, czemu nie skorzystać. A dodatkowo, co dopiero zauważył, gdy tak się uśmiechała, na jej policzkach pojawiały się te urocze dołeczki.

– No cóż, w sumie ma pani rację. A, i bardzo doceniam szczerość – stwierdził. – Tylko nie boi się pani tak mówić o tym wprost? A gdybym był tajemniczym klientem?

Teraz to ona się roześmiała.

– Taki elegancki? Pan to chyba żadnego z nich nie widział.

Miała rację o tyle, że choć Olgierd raz z całą pewnością widział tajemniczego, a nawet z nim rozmawiał, nie rozpoznał go ani w trakcie rozmowy, ani nie potrafił przywołać jego twarzy po tym, gdy już dostał raport z oceną swojej pracy. To wydarzyło się jeszcze w Łodzi, w salonie Orange, oberwało mu się wtedy za pominięcie jednej z propozycji. Jakkolwiek wyglądał ten jego tajemniczy, z całą pewnością w żaden sposób nie wyróżniał się z tłumu.

– To jaki macie ten adres? – zapytał teraz, odblokowując telefon.

– Czarnowszystko... Albo wie pan co? Jak się pan połączy z naszym wi-fi, wyskoczy automatycznie. Sieć nazywa się CzarnoWidzeCoffee, a hasło to MałaCzarna.

Pychel połączył się z siecią, wybrał właściwą i wklepał hasło. Dziewczyna przyglądała mu się wnikliwie, jakby chciała zerknąć w jego ekran, ale ostatek sił się powstrzymała.

– Na środku strony powinien być link do aplikacji. Taki duży przycisk z kubkiem kawy. Jak pan potem pobierze, to dostanie pan kod, ja go zapiszę i już...

– Dobrze, dziękuję – odparł, czekając, aż strona się załaduje.

*

Nie mogła się powstrzymać przed patrzeniem na niego, dlatego zamiast od razu wyjść z pomieszczenia, by dać mu czas, zajęła się sprzątaniami pobliskich stolików. Zapanowała jakoś nad drżeniem nóg, jednak miała wrażenie, że sztuczny uśmiech przykleił się jej do twarzy. Rozmowa poszła chyba dość naturalnie – Jezu, na to przynajmniej liczyła – ale ilekroć kończyła zdanie i milkła, wydawało jej się, że zaciskające się z nerwów szczęki już się nie otworzą. Że nie będzie w stanie powiedzieć mu nic więcej.

Albo jeszcze gorzej, że ulegnie jego uśmiechowi, niewinności i zagubieniu wypisanym na twarzy. Ostrzegali ją przed tym, mówiąc, że to właśnie jest najtrudniejsze. I zawsze jest taki moment, w którym mimo całego przygotowania chcesz jednak się wycofać albo pragniesz, by ktoś cię zastąpił. Co, rzecz jasna, nie wchodziło w grę, bo to musiała być ona. I to musiał być on. Zły człowiek siedzący pod oknem.

Pochyliła się nad stolikiem i omiotła go dobytą z kieszeni fartuszka ściereczką, jednocześnie patrząc, jak klient gapi się w ekran telefonu. Gdy strona się załadowała, zapewne zgodnie z instrukcją wcisnął ikonę kubka i potwierdził chęć pobrania aplikacji. Upewnił się, że nie musi klikać niczego więcej, po czym odłożył aparat na bok i sięgnął po magazyn leżący na dwóch papierowych teczkach.

Sasza wstrzymała oddech, bo następne kilka sekund było kluczowe. Telefon zawibrował raz. Klient posłał mu jedno spojrzenie, jednak nie sięgnął po aparat. Pięć sekund, dziesięć, dwadzieścia... Telefon zawibrował po raz drugi. Tym razem mężczyzna spojrzął na ekran i mruknął coś pod nosem, ale to tyle.

Powoli wypuściła powietrze i wyrównała oddech, po czym wróciła do sali głównej. Marcin z komórką w dłoni pokazał dyskretnie kciuk z palcem wskazującym ułożone w kółko. Udało się. Pierwszy etap mieli za sobą.

*

Dziewczyna – dopiero teraz nad kieszonką na lewej piersi zauważył

maleńką, kremową przypinkę z napisem „Sasza” – zjawiała się ponownie po kilku minutach, niosąc na tacy filiżankę wielkości miski do zupy i rzeczywiście bardzo smakowicie wyglądającą bezę. Na stoliku obok telefonu postawiła najpierw kawę, potem ciastko.

– I co? Udało się? – zapytała.

– A wie pani, że nie wiem? Nie sprawdziłem. – Olgierd oderwał wzrok od artykułu o reprivatyzacji i sięgnął po aparat. Kciukiem wpisał kod, szybko przejrzał ikony aplikacji i zmarszczył czoło. – Hmm, chyba nie, bo nie widzę niczego nowego.

– Powinno być jak logo kawiarni, kubek kawy i...

Z uśmiechem stuknął palcem w leżące przed nim menu, na którym znajdował się logotyp.

– Pewnie się nie zainstalowało, może pamięć mam pełną albo trzeba było coś potwierdzić i się zagapiłem – stwierdził. – Nieważne... Ale dziękuję za chęci.

Uśmiechnął się i już wrócił wzrokiem do artykułu, gdy dostrzegł kątem oka, że wyraźnie skonsternowana kelnerka nie zamierza tak łatwo dać za wygraną.

– Może jeszcze raz? – zaproponowała, a on potrząsnął głową.

– Naprawdę nie trzeba, stać mnie na kawę – odparł i zaraz, zdając sobie sprawę, że mogło to zabrzmieć niegrzecznie, ponownie spojrzął na dziewczynę i uśmiechnął się szeroko. – Ale wie pani co? Jest pani tak miła, że choć zwykle tego nie robię, napiszę wam rekomendację na Facebooku. Ze szczególnym uwzględnieniem miłej obsługi.

Kelnerka zaczerwieniła się i zatrzepotała rzęsami.

– Naprawdę? To bardzo miłe z pana strony.

– Pani też jest bardzo miła. A karma zawsze wraca.

Na te słowa dziewczyna ściągnęła nagle brwi i usta. Znów się rozejrzała i wyjęła nieużywany dotąd kołonośnik. Zanotowała coś szybko i pokazała mężczyźnie rząd cyferek zakończony znaczkiem hasztaga.

– Jakby co, to jest pana kod – powiedziała cicho, akurat w chwili, gdy do

sali weszła kolejna klientka. Piękna blondynka w koszulce na ramiączkach i luźnych spodniach w barwne kwiaty. Pychel miał szczerą ochotę odprowadzić ją wzrokiem, jednak uznał, że w tych okolicznościach byłoby to zwyczajnie bezczelne.

– Skoro się pani upiera – zwrócił się do kelnerki z cichym westchnieniem.
– Pozostaje mi podziękować. Dziękuję zatem.

Zamknął i odłożył na bok gazetę i sięgnął po widelczyk. Przez moment obawiał się, czy dziewczyna nie będzie nad nim stała, upewniając się, że mu smakuje, ale kelnerka skłoniła się tylko i pognała do drugiej sali. W połowie drogi rozwiązał jej się fartuszek, więc wzięła go do ręki.

Blondynka w spodniach w kwiaty usiadła dokładnie za nim i czuł teraz delikatny zapach orzeźwiających perfum, choć nie mógł jej zobaczyć. Co oczywiście rozbudziło ciekawość. Rozważał przez moment zmianę miejsca, jednak nie miał ku temu żadnego rozsądnego powodu, bo ani nie raziło go słońce, ani nie siedział w przeciagu. Gniazdko, gdyby akurat chciał z niego skorzystać, też znajdowało się akurat obok nogi. Byli na tej sali sami, nie licząc klientów przechodzących akurat do toalety czy stojących w zazwyczaj jednoosobowych kolejkach w wąskim korytarzu, więc gdyby po prostu się przesiadł, tak by na nią patrzeć, nie uszłoby to uwadze kobiety. No chyba że siedziałyby tyłem. Ale gdyby wstała...

Po krótkim namyśle uznał, że jedynie może się jej przyjrzeć, gdy sam będzie szedł do łazienki. Czego zrobić chwilowo nie mógł, bo jakże to, zostawić na stole kawę i ciastko?! Zaśmiał się cicho pod nosem z tych rozważań i z tego, jak bezsensownie komplikuje sobie nimi życie. To tylko ładna laska, nic nadzwyczajnego!

A jednak przyjemny zapach wiercił go w nosie i nęcił, a głęboki głos dziewczyny, gdy ta odezwała się do telefonu, brzmiał zmysłowo. Podniecająco nawet mimo przekraczającego normy natężenia zdrobnień w wypowiedzianych słowach.

– Ewciu, kochanie, oddzwonię do ciebie za chwileczkę, bo mam teraz końcóweczkę baterii, a za chwilę ma dzwonić ten Marek z Unilevera, by powiedzieć, jak mi poszło... Nie, nie wiem dokładnie o której... Tak, możesz

być pewna, że dam znać. Tak, kochana. Tak, buziaczki. Pa.

Rozłączyła się niemal w tym samym momencie, w którym telefon ostrzegł ją zapewne już kolejnym sygnałem o rozładowującej się baterii.

– Szlag! – mruknęła dziewczyna.

Olgierd odłożył widelczyk i po sekundzie wahania odwrócił się.

– Przepraszam – powiedział z głupim uśmiechem, czując, jak palą go czubki uszu. Nabrał nagłego przeświadczenia, że robi z siebie kompletnego idiotę, ale było już za późno, by się wycofać.

Dziewczyna, jak się okazało, siedziała po drugiej stronie stołu, frontem do jego pleców, tak że teraz widział ją dokładnie od pasa w górę. I musiał przyznać, że jest prześliczna. Złociste włosy sięgały jej do przedramion, zawijając się do środka. Miała wyraźne kości policzkowe i pełne usta, a nad nimi maleńki, czarny pieprzyk. Do tego prosty, wąski nos, zielone oczy w ciemnej oprawie makijażu z delikatnym dodatkiem niebieskiego. Patrzyła na Olgierda z uprzejmym zaciekawieniem.

– Przypadkiem usłyszałem, o czym pani mówiła – dodał, zwalczając pokusę odchrząknięcia. – I jeśli ma pani telefon z wejściem na mikroUSB...

Pokręciła głową, unosząc iPhone'a.

– Dzięki, ale niestety – odparła. – Nie wiem, może zapytam, czy mają tu jakiś numer stacjonarny albo coś, to go podam esemesem.

– Może pani podać mój – palnął bez zastanowienia Olgierd. Zdziwiła się, więc szybko dodał: – To znaczy, wie pani, będę tu chwilę i... – Patrzył na nią, z każdą sekundą przedłużającej się ciszy coraz bardziej przygotowany na odmowę, jednak dziewczyna najpierw zmarszczyła brwi, a potem powoli, ostrożnie skinęła głową.

– Dobrze – zgodziła się. – O ile pozwoli mi pan zapłacić za pański rachunek.

– Wykluczone! To umniejszyłoby mojemu bohaterstwu.

Roześmiała się, a on wziął ze stolika telefon, wstał i podszedł do blondynki. Stając nad nią, ukradkiem zerknął na jej dłonie i nie dostrzegł ani pierścionka, ani obrączki. Niby w dzisiejszych czasach to nic nie znaczyło,

ale i tak dobrze rokowało. Odblokował telefon, w kontaktach wybrał JA i pokazał jej na ekranie. – Olgierd. A oto mój numer.

Przepisała go szybko i wysłała esemesa.

– Marzena. – Wyciągnęła do niego dłoń. – Dosiądziesz się, bohaterze? Albo nie, wiesz co? Ty już zamówiłeś, mnie będzie łatwiej.

Zanim zdążył zareagować, wstała, obciągnęła bluzkę i zdjęła z oparcia niewielką torebkę.

– Naprawdę dziękuję za pomoc – powiedziała, gdy prowadził ją do swojego stolika.

Usiedli, on na swoim miejscu, ona naprzeciwko, tak że słońce i gałęzie drzewa za oknem ozdobiły ją cienistymi wzorami.

– Znajomy pomaga mi w ogarnięciu nowej pracy i... Zresztą sam słyszałeś. Boże, czuję się taka głupia!

Nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko wzruszył ramionami.

– Telefony nie wytrzymują dziś nawet jednego dnia. Osobiście uważam, że to kpina – rzucił w końcu. – Pamiętam, że moja pierwsza komórka... – Przerwał, gdy w progu dostrzegł Saszę. Uśmiechnął się do niej i uniósł rękę. – Przepraszam, możemy prosić?

Kelnerka podeszła niemal natychmiast, ale coś w jej ruchach, w zachowaniu i spojrzeniu wyraźnie się zmieniło. Pojawiła się pewna nerwowość, uśmiech sprawiał wrażenie nieco wymuszonego. Czyżby jakiś nieprzyjemny klient na drugiej sali? Albo mniej lub bardziej zasadny opierdziel od szefostwa?

Zaraz jednak zorientował się, że wzrok dziewczyny, choć kelnerka usiłowała go skupić na nim, raz po raz ucieka ku Marzenie.

Jezu, dotarło do niego, jej chodzi o mnie! Ona ze mną wcześniej flirtowała! To stąd ta darmowa kawa i kod, stąd to nerwowe rozglądanie się. Wcześniej nawet o tym nie pomyślał, kelnerka wydawała się taka młoda, prawie jak licealistka na letniej praktyce, jednak teraz... Tak, to miałyby sens. Oczywiście nie wiedział, czy robiła to, bo faktycznie jej się spodobał, czy też może to jedna z tych Ukrainek, które szukają łatwej drogi do lepszego życia.

Mówili mu o nich koledzy z dawnego biura, ci, co dzięki takim właśnie dziewczynom podbijali statystyki – ale fakt pozostawał faktem. Flirtowała z nim, a teraz, gdy zobaczyła Marzenę przy jego stoliku, poczuła rozczarowanie. Albo i gniew.

Poczuł się w obowiązku jakoś jej to wynagrodzić, więc wyszczerzył się głupio, szukając w głowie odpowiednich słów, jednak zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, kelnerka sama wyjaśniła przyczynę swojej nerwowości.

– Przepraszam państwa najmocniej – odezwała się wyraźnie zakłopotana. – Chodzi o to, że mamy teraz zmianę i musimy dokonać rozliczenia kasy. Naprawdę bardzo przepraszam, ale...

– Musi nas pani szybciej rozliczyć? – dokończył za nią Pychel. – Oczywiście, nie ma żadnego problemu. Jeśli tylko moglibyśmy domówić... Czego się napijesz? – zwrócił się do Marzeny, a ta pokręciła głową.

– Przecież mówiłam, że ja płacę.

– A ja, że to wykluczone – odparł rozbawiony. – No, nie daj się prosić. Co dla ciebie?

*

Sasza rzeczywiście poczuła ukłucie zazdrości, obserwując siedzącą przy kliencie kobietę. Jednak wbrew temu, co myślał sobie mężczyzna, w żaden sposób nie chodziło tu o niego, a o nią. Była niesamowita. Każdy jej gest, ruch, każde słowo, a nawet to, jak teraz podjęła ten na poły żartobliwy, przeciągający się pojedynek na spojrzenia – to była klasa sama w sobie.

Mimo iż przecież wiedziała, co się dzieje i kim jest kobieta przedstawiająca się jako Marzena, Sasza dałaby sobie głowę uciąć, że przed chwilą między tą dwójką przeskoczyła w powietrzu iskra. To, w jaki sposób kobieta powiodła palcami po kości obojczyka, lekkie zmruczenie oczu, uśmiech płaczący się w kąciку ust. Kryła się w tym subtelność zmysłowych koronek ekskluzywnej bielizny. Miała go na widelcu, jednocześnie nic jeszcze nie obiecując.

– Niech będzie – skapitulowała i spojrzała na Saszę, jakby widziały się po raz pierwszy. – Latte poproszę. Jeśli jest, to orzechowe.

Kelnerka wyjęła kołnотatnik.

– Jakie mleko?

– Prawdziwe – odparła Marzena. – Możliwie tłuste.

I znowu trafione; śmiech klienta był bardzo naturalny. Mężczyzna wyjął z wewnętrznej kieszeni płaski portfel, a z niego pomarańczową kartę z lwem.

– Też mnie zawsze bawi, gdy ktoś nazywa te sojowe czy migdałowe mlekiem – powiedział. – Mleko bierze się z dojenia. Widział kto dojone migdały?

Zaśmiały się niemal równocześnie, choć Marzena niewątpliwie lepiej sobie radziła z udawaniem wesołości. Ale to nie był problem, bo Sasza jako kelnerka mogła słyszeć ten żart z tysiąc razy.

– A, kartą, tak? W takim razie zaraz przyniosę terminal – dodała. – I kawę. I jeszcze raz przepraszam za kłopot.

– Żaden kłopot – zapewnił Olgierd i sięgnął dłonią po widelczyk. Rozkruszył nim kawałek bezy, wymieszał z kremem i wsunął do ust.

Sasza cofnęła się o krok, by ponad mężczyzną posłać Marzenie niepewne, pytające spojrzenie. Kobieta nie odpowiedziała w żaden sposób, koncentrując uwagę na kliencie.

*

– Jesteś z Warszawy? – zapytała Marzena.

Pokręcił głową.

– Z Poznania. Przyjechałem w interesach.

– Zawsze lubiłam to określenie. W interesach. Brzmi jak z filmu z Bondem. – Odchrząknęła i spróbowała podjąć niskim, męskim głosem, odruchowo dociskając przy tym brodę do szyi. – Jaki jest powód pańskiej wizyty, panie Bond? Przyjechałem tu w interesach.

Parsknął, plując kawałkami bezy, co sprawiło, że i ona się roześmiała,

odrzucając głowę do tyłu. Miała piękną długą szyję. A on robił z siebie idiotę.

– To chyba tyle z porównywania mnie do agenta jej królewskiej mości – stwierdził, ocierając usta i stół serwetką.

– Przeciwnie. Mogłeś to zrobić dla niepoznaki, prawda?

– W sumie... Ta praca to w jakiej branży?

– Właściwie to żadna branża. – Marzena odwróciła głowę w stronę okna. Tylko na moment, zaraz ponownie skupiła się na Olgierdzie, ale widział wyraźnie, że pytanie ją zawstydziło. – Jeden z dyrektorów szuka asystentki... a właściwie to sekretarki, i...

– Moja mama jest sekretarką – skłamał. – Mnóstwo odpowiedzialności, cholernie niedoceniana robota.

Dostrzegł w jej spojrzeniu wdzięczność, od której zrobiło mu się ciepło i która sprawiła, że po raz pierwszy naprawdę pomyślał o tym, że mógłby umówić się z tą dziewczyną. Wcześniej, nawet przy tym niezobowiązującym flircie, wydawała się zupełnie spoza jego ligi. Jednak teraz...

Możesz myśleć, że to nieśmiertelne boginie, stary, ale wszystkie one regularnie krwawią – mawiał jeszcze na studiach jego kumpel z akademika, Błażej. – A wiesz, co mówią. Skoro coś krwawi, to jest do pokonania. Musisz tylko znaleźć słabość.

Olgierd podejrzewał, że właśnie mimochodem znalazł tę słabość i z jednej strony poczuł się głupio. Z drugiej jednak narastający wzwód i szum w uszach dawały wyraźny sygnał, że tylko pieprząc skrupuły, ma szansę na...

– To będzie razem dwadzieścia dziewięć złotych – usłyszał nagle.

Mało nie podskoczył. Odwrócił się i zobaczył nad sobą Saszę z terminalem. Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć wszystkich myśli sprzed chwili, i poprawił się na krześle, zakładając nogę na nogę, by ukryć erekcję.

– Może tam pani dopisać napiwek? – zapytał.

Dziewczyna pokiwała przecząco głową.

– Niestety nie, ale bardzo dziękuję za chęci. Zbliżeniowo?

– Tak. – Przyłożył kartę do terminalu i sięgnął do portfela w poszukiwaniu drobnych.

– Transakcja odrzucona – powiedziała dziewczyna, używając do tego tonu, jakiego uczy się chyba każdy ekspedient na świecie. Coś pomiędzy „bardzo mi przykro z powodu pana straty” a „proszę się nie martwić, żyjemy w nerwowych czasach, każdemu mężczyźnie się to zdarza”.

Tyle że on zdecydowanie nie powinien usłyszeć teraz tych słów. Zamarł z kartą w dłoni, wzrok odruchowo odnalazł Marzenę.

– To niemożliwe – stwierdził, nie wiedząc, czy zapewnia siedzącą naprzeciw kobietę, kelnerkę czy samego siebie. – Możemy jeszcze raz?

– Oczywiście – zapewniła Sasza. – To czasem się zdarza. Może tym razem na PIN?

– Albo naprawdę ja zapłacę – zasugerowała Marzena, on jednak tylko pokręcił nerwowo głową. Podał kelnerce kartę.

– Nie, nie. Spróbujemy na PIN.

Sasza wsunęła kartę do terminalu, wpisała kwotę, po czym podsunęła mu go pod nos i spojrzała w bok.

– PIN i zielony – powiedziała.

Olgierd wpisał nerwowo cztery cyfry, zatwierdził zielonym i czekał, wpatrzony w ekranik. Przetwarzanie, przetwarzanie. Transakcja odrzucona.

– Kurwa! – wyrwało mu się. Złapał za telefon.

– Proszę cię, pozwól mi... – zaczęła Marzena.

– Nie! – rzucił ostro. Za ostro. Zreflektował się natychmiast i uśmiechnął przepaszająco. – Spokojnie, zapłacę gotówką. Po prostu zwyczajnie nie wiem, co się stało.

– Może to prace serwisowe? – podpowiedziała Marzena. – Mój bank ostatnio w połowie dnia ogłosił, że coś zmieniają, i nagle wszystkim zablokowali dostęp do pieniędzy na dobrych parę godzin. Była zresztą z tego powodu wielka awantura. W „Faktach” nawet mówili.

Olgierd mruknął ciche „aha”, jednocześnie przeglądając aplikacje w poszukiwaniu tej bankowej i robiąc w głowie rachunek sumienia.

Wszystkiego, co miał na koncie, przehulać nie mógł, opłaty stałe i abonamenty rozliczał na początku miesiąca. Może jakieś zajęcie komornicze? Nie, raczej nie. Więc co, do jasnej cholery?!

Znalazł aplikację, wszedł w nią i kliknął „zaloguj”. Wpisał cztery cyfry aplikacyjnego PIN-u i nerwowo obserwował kółko ładowania. W końcu pojawił się stan konta i Olgierd odetchnął z wyraźną ulgą. Niczego nie brakowało.

– Możemy spróbować jeszcze raz? – zapytał wciąż stojącą nad nim Saszę.
– Zbliżeniowo, a jeśli się nie uda, zapłacę gotówką.

– Jasne. – Dziewczyna uśmiechnęła się i wyjęła kartę z terminalu. Podała ją Olgierdowi, ponownie wpisała kwotę i podsunęła mężczyźnie urządzenie. Tym razem niemal natychmiast pojawiły się słowa „transakcja zaakceptowana”. Pychel odetchnął z ulgą.

– Potwierdzenie drukować? – zapytała kelnerka.

– Nie trzeba. I paragonu też nie, dziękuję bardzo. – Olgierd wyjął z portfela banknot dwudziestozłotowy, najdrobniejszy, jaki miał, i podał dziewczynie. – To dla pani. A recenzję i tak napiszę.

– Och, dziękuję panu bardzo.

W tej samej chwili zawibrował telefon, a na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer. Pychel spojrzął i przesunął aparat po stole, w stronę Marzeny.

– Pewnie do ciebie – powiedział.

– A jeśli nie?

Wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Któryś z moich kolegów pomyśli, że mam dziewczynę – rzucił kolejny raz bez zastanowienia, ale tym razem nie skłął się za to w myślach. To było nawet zabawne, on był zabawny, a ona się zaśmiała. Faktycznie mogło coś z tego być. Odsunął krzesło i wstał. – Dam ci chwilę. Przypilnujesz mi kawy?

– Jasne – odparła i odebrała. – Marek? Tak, to ja. Słuchaj, dziękuję ci jeszcze raz, że dzwonicz...

*

– Saszka, podejdziesz do państwa na ogródek? – zapytała Justyna. – Trochę się już niecierpliwią.

– Jasne, już idę.

Sasza obeszła kontuar i odłożyła terminal na blat w taki sposób, by Marcin mógł go łatwo ponownie podmienić. Zasłoniła go, sięgając po wpięty w ładowarkę telefon. Zerknęła na wyświetlacz, odczytała wiadomości. Ta najnowsza, najważniejsza, zawierała jedno słowo: „Już”.

Głośno odetchnęła z ulgą.

– Coś się stało? – zapytała Justyna.

Sasza pokręciła głową.

– Nie, gorąco mi, muszę złapać powietrza.

– To na ogródku jest go sporo – odparła koleżanka, a Marcin zarechotał, jakby usłyszał najlepszy żart na świecie. On również był dobry, może nawet lepszy niż Marzena? Na pewno mniej grał samą fizycznością.

Sasza naprawdę doceniała, że to właśnie oni jej dziś pomagają.

„Już” znaczyło, że właściwie wszystko się wykonało. Zły człowiek został ukarany.

*

Dopiero w łazience, stając już nad umywalką i nabierając na dłoń pachnącą bananami piankę, Olgierd zdał sobie sprawę, co najlepszego zrobił. Czy naprawdę właśnie zostawił obcą kobietę ze swoim telefonem, wartym z dobre trzy tysiące, dokumentami firmy w teczce i wyszedł do kibla? Naprawdę był aż tak głupi?

Szarpnął za uchwyt kranu, właściwie tylko spłukując piankę, złapał za zielony papierowy ręcznik ze stosiku leżącego obok i wytarłszy ręce, niemal wypadł z łazienki.

Siedziała na swoim miejscu, wpatrzona w okno, a telefon leżał po jego stronie, tuż koło talerzyka z bezą. Po raz drugi w ciągu niecałego kwadransa

Olgierd poczuł ulgę, tym razem zmieszaną z solidną porcją wyrzutów sumienia.

– I jak? – zapytał, wracając do stolika.

– Już kogoś znaleźli – odparła ze smutnym uśmiechem. – Podobno po rodzinie.

– Typowe – westchnął. – Jak to wszystko ma dobrze działać, skoro wszędzie nepotyzm i znajomości?

Z tego, że znowu palnął, zdał sobie sprawę na widok jej miny. No tak, skojarzył, przecież ona też próbowała tym właśnie kanałem, czyż nie? Czy można wściekać się, że ktoś znalazł jeszcze krótszą drogę, skoro samemu idzie się na skróty?

Kilka kęsów bezy zjadł w milczeniu, zapił kawą. W końcu to Marzena, najwyraźniej zmęczona przeciągającą się niezręczną ciszą, wspomniała o jakiejś książce. Od niej gładko przeszli do kina, ulubionych seriali na Netfliksie, aż wreszcie swobodnie doszli do etapu kolacji i postanowili ją zjeść razem w jednej z indyjskich knajpek na Nowym Świecie.

– Oczywiście pod warunkiem, że tym razem pozwolisz mi zapłacić rachunek – zastrzegła, a on po krótkim przekomarzeniu się niechętnie na to przystał. Nie chciał wyjść na jednego z tych konserwatywnych macho, co to uważają kobiety za niezdolne do poradzenia sobie w życiu. A już zwłaszcza nie w dniu, w którym Marzenie dwa razy przyszło skorzystać z męskiej pomocy.

Wziął od niej numer, a ona zapewniła go, że do osiemnastej jej telefon będzie już naładowany. Rozstali się pół godziny później, gdy Olgierd zdał sobie sprawę, że musi się zbierać.

To, że został okradziony, Pychel uświadomił sobie dopiero cztery godziny później.

2

>Nie widziała dobrego sposobu na podjęcie tego tematu. Bo właściwie jak miałyby go zacząć? Od czego? Jeśli powie: „Wiem, że kłamiesz”, on zapyta, skąd to niby wie, i wtedy będzie musiała się przyznać, że sprawdziła mu konto. Że nadwyreżyła zaufanie, którym Mikołaj obdarzył ją w ubiegłym roku, gdy podał jej hasło i poprosił, by w jego imieniu zrobiła szybki przelew.

I oczywiście Kaśka mogła sobie teraz mówić, że cel uświęca środki. Co prawda to właśnie dzięki temu przecuciu, tej wątpliwości, zalogowała się i sprawdziła wykonane transakcje, a tym samym dowiedziała się, że ją oszukał. Ale przecież gdy to robiła, nie była jeszcze niczego pewna.

Kiedy szła bosą przez kuchnię, stopy odklejały się od kafli z cichym plaśnięciem. Nalała sobie wody z dzbanka z filtrem. Zegarek na piecyku mówił jej, że Mikołaj za jakiś kwadrans powinien skończyć pracę i wsiąść do metra, czyli w domu będzie mniej więcej za godzinę. Jedyny plus tego, że nie pracował już w Mordorze, ta przewidywalność dojazdów. Oczywiście jeśli nie dawała mu roboty, chociaż we wtorki raczej nie trzaskali nadgodzin. Co innego w piątki, gdy klienci za wszelką cenę chcieli zdążyć ze wszystkim przed weekendem i zwalali na kogo się da tony mejlowych żądań. To znaczy tak mówił, jednak w to akurat nie miała podstaw nie wierzyć, nieraz widziała, jak ledwie wracał w piątkowy wieczór, zjadł coś i brał się do roboty, by pozamykać sprawy przed północą i mimo wszystko złapać te dwa dni wolnego. Był rzetelny, pracowity, ambitny i nie stał się korposzczurem, co naprawdę doceniała, bo zaliczyła już jeden taki związek. Wtedy też mieli piękne mieszkanie, kuchnię i zestaw wypoczynkowy od projektanta, funkcjonalny minimalizm, który cenila ona, bajery i elektronikę, których tak bardzo chciał on, a z których Kaśka mogła potem korzystać w długie, samotne wieczory.

Kolejny łyk wody przypominał jej, że skończyły się już cytryny i mięta, a to z kolei, że zamierzała wyjść na większe zakupy. Planowała ugotować coś na zapas, korzystając z ostatniego dnia w domu. Chorobowe strasznie ją rozleniwiło i sprawiło, że całkowicie zaniedbała podjętą w styczniu dietę. A od jutra, przez następne dni, a może nawet tygodnie, nie zapowiadało się, by miała czas na przygotowywanie posiłków, bo w biurze zaczął się istny sajgon.

Urok spółki państwowej. I co z tego, że media, że zachodnie formaty, gwiazdy spotykane na korytarzach, skoro wyglądało jak wszędzie. Nowa władza, swoi do obsadzenia, mierni, bierni, ale wierni, wytyczne z góry, co, jak, o czym tak, a o czym nie. Nowe priorytety, więc najpierw rozrzutność, jakby jutra miało nie być, a potem pierwsze poważniejsze podsumowania i uważne kontrolowanie wszystkich działów, ponowne rozliczanie każdego grosza, sprawdzanie słupków i wyzbywanie się z prime time'u wszystkiego, co nie zarabia kasy, lub realizacja zewnętrznych celów. Za obecnej dyrekcji robili to już w zasadzie trzeci raz, a szeregowie szcurki tylko czekały grzecznie na nowe przydziały, bojąc się, czy w ogóle coś się dla nich znajdzie.

Kaśka akurat tego nie musiała się obawiać, bo ją i resztę maleńkiego zespołu ciągnął za sobą Wiktor, a on zawsze wiedział, skąd wieje wiatr. Gość, którego traktowała jak dobrego, trochę momentami zbyt rubasznego stryja, powoli zbliżał się do pięćdziesiątki, a przygodę z telewizją zaczynał jeszcze z Kraśką i córką Walterów w studiu „5 10 15”, więc znał wszystko i wszystkich na wylot, co w połączeniu z faktem, że w zasadzie nie miał większych ambicji, pozwalało mu utrzymywać się na powierzchni. Z tego powodu czasem jego mały zespół robił priorytetowe kalki zachodnich show, a czasem, jak teraz, bawił się w reminiscencje PRL-u. Dla Kaśki oznaczało to tyle, że jutro, zaraz po powrocie zacznie się wdrażać w produkcję jakiegoś klona „997”.

Wczoraj dostała pierwszego mejla i już wiedziała, że sama robota ciężka nie będzie, ale atmosfera na korytarzach na Woronicza zmusi ją do tego, by niczym więzień skreślać dni w oczekiwaniu na urlop. Na te dwa cholerne

tygodnie w Chorwacji, za które Mikołaj tydzień wcześniej miał zapłacić pierwszą z dwóch rat.

I nie zapłacił. Podobnie jak raty kredytu mieszkaniowego, raty za swój komputer i rachunku za ich telefony. Gazu też nie, jednak to akurat płacili raz na dwa miesiące i nie była pewna, czy nie wypadła akurat miesiąc luzu. Nie wiedziała też, czy rozliczyli się ostatecznie za szafę zrobioną po znajomości przez jego kolegę.

Ale same niedokonane opłaty nie stanowiłyby aż takiego problemu, gdyby nie to, że na koncie Mikołaj miał teraz niespełna dwa tysiące złotych. Ledwie za połowę miesiąca! No i, bo oczywiście to też sprawdziła, zamiast normalnej wypłaty dziesiątego wpłynęła o połowę mniejsza kwota z jakiejś spółki. Kaśka próbowała ją wygooglać, jednak ta firma nie posiadała nawet strony. I w porządku, to znów mogło być coś dorywczego, bo po zmianie pracy Mikołaj nie zgodził się na tak restrykcyjny jak wcześniej zakaz konkurencji, tylko co w takim razie stało się z jego normalną pensją?! Wywalili go z roboty?

– Wszystko jest tip-top – powiedział jeszcze wczoraj, gdy zapytała go mimochodem o te wakacje. Leżeli akurat w łóżku, na Netfliksie ładował się kolejny odcinek *Narcos*, a Mikołaj uśmiechnął się w taki dziwny sposób. Od razu wiedziała, że coś kręci. Znała go, byli ze sobą trzy lata, mieszkali razem prawie dwa. Mikołaj nie umiał kłamać.

Dopiła wodę, wstawiła szklanekę do zlewu i ponownie spojrzęła na zegarek na piecyku. Przy okazji dostrzegła siebie w odbiciu. Włosy miała potargane, twarz jeszcze lekko opuchniętą od nabrzmiałych zatok, ale poza tym wyglądała całkiem nieźle. Pomięta błękitna koszula Mikołaja, służąca jej ostatnio za piżamę, dodawała uroku i seksapilu. Kaśka uśmiechnęła się smutno, myśląc, że teraz wystarczyłby tylko szybki makijaż, statyw, rozbabrane łóżko i mogłaby wrzucać zdjęcia na insta z hasztagami typu *polishgirl*, *bedroom* i *lazymorning*. Miała cały folder takich fotek w telefonie, ale żadnego nigdy nie opublikowała, choć Mikołaj uważał, że powinna.

– Nie są wulgarne, nie szczują cystem, a biją z nich radość i urok pięknej dziewczyny – powiedział, jednak nie dała się przekonać. Chciała, by jej

Instagram kipiał profesjonalizmem, a nie materiałami pod masturbację dla obleśnych typów.

Mikołaj nie nalegał, bo jak stwierdził, z natury nie jest społecznikiem i póki jemu nie skąpi takich widoków, w dupie ma resztę świata i wszystkich w socialu.

– Dobra, wystarczy – powiedziała na głos. – Jeszcze tego tylko brakuje, żebyś sobie przypominała, kiedy był uroczy.

Przeszła do sypialni, otworzyła szafę i sięgnęła po luźne spodnie od dresu i powyciąganą koszulkę z szympansem w słuchawkach. Z komody wyjęła stanik, majtki i skarpetki, po czym przebrała się szybko, zwinęła koszulę w kłębek i wrzuciła do kosza na pranie. Przed lustrem związała włosy w koński ogon, którego Mikołaj nie lubił.

Nie zrobiła tego na złość, chciała po prostu wyglądać możliwie nieatrakcyjnie podczas ciężkiej rozmowy, bo na taką się zanosilo. Jeśli z rodzinnego domu wyniosła coś poza pakowanymi pospiesznie zaraz po maturze rzeczami, to było to głębokie przeświadczenie, że granie seksem nigdy tak naprawdę się nie opłaca i nie przynosi nic dobrego. To właśnie za sprawą takich gier w małżeństwie jej rodziców panował pat: on miał pieniądze, ona władzę w sypialni i nad jego żądzami, zaś między jednym a drugim leżały poprzewracane pionosy i strzaskane figury innych aspektów życia. Żyli razem z wygody, a gdy czegoś od siebie potrzebowali, kupowali to za pomocą potrzebnej drugiej stronie waluty.

Wróciła do kuchni i wspięła się na barowy hoker. Zdecydowali się na nie i na wysoki blat, gdy jeszcze myśleli o urządzaniu mnóstwa imprez, a wiadomo, że serce każdej domówki jest w kuchni. Zabębniła palcami w ceratową podkładkę, zerknęła na zegarek, zaciesała za ucho niesforny kosmyk. Czterdzieści minut. Wciąż nie wiedziała, jak zacząć rozmowę.

Może powinna powiedzieć, że zerknęła, gdy zapomniał się wylogować? Tylko rzuciła okiem i coś jej nie zagrało, więc zaniepokojona chce wiedzieć, co się dzieje. W sumie to mogłoby zadziałać, ale po pierwsze nie pamiętała, kiedy ostatni raz przy niej wchodził na stronę banku, a po drugie wiedziała, że akurat o wylogowaniu się nie zapomina nigdy. Nawyk z pracy, jak

tłumaczył, gdzie GIODO wymuszało wygaszanie ekranu po trzydziestu sekundach i hasło złożone z co najmniej ośmiu znaków, dużych i małych liter oraz cyfr. Choć gdy teraz o tym myślała, może takie zachowanie miało zupełnie inne podłoże?

W zamyśleniu zaczęła pocierać palcem bliznę po oparzeniu na obojczyku. Różowy ślad był w kształcie łożki, więc Mikołaj żartował, że to pewnie więzienny tatuaż i musi sprawdzić, co oznacza łożka w tym miejscu. Kiedyś też dla zabawy, gdy spała, obrysował bliznę długopisem. Ona sama nie zwracała na skazę uwagi, nie myślała o niej. Jej palce odnajdowały ją same, gdy się denerwowała lub intensywnie nad czymś zastanawiała.

Albo, pomyślała teraz, mogłaby zadzwonić do jego biura. Jeśli dowiedziałaby się, że już nie pracuje, byłby to jakiś początek, zagajenie.

Tylko dlaczego miałyby tam zadzwonić, skoro nie robiła tego nigdy wcześniej? Od razu by się domyślił, że nie zrobiła tego ot tak, bo kosztuje to trochę zachodu. Musiałaby wyszukać numer w sieci, odezwać się do kogoś obcego, czego – jak wiedział – nie lubiła robić, i liczyć na to, że ją z nim połączą. To wszystko zamiast po prostu zadzwonić na jego komórkę.

Mogła też oczywiście skontaktować się z nimi anonimowo, podać za kogoś innego i modlić się, by ktoś po drugiej stronie bez dopytywania powiedział: „Przepraszam, ale pan Otyś już u nas nie pracuje”. A nawet jeśli, to co? Czy nie wracała do punktu wyjścia? Zdobyłaby tylko kolejną porcję wiedzy, argumenty, których nie mogłaby użyć. W terminologii prawniczej, co wiedziała z seriali, to chyba się nazywało „owoce z zatrutego drzewa”.

Trzydzieści pięć minut. Wstała, otworzyła lodówkę i długo wpatrywała się w szczelne, przezroczyste pudełka o kolorowych wieczkach z zatraskami. Jej indyjska potrawka i resztkę chlebka naan z wczorajszego śniadania, niedojedzone burrito Mikołaja sprzed dwóch dni. To właśnie miała na myśli, mówiąc sobie, że choroba ją rozleniwiała. Zamiast gotować albo gdzieś wyjść, sporo ostatnio zamawiali do domu. Z jej inicjatywy, ale Mikołaj przecież nie protestował. Nie zająknął się słowem, że powinni oszczędzać czy może po prostu zejść troszkę na ziemię, przestać żyć ponad stan i tak beztrząsco szastać pieniędzmi. Nic. Wszystko jest, kurwa, tip-top!

Wyjęła z lodówki jogurt z ziarnami, jednak po namyśle wstawiła go z powrotem i podeszła do okna. Z wysokości ósmego piętra bez wychylenia się nie mogła zobaczyć ścieżki prowadzącej do bloku, więc przez moment patrzyła na matki z wózkami i gówniarzy w dresach, dzielących parkowe ławki niczym strefy wpływów. Widziała dzieci na rowerach, grupkę skaterów na niedawno ustawionej rampie, jakieś zamieszanie na parkingu Biedronki. Stłuczka? Całkiem możliwe, zdarzały się tam regularnie.

Co właściwie chciała zyskać tą rozmową? Czego się po niej spodziewała? Na pewno wyjaśnień, ale czy je dostanie? Przecież skoro to przed nią ukrywał, skoro ją oszukał, równie dobrze mógł teraz zwyczajnie się wkurzyć. Odpowiedzieć atakiem na atak, pytaniami na pytania, aż wreszcie użyć koronnego argumentu – to wszak jego praca, jego mieszkanie i kredyt, na niego jest książeczka gazowa. Kaśka co prawda dokładała się, ile mogła, Chorwację też mieli finansować razem, ale przecież nigdy nie po równo, bo zarabiała dużo gorzej od niego. To znaczy dużo gorzej niż on wcześniej, bo teraz...

Zadzwoił domofon i odwróciła się gwałtownie. Zerknęła na zegarek i zmarszczyła czoło. Na Mikołaja było za wcześnie, zresztą przecież znał kod. Na listonosza za późno, kurierów nie zamawiali, z nikim też się nie umawiali. Więc kto?

Może ktoś z ulotkami albo Jehowi, szukają kogokolwiek, kto ich wpuści i wstukują kolejne kody, pomyślała, gdy domofon zadzwonił po raz drugi, co wykluczyło obie te ewentualności. Kaśka przeszła więc do przedpokoju i sięgnęła po słuchawkę.

– Tak?

– Dzień dobry. – W słuchawce rozległ się nieco spłoszony, ale ciepły kobiecy głos. – Moje nazwisko Wilk. Czy ja... czy zastałam pana Mikołaja Otysia? To jakby ważna sprawa. Rodzinna.

– Nie ma go – odparła Kaśka i już miała się pożegnać, gdy nagle zapaliła się w jej głowie ostrzegawcza lampka. Zaraz, Mikołaj i sprawa rodzinna? Przecież, o ile wiedziała, jego mama zmarła rok przed tym, kiedy się poznali, i miał tylko wujka, z którym nie utrzymywał kontaktu, oraz trójkę

kuzynostwa, których imion nie pamiętał. Ojca ani nikogo od jego strony nie znał i jak wielokrotnie powtarzał, nie zamierzał poznawać. Nikogo więcej nie było. No chyba że...

Nagle zrobiło jej się gorąco. Serce zabiło szybciej, mięśnie mimowolnie się napięły. Przecież pod terminem „sprawa rodzinna” mogło się kryć jeszcze coś zupełnie innego, niezwiązanego z przodkami, za to z solidnymi ubytkami w finansach. Czy to mogło być to?

Poczuła, że gardło ma zupełnie suche, więc odchrząknęła, licząc, że kobieta wciąż tam jest, że się nie wystraszyła i sobie nie poszła. Czy to mogła być ewentualna matka dziecka? Raczej nie, brzmiała za staro. Matka matki? Kurwa!

– Mikołaj jest jeszcze w pracy, ale za chwilę powinien być. Proszę, niech pani wejdzie. Klatka na wprost, ósme piętro.

Wcisnęła przycisk, odwiesiła słuchawkę i zaczęła przy domofonie, aż tamta dotrze do drzwi prowadzących na klatkę i zadzwoni ponownie. Raz jeszcze nadusiła klawisz z kluczykiem, a potem już tylko stała z założonymi rękami, stukając palcami w ramię, i czekała.

Gdy rozległo się ciche pukanie, otworzyła niemal natychmiast. Za progiem stała tęga kobieta po czterdziestce o okrągłej buzi i bardzo zmęczonych oczach, do tego opuchniętych, jakby niedawno płakała.

– Dzień dobry. Kinga Wilk – przedstawiła się, wyciągając rękę i siląc się na uśmiech równie zmęczony i smutny jak spojrzenie. – Pani pewnie jest żoną pana Mikołaja?

– Partnerką. – Kasia cofnęła się o krok. – I nie przez próg. Proszę, niech pani wejdzie.

Wilk skinęła głową, wytarła starannie buty i gdy weszła do mieszkania, ponownie wyciągnęła rękę. Tym razem Kaśka uścisnęła ją i wskazała na pokój dzienny.

– Nie, proszę nie zdejmować butów, naprawdę. Napije się pani czegoś?

– Herbaty, jeśli mogę prosić – odparła Wilk. – Zwykłej, czarnej. Bez cukru.

– Oczywiście, proszę usiąść. Proszę się rozgościć.

Poczekala, az kobieta zajmie miejsce na fotelu, i przeszla do kuchni. Nalala wody do elektrycznego czajnika, ktorego sami nie uzywali chyba od pol roku, bo zadne z nich nie pilo herbaty, i sprawdzila w szafce, czy w ogole jakas maja. Mieli. Wrzucila torebke sagi do szklanki, oparla sie o blat i z tego miejsca przygladala sie Kindze Wilk.

Kobieta byla ubrana w szerokie, plocienne spodnie, zaprasowane w kant i biala bluzke bez rekawow w zestawie z kamizelka w czarno-grafitowa kratę. Kasza widziala ten zestaw bodaj na odziezowym w Tesco, wtedy skojarzyl jej sie ze strojem galowym dla podstarzalych nauczycielek. Od bieli bluzki wyraźnie odcinaly sie opalone na swińskorozowo, nalane ramiona Wilk i dekolt w tym samym odcieniu. Siedziala prosto, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, na kolanach trzymala duza, nieladna torebke z jasnobrazowej skory.

Zapytala, czy jestem zona, pomyslala Kasza, ale nie zareagowala ulga na wiec o nieformalnym związku. Matka dziewczyny w ciazy na bank by odetchnela. Zreszta, cholera, ile ta kobieta ma lat. Ile moglaby miec jej córka?! Szesnaście? Osiemnaście?!

Pstryknal czajnik. Kasza zalala herbate, wyjela z szafki paczke owsianych ciastek i przelozyla je na talerzyk. Zanosla wszystko do pokoju dziennego, postawila przed kobieta i zajela miejsce na kanapie.

– Dziękuję bardzo. – Wilk uśmiechnęła się promiennie, w tej jednej chwili budząc w Kasce skojarzenie z dobrą wróżką z bajek Disneya. Jedną z trzech ciotek Śpiącej Królowy albo Matki Chrzestnej Kopciuszka. – I bardzo mi się podoba to mieszkanie. Takie... nowoczesne. Zwłaszcza te zdjęcia, bardzo... artystyczne. To pani?

– Tak, ja. I dziękuję, nam również się podoba. Mogę zapytać, co panią do nas sprowadza?

W jednej chwili twarz Wilk spochmurniała, a lewa ręka, Kasza moglaby przysięc, zacisnela sie mocniej na torebce, jakby w obawie, ze gospodyni bedzie chciala ja wyrwac. Zmeczony uśmiech zaraz powrócił, uścisk się rozluźnił, ale ta pierwsza reakcja była co najmniej zastanawiająca.

– Wolałabym, jeśli to pani nie przeszkadza, poczekać na pana Mikołaja – powiedziała Wilk, starannie dobierając słowa. – Poproszono mnie o dyskrecję i przekazanie mu czegoś osobiście.

– Kto panią poprosił? – Kaśka zdała sobie sprawę, że tym pytaniem okazuje natarczywość, choć w sumie miała to gdzieś. Za dużo tajemnic jak na jeden cholerny dzień. Za dużo ludzi próbujących w jej własnym domu coś przed nią zataić.

Kobieta zamiast odpowiedzieć na pytanie, sięgnęła po szklanekę.

– Czy mogłabym prosić o łyżeczkę i spodeczek? Nie lubię za mocnej.

W dupie mam, co lubisz, przemknęło Kaśce przez głowę, jednak bez słowa wstała i ponownie przeszła do kuchni. Właśnie otworzyła szafkę, gdy pojedynczy sygnał domofonu uzmysłowił jej, że ktoś otworzył drzwi kodem. Mikołaj, bo któżby inny? Trzydzieści sekund później sygnał rozległ się ponownie.

Kinga Wilk podniosła się z fotela i założyła torebkę na ramię, dwa razy poprawiając ją nerwowo. Cokolwiek zamierzała przekazać Mikołajowi, musiało to być naprawdę ważne. Kaśka liczyła tylko na to, że kobieta nie będzie nalegać na rozmowę na osobności, zamykanie się w pokoju i inne takie, bo inaczej nie będzie się wstrzymywać i wygarnie Mikołajowi wszystko. Sekrety i kłamstwa, idealny tytuł dla serialu o jej domu rodzinnym. Nie zamierzała dopuścić, by ktoś tu urządził drugi sezon.

Gdy zachrobotał klucz w zamku, a zaraz potem poruszyła się klamka, obie kobiety niemal równocześnie znalazły się w przedpokoju – Kaśka w progu kuchni, Kinga pokoju dziennego. I to właśnie tę drugą Mikołaj zobaczył po wejściu do mieszkania. Zdziwiony przystanął, uniósł brwi, zabawnie marszcząc przy tym czoło i lekko rozchylił usta. Gdyby nie była na niego taka wściekła, Kaśka uznałaby, że wygląda w tym momencie uroczco i zabawnie. No i na pewno nigdy wcześniej nie widział Kingi Wilk na oczy.

– Dzień dobry? – odezwał się. Zabrzmiało to jak pytanie. Drugie zadał spojrzeniem, gdy odwróciwszy głowę, dostrzegł Kaśkę.

Kinga Wilk poprawiła torebkę na ramieniu, postąpiła krok i wyciągnęła rękę.

– Dzień dobry, panie Mikołaju – powiedziała, próbując się uśmiechnąć. Zerknęła na Kaśkę, jakby na szybko rozważała, co powinna teraz zrobić.

Kaśka zmrużyła oczy i zacisnęła zęby. No dalej, tylko spróbuj. Tylko, kurwa, spróbuj poprosić go teraz o rozmowę na osobności!

– Nazywam się Kinga Wilk – podjęła kobieta. – I jestem... to znaczy byłam, pielęgniarką pańskiego ojca.

*

– Proszę, Miki, twoja woda – powiedziała, stawiając przed nim szklankę.

– Dzięki, kochanie – odparł machinalnie. Przez niemal całą rozmowę czy też bardziej monolog pielęgniarki siedział na krawędzi sofy, prawie jakby kucał, z łokciami na kolanach i dłońmi zaciśniętymi w pięści, jedna tuż obok drugiej, nie odrywając oczu od Wilk. Kaśka próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej go takim widziała, ale nie przychodziła jej do głowy żadna sytuacja, w której zachowywałby się w ten sposób.

Na początku Mikołaj często przełykał ślinę i otwierał usta, jakby chciał się wtrącić. Potem już w zasadzie tylko słuchał, może zostawiał sobie pytania na koniec, tylko że pod wpływem szoku zupełnie o nich zapomniał. Nic dziwnego, wieści rzeczywiście, musiała to przyznać, były poruszające i szokujące. I nie chodziło nawet o śmierć ojca, bo trudno czuć stratę po kimś, kogo przecież się nie znało. W osłupienie raczej wprawiało to, że Ferdynand Górski, tak według pielęgniarki nazywał się ojciec Mikołaja, nie tylko wiedział o synu, miejscu jego zamieszkania, nawet całkiem sporo o jego pracy i życiu prywatnym, ale i od ponad roku przebywał w ośrodku w Piasecznie niespełna godzinę drogi od ich domu. Czy możliwe, że cały czas mieszkał w okolicy? Także wtedy, gdy Mikołaj, jeszcze przed śmiercią matki i jakiś czas później, szukał go intensywnie, zatrudniając w tym celu nawet detektywa? Czy było możliwe, że facet wiedział o tym wszystkim i specjalnie się ukrywał?

W każdej chwili skurwiel mógł się odezwać, pomyślała, porozmawiać, jakoś zaistnieć w życiu Mikołaja. W każdej chwili, wystarczyło wybrać

numer lub wziąć taksówkę. Ale nie, on postanowił zrobić to dopiero po śmierci, wysyłając obcą kobietę, a wcześniej napychając ją mnóstwem wiadomości o ich prywatnym życiu. Jak bardzo trzeba być podłym, zadufanym w sobie, małym człowiekiem, by postępować w taki sposób?!

– Na pewno nie chce pani jeszcze jednej herbaty? – zapytała. – A może dla odmiany coś zimnego?

Kinga Wilk potrząsnęła głową i zerknęła na maleńki zegarek na nadgarstku.

– Właściwie to powinnam już się zbierać – powiedziała z przeproszającym uśmiechem. – I tak zajęłam państwu dużo czasu, a teraz pewnie będą państwo chcieli porozmawiać.

Podniosła się, obciągnęła bluzkę i sięgnęła po torebkę. Zamiast ją jednak zawiesić na ramieniu, sięgnęła do środka i wyjęła grubą, brązową kopertę formatu A4. Na kopercie starannym, choć lekko rozchwianym pismem wykaligrafowano nazwisko Mikołaja i ich adres.

– Właściwie to przyszedłam przede wszystkim po to, panie Mikołaju. – Podała gospodarzowi paczkę. – Ojciec chciał, żeby to trafiło do pana. A, no i pogrzeb odbędzie się pojutrze, w czwartek o trzynastej na cmentarzu komunalnym w Piasecznie. Gdyby pan... to znaczy państwo chcieli się zjawić.

Mikołaj podniósł się bardzo powoli, wyjął kopertę z ręki pielęgniarki i ostrożnie, jakby miał do czynienia z czymś naprawdę delikatnym, odłożył ją na stół. Gdy się wyprostował, zrobił coś, od czego Kaśka dostała ciarek. Uśmiechnął się, lekko przechylając głowę, i miłym, ciepłym głosem powiedział:

– To nie był mój ojciec i proszę nigdy więcej tak nie mówić.

Kinga Wilk obejrzała się na Kaśkę, a nie znajdując w niej wsparcia, zarzuciła torebkę na ramię.

– Cóż, panie Mikołaju, nie zamierzam usprawiedliwiać czy tłumaczyć pana Ferdynanda...

– To dobrze – ostro wszedł jej w słowo, by zaraz ponownie uśmiechnąć się

w ten paskudny, sztucznie miły sposób. – I dziękuję, że pani przyszła. Mogę pani zamówić taksówkę.

– Dziękuję, poradzę sobie.

Ruszyła w stronę drzwi wyjściowych, mijając Kaśkę i posyłając jej smutny, współczujący uśmiech. Dziewczyna skinęła lekko głową, doceniając gest.

– Naprawdę dziękujemy, że pani przyszła – powiedziała. – Rozumie pani, że to dość trudny temat i...

Wtedy Kinga Wilk chwyciła ją za rękę i delikatnie pociągnęła za sobą do przedpokoju. Zaskoczona Kaśka pozwoliła jej na to, a gdy obie znalazły się już poza zasięgiem wzroku Mikołaja, pielęgniarka nachyliła się nagle do gospodyni i szepnęła:

– Myślałam, że zareaguje dużo gorzej. Zadbaj pani o niego, prawda?

Pytanie, zwłaszcza z ust obcej przecież kobiety, zabrzmiało tak absurdalnie i było tak zaskakujące, że Kaśka mało się nie roześmiała. Zamiast tego przytaknęła z uśmiechem i otworzyła przed nią drzwi wejściowe.

– Naprawdę jeszcze raz dziękuję za wizytę. Do widzenia.

– Do widzenia.

Kaśka zamknęła drzwi i przywarła do nich, upewniając się przez wizjer, że pielęgniarka wsiadła do windy. Dopiero wtedy wróciła do pokoju.

Mikołaj stał przy oknie. W drżącej ręce trzymał szklankę wody, drugą dłoń oparł na parapecie. Nie wiedziała, czy może podejść i go przytulić, na co miała teraz największą ochotę, więc tylko sama objęła się ramionami, dając mu czas dla siebie.

– Poszła – oznajmiła.

Skinął głową, nie odwracając się.

– Wyrzucić to – powiedział.

– Co takiego?

– To, co przyniosła.

Podeszła do stolika i podniosła kopertę. Była ciężka i z pewnością

zawierała jakąś książkę albo gruby zeszyt oraz coś jeszcze, jakiś mniejszy, prostokątny kształt. Drugą kopertę.

– Na pewno? – zapytała. – Nie ciekawi cię, co jest w środku?

Wtedy się odwrócił, a ona zdała sobie sprawę, że jego oczy są wilgotne, a policzki lśnią od łez. „Ślimacze dróżki”, przypomniała sobie nagle. Tak kiedyś, w podstawówce, mówili na te pionowe ścieżki płynących po twarzy łez, bo przypominały ślady zostawiane przez ślimaki na liściach. Oddychał płytko, jakby miał początki ataku paniki, nad którym usilnie próbował zapanować.

– Nie wiem, Kaśka – powiedział łamiącym się głosem. – Po prostu, kurwa, nie wiem.

Ruszyła ku niemu, mijając fotel, ale nagle uniósł rękę, by ją powstrzymać, i potrząsnął głową. By zapanować nad sobą, zamknął oczy, wziął kilka głębokich wdechów, po każdym powoli wypuszczał powietrze.

– Sprawdź – powiedział w końcu. – Otwórz i sprawdź, co tam jest.

– Jesteś pewien?

Potwierdził. Wciąż oddychał głęboko, kącik ust drgał mu nerwowo, raz po raz pociągał też nosem, jednak wyglądało na to, że jakoś się opanował.

Kaśka otworzyła kopertę i zajrzała.

– Gruby zeszyt, dwie małe koperty i jedna gruba – stwierdziła, po czym wsadziła rękę do środka. W pierwszej chwili miała zamiar wyjąć zeszyt, wydawał jej się najważniejszy, ale to wiązało się z rozerwaniem opakowania. Wyciągnęła więc najgrubszą z kopert.

– Mikołaj, to są pieniądze – powiedziała zaskoczona. – Dużo, same dwusetki.

Pokiwał głową, jakby tego właśnie się spodziewał, i upił wody.

– Coś jeszcze?

Kiedy położyła wszystko na stole, okazało się, że jest tam jeszcze jedna koperta, przyklejona do tylnej okładki zeszytu. Mikołaj podszedł i objąwszy Kaśkę w pasie, długo patrzył w milczeniu.

Gdy w końcu się schylił, sięgnął od razu po kopertę z pieniędzmi. Wyjął je

i szybko przeliczył cienkie, owinięte białymi banderolkami pliki, zawierające po dziesięć banknotów dwustuzłotowych. Było ich dziewięć, trzymał w ręce osiemnaście tysięcy złotych.

– Chyba powinniśmy porozmawiać – powiedział, odkładając pieniądze na blat. Gdy się podnosił, strzeliło mu w kolanach.

– Tak – zgodziła się Kaśka. – Chyba powinniśmy.

3

Pan Olgierd Pychel?

Olgierd podniósł głowę. Przed nim stał niski, otyły mężczyzna o maleńkich, świńskich oczkach, nosie jak kartofel i siwiejących włosach ostrzyżonych na krótkiego jeża. Brodę i policzki faceta pokrywał ciemny, kilkudniowy zarost, lewą brew przecinał nieładny różowawy bliznowiec.

– Tak, to ja. – Olgierd podniósł się z plastikowego krzesła. – A pan?

– Podkomisarz Marek Skowroński, wydział kryminalny. Prowadzę tę sprawę. Przepraszam, że musiał pan tyle czekać.

– Jasne, rozumiem, procedury.

Podali sobie ręce. Pychel wskazał brodą na grubą teczkę z niebieskiej pleksi pod pachą policjanta.

– To moja sprawa? – zapytał z nerwowym śmiechem.

– Też – odparł Skowroński i wolną ręką wskazał korytarz. – Pozwoli pan ze mną na jeszcze krótką rozmowę? Wiem, że jest późno, ale to zajmie tylko chwilę. Marta...

Młoda policjantka wchodząca właśnie do jednego z pomieszczeń odwróciła głowę.

– Czy piątka jest może wolna? Jeśli tak, zająłbym tu z panem na chwilę.

Funkcjonariuszka wzruszyła ramionami.

– Burski zaklepywał, ale to było ze dwie godziny temu – odparła. – Może już skończył?

Skowroński machnął ręką.

– Dobra, nieważne. Pójdziemy do mnie. Dzięki.

Policjantka skinęła głową i zniknęła za drzwiami, a podkomisarz poprowadził Pychla najpierw wzdłuż świeżo odmalowanego korytarza głównego holu, a potem kamiennymi, wyslizganymi schodami na pierwsze

piętro, które od parteru dzieliło nie tylko tych szesnaście, może dwadzieścia stopni i półpiętro, ale właściwie cała epoka.

Na podłodze zamiast wielkich, ułożonych w karo płyt, wciąż znajdowała się wyblakła i powycierana wykładzina, na ścianach do wysokości półtora metra ciągnęła się bura, olejna lamperia, powyżej dawno nieodmalowywana, beżowa emulsja. Na suficie zamiast kloszy kryjących żarówki energooszczędne wciąż bzyczały jarzeniówki, a drzwi do biur dzieliły się na te starszpitalne, pociągnięte olejną farbą barwy kakao, i te czarne, napęczniałe od gąbki wciśniętej pod starą, skajową tapicerkę. Pychel nie potrafił sobie wyobrazić, by ten niezgrany miszmasz mógł kiedykolwiek wyglądać dobrze, nawet trzydzieści lat temu. Choć czyż nie tak właśnie, kiczowato i patchworkowo, wyglądały w Polsce całe lata dziewięćdziesiąte, wciąż śmierdzące nieświeżym oddechem poprzedniego ustroju?

– Kiedy na tym piętrze zaczyna się remont? – zapytał Pychel, ot tak, by zabić przeciągającą się ciszę.

– Już się zaczął – odparł Skowroński. – Tyle że od dupy strony, bo od wymiany kadr.

– No tak, coś słyszałem.

Pychel nie zamierzał wdawać się w tę dyskusję. Miał swoje zdanie na temat komuny ogólnie – choć jej nie pamiętał – jak i konkretnie milicji. Spora była w tym zasługa stryja, który nabawił się przewlekłej choroby nerek na solidarnościowych kartonach, a który nieraz opowiadał, jak przyszło mu za wywrotową działalność zaliczyć legendarną ścieżkę zdrowia.

Zresztą Olgierd sam pamiętał, jak bali się z matką, gdy milicja zawinęła jego ojca. Stary Pychel wracał akurat do domu z rajdu PTTK i z powodu plecaka pomylili go z jakimś typem kolportującym ulotki. Zawinęli go na ostro, a kiedy powiedział, że się poskarży, musieli znaleźć uzasadnienie dla użycia siły. I gdy w końcu znaleźli, trzymali dwa dni, a do tego posłali skargę do zakładu pracy, przez co ojciec mało nie stracił roboty.

Tylko czy to naprawdę kwestia dawnego ustroju? – pomyślał teraz Olgierd. Czy teraz nie działy się takie rzeczy? Ot chociażby ta sprawa chuligana z Wrocławia – skuli go w kiblu, razili taserami i ostatecznie

zakatowali na posterunku. Nie istniał chyba ustrój odporny na skurwieli nadużywających władzy. Niektóre po prostu bardziej im sprzyjały.

Skowroński zatrzymał się przed wejściem do pokoju numer sto piętnaście. W tapicerce na drzwiach brakowało dwóch guzików, a na wysokości pasa ciągnęło się wszerek długie rozcięcie, odsłaniające gąbkę. Tabliczka po lewej zawierała trzy nazwiska. Skowroński był tym pośrodku.

– Proszę, niech pan wejdzie. Moje biurko to te z kwiatkiem.

– Szanuję – stwierdził Pychel. – U mnie nie uchowałyby się nawet kaktus.

– To sztuczny kwiatek – odparł Skowroński.

W ciasnym pomieszczeniu upchnięto trzy stanowiska pracy – dwa zsunięte do siebie, a prostopadle do nich, po przeciwnej stronie pokoju trzecie. Oprócz tego sfatygowaną szafę ze starej meblościanki o wypaczonych, niedomykających się drzwiach i trójnogi stoliczek wciśnięty między kaloryfery, na którym stał czajnik elektryczny, dwa kubki, filiżanka z cukrem i słoik rozpuszczalnej kawy. W jednym z ukrytych pod blatami komputerów przeraźliwie wył dogorywający wiatrak; w powietrzu unosiła się woń wilgoci, starego potu i chyba pleśni.

Biurko Skowrońskiego, to stojące osobno, było stosunkowo uporządkowane, zwłaszcza jeśli porównać je do dwóch pozostałych. Prócz klawiatury, monitora, stosu papierów i wspomnianego kwiatka znajdowały się na nim dwa zdjęcia w tandetnych plastikowych ramkach, kubek z napisem „SuperTata” i ściskacz do ćwiczeń. Podkomisarz wziął krzesło jednego z kolegów i podsunął je Pychlowi.

– Proszę, niech pan siądzie – powiedział, opadając na swój fotel. Teczkę z dokumentacją położył przed sobą, ale jej nie otworzył. – Napije się pan czegoś? Kawy?

– Dziękuję. – Olgierd uśmiechnął się krzywo. – Myślę, że akurat kawy będę przez jakiś czas unikał.

– Ano właśnie. – Policjant wskazał na niego palcem. – Jak rozumiem z pana wypowiedzi, a wcześniej też z protokołu zdarzenia, jest pan przekonany, że sprawca to kobieta, której użyczył pan telefonu, zgadza się?

Pychel zmarszczył czoło.

– Pan sądzi inaczej?

– Panie Pychel... Swoją drogą piękne nazwisko. Moi dziadkowie pochodzą ze Lwowa, a konkretnie babcia.

– Moi nie – uciął ostro Olgierd. – Nazwisko jak nazwisko, nie interesowałem się nim. Możemy wrócić do tematu?

Po pulchnej twarzy Skowrońskiego przemknął jakby cień złośliwego uśmiechu i Pychel zdał sobie sprawę, że policjant go prowokuje. Tylko do czego właściwie? Czemu miałyby to służyć? Podejrzewali go o coś? Zrobił wszystko, jak należało, przyjechał, kiedy tylko się zorientował, zgłosił dyżurnemu, cierpliwie zniósł męki spisywania protokołu i zgodził się zaczekać na spotkanie, gdy go o to poproszono. Czy mógł więc istnieć jakikolwiek powód, by ten niechlujny grubasek się z nim droczył albo z niego kpił?

– Uważa pan, że to nie Marzena... znaczy ta kobieta mnie okradła? Przecież miała mój telefon. Zostawiłem ją z nim na kilka minut, a te pokrywają się z czasem transakcji.

Skowroński bardzo powoli skinął głową, po czym otworzył teczkę, wyjął z niej spięty spinaczem protokół i poruszając głową na lewo i prawo, szybko doczytał jakiś akapit na drugiej stronie dokumentu. Sięgnął po kubek, a zajrzawszy do niego, skrzywił się z niesmakiem, by wreszcie ponownie skupić wzrok na Olgierdzie.

– Może mi pan podać swój numer? – poprosił.

– Oczywiście. – Pychel wyrecytował ciąg cyfr. – Mogę wiedzieć, po co?

Zamiast odpowiedzieć, Skowroński wyjął z kieszeni telefon, niewielki smartfon w gumowej osłonce, wklepał podany numer i przyłożył aparat do ucha. Po kilku sekundach Olgierd poczuł w kieszeni wibracje.

– Nie odbierze pan? – zapytał policjant.

– Po co? Przecież to pan dzwoni.

– Nalegam.

Olgierd sapnął, ale sięgnął do kieszeni, wyjął telefon i przyjął połączenie

od nieznanego numeru. Przyłożył telefon do ucha, wpatrując się w Skowrońskiego z miną wyrażającą nieme pytanie: no i co teraz?

– Teraz może się pan rozłączyć – odparł policjant. Sam odłożył swój aparat na blat, obok myszki.

– Nie rozumiem, po co to całe przedstawienie...

– Czy telefon jest zablokowany? – wszedł mu w słowo Skowroński. – Zakładam, że tak. Na pewno ma pan blokowanie ekranu pinem lub hasłem, prawda?

– Mam – potwierdził Pychel. – I tak, domyślam się, do czego pan pije w tej chwili. Telefon po zakończonej rozmowie nadal jest zablokowany i szczerze mówiąc, nie wiem, jak go odblokowała. Może podejrziała, gdy sam to robiłem wcześniej? To nie jest skomplikowane dla kogoś, kto jest uważny i ma złe zamiary, prawda?

Skowroński podrapał się po policzku z zagadkowym grymasem na twarzy, który równie dobrze mógł wyrażać rozbawienie, co złośliwą drwinę.

– W zasadzie to jest – odparł. – Telefon ustawiony pod kątem, operowanie kciukiem, szybkie ruchy. Ciężko wstrzelić się za pierwszym razem.

– Mogła próbować kilka razy. Tym wyjściem do łazienki dałem jej czas.

Policjant znów uśmiechnął się półgębkiem. Pychel zaczynał już tego szczerze nienawidzić. Miał pełną świadomość, że dziś się wygłupił, nie potrzebował jeszcze przemądrzałego gliny, który będzie się z niego dodatkowo nabijał.

– Owszem, dał jej pan czas i to z pewnością wszystko ułatwiło, ale tego prezentu akurat nie mogła się spodziewać, prawda? Poza tym przyjmijmy nawet na moment, że faktycznie udało jej się podpatrzeć kod odblokowujący telefon. Żeby dokonać takiej transakcji BLIK-iem, potrzebny jest jeszcze jeden kod, zakładam, że nie ten sam. Kod dostępu do pańskiej aplikacji bankowej, zgadza się? To też podejrziała?

– Mogła, kiedy... – zaczął ostro Olgierd, lecz zaraz urwał i zamilkł.

– Tak? – Skowroński z tą samą miną co wcześniej, tym cholernym grymasem zachęcił go gestem, by podzielił się myślą.

– Kiedy sprawdziłem kod, po tym jak terminal dwukrotnie odrzucił moją kartę. Ale to by znaczyło, że Sasza, znaczy ta kelnerka...

– Właściwie to nie jest tam kelnerką. – Podkomisarz odchylił się na krzesło i rozłożył ręce, by się przeciągnąć. – To znaczy była dzisiaj, tyle że zatrudniła się wczoraj i wzięto ją na okres próbny, a ten, nie zgadnie pan, według niej już się zakończył. Obsługiwała salę, podczas gdy jej koleżanka na zmianie toczyła rozmowę z przystojnym klientem, który tego dnia spóźnił się na samolot do Dubaju. To znaczy zakładam, że był przystojny, bo tego nie powiedziała. Ale musiał być, skoro tak bardzo zajęła ją rozmowa, prawda?

Pychel skinął na znak, że się zgadza, a jednocześnie w głowie ponownie odtwarzał sobie, tym razem możliwie dokładnie, swoją poranną wizytę w CzarnoWidzę. To jak wszedł, zajął miejsce, dziewczyna zaproponowała mu darmową kawę, jeśli... No tak, cholera! Jeśli podepnie się pod wyznaczoną sieć, a potem pobierze coś ze strony. Jezu, przecież widział kiedyś o tym program w telewizji! Klasyczny numer, po którym mogli mieć wgląd we wszystko, co robił na telefonie! Wystarczyło dać im do ręki komórkę. Co, kurwa, zrobił! I jeszcze jak debil wyszedł do łazienki, by im to ułatwić.

Skowroński patrzył na niego bez słowa, czekając cierpliwie, aż Pychel sobie wszystko ułoży. Ponownie zajął do kubka, ale cokolwiek wzbudziło w nim obrzydzenie za pierwszym razem, wciąż tam było, bo policjant tylko odsunął go z niesmakiem. W końcu wstał, włączył czajnik i nasypał kawy i cukru do czystego kubka.

– Jednego tylko nie rozumiem – powiedział w końcu Olgierd. – To wszystko kosztowało dużo fatygi. Przygotowanie strony, składanie podania do kawiarni, udział, o ile rozumiem, trzech osób. Strasznie skomplikowane jak na transakcję na niecałe dwa tysiące. Zwłaszcza że musiał to być jednorazowy numer.

Nie odwracając się, Skowroński wskazał na gościa, jakby przyznawał mu punkt.

– Słuszna uwaga – pochwalił. – Rzecz w tym, że przy dzisiejszym zapotrzebowaniu na kelnerów złożenie podania to kwadrans rozmowy, a bez

negocjowania warunków, dostaje się tę fuchę od ręki. Postawienie strony, w której kliknie pan tylko jeden przycisk, to kwestia podmienienia szablonu na gotowcu, a co do trzech czy nawet czterech osób, jeśli liczyć telefonicznego rozmówcę pani M., cała akcja zajęła łącznie – ile? Godzinę? Zwinięto panu dwa tysiące złotych, co oznacza około pięćset złotych na głowę. Chciałbym dostawać taką stawkę godzinową, a pan?

Olgierd nie odpowiedział.

– Nie jest to też numer jednorazowy – kontynuował Skowroński. – To jedna z przygrywek. Bo powinien pan wiedzieć, że numery dzielą się zasadniczo na Drobnicę, gdy po prostu się improwizuje, korzystając z okazji, Przygrywki, gdy zarzuca się sieci i zbiera kasę na duży numer, oraz Główne albo też DwaGie, co oznacza Główną Grę. W tych ostatnich rozpracowuje się dokładny cel, co wymaga czasu i inwestycji. Przygrywka, w której miał pan pecha zostać gapem, nie nosi oficjalnej nazwy, ale ja mówię na nią „Komórkowy bohater”. I tu poszła w miarę klasycznie, a pan, zapewniam, zachował się dość typowo. Stąd mogę dokładnie odtworzyć, co się wydarzyło.

Przerwał na moment, jakby potrzebował to wszystko sobie poukładać, po czym podjął podekscytowanym tonem:

– Po rozmowie z kelnerką, czyli pierwszym teście pana empatii i życzliwości, zalogował się pan do sieci za pomocą hasła, które podała panu dziewczyna jako hasło lokalu. Otworzył pan ich stronę, odpalił złośliwe oprogramowanie i pozwolił mu się zainstalować. Tu mógł pan zareagować, ale pewnie nie zwrócił uwagi na restart telefonu i tym samym wysłał sygnał, że mogą iść dalej. Od tej pory mieli wgląd w widok pańskiego ekranu, a więc widzieli, jakie kody pan wpisuje. Teraz wystarczyło skłonić pana do ponownego odblokowania telefonu i wpisania aplikacji bankowej, by poznać PIN. Co pan zrobił, panikując po odrzuceniu karty. Mógł pan dokonać tego przy stoliku, narażając się, że podpatrzą, mógł pan odejść i sprawdzić na osobności, jednak efekt byłby ten sam, bo monitorowali każdą pana aktywność. Jedyne, co mogło pana na tym etapie uratować, to aktywowanie telefonu odciskiem palca, jednak tej funkcji pan nie używa. Więc generalnie

byli już w domu. Mogli wybrać wariant pierwszy, czyli kobieta w potrzebie, na co pan się złapał, albo odwrócić pana uwagę w inny sposób, by zyskać czas na potwierdzenie transakcji, czyli do trzydziestu sekund. Tym wyjściem do toalety wiele pan ułatwił, to fakt, ale i bez tego poradziliby sobie bez trudu.

Olgierd zamknął oczy, westchnął, podrapał się po czole. Zabrakło mu słów. W tym momencie czuł przede wszystkim wstyd.

– Trik ma jeszcze tę zaletę, że można go stosować w całym kraju, w każdej restauracji, właściwie nawet w tej samej obsadzie. Wystarczą mniej ruchliwe godziny w środku tygodnia. No bo szczerze, co pan właściwie zapamiętał? Pański opis sprawczyni to, cytuję z pamięci: blondynka, włosy do ramion, zielone oczy, wyraźne kości policzkowe, pełne usta i pieprzyk nad górną wargą. Słowem: peruka, kontakty i dobry makijaż. Może i by ją pan poznał na okazaniu, ale umówmy się, nie możemy pana wsadzić do archiwum i wyciągać w razie potrzeby. No chyba że możemy?

Odwrócił się, tym razem nie kryjąc już rozbawienia. Pychel spróbował odpowiedzieć na ten uśmiech, jednak udało mu się tylko wyszczerzyć zęby.

Czajnik zaszumiał i zaraz kliknął, Skowroński zalał kawę.

– Dobrze, panie Pychel, to teraz poważnie – powiedział, wracając na swoje miejsce. – Padł pan ofiarą zorganizowanej grupy oszustów i jeśli mogę coś powiedzieć od siebie: szczęście w nieszczęściu, że akurat tej. Bo jak się pan domyśla, po tym, co pan zrobił, co ujawnił i udostępnił, straty mogły być dużo większe niż dwa tysiące. Zazwyczaj oszuści, zwłaszcza internetowi, czują się bogami, a do tego są potwornie pazerni – nie mieliby żadnych skrupułów, by wyczyścić panu konto do zera.

– Jeszcze nie mówmy hop – mruknął Olgierd, na co Skowroński pokręcił głową. – I co pan ma na myśli, mówiąc „tej”? Wie pan, kto to?

– Muszę to zweryfikować, i po to właśnie rozmawiamy, ale wydaje mi się, że wiem. I dlatego nie sądzę, by był pan narażony na dalsze straty – powiedział Skowroński. – To znaczy oczywiście zalecam jak najszybszą zmianę kont, usunięcie aplikacji bankowej i najlepiej oddanie telefonu do zaufanego serwisu, by go wyczyścili z robactwa, jednak o ile się nie mylę,

a mój psi nos i lata doświadczenia mówią, że nie, więcej już pan nie straci.

Zrobił pauzę, by upić kawy, i skrzywił się po pierwszym łyku, a potem rozejrzał za czymś, co mogłoby posłużyć za łyżeczkę. W końcu zamieszał w kubku długopisem z logo jakiegoś biura turystycznego.

Olgierd patrzył na policjanta w milczeniu, rozważając to, co właśnie usłyszał. Na część rzeczy, które powinien był zrobić po fakcie, wpadł sam. Aplikacji bankowej już nie miał, telefonicznie zastrzegł karty i podał listę ostatnich zakupów. Poleciał też zablokowanie wszystkich transakcji, dopóki osobiście nie zjawi się w oddziale. Mimo to w głowie nieustannie huczała mu myśl: a co, jeśli to nie wszystko? Co jeśli lada dzień, może lada chwila, ktoś weźmie na niego jakąś pożyczkę albo dokona kolejnych zakupów. Niby w banku powiedzieli, że nie, ale... No, cholera jasna, nie znał się. Nie wiedział, o co pytać! I w tym kontekście rzeczywiście słowa Skowrońskiego, że to jednorazowe golenie, zabrzmiały pocieszająco. Pytanie tylko, skąd policjant to wiedział. Bo argument o psim nosie jakoś Pychla nie przekonywał.

– Słyszał pan kiedyś o Bartolomeo Bosco zwanym Magikiem z Turynu? – zapytał Skowroński.

Olgierd zaprzeczył.

– Iluzjonista, weteran wojen napoleońskich – wyjaśnił policjant. – Niektórzy przypisują mu wymyślenie gry w trzy kubki, choć to akurat bzdura. Bosco był utalentowanym iluzjonistą, co w zasadzie kilka razy uratowało mu życie i nieraz pozwalało dokonywać zuchwałych kradzieży. Anegdota mówi...

Pychel ostentacyjnie zerknął na zegarek.

– Przepraszam, ale zmierza pan do czegoś? Bo musiałem odwołać ważne spotkanie, jestem głodny i zmęczony, i...

– Anegdota mówi – powtórzył Skowroński z naciskiem – że po jednej z bitew wzięto go za martwego i położono na stosie ciał, a gdy zjawili się szabrownicy i zaczęli mu grzebać po pustych kieszeniach, niezauważenie sam ich obrobił, zdobywając tym samym fundusze na ucieczkę. Wiele lat spędził jako jeniec na Syberii, a kiedy wrócił... Już dobrze, niech pan nie

wstaje, spokojnie. Mówię o tym tylko dlatego, że to ważne.

Olgierd z powrotem opadł na krzesło.

– Ważne ponieważ...? – Zawiesił wyczekująco głos.

– Ponieważ to on pana okradł. Bosco – wyjaśnił Skowroński, a widząc minę rozmówcy, pospiesznie dodał: – Znaczy nie tamten konkretny, tylko człowiek, który wziął go sobie za patrona. Oszust, w pewnych kręgach legendarny jak Janosik albo Kwinto. Widział pan *Vabank* Machulskiego?

– Kiedyś, kawałek – przyznał niechętnie Pychel. – Nie jestem fanem polskich filmów.

– Rozumiem, choć ten jest dobry. W każdym razie nasz Bosco działa w zawodzie od dekad, przez długi czas w duecie z drugim złodziejem o pseudonimie Houdin.

– O, tego znam – odruchowo ucieszył się Olgierd. – Znaczy pierwowzór, o to mi chodzi.

Skowroński pokręcił głową i upił łyk kawy.

– Zna pan pewnie Harry’ego Houdiniego. Ja mówię o Jeanie Robercie Houdinie, ojcu współczesnej iluzji, od którego wzięli swój pseudonim zarówno Houdini, jak i nasz oszust. Jednak teraz to nieistotne. Tych dwóch, Bosco i Houdin, działa w Polsce od niemal pięciu dekad. Nigdy nie zostali złapani, być może tak naprawdę wcale nie istnieją albo oba te pseudonimy używane są przechodnio jako tytuł. Wie pan, jak mafijny Don. Ich tożsamość pozostaje nieznana nawet w całkiem nieźle znającym się środowisku oszustów. Oczywiście mamy co do tożsamości tych dwóch pewne domysły i tropy, ale nimi, rozumie pan, nie mogę się podzielić.

Olgierd przyjrzał się dokumentom w teczce z niebieskiej pleksi.

– I to są ich akta? – zapytał.

– To? – Skowroński nie wytrzymał i odchyliwszy głowę, roześmiał się donośnie. Na szyi miał wielkiego, czerwono-białego pryszczaka, częściowo skrytego w kępcę ciemnych włosków. – To, panie Pychel, możemy nazwać wstępem do streszczenia. Przywołaniem ostatnich spraw.

Wskazał brodą na niedomykającą się szafę za plecami Olgierda.

– Do tego, co mam tam, może pan dołożyć dwa razy tyle materiałów zalegających w archiwum. Większość to sprawy dawno przedawnione, ale Bosco dba, byśmy o nim nie zapomnieli.

– Skąd pan wie, że to właśnie on? – zapytał Olgierd. Na pytanie, które naprawdę chciał teraz zadać, czyli dlaczego właściwie o tym wszystkim słucha, jeszcze się nie zdobył. Jednak był już coraz bliżej – poczucie, że marnuje tutaj czas, nasilało się z każdą sekundą.

Skowroński odstawił kubek i postukał się palcem w nos.

– Bo to oni wymyślili ten numer i kilka jego poprzednich wariantów – odparł. – Poza tym akurat w ich grupie zawsze więcej jest teatru i zamieszania, niż to potrzebne, panie Pychel. To showmani mocno skupieni na budowaniu swojej legendy. To dlatego, choć słyszeli o nich niemal wszyscy i wielu uczestniczyło w ich numerach, mało kto pracował z nimi osobiście. No i metoda – działają bardzo staroświecko, wspomnianymi już etapami. Prostackie skoki od razu na dużą kasę ich nie bawią, u nich wszystko dzieje się krok po kroku. Prawdziwe numery czy też, jak podobno mówią o nich ludzie z kręgu, Szwindle, wymagają szeregu Przygrywek, zbierania funduszy, ćwiczenia. I nieważne, czy skok mały, czy duży – zawsze w oprawie jarmarcznego teatrzyku. Wybacz pan porównanie.

– Wybaczę. Czyli to oni, bo tylko oni robią ten, jak pan to nazwał, Szwindel, tak?

– Nie wiem, czy tylko, ale raczej mało komu się chce. – Policjant wyszczerzył się w uśmiechu. – Wie pan, dużo łatwiej jest objeżdżać banki wokół Warszawy i rabować je za pomocą pistoletu zabawki, zasłaniając twarz gazetą. Dla okradzonego to niby żadna różnica, jednak, wybacz pan, dla mnie to ekscytujące. Rzadko się zdarza, bym dowiadywał się o planowanym skoku Bosco już na etapie przygotowań. Zwykle robią je gdzieś poza stolicą i nawet jeśli kapusie coś doniosą, koledzy z innych miast nie zawsze w porę kojarzą fakty, nie mają...

– Obsesji? – zaproponował Pychel. I choć rzucił to bezmyślnie, odruchowo, zaskoczenie na twarzy Skowrońskiego dało mu wiele satysfakcji.

– Tak, chyba tak – powiedział w końcu podkomisarz. – Chyba możemy

powiedzieć, że Bosco czy tam duet Bosco–Houdin to taki mój Moriarty.

Olgierd zrozumiał nawiązanie. Co prawda nigdy nie czytał książek o Sherlocku Holmesie, ale jedna z dziewczyn, z którą niedawno się spotykał, zmusiła go do maratonu serialu BBC. Całkiem fajnego, choć od pewnego momentu zbyt zwariowanego i odrealnionego na jego gust. To znaczy tak uważał, zanim najwyraźniej znalazł się w jednym z jego odcinków.

– Skoro już wszystko pan wie, podkomisarzu, czy mogę wreszcie dowiedzieć się, czego pan ode mnie potrzebuje i jak mogę pomóc?

– Oczywiście. – Skowroński złapał za myszkę i poruszywszy nią parę razy, wybudził monitor. Położył dłonie na klawiaturze. – Proszę się odwrócić.

Olgierd zrobił to i nastąpiło siedem szybkich uderzeń w sprężynujące klawisze.

– Już – powiedział policjant. – A teraz spróbujemy uzupełnić wspólnie raport o detale, które być może teraz przyjdą panu do głowy. Wspominał pan coś o łysym facecie, ludziach w garniturach... Osobiście nie sądzę, żeby mieli cokolwiek wspólnego z oszustami, ale zawsze lepiej to sprawdzić, może to nowy rozpraszacz. No i oczywiście będą mi potrzebne szczegóły transakcji dokonanej na pana konto. Z pana udziałem i zgodą szybciej uda się to i owo ustalić.

– Jasne, oczywiście. – Olgierd jeszcze raz zerknął na zegarek, uświadamiając sobie, że jest głodny. Dochodziła dziewiętnasta, a on z wyjątkiem śniadania, tego kawałka bezy i dwóch ciasteczek na jedynym nieodwołanym tego dnia spotkaniu, właściwie nic nie jadł. – Można tu zamówić pizzę?

– Na moje nazwisko – powiedział Skowroński, wpatrzony w białe tło arkusza OpenOffice'a, na którym migąła pionowa kreska kursora. – Tylko bez cebuli proszę.

Pychel westchnął, ale nie skomentował, tylko ponownie sięgnął do kieszeni po telefon. Właściwie on też nie lubił cebuli.

Skutki I

(wrzesień)

Miron nie domyślał się, o co może chodzić Błachowskiemu, wiedział tylko, że sprawa jest „kurewsko poważna i zdecydowanie nie na telefon”. To z jednej strony mocno skracało listę potencjalnych tematów, ale z drugiej... No cóż, mieli z Błachowskim długą wspólną przeszłość. I niejedna podjęta wtedy decyzja mogłaby pasować do zawartego w esemesie opisu.

Zaparkował przed samym wejściem głównym biurowca. Akurat mu się poszczęściło, bo czarny SUV bmw wyjeżdżał właśnie z jednego z sześciu miejsc niezabezpieczonych słupkiem z kłódką. Rzecz jasna Miron na to nie liczył, planował zostawić auto na awaryjnych, więc sprzyjającą okoliczność potraktował jako uśmiech losu. Może jedyny, jaki go dziś czekał.

W recepcji odebrał kopertę ze swoim nazwiskiem zawierającą kartę magnetyczną do windy. Wjechał na ostatnie piętro, po drodze, nauczony doświadczeniem, wyjął z kieszeni metalowe przedmioty, a także portfel i telefon. Wsiadłszy, wrzucił wszystko do jednej z szafek umieszczonych w ścianie po prawej i zamknął ją tą samą kartą, którą dostał w recepcji.

Dopiero wtedy stanął przed szklanymi drzwiami i wcisnął przycisk interkomu. Odwrócił się tak, by spojrzeć prosto w kamerę, po czym cofnął i obrócił powoli, rozchylając poły marynarki. Przemknęło mu przez głowę, że gdyby Błachowski urzędował dziś dwa piętra niżej, w swoim oficjalnym gabinecie, nie byłoby tych wszystkich cudów. Zamiast tego zamknął się tutaj, a to mówiło tym wyraźniej, że wydarzyło się coś naprawdę poważnego.

– Kurewsko poważnego – mruknął pod nosem i gdy tylko to zrobił, rozległo się brzęczenie zamka. Pchnął drzwi i wszedł do środka.

Na korytarzu siedziało dwóch znudzonych mężczyzn w czarnych garniturach i białych tiszertach. Obu widział po raz pierwszy. Jeden z nich trzymał w dłoni tablet i to on wskazał przybyłemu brodą biuro szefa. Drugi

patrzył tylko, mrużąc oczy, z rękami zdecydowanie za daleko od ciała, by w porę sięgnąć po broń.

Kurewsko pewni siebie, zblazowani i skrajnie nieprofesjonalni, ocenili Miron. Nic dziwnego, że cokolwiek się działo, szef potrzebował właśnie jego.

– Moglibyście chociaż sprawdzić, czy jestem uzbrojony – powiedział spokojnie.

Ten z tabletem podrapał się po niemal łysej czaszce.

– Gdyby pan był, nie doszedłby pan tak wysoko – zapewnił.

Miron uśmiechnął się półgębkiem i wycelował w niego z palca.

– Celną riposta – stwierdził, po czym ruszył wzdłuż korytarza. Już pod samymi drzwiami apartamentu Błachowskiego, jeszcze zanim zapukał, sięgnął pod marynarkę, odpiął zamocowaną na pasku kaburę z glockiem i uniósł ją w górę. Odwrócił się, pomachał nią ochroniarzom, po czym położył przy drzwiach. Zapukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

Błachowski siedział w głębi przestronnego pomieszczenia, na kanapie. W jednej dłoni, tej przewieszanej przez podłokietnik, trzymał szklankę do whisky, drugą położył na skórzanym oparciu. Na pierwszy rzut oka wyglądało, jakby oglądał telewizję, ale nietrudno było się domyślić, że wielki ekran to miejsce, na którym skupia tylko wzrok, bo myślami jest gdzie indziej.

Ten postawny mężczyzna o szerokim karku i wydatnej szczęce, teraz porośniętej dwudniowym, popielatym zarostem, miał płaski jak u boksera nos i głęboko osadzone oczy. Na widok Mirona wąskie, mocno zaciśnięte usta wygięły się na chwilę w pałąk uśmiechu.

– Cześć, Miron, jak się masz? – powiedział lekko ochryplym głosem. Na pewno był zmęczony.

– W porządku szefie. Za to jeśli mogę, szef...

– Miewałem lepsze dni – uciął Błachowski, po czym szklanką wskazał na niewielki stoliczek do kawy, na którym leżała otwarta koperta formatu A4. –

W środku jest list, przeczytaj go.

Miron podszedł do stolika i podniósł kopertę. Szybko zorientował się, że w środku, prócz listu, są jeszcze zdjęcia nieznanym mu ludzi oraz kilka wydruków z danymi osobowymi i adresami.

– List jest w osobnej kopercie. Takiej małej – odpowiedział Błachowski.
– Resztą na razie się nie zajmuj.

– Jasne, szefie. Mogę usiąść?

– Pewnie. – Gospodarz wskazał mu fotel pod oknem. – Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję.

Zajął miejsce, wyłowił małą kopertę z dużej, wyjął list i zaczął czytać równo zapisane rzędy liter. Wystarczyły mu cztery pierwsze zdania, by zrozumieć, dlaczego szef wygląda teraz, jak wygląda. Kolejnych sześciu potrzebował, by zrozumieć, na czym polegać będzie zadanie jego chłopaków. Gdy doczytał do końca, wsunął list do koperty i położył na drugiej.

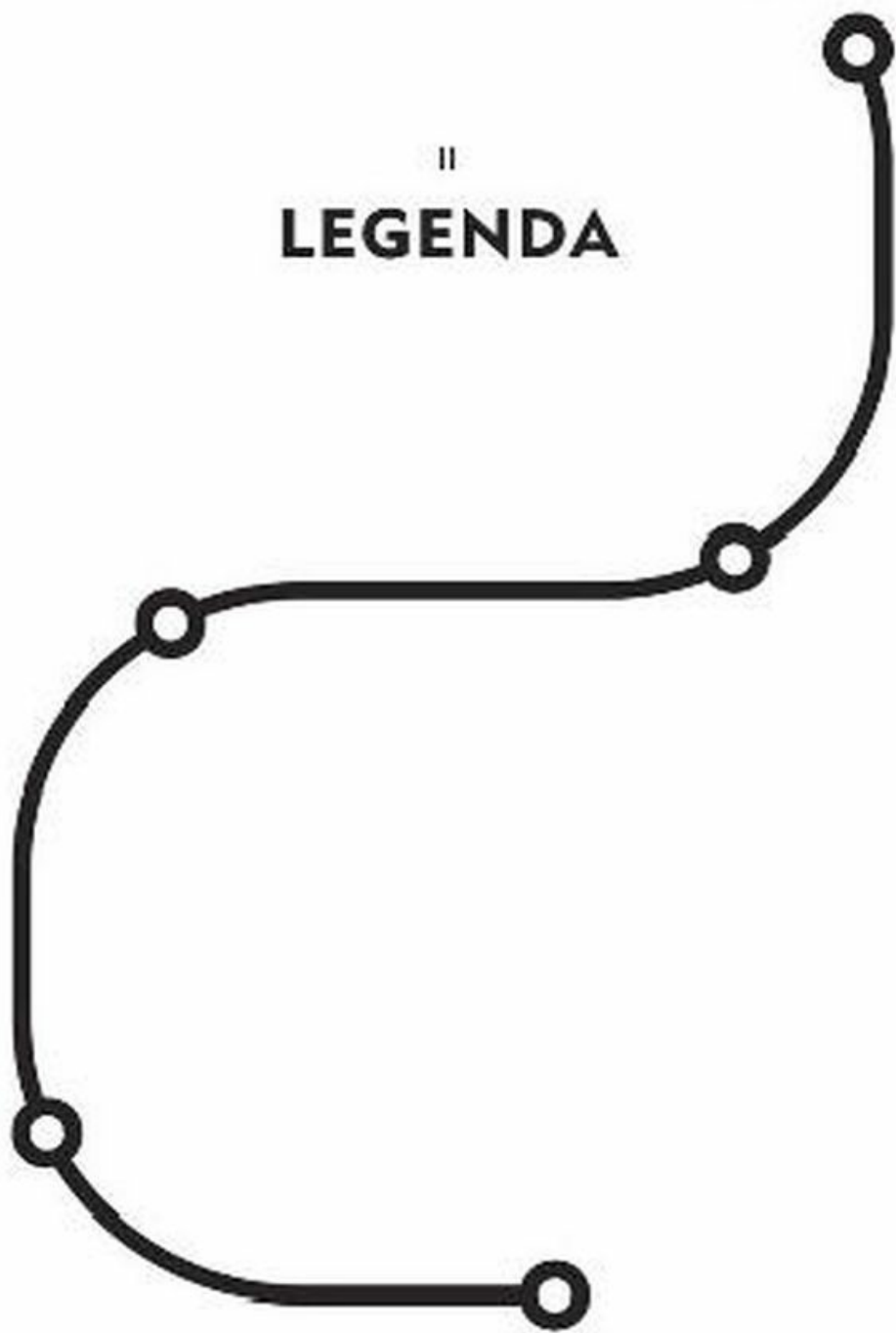
– Mają cierpieć?

Błachowski zmarszczył czoło, jakby nie wiedział, o czym mowa. Zaraz jednak powoli odwrócił głowę i spojrzał na Mirona w sposób, w jaki od dawna już na nikogo patrzeć nie musiał.

– A jak, kurwa, myślisz, Miron? – zapytał. – Jak, kurwa, myślisz?



II
LEGENDA



4

Nie musiała się spieszyć ani denerwować, bo dwa złote pięćdziesiąt wrzucone do automatu dworcowej toalety zapewniło jej komfort, jakiego nie miałyby w Złotych Tarasach. Tu spokojnie mogła zająć kabinę na dłużej, przebrać się niespiesznie, wreszcie zdjąć perukę bez mierzenia się z kolejką zaskoczonych kobiet po wyjściu. Rzeczy, które nas dziwią i zaskakują, mimowolnie zapadają w pamięć, a to ostatnie, czego chciała i potrzebowała.

Poza tym niewątpliwie w dworcowych łazienkach, zwłaszcza odkąd osiągnęły zadowalający poziom higieny, częściej niż w tych galeryjnych można było zobaczyć na umywalkach otwarte kosmetyczki, a także porostawiane wokół szminki, cienie, maskary i pudry. Nikogo nie dziwiło tu, gdy kobieta po spotkaniu z przyszłym szefem, chłopakiem czy kochankiem, zmywała makijaż i malowała się na nowo, już delikatniej, bardziej dziewczęco, zwyczajnie. Może przed podróżą?

Nie musiała się spieszyć, ale doświadczenie i wyćwiczone ruchy robiły swoje, więc i tak szybko uwinęła się ze wszystkim. Gdy skończyła, zmoczyła ręką krótkie włosy i za pomocą pianki i grzebienia zczesła do tyłu na klasyczny *wet look*. Rozważała jeszcze dla żartu przywrócenie pieprzyka, tyle że w innym miejscu, ale w kwestii podobnych wygłupów zasady były jednoznaczne. Wpadka zawsze ma swoje źródło w zaniedbanych szczegółach lub nadmiernej pewności siebie.

Zamiast tego cofnęła się o kilka kroków i przyjrzała sobie w lustrze. Trampki, poszarpane džinsy, luźna, odkrywająca ramię bluzka z logo Guns N' Roses, do tego delikatnie zrobione oczy, trochę różu na policzkach. To w połączeniu z fryzurą nadawało jej wygląd trochę buntowniczej studentki kierunków artystycznych, a może stażystki lub juniorki w jakimś na pozór wyluzowanym start-upie. Przede wszystkim jednak nie tylko czyniło ją zupełnie inną osobą od tej, która weszła do toalety pięć minut wcześniej, ale

również solidnie odmłodziło.

– Fajna koszulka – skomentowała pulchna dziewczyna przy umywalce obok.

– Dzięki.

Zarzuciła na ramię sportową torbę, przecisnęła się przez kołowrót toaletowej bramki i ruszyła w górę korytarza, a potem w prawo, do Costy. Gdy podeszła do wciśniętego w kąt trzyosobowego stolika, siedząca tam para – on wysoki, przystojny blondyn w koszulce polo, ona drobna, dziewczęcej urody szatynka z włosami spiętymi w dwie opadające na ramiona kitki – prowadziła właśnie ożywioną, choć wyjątkowo cichą dyskusję.

Miała szczerą nadzieję, że nie rozmawiali na temat dzisiejszej pracy, ale i tak odruchowo sprawdziła, kto może ich słyszeć.

– Jak to, nie wiesz, na czym polega test siurka? – zapytał blondyn, akurat gdy położyła torbę koło krzesła i odsunęła je, by zająć miejsce. – Słyszałaś, Anka? Ona nie wie...

– Słyszałam – odpowiedziała. – Pół lokalu słyszało.

Ta „Anka” wciąż brzmiała jej dziwnie. Po ostatniej zonglerce imionami powrót do tego używanego obecnie, tyle że nieprawdziwego, przypominał trochę wkładanie dzinsów z zeszłorocznych wakacji. Niby pasują i wszystko jest w porządku, ale na wszelki wypadek dłużej wciągasz brzuch i wstrzymujesz oddech, bo wcale nie jesteś pewna, czy dobrze leżą. Jeszcze kilka godzin temu była przecież Marzeną. Na szczęście do niego nie musiała się na nowo przyzwyczajać. Od kilku numerów, które razem robili, pozostawał Marcinem. Jej zdaniem groziło to wpadką, ale skoro dostał na to zgodę, nie jej oceniać.

– Powiesz w końcu, co to jest, czy będziesz tak się puszył do odjazdu? – zniecierpliwiła się Agnieszka, jeszcze do niedawna Sasza. Wyraźnie młodsza od Marcina, mogła uchodzić za jego nadąsaną siostrę.

Marcin opuścił głowę i obrócił stojący przed nim kubek, robiąc przy tym minę, jakby się namyślał.

– Jednak będę się puszył – zdecydował.

Agnieszka pokazała mu środkowy palec i odwróciła się do starszej koleżanki, a ta wzruszyła tylko ramionami i rozejrzała się, upewniając, kto jest w zasięgu ich słów. Wszystkie pobliskie stoliki były jednak puste.

– Nic ważnego, możesz się bez tego obejść, mała – stwierdziła. Zdjęła pokrywkę ze stojącego przed nią małego kubka i wsypała do czarnej kawy trzy opakowania cukru z cynamonem. – Kto płacił za kawę?

– Lokal – odparł Marcin tonem, jakby zadała najgłupsze pytanie na świecie. – I trzeba przyznać, że to akurat naszej młodej koleżance poszło świetnie. Swoją drogą, bo miałem pytać, tu też musiałś sobie wmawiać, że ten chłopak to zły człowiek? – Wskazał brodą na przyszczatego studenta w brązowej koszuli baristy.

Najwyraźniej widok czerwieniącej się Agnieszki sprawił mu nielichą satysfakcję. Bo sprawiał, Anka wiedziała o tym aż za dobrze. Ale nie zamierzała się wtrącać. Uważała, że nawet jeśli chujowo się zachowuje, Marcin tak naprawdę pomaga takim jak ta młoda. Utwardza ich. Zresztą pewnie sam jej podpowiedział metodę z tłumieniem wyrzutów sumienia przez budowanie sobie w głowie obrazu gapa jako ostatniego skurwiela, zasługującego na karę. Bo, Anka pamiętała to jeszcze z własnych początków, skuteczna była jak mała która.

– A wziął ktoś mieszadelko? – zapytała.

Okazało się, że nikt, więc podeszła do stoliczka i wzięła plastikową łyżeczkę i po chwili wahania jeszcze jedną torebkę cukru. Poczowała na sobie spojrzenie chłopaka zza lady i posłała mu roztargniony uśmiech, a on wyszczerzył się w odpowiedzi.

Dobrze, pomyślała. To znaczy, że zarywa do wszystkich dziewczyn, nie tylko do określonego typu. To w razie czego utrudni mu stworzenie rysopisu graczki, która przerobiła go na kawy, nawet gdyby w jakiś sposób sprawa wyszła, a on się połapał. Na co, Anka wiedziała o tym dobrze, szanse były marne. Nie w takim miejscu jak to. Nie przy tym ruchu.

Gdy wróciła do stolika, konwersacja poszła do przodu, bo Marcin jednak się złamał i właśnie zabierał się do tłumaczenia testu siurka.

– Najprościej rzecz ujmując, chodzi o to, co robi facet po wejściu do

publicznej toalety – mówił. – Dajmy na to, jest pięć pisuarów, pierwszy i trzeci zajęty. Wchodzi facet i wybiera piąty. Co to o nim mówi?

– Że ma nerwicę natręctw? – spróbowała Agnieszka.

Anka parsknęła cicho, uznając celność riposty. Marcin musiał jej nie zrozumieć, bo jedynie pokręcił głową, uśmiechając się protekcjonalnie.

– Jest niepewny swojej męskości, a jednocześnie uważa to za niezwykle ważny aspekt swojego życia – obwieścił. – Ma problem z oddawaniem moczu w miejscach publicznych, dlatego wybiera najbardziej oddalony punkt i...

– A nie powinien po prostu wejść do kabiny?

– No właśnie, widzisz, nie. – Marcin uniósł palec. – Rzecz w tym, że gdy facet idzie do kabiny tylko po to, żeby się odlać, staje się wyjątkowo niemęski.

– Dla kogo? Kto będzie wiedział, że poszedł tam tylko po to?

– On sam. I to wystarczy. – Anka dosypała do kubka przyniesiony cukier, zamieszała i upiła łyk. – Widzisz, tak naprawdę to całkiem interesujący eksperyment harwardzki, badający kompleksy facetów, szczególnie tych, u których maczoizm stanowi ważny element życia, zarówno prywatnego, jak i zawodowego. I rzeczywiście kilka razy się przydało, zwłaszcza na jakiejś małej ulicznej robótce, gdy potrzebny był ktoś nieśmiały albo przeciwnie – zbyt pewny siebie. Eksperyment od nazwisk badaczy nazywa się testem Juchnik–Schwartz, ale te głupki wymyśliły test siurka i promują tę nazwę z uporem godnym lepszej sprawy. Jeśli temat cię interesuje, zapytaj pana B, da ci książkę.

– Jak go wreszcie poznam osobiście – westchnęła Agnieszka.

– Poznasz – zapewniła Anka – Z takimi postępami szybciej niż myślisz.

– A właśnie, à propos – podjął Marcin. – Dzwonił, gdy siedziałś w łazience. Jest już obsada na „Hrabiego”.

– No i?

– Nie weszłaś, sorry.

– Spokojnie, rozumiem – stwierdziła obojętnym tonem, którego tym razem

nie musiała nawet udawać. – W zasadzie myślę, że to dobra decyzja. Ostatnio dużo grałam. Choć z drugiej strony szkoda, bo dawno nie byłam w...

Dostrzegła, jak Agnieszka nastawia uszu, a potem, gdy Anka urwała zdanie w pół, kąciki ust młodszej koleżanki lekko drgnęły, a w jej oczach błysnęło rozczarowanie. Ukryte szybko, jednak nie dość szybko. Nie dla gracza. Dziewczyna musiała się nauczyć lepiej kryć swoje emocje.

– A jak z tobą? – Anka zwróciła się do Marcina.

– Na epizodzie – odparł, drapiąc się lewą ręką po piersi. Anka ponownie zerknęła ukradkiem na Agnieszkę, po czym delikatnie skinęła Marcinowi, który natychmiast przestał się drapać i zamiast tego wyszczerzył się szczeniacko.

– Może następnym razem weźmie nas całą trójką. Zobaczcie, jak ładnie nam poszło. I nawet namierzanie gładko, gap od drugiego strzału. Agnieszka dała dzisiaj czadu, prawda?

Anka ponownie potwierdziła skinieniem, choć tym razem zrobiła to wolniej i po dłuższym namyśle. Obiegła wzrokiem sąsiednie stoliki. Czy ktoś mógł ich słyszeć? Zwracać na nich uwagę? Nie, raczej nie.

– Robiłaś dziś świetny akcent, mała – powiedziała. – Naprawdę znakomity, wiesz?

Dziewczyna zarumieniła się i odwróciła lekko głowę, by to nieudolnie ukryć.

– Dziękuję, ćwiczyłam.

– Ale musisz unikać prób łapania kontaktu wzrokowego. Kilka razy patrzyłaś na mnie tak, że gdyby gap to przechwycił... No, nie byłoby dobrze.

– Jasne.

Anka uniosła kubek, obejrzała go, jakby trzymała w ręku rżnięty kryształ, i przepiła do młodszej koleżanki.

– Przepracuj też koniecznie drzenie i nie uśmiechaj się aż tyle. W pewnym momencie poczuł się niezręcznie, miał wrażenie, że go podrywasz. Wyczułaś kiedy?

Agnieszka pokręciła głową.

– Gdy wróciłaś na salę, a ja już siedziałam z nim. Spięłaś się wtedy, zerkałaś na mnie – przypomniła Anka, badawczo przyglądając się koleżance. – Potem wybrnęłaś, bardzo ładnie, ale to mimo wszystko do przepracowania.

– Zapamiętam.

Anka uśmiechnęła się szeroko.

– Jestem pewna, że tak. A przy okazji, co takiego wymyśliłaś, budując go sobie w głowie jako złego człowieka? Kim był? Oszustem wyrzucającym staruszki z kamienic? Bandziorem wymuszającym haracze? Pedofilem?

Młodsza z dziewczyn tym razem nie odwróciła głowy. Wytrzymała ciężar spojrzenia, nawet uśmiechnęła się delikatnie, choć z nutką drapieżności.

– Znęcał się nad zwierzętami. Karmił kielbasą z gwoździami, strzelał z wiatrówki i przybijał za nóżki do płotów.

Anka zmrużyła oczy i ściągnęła usta, jednak nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Marcin również się roześmiał i nawet zaklaskał powoli trzy razy, z uznaniem. Teraz kilka osób obejrzało się na nich, ale przelotnie, nie przerywając rozmów.

– Jest gotowa, miał rację – stwierdził. – W samą porę.

Agnieszka ściągnęła brwi.

– W samą porę? To znaczy?

Anka schyliła się i wyjęła z torby kopertę z biletem do Gdańska i zdjęciem.

– To znaczy, że jesteś w obsadzie do najbliższego numeru, mała, i za... – zerknęła na zegarek i porównała godzinę z tą na bilecie – za piętnaście minut jedziesz do Gdańska. Jechałaś już pendolino?

– Raz. – Agnieszka wodziła teraz wzrokiem od Marcina do Anki i z powrotem. – I co to właściwie za numer, ten „Hrabia”, o którym...

Urwała, zdając sobie sprawę z gafy. Sięgnęła do lewego kucyka, by go poprawić, i brodą wskazała na wystające z koperty zdjęcie.

– A to?

– Jedzie z tobą w przedziale, fajnie, jakby cię zapamiętał, ale bez zażyłości – wyjaśnił Marcin. – Może ci pomóc z walizką.

– Nie mam wal... – zaczęła, a wtedy Marcin położył przed nią kluczyk do skrzynki depozytowej.

– W bocznej kieszonce jest adres hostelu i telefon – dodał. – Reszty dowiesz się na miejscu. Leć.

Agnieszka jeszcze raz powiodła wzrokiem po ich twarzach, a nie doczekawszy się kolejnego wybuchu śmiechu, wzięła klucz i kopertę. Już miała wstać, gdy Anka złapała ją za rękę.

– Zdjęcie zostaje – powiedziała. – Przyjrzyj się i zapamiętaj.

– Jasne. Dobra, chyba już.

– Chyba?

– Jeśli nie będzie kogoś wyjątkowo podobnego, powinnam dać radę.

– A jeśli będzie? – zapytał Marcin.

– Dam się zapamiętać obu – odparła Agnieszka, przewiesiła przez ramię torebkę i wyszła z kawiarni.

Patrzyli za nią z rozbawieniem, aż zniknęła za rogiem.

– Nie wiedziałam, że Wituś wrócił do robienia młodym testów zaufania. – Anka wskazała brodą zdjęcie. – Oby tylko nie testował za bardzo, dziewczyna jest, zdaje się, w jego typie.

– Może i tak – przyznał Marcin – Choć chyba od jakiegoś czasu znowu bardziej mu zależy na wejściu do kręgu.

– No tak.

Anka objęła papierowy kubek oburącz, jakby chciała ogrzać nim dłonie. Przysunęła go do twarzy, zasłaniając całą poniżej oczu.

– Fajnie było znowu popracować razem – stwierdziła. – Nawet jeśli tylko na przygrywce.

– No, przydałoby się częściej, bez dwóch zdań – zgodził się Marcin. – Może kiedyś? Wiesz, stary nie młodnieje.

Spięła się.

– Może... – rzuciła niechętnie, by zaraz sprawnie zmienić temat. – Ten Gdańsk. Jest w numerze ktoś dorosły?

– Ze trzy osoby, już ograli pierwszy etap. – Marcin nie dał po sobie poznać, co poczuł na widok jej reakcji. – Dzisiaj albo jutro ma tam dojechać Bartek. Ale reszta to generalnie młokosy.

– A ten numer to właściwie...?

– Jakiś standard, tyle że w nowym aranżu. Coś z uchodźcami. – Zerknął na zegarek i odsunął krzesło. – Dobra, na mnie też już czas. Jadę do siebie, złapać trochę... No wiesz, życia. Masz jakieś plany czy może...

– Mam – ucięła krótko. Po czym nie siląc się na załagodzenie ostrego tonu, ruchem głowy wskazała Marcinowi wyjście. – Leć już, bo się spóźnisz.

5

– No to chyba wszystko – powiedział Skowroński, odsuwając się od biurka i zerkając na zegarek. Dochodziła dwudziesta czwarta. – Zje pan ten ostatni kawałek? To w końcu pana pizza.

Sądząc po minie, jedyne, na co miał teraz ochotę siedzący naprzeciwko Pychel, to sen. Ustupający stres w połączeniu z naprawdę długim dniem i solidnym wałkowaniem wydarzenia w kawiarni dał mu się we znaki. Do tego doszło jeszcze rozleniwiające obżarstwo, które go zaskoczyło. Jedli tę ogromną pizzę jak na wyścigi, jak za studenckich czasów, aż do zapchania żołądków, jakby w obawie, że ten drugi zje więcej. A teraz z przetłuszczonego pudełka spoglądał na nich z wyrzutem ostatni, wąski kawałek pokryty zastygłą skorupą słodkawego sera, przypominając o głodujących afrykańskich dzieciach, akcjach UNICEF-u i całej reszcie.

Olgierd nie dał się skusić.

– Chyba już pójdę – stwierdził, podnosząc się z krzesła.

Podkomisarz sięgnął po stojący na biurku telefon i wcisnął numer wewnętrzny.

– Skowroński – przedstawił się. – Jest tam może teraz ktoś na dole z wozem? Mam świadka do odwiezienia... – Spojrzał na Pychla. – Gdzie pan się właściwie zatrzymał?

– W Novotelu w centrum – odparł. – Ale to nie problem, bo ja sobie...

– Pod Novotel będzie trzeba – kontynuował Skowroński do telefonu. – Jest ktoś? Dobra, to ja już schodzę, dziękuję.

Odłożył słuchawkę i wstał.

– Jest środek nocy, teraz pana puszczę, a pan mi tutaj jutro ze zgłoszeniem napaści z rabunkiem wróci.

– Myślałem, żeby taksówkę wziąć.

– No a o czym ja mówię? – Skowroński puścił do mężczyzny oko, wyraźnie zadowolony, że żart wyszedł gładko. – Chodźmy, odprowadzę pana.

Wyszli z biura i przeszli pustym korytarzem do schodów. Nie byli tu jednak sami. Zza zamkniętych drzwi dochodziły odgłosy rozmów, z jednego z pomieszczeń, opisanego jako socjalne, niósł się zapach kebaba, kawy rozpuszczalnej i zupek w proszku.

– Złapie ich pan? – zapytał Olgierd.

Skowroński wzruszył ramionami.

– W końcu na pewno – odparł. – Ale jeśli pyta pan, czy uda się panu odzyskać pieniądze, to tak szczerze między nami...

– To była najdroższa kawa w moim życiu, wiem. – Pychel westchnął.

– No tak, ale miał pan do niej chociaż bezę.

Pożegnali się przy dyżurce i Olgierd ruszył przez parking w ślad za barczystym mundurowym. Podkomisarz obmacał się po kieszeniach, wyjął niemal płaską paczkę gum do żucia i wyłuskał listek. Stał tak z rękami w kieszeniach, pozwalając, by chłód nocy trochę go rozbudził i przewietrzył mu głowę. W końcu wrócił na górę, do biura.

Tam czekał już na niego komisarz Dariusz Fogiel, średniej postury mężczyzna ogolony na łyso. Młodszy od Skowrońskiego, dobrze zbudowany, miał podobno wytatuować sobie głowę w kilkaset kropek sugerujących, że ta fryzura to wynik decyzji, nie konieczności. Siedział na krześle przy biurku, na miejscu pewnie jeszcze ciepłym od tyłka Pychla, i kończył niedojedzony kawałek pizzy. Na widok kolegi pokiwał głową, dając znać, że pozdrawia, ale odezwie się, gdy przełknie. Skowroński dał mu czas, opadł na fotel i wybudził monitor.

– Stary o ciebie pytał, wychodząc – powiedział w końcu Fogiel. Wyjął z kieszeni chusteczki, rozłożył jedną i wytarł usta. – Chciał wiedzieć, co to za koleś, którego wstrzymałeś, i co właściwie zgłaszał.

– Kto z nim gadał?

– Pytasz, kogo pytał czy kto mu doniósł? – upewnił się Fogiel i nie

czekając, odpowiedział: – Gadał z Winiarskim z dyżurki, ale skąd wie, to nie wiem. Może Marta...

– Może. – Skowroński otworzył przypadkowy dokument, przejrzał i zamknął. – A ty skąd wiesz?

– Byłem przy tym. Właściwie to nawet stary powiedział mi, że skoro się znamy, to lepiej, żebym sam ci to przekazał. – Odchrząknął i wyszczerzył się w uśmiechu. – Jeśli dalej chcesz odwalać w temacie takie numery jak w Głównej, to szybko się przekonasz, że Komenda Rejonowa nie jest najgorszym, co może cię spotkać.

Komisarz wyjął z opakowania kolejną chusteczkę i wytarł nią ręce, ze szczególnym uwzględnieniem przestrzeni między palcami.

– Dobra. – Brodą wskazał pudełko. – Salvatore. Gdzie to?

– Nie wiem, pacjent wyszukał.

Skowroński wstał, wziął z biurka teczkę w niebieskiej pleksi i wrzucił ją do szafy. Potem odwrócił się, zmarszczył czoło i po chwili wahania podszedł do nieswojego biurka. Z górnej szuflady wyjął długą, napoczętą czekoladę milki z orzechami i karmelem. Zamachał nią w stronę kolegi. Ten parsknął.

– Tyszki?

– Tak – potwierdził podkomisarz. – Urodziny miał, córka mu kupiła razem z breloczkiem. Chcesz?

Fogiel rozłożył ręce, jakby chciał zapytać: „Jak proponują, to co ja mogę?”. Odłamał rządek podsuniętej mu pod nos czekolady. Cieniutka nitka karmelu przykleiła się do palca niczym złoty włos.

– Tak szczerze, Skowron, to nie wiem, czemu stary tak się do ciebie przysrał o ten temat. Robisz swoje, wyniki masz...

Skowroński uśmiechnął się i pogroził koledze palcem.

– Nie bierz mnie pod włos, łysy – rzucił. – Znamy się tyle, więc chociaż ty jeden nie, dobra? A staremu powiedz, żeby się nie martwił. Dzisiejsza akcja była u nas na terenie, numer, jaki znam, to stwierdziłem, że pchnę do przodu, bo tak czy owak mamy zorganizowaną grupę oszustów. Wygląda na to, że skoro nie robią na gotówkę, to szykują się do czegoś większego. Przekaż mu,

że...

– Sam mu powiedz – obruszył się Fogiel. – Nie jestem szpiclem, z dobroci serca przychodzę. Właściwie to nawet z tematem, ale skoro ty tak, to...

Podkomisarz dał koledze chwilę na dokończenie zdania, jednak ten wyraźnie nie miał pomysłu, jak to zrobić, bo umilkł i przez kilka sekund tylko mlaskał cicho z oburzonym wyrazem twarzy. W końcu Skowroński wrócił za biurko, rzucając połowę zdobyczej czekolady na blat. Wskazał na nią ręką, zachęcając Fogla, by się częstował.

– Ja wiem, co o mnie mówią, Darek – powiedział w końcu, gdy już skończył przestawiać losowo wybrane foldery i kliknął „Sortuj według: Data modyfikacji”. – Tu czy na Puławskiej. I wiem dobrze, skąd naprawdę to przeniesienie. Uważają, że jestem dobry, ale mam pierdolca na temat grupy Houdin–Bosco. Może nawet ich sobie wymyśliłem.

– Wyluzuj, chłopie. Ja tak... – zaczął Fogiel, gdy Skowroński przerwał mu gestem.

– Chuj z tym, co ludzie myślą! Chuj nawet z obsesją, bo rozpracowałem dzięki temu tyle tematów w całym kraju, że głowa mała. Grube setki tysięcy ludziom oszczędziłem, niektórzy po dziesięciu latach kartki na Główną przysyłają z podziękowaniem, że zwróciłem im oszczędności życia! I teraz co, nagle mam w ogóle przestać, bo niby przesadzam? Ktoś zarzuca temat u mnie, oszustwo prawie jak z podpisem, a ja powinienem odpuścić, bo wygląda to jak sprawa, w której dałem kiedyś dupy?

– A dałeś?

Spojrzenie Skowrońskiego wyrażało zmęczenie połączone z irytacją i politowaniem.

– A nie jest tak, że każdy kiedyś daje? No dalej, Darek, co masz dla mnie za temat?

Fogiel wyglądał przez moment, jakby chciał jeszcze ciągnąć temat, ale odpuścił. Odłamał kolejny rządek czekolady, przełamał go w palcach i przyjrzał się połówkom, dumając, od której zacząć.

– Kiedyś, jeszcze w Główniej, zarzuciłeś listę nazwisk z prośbą, by zwrócić

uwagę, jak wypłyną w szpitalach albo kostnicach – powiedział. – Pamiętasz?

Skowroński pokiwał głową.

– Tak, podałem wtedy wszystkie znane aliasy Bosco i Houdina wraz z przedziałem wiekowym i kilkoma rysopisami. Ale to było dawno i właściwie nic specjalnie nie dało. A co?

– A nic. – Fogiel wyszczerzył się głupkowato. – Teraz pewnie też nic nie da, chociaż paru znajomych lekarzy, gdy ich poprosiłem o wsparcie, wzięło sobie to do serducha i im zostało. No i jeden, kumpel taki, właśnie mnie zapytał, czy to wciąż ważne, bo niedawno stwierdził zgon u pasującego gościa.

– Serio? – Skowroński poruszył się na fotelu. Starał się zachować spokój, ale nagłą nerwowość dało się dostrzec w drobiazgach. Kryła się w ruchach szczęki, palcach zaciskających się na owalu myszki, wyraźnie słyszalnym spłyceniu oddechu. – Który? Alias znaczy?

– Ferdynand...

– ...Górski.

– Tak – potwierdził komisarz. – Siedemdziesiąt trzy lata, chudy, żyłasty, zmarł na coś z płucami. Podobno dużo kiedyś palił.

Skowron zdjął dłoń z myszki, rozmasował nasadę nosa.

– Houdin – szepnął. Wciągnął powietrze i wypuścił je. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, czymś się podzielić, ale rozmyślił się. Potrząsnął głową i zapytał tylko: – Gdzie ten zgon?

– W Piasecznie – odparł Fogiel. – Dom starców Trzy Dęby czy jakoś tak. Chcesz, to dam ci namiary na tego kumpla i...

– Nie trzeba – przerwał mu Skowroński. – Piaseczno to nie nasz rejon, czyż nie? Możesz przekazać do Głównej, że to mógł być oszust ukrywający się pod pseudonimem Houdin. Niech go sprawdzą.

Komisarz się roześmiał.

– Dobra, dobra, Skowron – powiedział. – O ile zakład, że jutro weźmie cię sraka czy inne gówno i pojutrze nie zjawisz się w robocie?

Skowroński nie odpowiedział. Fogiel pochylił się nad biurkiem, wziął ze

stołu długopis i plik żółtych karteczek, po czym zapisał ciąg liczb i kilka słów. Gdy skończył, wstał i odłamał jeszcze rząderek czekolady.

– Tu masz numer do tego kumpla, możesz się na mnie powołać. – Wskazał czekoladą karteczkę. – Wpisałem ci też datę pogrzebu, bo już ustalona, na komunalnym w Piasecznie. Zrobisz, co uważasz. Możesz się też podetrzeć.

Podkomisarz przytaknął.

– Tak pewnie zrobię, ale dzięki.

– Jasne.

– Nie, Darek. Naprawdę dzięki.

Fogiel parsknął i pokręcił głową.

– W dupę se wsadź. Wpadłbyś kiedyś do nas wreszcie, toby mi Wiolka przestała truć i o ploty męczyć. Pół roku się zapowiadasz, ciągle mnie pyta, jak się czujesz, czy kogoś masz...

– Wpadnę, obiecuję. – Skowroński znowu położył dłoń na myszce. Nakierował kursor na folder: Prywatne, w nim Inne i wreszcie BaH. – Może w czwartek wieczorem?

– Znaczy zaraz po pogrzebie?

– Spierdalaj.

– Wpadniesz z kimś czy sam? I wiesz, jeśli będziecie na czarno...

– Spierdalaj, mówię!

Fogiel wyszedł, zanosząc się śmiechem.

Podkomisarz szybko przejrzał dokument Excela i w arkuszu: Ferdynand Górski wpisał w pustej rubryce „zmarły” i wielokropek z wykrzyknikiem, zostawiając w ten sposób miejsce na dokładną datę.

Następnie przepisał numer z karteczki do telefonu, zerknął na zegarek i ustawił alarm z przypominajką, by zadzwonić z samego rana, jeszcze przed pojawieniem się na komendzie. Samą kartkę wsadził do portfela w przegródkę, z której wyjął dwie dychy, opatrzył notką: „Sorry za czekoladę, nagła sprawa. S”, i wsunął do szuflady biurka kolegi. Wyłączył komputer, zabrał swoje rzeczy i nie zamykając biura na klucz, skierował się

w stronę klatki schodowej.

– No dobra, Houdin – mruknął pod nosem. – Czyżbyśmy widzieli się w czwartek?

Na dole chwilę pogawędził z policjantem w dyżurce i wyszedł na zewnątrz. Idąc wzdłuż parkingu, raz jeszcze spojrzął na zegarek i po namyśle wyjął telefon. Wybrał w kontaktach: Baśka, ale nie wcisnął słuchawki.

Wsiadł do samochodu i pojechał do domu.

6

Obudził ją szum ekspresu, rozbudził zapach kawy. Mikołaj parzył ją zawsze w ten sam sposób w starym ekspresie przelewowym, którego mimo stanu za żadne skarby nie zgodził się wyrzucić. Jedyne, co po długich miesiącach walki udało się wywalczyć Kaśce, to to, że ekspres nie stał cały czas na blacie. Owinięty kablem czekał w jednej z górnych szafek, aż Mikołaj wyjmie go rano na swój poranny rytuał. Potem rzecz jasna zapominał go schować, ale nie awanturowała się o to przesadnie, bo kompromis wymagał poświęceń z obu stron.

Na pół litra wody do beżowego filtra cztery miarki aromatycznej arabiki, pół miarki mielonego cynamonu i jedna czwarta kardamonu. Tak przyrządzona kawa nadal smakowała jak rozwodniona lura, za to pachniała nieziemsko. Zwłaszcza gdy już po zaparzeniu Mikołaj doprawiał ją łyżką lipowego miodu. Przedłużone wodą espresso z kapsułki, nawet doprawiane, nigdy nie pachniało tak dobrze.

Kaśka pociągnęła nosem, odrzuciła na bok kołdrę i przeciągnęła się na łóżku. Promienie słońca przyjemnie grzały nagą skórę, choć jednocześnie zmuszały do mrużenia zaspanych oczu. Mogłaby tak leżeć i leżeć, ale i bez patrzenia na budzik wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Jeszcze wczoraj, przed północą, Wiktor napisał, że potrzebuje jej kwadrans przed zebraniem redakcyjnym, by omówić kilka szczegółów.

Nie mogła sobie przypomnieć, czy mu odpisała, bo wtedy wciąż jeszcze trwała poważna rozmowa z Mikołajem. Trudno powiedzieć, na którym byli akurat etapie. Gniewu, ulgi, rozczarowania, radości, smutku, znowu gniewu, współczucia, a może lęku? Wszystko zmieniało się jak w kalejdoskopie, myśli w jej głowie, wyraz jego twarzy, ale gdy skończyli, gdy wyjaśnienia przeszły w zapewnienia, te w pocałunki, a wreszcie w czuły, niespieszny seks, Kaśka uznała, że mimo iż nie uzyskała odpowiedzi, nawet nie zadała

większości pytań, to jednak będzie dobrze. I z tą myślą zasypiała, wtulona plecami w jego brzuch, pośladkami w jego krocze, czując na karku ciepły oddech.

Teraz w kuchni Mikołaj pogwizdywał cichutko. Krzątał się, otwierał lodówkę, szafki, przestawiał talerze. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tak się zachowywał, i dotarło do niej, że nie potrafi. Dwa tygodnie? Pięć? Trzy miesiące? Narastającego powoli smutku czy rezygnacji nie da się łatwo dostrzec, obcując z kimś na co dzień, orientujesz się dopiero po jakimś czasie, gdy nastąpiła większa zmiana. To trochę jak z rosnącym na twoich oczach dzieckiem – nic, nic i nagle kolejna kreska na framudze drzwi.

Wyobraziała go sobie teraz chodzącego po kuchni. Gdy się zdecydowali zamieszkać razem, był tak szczęśliwy, że obiecał wstawać codziennie kwadrans wcześniej, by zrobić im obojgu śniadanie. I choć w tym rygorystycznym postanowieniu wytrzymał niecały miesiąc, wciąż to on częściej robił śniadania jej niż ona jemu. I szykując je, za każdym razem pogwizdywał wesoło, autentycznie ciesząc się, że może to robić. Że, jak mówi, ma dla kogo...

Dość, upomniała się. Wciąż jeszcze nie wyjaśnił ci wielu rzeczy. Wciąż jeszcze powinna być na niego zła za te wszystkie tajemnice, za skrywane przed nią problemy. Jak to możliwe, że tak łatwo jej przeszło?

Jednak wiedziała, jak to możliwe, bo przypomniała go sobie z wczoraj. Zmęczonego, przestraszonego, z oczami pełnymi łez. Musimy porozmawiać, powiedział i spojrzał na nią tak, że naprawdę się złękła, a zaraz potem zrobiło jej się go żal. Mały, bezbronny chłopiec, sierota, który miał tylko ją.

Usiedli razem na kanapie, a on po raz pierwszy zaczął mówić o tym, co dotąd stanowiło temat tabu – jak zapamiętał ojca. Mglisty obraz mężczyzny z papierosem od razu skojarzył jej się ze zdjęciem Hłaski. Mówił o ostrym zapachu jego wody kolońskiej, o mocnych, choć gładkich dłoniach, bliźnie na kciuku. I o tym, jak kiedyś ojciec urządził Mikołajowi i kolegom kulig za swoim starym oplem, a śniegu było na drodze tak mało, że omal nie ogłuchli od zgrzytu płoz po betonie, w dodatku iskry powypalały maleńkie dziurki w dziecięcych kurteczkach. O tym, jak ojciec wściekł się na syna, że ten

znalazł i wyjadł niemieckie słodczyce przeznaczone na handel z kocyka. I jak pobił niedźwiedzia w Zakopanem, gdy ten rzucał niewybredne teksty do mamy Mikołaja. Jak świetnie tańczył twista i zawsze krzywił się przy kaczuszkach, bo miał coś z kolanem. Wreszcie jak kazał Mikołajowi zjeżdżać do spania, bo już późno, a następnego dnia zostały po nim tylko kartka, by go nie szukać, puste półki i, jak się okazało, wypatroszone wspólne konto.

– Mama po prostu rozejrzała się po mieszkaniu i zaprowadziła mnie do szkoły – powiedział Mikołaj. – A gdy wróciłem, było tak, jakby nigdy z nami nie mieszkał.

Kaśka nic nie mówiła, słuchała. A potem po prostu milczała, bo on też milczał. Położył głowę na jej kolanach i długie minuty dał się głaskać. Aż wreszcie podniósł się, wręcz poderwał i ścisnął ją za rękę, mocno, boleśnie.

– Nie powiedziałem ci – zaczął – ale mam ostatnio trochę kłopotów, w firmie, z pieniędzmi. Nic bardzo poważnego, myślałem, że to załatwię, ale... Szlag, nie chcę kłamać! Nie chcę obudzić się pewnego dnia i uznać, że jedyne, co mogę, to uciec od kłopotów.

– Jakich kłopotów? – zapytała. Od początku liczyła, że w jakiś sposób dojdą do tej kwestii, jednak wyraźnie zaskoczyła ją ta gwałtowna zmiana tematu. – Co się dzieje?

Gdy na nią popatrzył, dostrzegła wahanie w jego oczach. W końcu potrząsnął głową i poklepał leżącą na blacie kopertę.

– Nic, co by się właśnie nie wyrównało – powiedział, siląc się na uśmiech. – Wyjaśnię ci, jak... Jak trochę ochłonę, dobrze?

Zgodziła się. Teraz trochę tego żałowała, bo nie tylko mogła, ale i powinna go była wtedy przycisnąć, wyciągnąć coś więcej, nim znowu uniesie gardę. Ostatecznie jednak uznała, że nie warto. Nie teraz. Cokolwiek dziś się wydarzy, zostanie z nimi na zawsze. Nie chciała, by była to jej natarczywość.

W dodatku cieszyła się, że Mikołaj nie odrzucał tych pieniędzy, co byłoby bardzo w jego stylu. Tu jednak, tak przynajmniej przypuszczała, odezwała się w synu zmarła pani Otyś. Matka Mikołaja należała do osób bardzo religijnych, w ten ludowy, niemal baśniowy sposób, w którym Jezus czy Maryjka, sprawdziwszy czystość twego serca, zawsze w razie potrzeby

posłużą magicznym wsparciem i pomocą. Ta sytuacja, Kaśka musiała to przyznać, wyglądała właśnie niczym głos z zaświatów, potwierdzenie: będzie dobrze. Palec boży stanowił jedyne wytłumaczenie, dlaczego Mikołaj – jak to mawiał jej dziadek – kaleki dumą, czyli stawiający honor ponad wszystko, w tym rozsądek i pragmatyzm, nie wyrzucił do kosza przesyłki.

Mógł być – i pewnie był – wściekły na drania za to, że go kiedyś porzucił, a potem nie starczyło mu odwagi, by przyznać się do błędu za życia, i zrobił to dopiero po śmierci, przez pośredniczkę. Mógł nawet nienawidzić człowieka, który usiłował kupić sobie synowskie wybaczenie zeszytem i kopertą z cholernymi pieniędzmi! Ale lekceważyć przy tym boską pomoc?

A może tylko ona tak to interpretowała?

W kuchni zaskwierczało i zaraz do zapachu kawy dołączyła woń smażonego bekonu. Kaśka usiadła na łóżku i rozejrzała się za szlafrocikiem. W tym momencie zadzwonił budzik.

– Śniadanie! Chcesz? – zawołał z kuchni Mikołaj. Głos miał pogodny, choć nie nazwał jej śpiącą królową, jak zwykł to robić w takich okolicznościach. Echo wczoraj?

– Chcę! – odkrzyknęła. Opuściła nogi na podłogę, wymacała stopami kapcie i złapawszy za szlafrok, poszła się wysikać.

Gdy trafiła do kuchni, Mikołaj przesypywał ciemnobrązowe, suche skwarki bekonu do miski z pokrojonym awokado, jajkiem i rukolą. Na blacie stały już dwa talerze, przy jednym znajdował się kubek z kawą z przelewowego, przy drugim filiżanka z jej kawą z kapsułki. Ekspres do tych drugich był biały i kojarzył im się z żeńskim robotem o nazwie EVA z animacji Wall-E, więc tak go czy też ją nazwali. Analogicznie przestarzałe, zniszczone urządzenie Mikołaja stało się tytułowym Wall-E.

– Dzień dobry – rzucił Mikołaj. Wciąż miał na sobie tylko to, w czym spał – luźną koszulkę z okładką płyty Queen i sprane, granatowe bokserki. Jego twarz była napuchnięta od snu, włosy w nieładzie, a szczękę pokrywała ciemna szczecina. Widząc go takim stanie, Kaśka odruchowo zerknęła na swoje odbicie w szybie piecyka, skąd łypnął na nią naburmuszony, kudłaty stworek.

– Gotowa na pierwszy dzień po urlopie? – zapytał Mikołaj.

Nie wiedzieć czemu, to pytanie ją rozdrażniło. Odniosła wrażenie, jakby przenosząc zainteresowanie na nią, odcinał się od wczoraj, od wciąż niedomkniętych tematów, tajemnic. Takie „co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr”.

Tylko, zbeształa się, co miałyby powiedzieć? Zacząć od: „A wracając do wczoraj...”, i rozproszyć ją przed pracą? Oczywiście tajemnice zostały, ale to przecież nie tak, że złapała go na kłamstwie. Poprosił ją o czas, ona mu go dała. Teraz powinni działać możliwie normalnie, czyż nie?

– Zdecydowanie niegotowa – stwierdziła, a gdy stanął do niej plecami, by odłożyć miskę, wtuliła się w niego, wciskając twarz między jego łopatki. Mikołaj próbował dalej krzątać się po kuchni, co wyjątkowo mu utrudniała, więc odłożył trzymaną w dłoni patelnię, odwrócił się do Kaśki i pocałował ją w czubek głowy.

– No już, będzie super, zobaczysz – zapewnił. I znowu zrobił to z taką pogodą w głosie, jakby wczoraj w ogóle się nie wydarzyło.

Odsunęła się od niego.

– Łatwo ci mówić. To nie ty będziesz teraz codziennie słuchał o niewyjaśnionych zbrodniach.

Wyjęła z szuflady sztucce, podczas gdy Mikołaj przełożył do koszyka ukrojony wcześniej chleb wieloziarnisty i położył go między talerzami. Zanim usiadł, dostawił jeszcze maselniczkę i młynki z solą i pieprzem. Ona wymieszała sałatkę.

– Oboje dobrze wiemy, że jeśli ty o tym usłyszysz, to ja również – powiedział z rozbawieniem i zaraz dodał: – Ze wszystkimi krwawymi szczegółami.

Prychnęła, a on puścił do niej oko. Zabrali się do jedzenia.

– Masz pomysł, o której dzisiaj skończysz? – zapytał Mikołaj.

– Żadnego – odparła. – Równie dobrze może się okazać, że zaraz po zebraniu, bo teraz dużo spraw jest do załatwiania na telefon i trzeba będzie sporo czytać. Wiesz, akta spraw, materiały od dokumentalistów, dossier

ekspertów...

Urwała nagle, jakby zabrakło jej słów, i szybko nadgryzła trzymany w dłoni chleb.

– A czemu pytasz? Jakież plany?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, pomyślałem o kolacji albo coś. Może gdzieś na mieście... – Na sekundę uciekł wzrokiem w bok. – A, i chyba pójdę jutro na ten pogrzeb.

Uderzył ją sposób, w jaki to powiedział. Zupełnie mimochodem, bez choćby cienia zawahania.

– Chcesz, żebym poszła z tobą? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Jest rano, a ty nie powinnaś się zwalniać z pracy. Poza tym podejrzewam, że to będzie smutna uroczystość.

– Jak to pogrzeby.

Parsknął trochę wymuszonym śmiechem.

– Inaczej smutna – odparł. – Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż pogrzeb, na którym nikt nie płacze.

Nie odpowiedziała, chociaż cisnęło jej się na usta: „A czy ty będziesz?”. To pytanie brzmiało jednak niegrzecznie, nieczule. Zresztą pewnie sam nie znał na nie odpowiedzi. Jeszcze wczoraj w ogóle nie miał ojca, nawet martwego. Możliwe, że był w szoku, że wciąż nie wiedział, jak się czuć.

Kilka długich minut jedli w milczeniu, aż wreszcie Mikołaj przełamał ciszę.

– Wziąłem sobie dwa dni wolnego – powiedział, gapiąc się w bok, we własne odbicie w szybie piecyka. – Dziś chciałbym doczytać do końca to, co jest w tym zeszytcie, a jutro... Po pogrzebie pojechałbym do Piaseczna, może do tego ośrodka, chociażby po to, by ostatecznie zamknąć temat.

– Chciałbyś dziś zostać sam? Wieczorem w sensie?

– Nie, mówiłem przecież. Chętnie zjem gdzieś na mieście. Ale chciałbym, żebyś na razie nie pytała o nic w związku z tą sprawą, dobra? Będę gotowy,

to powiem ci wszystko, co wiem, dobra? Zdaję sobie sprawę, że to trochę nie fair, prosić o coś takiego, ale...

– Miki – weszła mu w słowo – rozumiem. W porządku.

I rzeczywiście to było dla niej jasne i klarowne. Bez niedomówień i niezręczności, dokładnie tak, jak poprosiła wczoraj w przerwie między pocałunkami. Tego chciała i oczekiwała od związku. Tego oboje oczekiwali. Szczerości i poczucia, że nie ma między nimi niedomkniętych spraw, nawet gdy to trudne. Wczoraj bardzo się bała, że to straciła.

– Idę się ubrać – powiedziała, odsuwając się z krzesłem od stołu. Już na stojąco dopiła kawę i przyjrzała się Mikołajowi znad filiżanki. – Kocham cię, wiesz?

– Wiem – odparł. – Ja ciebie też.

Skinęła głową, odstawiła filiżankę i wyszła z kuchni.

– A, Kasiu, jeszcze jedno – zawołał za nią.

Wychyliła się zza framugi.

– No?

– Pamiętasz, jak kiedyś robiłaś tę realizację dla teatru telewizji? Ten monolog Jana Karwasza? Byłaś z nim wtedy w stałym kontakcie, prawda?

Zmarszczyła czoło.

– To jakbyś powstańca pytał, czy wojnę pamięta. Czemu pytasz?

Zawahał się. Nabrał powietrza i wypuścił je z głośnym, szybkim sapnięciem.

– Ja wiem, że proszę o wiele, że to nieprofesjonalne...

– Miki, spieszę się.

– Najwyraźniej potrzebny mi będzie pilny kontakt. Najlepiej telefon. Masz jeszcze?

– Do Karwasza? – Nawet nie próbowała kryć zaskoczenia. Co ten jeden z najwybitniejszych żyjących aktorów filmowych, telewizyjnych i teatralnych miał wspólnego z czymkolwiek, o czym... I wtedy do niej dotarło. Brodą wskazała zeszyt leżący obok Mikołaja. – To ma jakiś związek z tym?

– Tak. – Skinął głową. – Górski wspomniał o nim kilka razy. Podobno dobrze się znali, nawet przyjaźnili w pewnym momencie, ale potem urwał im się kontakt. Miał chyba taki sposób okazywania uczuć bliskim ludziom – znikać...

Uśmiechnął się smutno.

– No, w każdym razie w tekście pada prośba, że gdybym mógł...

Sięgnął po zeszyt, wyjął zza zakładki grubą kopertę ze starannie wykaligrafowanym nazwiskiem aktora.

– Chodzi o to, by mu to przekazać.

– Mhm – mruknęła. – Zrobisz to?

– Chcę mieć możliwość wyboru – odparł szczerze.

W ogóle bardzo się zrobił szczery od wczoraj, pomyślała Kaśka i natychmiast pożałowała tej myśli.

– Daj mi się ubrać i zaraz poszukam jego numeru – powiedziała. – Na pewno gdzieś się ostał.

– Dzięki.

– Tylko wiesz, że to dziwak? Może różnie zareagować na twój telefon.

Błysk widoczny w oku Mikołaja mógł być złudzeniem lub refleksem światła albo jej zwyczajnym chciejstwem, bo lubiła go właśnie takim – zadziornym i gotowym na wyzwania.

– Przekonamy się.

7

Staruszka z pudlem domykała właśnie trzecią rundę. Szła powoli, małymi kroczkami, dociągając lewą nogę i raz po raz szarpiąc za automatyczną smycz, wypuszczoną na niespełna dwa metry. Pies musiał już być przyzwyczajony, bo trzymał się blisko i nie obwąchiwał niczego poza trawą wyrastającą spomiędzy polbrukowej kostki. Sympatyczny piesek, ładny, jeśli ktoś lubi pudle. Marta nie miała w sumie nic przeciwko nim.

Na pewno bardziej drażniła ją sama staruszka. Drobna, pomarszczona kobieta w za dużym rozpinanym swetrze mimo temperatury łąpała na nią z każdym obejściem, ledwie tylko dziewczyna pojawiała się w zasięgu wzroku. Trudno było powiedzieć, czy bardziej przeszkadza jej to, że Marta pali – mimo iż stała przy śmietniku i strzepywała popiół do popielniczki umieszczonej na szczycie pojemnika – czy że w ogóle znajduje się na tym zamkniętym żoliborskim osiedlu, kradnie tlen z ich drzew, depta ich chodnik oraz gapi się na ich klomby i namiastki ogródków pod oknami. I pewnie nie chodziło nawet tak bardzo o to, że Marta jest obca, tyle że zwyczajnie za młoda. Młodzi, nieznanymi stałym lokatorom ludzie zawsze zwiastowali kłopoty.

Staruszka pokonała zakręt i tym razem zatrzymała się przy bramce, by porozmawiać z kimś, kogo zasłaniały drzewa. Marta mogła się założyć, że jest jednym z, jeśli nie głównym tematem tych pogaduch. Konkurować z nią mogły tylko ewentualne dolegliwości pudla albo wizyta rodziny w miniony lub nadchodzący weekend. A przynajmniej tak sobie wyobrażała tematy rozmów emerytów, odkąd usłyszała żart, który ją bardzo rozbawił: Jak się mówi na trzydziestolatka na Starym Żoliborzu? Wnusio.

Marta powiodła wzrokiem po pustych huśtawkach, zjeżdżalniach i instalacji z mostkiem oraz domkiem na palisadach. W obudowanej drewnianymi balami piaskownicy świeży, jasny piach starannie wygrabiono,

a całą tę przestrzeń, wypełniającą większość jednego z dwóch kwadratów parku między budynkami, okalał niski płótek z tabliczkami przypominającymi o zakazie wprowadzania psów. Biła z tego placu niewysłowiona tęsknota, a także gorące pragnienie bycia chcianym, komuś potrzebnym. I Jezu, jakie to było smutne...

Marta chyba nie chciała znać dokładnej odpowiedzi na pytanie, ilu spośród tych wnusiów zjawia się tu w każdą niedzielę wyłącznie po to, by dopilnować spadku. Ilu w imię przyszłych zysków przeklina tradycyjne obiady i ciągle pytania, jak tam w pracy/w domu, na które odpowiedzi trzeba powtarzać głośno, wyraźnie, a i tak po trzy razy. „Babcia jest chora, więc musimy do niej pojechać”, mówią dzieciom, a w myślach już dumają, czy będzie lepiej to mieszkanie sprzedać innym starszkom, by utrzymać dzielnicowe status quo, czy może urządzić apartament Airbnb.

Z pobliskiej klatki wyłonił się Bartek. Delikatnie przymknął drzwi, tak by się nie zatrzasnęły, i podszedł do Marty, biorąc od niej papierosy i zapalniczkę. Z niedopiętej nerki z symbolem Polski Walczącej wystawał zawinięty w szmatkę zestaw wytrychów. Zwróciła mu na to uwagę, a on wzruszył ramionami.

– I tak rzucam się w oczy mniej niż ty – stwierdził.

Miał rację. Bartek był krępy, dobrze zbudowanym chłopakiem z blokowiska, na oko dość typowym przedstawicielem jednej z podgrup żoliborskich wnusiów. Miał szeroki, lekko spłaszczony nos, głęboko osadzone szare oczy i kanciastą szczękę, za sprawą krzywego zgryzu wysuniętą, jakby wiecznie rzucał komuś wyzwanie. Do tego lubił dresy, sportowe buty i autentycznie podobały mu się patriotyczne gadżety jak ta cholerna nerka z kotwiczką.

Ona z kolei była puszystą dwudziestopięciolatką w groszkowozielonej garsonce, elegancką szykiem absolwentki na dorobku, ostrzyżoną stanowczo za krótko jak na tradycyjnie rozumianą szanującą się dziewczynę. Kobiety stąd, jak choćby ta starszka, musiały w niej widzieć kogoś na kształt agresywnej, wiecznie pyskatej przedstawicielki bezdusznej firmy, singielki, która na zakładanie rodziny, dom i dzieci ma jeszcze czas, a na razie ograbia

ludzi z ich pieniędzy. I dobrze, tak właśnie powinny o niej myśleć. I taką zapamiętać.

– Mieszkanie otwarte – powiedział Bartek, zaciągając się papierosem. – W środku, na półeczce leży zapasowy klucz, myślę, że możesz go potem zabrać. Sprawdziłem ruch na mieście, facet dotrze najwcześniej o dwunastej.

– Facet? – Zmarszczyła brwi. – Masz na myśli klienta?

– Pośrednik – wyjaśnił. – Jestem z nim umówiony na oglądanie mieszkania na Pradze na jedenastą. Więc zanim dojedzie, poczeka kwadrans i wróci...

Machnęła ręką na znak, że już rozumie i nieważne. Zdenerwowały ją własna głupota i roztargnienie. Zdecydowanie nie powinna popełniać takich błędów. A już zwłaszcza nie przed Bartkiem, gościem z kręgu. I niby byli razem, niby mówił jej czasem to i owo, ale w sytuacjach takich jak ta jego lojalność stała pod znakiem zapytania.

Nie miała o to oczywiście żalu. Jeszcze w czasach, gdy interesowała się oszustami tylko teoretycznie – prowadząc na ten temat bloga – wiedziała, jak to działa. Wszystko opiera się na zasadzie ograniczonego zaufania.

Gdy przed rokiem w kawiarni złapała Bartka na przygrywce – rozpoznała go ze starych, rozmytych zdjęć z dawnych robót i rozgryzła jego numer – zamiast go wydać czy przeszkodzić w oszukaniu gapa, pomogła, ni stąd ni zowąd, uwiarygadniając jego legendę. Tak się poznali. Potem, doskonale zdawała sobie z tego sprawę, nieraz ją sprawdzał, upewniając się co do jej lojalności. Zdała wszystkie testy i tym samym zyskała jego zaufanie, więc czasem uczył ją fachu bądź nagrywał robotę, a kilka razy pracowali razem. No i pewnego razu zapytany wprost, czy należy do kręgu, powiedział, że tak. Do tego stopnia jej ufał. Ale Marta wiedziała, że powierzyć komuś siebie to jedno. A powierzyć sekret legend takich jak Bosco i Houdin?

Nie, na poznanie tej tajemnicy musiała zapracować sama. I tak robił dla niej w tym temacie bardzo dużo.

Spojrzała na zegarek.

– Dobra, za dziesięć minut mają tu być, dzwonię. Znikaj.

– A buzi? – Puścił do niej oko, ale ona już wybrała numer i odgoniła go lewą ręką jak natręta.

– Później, w domu. Idź już.

Zwiesił głowę z udawanym żalem i już miał odejść, gdy nagle coś sobie przypomniał.

– Co? – zapytała, widząc jego wyczekującą minę.

– Zapomniałem. „Hrabia”, Zakopane. Marcin dzwonił.

Odsunęła telefon od ucha.

– No?

– Uznał, że się nadasz. Dostałaś zaproszenie. Nieduża rola, ale rola.

Z trudem się opanowała, bo miała ochotę go teraz przytulić i pocałować. Zamiast tego skinęła tylko głową.

– A ty?

Z rozbajającym uśmiechem rozłożył ręce, po czym nakreślił palcem owal wokół własnej twarzy.

– Briefowałem ci ten temat. Czy to według ciebie wygląda na szlachetne oblicze kogoś, kogo stać na takie hotele?

Kokietował, bo przecież oboje wiedzieli doskonale, że nie potrzebował charakteryzacji, by wcielić się, w kogo tylko chciał. Za plebejską powierzchownością krył się niebywały talent do mimikry, podparty niebywałą pewnością siebie i talentem do improwizacji. Gdyby uparł się zagrać brytyjskiego następcę tronu, nie przeszkodziłby mu nawet brak fizycznego podobieństwa.

Nie powiedziała jednak tego, ograniczając się do posłania mu zniecierpliwionego spojrzenia.

– Dobra, dobra. Jadę dziś wieczorem na finał do Gdańska. Nie mówiłem ci, bo sam nie wiedziałem, ale temat już podegrany, sprawa dość prosta, tyle że robią go dzieciaki, więc muszę skontrolować i służyć pomocą w razie czego.

– Dzisiaj? – Zdziwiła się, by zaraz zadać istotniejsze, dużo bardziej

nurtujące ją pytanie. – I będą tam same dzieciaki?

Bartek westchnął ciężko.

– Nie wiem, czy same. Ktoś lokalny pewnie też będzie. Ale nie ona. Jej nie będzie ani w Gdańsku, ani w Zakopcu. Robiła wczoraj z Marcinem i jakąś smarkulą przygrywkę na Mokotowie. – Zrobił pauzę, a gdy oczy Marty zwięzły się w małe szparki, szybko dodał: – Nie pytałem go, sam powiedział. Dla mnie to, powtórzę po raz tysięczny, dawno zamknięty temat. Mogłem ci w ogóle o nim nie mówić, ale powiedziałem, bo obiecałem być szczery, tak? No to jestem.

Kiedy otworzyła usta, w jej dłoni zawibrował telefon. Zerknęła na wyświetlacz.

– To oni, pogadamy w domu – rzuciła, siląc się na uśmiech. Zdała sobie sprawę, że rozmawiają tu już stanowczo za długo. Dwie osoby nie z tej bajki, w dodatku tak od siebie różne, zwracają niepotrzebną uwagę. Kolejny błąd. – I dzięki jeszcze raz za pomoc, te nowe zamki doprowadzają mnie do szału. Dam znać, kiedy masz zadzwonić.

Odebrała, przyłożyła telefon do ucha i patrząc, jak Bartek rusza w stronę staruszki i jej rozmówczynie zza drzewa, powiedziała do aparatu:

– Dzień dobry, pani Ewo. Są już państwo? No tak, to zawsze jest trochę problem. Ale proszę spróbować na parkingu od Krasińskiego... Tak, właśnie tam, od kościoła. Dokładnie. To ja wyjdę do państwa z tamtej strony. Tak, do zobaczenia.

Odruchowo zerknęła na klatkę, by się nie pomylić, powtórzyła w głowie kod do domofonu i skierowała się do właściwej bramki.

*

Państwo Mierzejscy pochodzili z lubuskiego. On – Jarek – barczysty, opalony mężczyzna po pięćdziesiątce, ostrzyżony na jeża, szeroki w klatce i ramionach, koszulka polo, brzusek. Ona – Ewa – filigranowa, platynowa blondynka o nieco zbyt mocnym makijażu, pogodna, choć coś w kącikach jej oczu i zmarszczkach wokół ust sugerowało skłonność do uporu.

Towarzyszyły im dwie córki: starsza, Ilona, z urody podobna do matki, ale bardziej naturalna i uśmiechnięta, wyróżniała się dobrze dobranymi oprawkami okularów. Młodsza, Gosia, akurat w fazie wczesnego licealnego buntu, ubrana w porwane dżinsy i spraną koszulkę Iron Maiden, miała minę, jakby nie mogła się zdecydować, czy bardziej światem gardzić, czy go nienawidzić. By tu dotrzeć na tę godzinę spod Zielonej Góry, musieli wyjechać naprawdę wcześniej rano albo nocowali w Warszawie.

Marta złapała się na tym, że próbuje to ocenić na podstawie częściowo ukrytej za lustrzankami twarzy mężczyzny. Nie doszła jednak do rozstrzygających wniosków.

– Dzień dobry państwu – powiedziała, podchodząc do nich i witając się po kolei z każdym krótkim, pewnym uściskiem ręki. – Jak podróż?

– Większość trasy autostradą, więc raz-dwa, tylko po kieszeni trzepie – stwierdził Mierzejski. – Dopiero tu załapaliśmy się na poranny korek. To musi być zakała życia w stolicy, co?

– Nawet pan sobie nie wyobraża – odparła Marta, jednocześnie notując w pamięci dwa istotne fakty: przyjechali jednak dzisiaj, zamiast wziąć hotel na jedną noc i wypocząć, a Mierzejski czuł się zobowiązany do nawiązania do kosztów autostrady. To oznaczało, że najprawdopodobniej będzie próbował się targować. – Dlatego w taką pogodę, gdy nie muszę się tak ubierać, to tylko rower.

Dostrzegła błysk w oku Ilony, która jak Marta zrozumiała z telefonicznej rozmowy, miała tu mieszkać najpierw sama, a za dwa lata z siostrą. W dodatku jej drobne gesty wobec ojca i ojca wobec niej wskazywały na to, że dziewczyna jest oczkiem w głowie tatusia, więc to pod nią przede wszystkim należało grać.

– Nie wiem, czy w Zielonej Górze jest system rowerów miejskich – pociągnęła. – Jeśli nie, to potem z przyjemnością wytłumaczę, jak działa.

– We Wrocławiu jest – odparła Ilona. – Ale dzięki, chętnie przyjmę każdą nową wiedzę.

– Czy to bezpieczna okolica? – zapytała pani Mierzejska, gdy Marta wpisywała kod do drzwi. Dziewczyna się przez to pomyliła, ale na szczęście

wychodzący akurat mężczyzna otworzył bramkę przyciskiem i wpuścił ich do środka bez uraczenia przy okazji podejrzliwym spojrzeniem.

– W zasadzie jedna z najspokojniejszych – odparła. – Oczywiście jak każda ma swoje czarne punkty, jednak to przede wszystkim teren parków, placów zabaw, miejsce wytchnienia.

– Zielony Żoliborz, pieprzony Żoliborz...

– Gośka! – obruszyła się Mierzejska, a Marta roześmiała się tylko.

– Proszę się nie denerwować, to cytat z piosenki – wyjaśniła. – T-Love Warszawa.

Puściła oko do młodszej z dziewczyn, ale ta, sądząc po minie, nie doceniła udzielonego jej wsparcia.

Pod klatką ponownie wpisała kod. Robiąc to, dostrzegła kątem oka, że staruszka z pudłem skończyła rozmowę i ruszyła w dalszą część obchodu. Na widok Marty przyspieszyła i uniosła rękę, jakby chciała ją powstrzymać przed wejściem. Dziewczyna dokonała szybkiej oceny sytuacji i uznała, że lepiej teraz niż potem. Wpisała więc kod, otworzyła drzwi i przepuściła Mierzejskich.

– Państwo już wejda, mieszkanie jest otwarte, numer szesnaście. Proszę się rozejrzeć, a ja tylko dwa słowa zamienię z panią Olą, dobrze? Ona jest tutaj dobrym duchem osiedla, wszystkiego pilnuje. Pewnie chce o państwa zapytać.

Nie czekając na odpowiedź, zamknęła drzwi i przybierając najładniejszy z uśmiechów, wyszła naprzeciw staruszce.

– Dzień dobry – powiedziała głośno i wyraźnie, ale nie tak, by dać jej odczuć, że ma ją za niedosłyszącą. – Przepraszam, odniosłam wrażenie, że chce mnie pani o coś zapytać.

Kobieta pokiwała głową, szarpnęła za smycz i przystanęła, oddychając kilka razy głęboko. Gdy już wyrównała oddech, wyciągnęła dłoń pokrytą cienką jak pergamin, pomarszczoną skórą.

– Lewandowska – przedstawiła się. – Ona to z tej agencji, co mieszkania wynajmuje i sprzedaje? Kruszewskich, tak? Spod szesnastki?

– Tak właśnie – odparła Marta.

– Sprzedają czy wynajmują?

– Wynajmują.

– A za ile?

Zamiast odpowiedzieć od razu, Marta otworzyła torebkę i wyjęła notes.

– Wie pani co? Ja teraz muszę wracać do klientów, a to się dłuższa rozmowa szykuje, ale jak mi pani poda adres, to chętnie przyjdę. Albo jakbyśmy mogły się umówić za... – przewertowała kilka pustych kartek – tak za półtorej godziny, to ja bym przyniosła jakieś ciastko i porozmawiamy.

Staruszka zmrużyła oczy, mierząc ją baczny spojrzeniem. W końcu szarpnęła smycz, machnęła wolną ręką i pokazała na okna dokładnie naprzeciwko.

– Ja w tamtej klatce, pod dwadzieścia trzy mieszkam. Ciastem się nie kłopcze, bo upiekłam. Syn ma być wieczorem, ale to przecie całego nie zje. Drożdżowe lubi? Z truskawkami krajowymi, bo są już pierwsze.

– Lubi – przyznała zgodnie z prawdą Marta. Kto wie, może naprawdę się skusi? – Pani wybaczy, naprawdę muszę już bieć. To za godzinę, dobrze?

Staruszka kolejny raz machnęła ręką.

– A idzie, idzie.

Marta wróciła pod klatkę, wpisała kod i weszła do budynku. Sprawnie pokonała dwa półpiętra schodów i pchnęła uchylone drzwi szesnastki.

Mieszkanie składało się z niewielkiego korytarza z przesuwными drzwiami do łazienki na wprost, wychodzącego na duży jasny pokój z trzema wnękami. W jednej z nich mieściła się całkiem przestronna kuchnia, w drugiej, z trudem, dwuosobowe łóżko, w trzecią, idealną pod szafę, wsunięto sfatygowaną kanapę. Wszystkie pomieszczenia niedawno odmalowano, o czym świadczył wciąż unoszący się w powietrzu zapach farby, a wykładzinę podłogową zmieniono, więc całość prezentowała się świeżo i atrakcyjnie. Może nie adekwatnie do ceny, jaką faktycznie oferowała agencja, ale na ich fałszywej stronie, sprofilowanej na niewielkie miejscowości na południu i zachodzie Polski, propozycja była dużo lepsza.

Dla ludzi z prowincji z aspiracjami do wysłania dzieci na studia do stolicy – oferta nie do odrzucenia.

Mimo to, gdy Marta weszła do mieszkania i zobaczyła Jarosława Mierzejskiego z telefonem w jednej dłoni i wydrukiem oferty w drugiej, domyśliła się, że trochę to wszystko potrwa, a targowanie, którego oczywiście się spodziewała, będzie jednak ostrzejsze, niż początkowo sądziła. Bo ludzie wynajmujący mieszkanie, wiedziała o tym z doświadczenia, dzielili się z grubsza na tych, którzy wchodzą, robią rundkę po pomieszczeniach i już mogą podpisywać umowy, oraz upierdliwców z listami do odhaczenia. Ci na oględzinach przed wynajmem są gorsi niż biała rękawiczka Perfekcyjnej Pani Domu, a pedantyzm przechodzi im dopiero, gdy zdają mieszkanie, oczekując zwrotu kaucji.

– I jak się państwu podoba? – zapytała Marta.

– Bardzo – odparła z entuzjazmem Ewa Mierzejska. – Jest takie przestronne, jasne i...

Umilkła, spiorunowana spojrzeniem męża. I tu Marta musiała przyznać punkt Mierzejskiemu. Gdyby była prawdziwą agentką, od razu wykorzystałaby takie gadanie i wbiła klin. Tyle że zareagował za późno. Mleko się rozlało, a każdy dobry agent już skutecznie tutaj „dziel i rządź”. Na szczęście Marta nie musiała i mogła być tą głupią.

– A pan? Co pan myśli? – zapytała Jarka.

– Widzę, że kilka rzeczy tutaj się nie zgadza. – Zamachał wydrukiem. – Ot, chociażby meble kuchenne. Bardzo korzystne zdjęcie w ofercie, ale na żywo nie prezentują się za dobrze. Jak tu jest z ogrzewaniem? To duża przestrzeń, a budynek chyba nie był ocieplany.

– Będzie... – powiedziała, by zaraz zamknąć usta z cichym kłapięciem, i na ułamek sekundy spięła całe ciało. Na krótko, acz zauważalnie, w duchu wdzięczna, że dostała to pytanie w prezencie i mogła udąć spontaniczną reakcję. Gdyby Mierzejski pominął ten temat, musiałaby go naprowadzać, a tak... Bystry i przesadnie pewny siebie. Gap idealny.

– Aha, czyli moją córkę czeka w najbliższym czasie upierdliwy remont, rusztowania i budowlańcy zagląający w okna? – Mierzejski uśmiechnął się

drwiąco. – Bo jeśli tak, cena nie wygląda już tak korzystnie.

To oczywiście była nieprawda i Marta wiedziała, że on o tym wie. Cena byłaby korzystna, nawet gdyby nad nimi znajdował się sekretny burdel, a w piwnicy wytwórnia prochów. Ale nie miała do niego żalu, że próbuje. Wyjęła z torebki kopertę z fałszywymi rachunkami i podała mężczyźnie.

– Decyzja spółdzielni mieszkaniowej o ocieplaniu tego budynku została podjęta na ostatnim zebraniu. Cały blok będzie ocieplany w przyszłym roku i wtedy, jeśli państwo się zdecydują, będą podpisywać z właścicielem kolejną umowę na zasadzie pierwszeństwa oferty. Natomiast obecnie koszty ogrzewania wcale nie są wysokie. Proszę zobaczyć. Tu zresztą są wyciągi z rachunków za ostatni rok.

Mężczyzna sięgnął po kopertę, tracąc trochę rezon. Zajrzał do środka, ale nie wyciągnął niczego, tylko położył ją na kuchennym stole.

– To na koniec, dobrze? – powiedział. – Jeszcze się rozejrzemy.

– Oczywiście. Ja sobie przysiędę w kącie, a państwo niech się rozglądają. Jestem do dyspozycji w razie pytań.

Marta uśmiechnęła się i utrzymując ten uśmiech, przeniosła wzrok z niego na nią, tak by Ewa Mierzejska nie poczuła się w tej rozmowie pominięta. Obydwie córki, snujące się z kąta w kąt i z udawanym zaciekawieniem przyglądające się ścianom, jakby trafiły na muzealną wystawę, nie liczyły się w tej chwili, bo absolutnie nic od nich nie zależało.

Dziesięć minut później Mierzejski obejrzał i opukał wszystko, co było do znalezienia w pokoju, i przeszedł do łazienki. Żona, podążając za nim, posłała Marcie przepaszające spojrzenie, na co dziewczyna kolejny raz się uśmiechnęła. Wieczorem będzie ją od tego boleć szczeka, ale cóż, taka rola.

Minutę później wysłała esemesa i po kilku sekundach zadzwonił telefon. Wyjęła aparat, spojrzała na wyświetlacz, rozejrzała się niby ukradkiem i wyciszyła wibrację bocznym przyciskiem. Młodsze Mierzejskie, siedzące na łóżku z nosami w telefonach, niczego nie zauważyły.

Telefon zawibrował ponownie i Marta wstała, obciągnęła spódnice i przeszła do kuchni. Otworzyła okno, pochyliła się lekko i dopiero wtedy

odebrała.

– Tak? Nie mogę teraz rozmawiać, jestem na oględzinach na Słowackiego... Tak, właśnie... Nie wiem, teraz trudno powiedzieć...

Lubiła te fałszywe rozmowy i radziła sobie z nimi bardzo dobrze, kontrolując zarówno ton, jak i natężenie głosu, by brzmiały naturalnie i dyskretnie, a przekaz dotarł do właściwego adresata. Podaj wiadomość o drugim kupcu czy wynajmującym wprost – nikt się na to nie nabierze. Pozwól gapowi samemu wyłowić to z kontekstu podsłuchanej rozmowy – będzie miał się za detektywa.

To wszystko wymagało jednak skupienia i finezji, a także wsparcia po drugiej stronie. Tymczasem Bartek, odkąd byli razem, miewał odpały. Raz gdy ona się produkowała, budując wypowiedzi pod gapa, on deklarował chęć wylizania jej dokładnie na stole jednego z wynajmowanych mieszkań. I mówił o tym tak przekonująco i tak zmysłowo, że na moment zgubiła wątek. Skończyło się to oczywiście awanturą i obietnicą, że to już ostatni raz, ale z nim naprawdę nigdy nie było nic wiadomo, dobrze o tym wiedziała.

Tego dnia jednak zachowywał się grzecznie. Być może przez to, jak zakończyła się ich rozmowa na żywo? Przez wzmiankę o niej? A może faktycznie właśnie zaliczała egzamin do kolejnego kręgu? Nikt nie powiedział tego wprost, choć wiele na to wskazywało. Może dlatego rozmawiał teraz tak profesjonalnie?

Mówił do niej, jakby rzeczywiście był kolegą z agencji i miał kogoś, kto chce pilnie zobaczyć to akurat mieszkanie. Gdy odmawiała, nalegał aż do podniesienia głosu, a potem zaproponował podzielenie się prowizją, gdyby wypaliło.

– Naprawdę nie mogę w tej chwili. Zadzwońię po spotkaniu i wtedy zobaczymy, ale jak się... No wiesz... Nie będę przecież zniechęcać. Okej, tak możemy się umówić. A w razie czego twój klient może o czternastej? Dobra, to dam znać po. Serio, muszę już kończyć. – Rozłączyła się i obejrzała.

Mierzejski patrzył na nią z drugiego końca mieszkania, mrużąc oczy.

– Coś się stało? – zapytał.

Pokręciła głową z nerwowym uśmiechem.

– Nie, wszystko w porządku. Namyślili się państwo?

Mierzejski potaknął bez słowa i ruszył w jej stronę.

– To też w sprawie tego mieszkania? – rzucił.

– To zupełnie nieistotne – odparła. – Ciągłe ktoś dzwoni, by się umówić na oględziny.

– Rozumiem.

Mierzejski zatrzymał się i obejrzał wokół.

– To ładne mieszkanie, ale musimy jeszcze rozważyć kilka ofert – powiedział. – Trochę przekracza nasze możliwości finansowe.

Marta milczała. Czekała, aż z kolei on skończy z teatrzykiem i ponownie na nią spojrzy. Zrobił to.

– Nic nie da się z tym zrobić? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Obawiam się, że nic.

– I nie przytrzyma nam pani tego mieszkania do... powiedzmy, do jutra?

Marta westchnęła i rozłożyła ręce.

– Nie mogę niczego gwarantować, panie Jarku – powiedziała. – To znaczy, mówiąc szczerze i między nami, nie sądzę, by mieszkanie zeszło do jutra, ale...

– Ale ten telefon był jednak w tej sprawie, tak?

– Nie mogę... – zaczęła, gdy nagle kątem oka dostrzegła zielony samochód, zatrzymujący się w niedozwolonym miejscu tuż przy bramce. Zapaliły się światła awaryjne, a z pojazdu wypadł czarnowłosy mężczyzna w błękitnej koszuli. Widziała go już, znała ze zdjęcia na stronie agencji nieruchomości, której podwędzili zdjęcia i mieszkania. Zakłęła w myślach.

Staruszka, przemknęło jej przez głowę. Wścibska staruszka z cholernym pieskiem zaalarmowała go, że coś się dzieje, więc zawrócił z trasy i przyjechał tutaj. Podobno niektórzy agenci czasem tak robią – płacą komuś za obserwowanie mieszkania, na wypadek gdyby właściciel omijał agencję

albo podejrzanе typy kręciły się koło zbyt długo pustego lokum. Dlaczego o tym, cholera, nie pomyślała?!

Znała odpowiedź na to pytanie. Spieszyła się z rekonesansem, a po tylu udanych akcjach zwyczajnie wpadła w rutynę. Zgubiło ją to, co zwykle gubi zawodowców w tej branży. Pewność siebie. Zapomniała. Najzwyczajniej, kurwa, zapomniała!

Teraz jednak nie było czasu, by snuć rozważania czy cokolwiek sobie wyrzucać, bo facet już uporał się z kodem, już wpadł na podwórko. Nie biegł, ale szedł szybkim krokiem. Od klatki dzieliło go może ze sto metrów.

– Pani Marto, jeśli podzieli nam pani kaucję na dwie raty, to chyba się zdecydujemy – powiedziała Mierzejska, wyrastając z za pleców męża. On wyraźnie chciał zaprotestować, jednak tym razem wygrało jej spojrzenie, stanowcze, nieznoszące sprzeciwu.

– Tak, oczywiście, to się da zrobić – odparła nerwowo Marta. – Dadzą mi państwo chwilkę, muszę podejść do samochodu. Proszę się jeszcze rozejrzeć.

Nie czekając na ich reakcję i lekceważąc zdziwione spojrzenia obu młodych Mierzejskich, szybko skierowała się do przedpokoju i złapała za klamkę. Wtedy jej wzrok spoczął na kluczu leżącym na półeczce. Sięgnęła po niego, wyszła z mieszkania i przekręciła go w zamku. W tym samym momencie usłyszała, że na dole ktoś otwiera drzwi. Przez ułamek sekundy rozważała wejście na górę. Utknęłyby tam jednak, a gdyby facet ją znalazł po skonfrontowaniu się z Mierzejskimi, sytuacja wyglądałaby dużo gorzej. Mogła jedynie improwizować, licząc, że staruszka nie wdała się w zbyt wiele szczegółów.

– To pan jest tym człowiekiem od umowy? – zapytała z irytacją, ledwie tylko młody, ciemnowłosy mężczyzna pojawił się na półpiętrze. – Nie spieszył się pan!

Mężczyzna przystanął, wyraźnie zmieszany. Zaraz ochłonie, więc musiała działać szybko.

– Stoję tu jak głupia od dwudziestu minut! Pana koleżanka powiedziała, że będzie pan za pięć minut. Ja nie wiem, nie chcecie moich pieniędzy czy jak?!

Mężczyzna dał jej gestem znać, by poczekała, i spróbował uspokoić oddech. Czowała od niego zapach świeżego potu i papierosów, widziała czerwoną twarz i sterczący spod koszuli brzusek. To znaczyło, że nawet ten szybki chód dał mu w kość. Był wyraźnie osłabiony.

Nadal jednak nie miała szans przemknąć obok niego. Nie na tych wąskich schodach, które zajmował na niemal całą szerokość. Musiała brnąć dalej.

– Myślałam, że jesteście poważną agencją. A tu najpierw ta informacja o gotówce, a teraz to? Kto normalny w ogóle dzisiaj realizuje transakcje gotówkowe?!

– Nikt. – Facet wciągnął i wypuścił powietrze. Otarł pot z czoła. – I nie wiem, po co ten cały teatrzyk. Co, powiesz mi zaraz, że dałaś wszystkie pieniądze jakiejś kobiecie, a ona kazała ci tu na mnie zaczekać? Masz mnie za debila?

– Raczej za chama i prostaka! – rzuciła z oburzeniem Marta. – Nie przypominam sobie, żebyśmy przeszli na ty. I nie, nie dałam nikomu żadnych pieniędzy, kazano mi zaczekać na kogoś z umową. Pieniądze mam przy sobie.

Zdziwił się po raz kolejny. Oczywiście nie dowierzał, ale nie przeszkadzało jej to. Potrzebowała tylko wątpliwości, nie wiary. Wsunęła rękę do torebki i musnęła palcami kopertę z plikiem umów. Brązowa i gruba mogła od biedy ujść za kopertę z pieniędzmi. Wtedy jednak klamka mieszkania numer szesnaście drgnęła. Może to było wrażenie, przypadek, ale nie mogła teraz ryzykować. Zamiast za kopertę, złapała za pojemnik z gazem i gdy tylko facet wszedł na półpiętro, wyjęła go szybkim, pewnym ruchem i trysnęła mu w oczy.

Gość wrzasnął z bólu i zaskoczenia, łapiąc się za twarz, a wtedy Marta pchnęła go i zbiegła po schodach, dziękując Bogu, że nie zdecydowała się na obcasy. Wypadła na podwórko i rzuciła się ku bramce. Celowo wybrała nie tę, przy której migał ostrzegawczo zielony daewoo – liczyła na to, że uciekając w drugą stronę, dalej od placu Wilsona, łatwiej zgubi pościg pośród gąszczu wąskich, jednokierunkowych uliczek. Nie oglądała się za siebie. I tak, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości, wszystkie sąsiadki

przekupionej prukwy staruszki, żoliborski senior monitoring, uważnie ją teraz obserwowały. Gdy facet się pozbiera, co pewnie zajmie mu kilka minut, ona będzie już daleko.

Zdyszana przystanęła za teatrem Komedia. Dopiero tu, zgięta wpół, obejrzała się za siebie, a następnie wyjęła komórkę. Wiadomość od Bartka.

I jak?

uciekłam przekaz że skucha nie dzwoń dotrę sama, odpisała, wspierając się podpowiedziami podsuwanymi sprawnie przez słownik telefonu.

Bartek odpowiedział jej emotikonką smutnej buźki.

8

Jan Karwasz urwał gwałtowną tyradę w pół zdania, przygotowując się do poprzedzonej pauzą puenty. Tym razem jednak, jak nigdy wcześniej, w kluczowym momencie zamarł z ręką wzniesioną w pretensjonalnej, szekspirowskiej pozie.

Spojrzał na własną dłoń, wyraźnie zaskoczony. Skąd ona się tam wzięła? Skąd te palce lekko ugięte, rozcapierzone, jakby trzymał kulisty przedmiot i wyciągał go ku górze niczym owoc albo czaszkę? Dlaczego wysunął do przodu lewą nogę, przenosząc na nią ciężar ciała? Przecież to nie jest, do kurwy nędzy, *Hamlet!*

Cholera, dobrze znany tekst nie powinien go zawieść nawet w pobliże takich rejonów! Ten gest przestawiał zaplanowane akcenty, zmieniał wymowę tekstu. Był pierdolonym błędem w sztuce!

Powiódł wzrokiem po ledwie zarysowanych czubkach głów na wyciemnionej widowni, by się upewnić, że nikt nie zwrócił uwagi ani na nieadekwatność gestu, ani na konsternację aktora. Że wciąż nad nimi panuje. Nie spodziewał się, by mogło być inaczej, bo nie występował dziś przed szczególnie wyrobioną publiką. Karwasz, choć nie dostrzegał teraz żadnych twarzy, wiedział, że większość foteli wypełniają postaci ze świata polityki, biznesu i szeroko rozumianej rozrywki, które w teatrze bywały rzadko, a dziś przyszły tu, jak on, pożegnać wspaniałego aktora, Władka Skórczaniewskiego.

Gdy Władek żył, ludzie lubili się z nim pokazywać, bo umiejętnie skrywający swoje poglądy artysta pasował wszystkim, z niczym się nie gryzł i do końca kojarzył im się wyłącznie ze swoją sztuką. Był ikoną, legendą, kimś, z kim warto zrobić sobie zdjęcie i obnosić się z nim potem jak z nową książką Myśliwskiego. Teraz, gdy odszedł w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat, wielu dało naprawdę wiele, by móc później mówić, że uczestniczyli w uroczystościach pożegnalnych.

Nie, pomyślał Karwasz, wciąż trwając w pozie, która przyprawiła go o konsternację, ci widzowie nie dostrzegą kiczu wzniesionej ręki. Nie dostrzegą zmieszania artysty ani przestרחu, jaki mu towarzyszył, gdy odkrył, że na kilka kluczowych sekund dał się ponieść i stracił kontrolę nad narzędziem pracy. Zupełnie jakby wpadł autem w poślizg, ale opanował je, nim ktokolwiek zdążył się zorientować. I teraz znowu był w grze, a publiczność, siedząc w bezruchu, w ciszy, czekała na puentę.

Powoli opuścił rękę, zaciskając palce. Przysunął pięść do siebie, patrzył na nią przez chwilę, po czym wciąż zaciśniętą wcisnął w kieszeń spodni. Na koniec wyzbywając się resztki patosu, zastąpił go Vonnegutowskim, podszytym drwiną stoicyzmem i wzruszył ramionami.

– Zdarza się – mruknął.

Następnie odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę kulis, odprowadzony snopem światła punktowego reflektora.

Ledwie zniknął, rozległy się gromkie owacje. Ten dźwięk kojarzył się Karwaszowi z jedną z krótkich, intensywnych letnich ulew, po których chodniki pachniały mokrym kurzem, a powietrze zyskiwało rześkość. Lubił ten szum właśnie dlatego, dawno już przestał uważać oklaski za dowód prawdziwego uznania. Za dużo widział, za dużo doświadczył.

Ze swojej budki uśmiechnął się do niego inspicjent Kaziu, mężczyzna o gęstych włosach i długiej puchatej brodzie. Jego zęby skrzyły bielą jak u fałszywych stomatologów w reklamie past do zębów. Karwasz odpowiedział uśmiechem, a wtedy Kaziu uniósł rękę i sparodiował to, co przed chwilą zobaczył na scenie.

Karwasz roześmiał się cicho i rozłożył bezradnie ręce.

– Zdarza się – powtórzył.

Inspicjent machnął dłonią.

– Pan się nie martwi, poza tym było dobrze. Pan zobaczy. – Wskazał na maleńki monitor, na którym widać było zgromadzoną na sali publiczność. – Stoją.

– Zawsze stoją – odparł Karwasz nieprzekonany. – Najpierw jeden uzna,

że tak trzeba, a potem reszta nie chce wychodzić na buców albo ignorantów. Owacje na stojąco to dziś nowe szaty króla, panie Kaziu.

Musnął palcami przyklejonego wąsa, wygładził go i westchnął ciężko.

– No nic, wracam tam. Miejmy to już za sobą.

– Dobrze było, panie Janku. Naprawdę.

– Dziękuję.

Ledwie wyłonił się zza kulis, ulewa się nasiliła.

*

Dwadzieścia minut później Jan Karwasz usiadł przed lustrem, oparł łokcie na blacie i jednym, sprawnym szarpnięciem oderwał przyklejone wąsy. Położył je na blacie, przyczesał palcem wskazującym i włożył do pudełeczka. Następnie zwilżył dłonie w stojącej obok misce i przyczesał sterczące włosy.

Sześć lat temu, gdy zaczynał grać *Zdarza się*, monodram luźno oparty na *Rzeźni numer pięć* Vonneguta i czerpiący pełnymi garściami zarówno z innych dzieł pisarza, jak i jego życia prywatnego, Karwasz był przeciwnikiem tych wąsów i fryzury upodabiającej go do Vonneguta. Złościł się na reżysera, skądinąd swojego niegdysiejszego studenta, że ten idzie w podobne uproszczenia, jednocześnie narzucając widzowi jasną interpretację bohatera.

– To nie jest biografia pisarza! – krzyczał wtedy. – Przemysleniom takim jak te Vonneguta nie potrzeba wąsów!

– On też ich nie potrzebował, ale z jakiegoś powodu nosił. I liczę na to, że pan mi ten powód znajdzie, panie profesorze – odparował wtedy spokojnie młody reżyser, czym zaimponował chyba wszystkim obecnym, z Karwaszem włącznie.

Sześć lat i dwieście czterdzieści występów później – wliczając w to realizację na żywo dla telewizji – odpowiedź na pytanie o sensowność wąsów wciąż pozostawała nieznana, jednak szukanie jej stanowiło nieustanną inspirację do drobnych improwizacji. Czyli w gruncie rzeczy element charakteryzacji przysłużył się sztuce.

A dziś Jan Karwasz przykleił je i odklecił po raz ostatni.

Właściwie już przed dwoma laty pożegnał się z tym monodramem, ale gdy dwa miesiące temu zmarł nagle jego przyjaciel i mentor Władysław Skórczaniewski, media przypomniały sobie nagle, że *Zdarza się* było jego ulubioną sztuką i zadedykowanym mu spektaklem, padła więc propozycja, by wpisać go w uroczystości pożegnalne.

Karwasz nie miał w zasadzie nic przeciwko temu, a jedyny zgrzyt związany z powrotem do monodramu wiązał się z faktem, że kiedyś obaj aktorzy, Skórczaniewski i Karwasz, przez prawie dekadę spotykali się na planie kochanej przez Polaków produkcji, serialu *Psiarnia*, który uczynił ich powszechnie rozpoznawalnym duetem. Temat spektaklu w hołdzie dla przyjaciela podchwyciły brukowce, ludzie zaczęli się domagać transmisji telewizyjnej, a dyrekcja teatru była więcej niż chętna, by na to zapotrzebowanie odpowiedzieć zgodnie z powszechną wolą. I wtedy właśnie Karwasz bardzo stanowczo odmówił.

– Chcą to obejrzyć? Niech ruszą dupy do teatru! – powiedział. – Będzie potrzeba, zagram więcej niż raz, ale niech się, kurwa, pofatygują!

Tak stało na dziesięciu spektaklach – ten właściwy, pożegnalny, zakończony niespełna pół godziny temu, miał być ostatnim.

Zza drzwi dobiegł zgiełk. Zapewne ktoś znanym sobie sposobem dostał się za kulisy z zamiarem porozmawiania z artystą. Karwasz już dawno powiedział, co sądzi o takich pomysłach, jednak nowy dyrektor z mianowania nie był człowiekiem teatru i nie wszystko rozumiał. To dlatego, wbrew wyraźnej prośbie, w garderobie Karwasza raz po raz pojawiały się kwiaty i kosze smakołyków.

Gwar przeszedł w oburzone krzyki, a potem urwał się nagle trzaśnięciem drzwiami, co mogło oznaczać tylko jedno – ktokolwiek się tu wdarł, natknął się na ostatnią przeszkodę, czyli pana Kazia.

Karwasz uśmiechnął się na myśl o inspicjencie. Ten szczupły, żyłasty mężczyzna o śnieżnobiałej czuprynie miał w sobie dobroć świętego Józefa z szopki bożonarodzeniowej połączoną z respektem zarezerwowanym dla zasłużonych w boju wojennych weteranów. Był w tym teatrze dłużej niż

kurtyna i klepki proscenium, a to znaczyło, że ocierał się stażem o czasy antyczne. Zaś w sytuacjach jak ta, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo i spokój aktorów, pan Kaziu stanowił blokadę nie do przejścia.

Wyjął z szuflady zegarek, portfel i telefon z klapką. Dostrzegłszy migającą diodę, otworzył urządzenie i zorientował się, że ma cztery wiadomości wymagające odpowiedzi jeszcze dzisiaj oraz dwa połączenia z numeru, którego nie znał i z niczym nie kojarzył.

Odłożył telefon, zapiął zegarek, portfel wsunął do kieszeni spodni.

Zanim wstał, przyjrzał się sobie w lustrze, workom pod oczami, zmarszczkom głębokim i tym płytkim, wyglądającym jak pęknięcia na szkle. Zwykle robił to odruchowo, by sprawdzić, czy nie został mu na twarzy ślad scenicznego make-upu, na tyle wyraźny, że powinien się go pozbyć jeszcze przed wyjściem. Dziś jednak przypomniał sobie swoje rozważania z czasów młodości, kiedy dopiero zaczynał. Zastanawiał się wtedy, czy taka twarz, jaką teraz nosił, nadal będzie posłuszna jego poleceniom. Czy obwisłe kąciki ust nadal będą w stanie unieść się, jak należy, wyrażając raz drwinę, innym razem szczere, pełne zaskoczenia rozbawienie? Czy lekko przymglone, wyblakłe oczy wciąż będą potrafiły błysnąć iskrą? Wiedział już wtedy, że będzie się tego uczył całe życie i zrobi wszystko, by utrzymać się w formie, tylko czyż nie to samo mówił sobie co drugi sportowiec? A przecież w pewnym momencie nie da się już przeskoczyć swoich ograniczeń.

– Ale nie dziś – szepnął sam do siebie. I wtedy nagle wróciła do niego ta sytuacją z ręką na scenie, ta chwilowa utrata kontroli.

Skąd mu się to wzięło? Gdyby chociaż grał pierwszy raz po przerwie, chwila dekoncentracji, jakiś odruch z innej sztuki – ale dziesiąty?!

Karwasz nie był specjalnie przesądny, w przeciwieństwie do innych aktorów. Oni wszywali w kostiumy czerwone nitki, reagowali histerią na oklaski podczas próby generalnej czy na kolegów z branży siadających bliżej niż w czwartym rzędzie. Owszem, parę razy zdarzało mu się przydepnąć egzemplarz sztuki, gdy ten upadł na ziemię, ale nigdy z obawy, że jeśli tego nie zrobi, zapomni tekstu. Robił to raczej z przyzwyczajenia czy dla uszanowania zwyczaju.

Dziś jednak ten jeden przypadkowy gest z dawno temu odgrywanej sztuki – minęły wszak lata, nim ostatni raz grał cokolwiek Szekspira – napełnił go dziwnym niepokojem, którego nie umiał określić ani przyporządkować.

Wciąż wpatrzony we własne odbicie, poruszył ustami, jeszcze raz, tym razem bezgłośnie wypowiadając słowa stanowiące refren Vonnegutowskiej *Rzeźni numer pięć*, a jednocześnie tytuł monodramu: zdarza się.

Ale przecież, pomyślał, do tej pory się nie zdarzało!

Niemal w tym samym momencie telefon na blacie zaczął wibrować, a małe światełko na zamkniętej obudowie pokazał ten sam co wcześniej, nieznaną numer.

Karwasz wzdrygnął się, sięgnął po aparat, ale ledwie musnął go palcami, cofnął rękę. Ogarnęła go przemożna pokusa, by nie odbierać, by ukryć się przed tym usilnie dobijającym się do niego natrętem. Tak wyglądała dorosła wersja dziecięcego chowania się pod kołdrą, by uniknąć zła czającego się w mroku. Zdawał sobie sprawę, że to niepoważne, jednak to samo przecucie, które tyle razy wyratowało go z kłopotów w życiu i na scenie, mówiło mu teraz, nie, krzyczało ostrzegawczo: Nie odbieraj! Zostaw to, zaraz przestanie!

Ale nie przestało. Komórka umilkła tylko na chwilę, po czym zaraz rozzwoniła się ponownie. Ktokolwiek dzwonił, wiedział, że Karwasz zszedł ze sceny i nic nie stoi na przeszkodzie, by odebrał telefon.

W końcu aktor podniósł z blatu urządzenie wibrujące jak jego stara golarka, odetchnął głęboko i wcisnął przycisk połączenia.

– Tak, słucham? – powiedział, celowo się nie przedstawiając.

– Dobry wieczór, panie Janie. – Usłyszał po drugiej stronie młody, zdenerwowany męski głos. – Nazywam się Mikołaj Otyś i bardzo przepraszam za późną porę, jest pan pewnie zmęczony po spektaklu, ale sprawa, z którą dzwonię...

– Nie znam pana, panie Mikołaju. – Aktor uprzejmie, acz stanowczo wszedł rozmówcy w słowo. – Mogę wiedzieć, skąd ma pan mój numer?

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Halo, panie Mikołaju, jest pan tam jeszcze?

– Tak, jestem... To znaczy, przepraszam. Chętnie panu wszystko wytłumaczę, jednak to zdecydowanie nie jest sprawa na telefon, panie Janie. Czy jest możliwe, żebyśmy spotkali się jutro wieczorem? Możemy w teatrze albo...

Karwasz uśmiechnął się półgębkiem do własnego odbicia. Z jednej strony impertynencja chłopaka, ani chybi młodego aktora, szukającego mistrza, albo dziennikarza idącego ścieżką na skróty, irytowała go, z drugiej bawiła. Bywały dni, że miewał dla takich jak on sporo wyrozumiałości. To jednak zdecydowanie nie był ten dzień.

– Przykro mi, panie Mikołaju – powiedział wciąż spokojnie i możliwie najuprzejmiej. – Nie zamierzam spotykać się z panem ani dziś, ani jutro, ani w przyszłości. Nie będę również kontynuował tej rozmowy, chyba że natychmiast wyjawi mi pan, skąd ma mój prywatny numer telefonu.

Po drugiej stronie znowu zapadła długa cisza. Karwasz uznał, że jego rozmówca się rozłączył i już miał zrobić to samo, gdy nagle męzczyzna odezwał się raz jeszcze, tym razem wolno, starannie dobierając słowa:

– Pański numer widniał w zapiskach człowieka... W notatkach mojego ojca. To dla mnie również niezręczna sytuacja, ale poprosił mnie o kontakt z panem, podobno kiedyś się przyjaźniliście. A teraz on nie żyje i...

Ciszy, która zapadła po tych akurat słowach, uspokojony Karwasz pozwolił właściwie wybrzmieć.

– Bardzo mi przykro z powodu pańskiej straty – powiedział w końcu. – Jednak nazwisko Otyś nic mi nie mówi. Musiało dojść do jakiejś pomyłki.

– Powiem panu wszystko, gdy się spotkamy, panie Janie – odparł jego rozmówca, po czym szybko, zanim Karwasz zdążył zareagować, dodał: – Tak jak mówiłem, pasuje mi jutrzejszy wieczór. Ufam, że panu również, panie... Bosco?

W pierwszej chwili Karwasz był pewien, że tylko się przesłyszał. Odsunął telefon od ucha i chrząknął nerwowo.

– Mógłby pan powtórzyć, jak mnie pan nazwał? – poprosił. – Bo

wydawało mi się, że usłyszałem...

– Bosco. Tak, wydaje mi się, powinna brzmieć wymowa, choć pisze się przez ce. Nakazano mi zwrócić się do pana tym właśnie nazwiskiem, a w razie potrzeby przypomnieć o sylwestrze siedemdziesiątego ósmego. To wtedy panowie się poznaliście?

Z korytarza dobiegło kolejne trzaśnięcie, a zaraz po nim głos dyrektora pytającego, dlaczego Karwasza jeszcze nie ma na górze. Pan Kaziu odpowiedział na tyle cicho, że aktor nie usłyszał, jednak zarazem skutecznie, bo dyrektor nie podjął próby dobijania się do garderoby Karwasza.

– Panie Janie?

– Tak, jestem, jestem. – Palcami lewej dłoni ścisnął i rozmasował nasadę nosa. – Dobrze, panie Mikołaju, spotkamy się, jak pan sobie życzy, jutro. Przetawię swoje plany i dostosuję kalendarz. Byłbym jednak naprawdę zobowiązany, gdyby i pan zdecydował się na małą przysługę i podał mi nazwisko swojego ojca. To ważne.

– Ferdynand Górski – odparł mężczyzna. – Ale miał też jeszcze jedno, na H. Nie wiem, o które pan pyta.

Karwasz zamknął oczy i spokojnie policzył do pięciu. Ferdynand Górski, nie słyszał tego aliasu od... Od ilu lat właściwie?

– Zapraszam pana na kolację jutro wieczorem, panie... Mógłby mi pan przypomnieć nazwisko?

– Otyś.

– Znakomicie. Mogę zaproponować El Popo na Senatorskiej, przy Teatralnym? O ile lubi pan kuchnię meksykańską.

– Eee, tak, chyba tak.

– Świetnie, panie Mikołaju. Będę tam około dwudziestej pierwszej, zrobię rezerwację. Do zobaczenia.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź, i stłumił odruch szybkiego wybrania kolejnego numeru. Zamiast tego złożył telefon, wsunął go do kieszeni i zdjął z wieszaka beżową wiatrówkę oraz kaszkiet.

Wychodząc, minął się z inspicjentem.

– Panie Kaziu – poprosił – czy mógłby pan przekazać dyrektorowi, że musiałem pilnie...

– Oczywiście, panie Janie – odparł tamten. – Proszę się niczym nie martwić, załatwię to.

– Dziękuję. Jest pan aniołem.

Inspicjent zbył te słowa machnięciem ręki, a Karwasz przeszedł korytarzem do drzwi i wyszedł tylnym wyjściem prosto na parking. Oprócz jego samochodu stały tam jeszcze dwa inne, jeden należący do dyrektora i drugi na dolnośląskich rejestracjach.

Karwasz wszedł do swojej skody, zapiął pas i odpalił silnik.

– Kurwa – zaklął cicho, by zaraz powtórzyć głośniejszym i dosadniejszym, uderzając pięścią w kierownicę: – Kurwa mać!

Dopiero gdy się wyciszył, wziął kilka głębszych oddechów, wyjął ze schowka smartfona, uruchomił i wpisał czterocyfrowy pin, zanim jeszcze urządzenie połączyło się bluetoothem z zestawem głośnomówiącym. Następnie wybrał numer opisany jako teatr Damka i czekając na połączenie, wyjechał z parkingu.

– Teatr Damka, słucham? – Przyjemny kobiecy głos wypełnił wnętrze samochodu.

– Dobry wieczór, pani Małgosiu, Janek Karwasz z tej strony. Proszę mi powiedzieć, czy jest szansa, by zarezerwowała mi pani miejsce na jutrzejszy popołudniowy spektakl? Ten o szesnastej.

– Szesnasta trzydzieści – poprawiła go pani Małgosia. – I oczywiście, panie Janie, już zapisuję.

– Dziękuję pięknie, pani Małgosiu. Rączki całuję.

Rozłączył się i przez trzy kolejne przecznice jechał w ciszy.

– Kurwa! – zaklął ponownie na czwartych światłach.

9

W mieszkaniach takich jak jej maleńka klitka na Ursynowie wanny nie były standardem i zaspokojenie tej, zdawałoby się, trywialnej zachcianki, kosztowało ją swego czasu bardzo dużo pieniędzy, czasu i nerwów. Wtedy jednak w każdym trudniejszym momencie Anka powtarzała sobie słowa swojego ojca: „Na coś musisz się w życiu uprzeć. Choćby po to, by przekonać samą siebie, że coś w tym życiu zależy od ciebie”.

Więc się uparła i najpierw frustrowała takim zaplanowaniem łazienki, by jakimś cudem pogodzić wymarzoną wannę z muszlą sedesu i umywalką, a następnie zaciskała zęby, ilekroć przychodził dzień pilnowania fachowców.

Szczerze brzydziły ją ich tanie numery, prymitywne, bez choćby cienia zachowanych pozorów profesjonalizmu. Całe to kiwanie na cenach uszczelek, kleju, rurek. Wszystkiego raptem paręset złotych, jednak samozadowolenie na prostackich, cwaniackich gębach sugerowało, że we własnym mniemaniu nie tylko robili właśnie przekręt stulecia, ale i wygrali starcie w wojnie płci i klas.

Jebałbym cię, mała, mówiły ich butne miny. Jebałbym cię klasycznie, ale skoro mi nie dasz, będę cię jebał na kasę, ty przemądrzała korposuko!

Uśmiechała się tylko, udawała, że tego nie widzi, częstowała kawą i ciastkami. A dwa dni później stanowczo kazała im zrywać płytki i poprawić odpływ, bo wybija. I tak w kółko, aż wszystko było wreszcie po jej myśli.

A potem przychodziły chwile takie jak ta. Długo planowana, wyczekiwana kąpiel z książką, choć w ostatnim zamieszaniu niemal o tym marzyła, znudziła jej się po kwadransie i raptem czterech przeczytanych stronach. Woda okazała się za gorąca, ciało swędziało, jasne światło nieprzyjemnie raziło zmęczone oczy.

W pewnym sensie bawiła ją myśl, jak dużo dałaby teraz za zwykłą kabinę prysznicową i to poczucie, gdy zmęczenie spływa z człowieka wraz z wodą,

wiruje w odpływie i znika, zostawiając go czystego i odświeżonego.

– Po prostu nie wiesz, czego chcesz, idiotko – powiedziała na głos. – Całe twoje popierdolone życie w tej jednej cholernej, łazienkowej metaforze.

Odłożyła książkę, upiła łyk piwa z butelki stojącej na koszu na pranie i sięgnęła po telefon. Spojrzała na godzinę, po czym po chwili wahania odblokowała urządzenie, wybrała ikonkę wiadomości i wysłała esemesa do kontaktu na samej górze.

Śpisz?

Nie czekała długo. Telefon w jej ręku zawibrował, a na ekranie pojawił się napis „Grzegorz” oraz ikona czerwonej i zielonej słuchawki. Na zdjęciu w tle widniał chudy, brodaty mężczyzna o odstających uszach i w okularach w grubych, plastikowych oprawkach, znad których wystawały krzaczaste brwi. Robił zdziwioną minę, jego usta układały się w literę O, a zza jego ramienia wystawała pucułowata czterolatka, wyszczerzona w szczerbatym uśmiechu.

Odebrała.

– Halo?

– Cześć, nie śpię, co tam? – Dobiegło ze słuchawki. Odniosła wrażenie, że jest zdenerwowany. Może zniecierpliwiony? Chociaż Grzegorza trudno było rozgryźć. A już na pewno nie po jednym zdaniu.

– Nic, ciężki dzień miałam, pomyślałam, że zadzwonię. Jak mała?

– W porządku. Było dziś zebranie w żłobku, ale nie poszedłem, bo czekałem na tych z gazowni.

– I co? Nie przyszli?

– Przyszli, tylko koło szesnastej. Prawie się z nimi w progu minąłem, gdy wracaliśmy z Igą z zakupów. A, przeszliśmy oficjalnie na nowy etap.

Anka uśmiechnęła się mimowolnie i przełożyła telefon do lewej ręki. Prawą zanurzyła w wodzie i wyszarpnęła korek.

– To już nie kucyki? – zapytała.

– *Psi patrol* – odparł wyraźnie rozbawiony Grzegorz. – O szczeniakach policjantach ratujących świat.

– Brzmi chłopięco.

– No, ja się bawię fantastycz... Czekał, czy ty siedzisz właśnie w wannie? Masz tam wannę?

Nie było w tym pytaniu nic niepokojącego, ale i tak się zawahała, zanim odpowiedziała:

– Tak, mam tu wannę, tylko maleńką niestety.

– I tak fajnie, w większości hoteli już się od tego odchodzi. Jak Lublin? I kiedy ty właściwie wracasz?

– W środę. – Celowo zlekceważyła pierwsze pytanie. – I wygląda na to, że tym razem trochę pobędę, więc możesz coś zaplanować.

– Jasne. I super, wiesz? Bo trochę Iga pyta i pyta o ciebie, a i ja już się stęskniłem.

– Ja też, kochanie – odparła, choć nie miała pewności, czy to prawda. Nie lubiła go takim, nie znosiła, gdy używał tego tonu. Zupełnie jakby skamlał. Niemal widziała oczyma wyobraźni te jego oczy szczeniaka i choć nie czuła się z tym dobrze, w takich chwilach napawał ją szczególną niechęcią. Ta myśl uzmysłowiła jej, że powinna szybko zakończyć tę rozmowę. Na szczęście wiedziała, jak to zrobić bezboleśnie. – Dobra, rozłącz się teraz, to dostaniesz coś na tęsknotę.

– Serio?! – Radość w jego głosie wydała się nagle jeszcze bardziej żalсна niż żal sprzed chwili.

Aż się wzdrygnęła.

– Tak, kochanie. Serio. Na ładne sny. Kocham cię.

– Ja ciebie też – odparł z ekscytacją. – To czekam!

Rozłączył się, a Anka przestawiła aparat na przednią kamerkę i przyjrzała się krytycznie swojej nagości. W tej pozycji nie wyglądała zbyt atrakcyjnie – fałdki na brzuchu, piersi sprawiające wrażenie dziwnie rozlanych, drugi podbródek. Niezadowolona wygramoliła się z wanny, ustawiła samowyzwalacz na pięć sekund i cyknęła kilka zdjęć w umiarkowanie wyzywających pozach, uśmiechnięta i wciąż ociekająca wodą.

Przed wysłaniem upewniła się, że na fotografiach nie ma żadnych

szczegółów psujących jej legendę, żadnych detali sugerujących, że łazienka nie jest hotelowa. Zrobiła też szybki rachunek sumienia, czy Grzegorz kiedykolwiek wcześniej dostał od niej zdjęcia z tej akurat lokacji, i przypomniała sobie, że tak, ale jeszcze przed remontem.

Jednorazowe. Użyj i skasuj, napisała przy pierwszym, po czym posłała ememesami jedno po drugim.

Pół minuty później przyszedł do niej dwa esemesy.

Pierwszy, od Grzegorza, zawierał szereg emoji z oczkami z serduszek i *Dziękuję* z kilkoma wykrzyknikami.

Była pewna, że drugi jest tylko dopowiedzeniem, wyznaniem miłości albo nieproszonym rewanzem.

Wiadomość numer dwa nie pochodziła jednak od Grzegorza, a z nieopisanego numeru. *Potwierdzenie rezerwacji biletu na spektakl Trzech panów w łódce (nie licząc psa)*. Dalej widniał numer rzędu i miejsca, numer rezerwacji, godzina i data spektaklu, a na końcu *Pozdrowienia od zespołu teatru Damka*.

Upewniła się, że chodzi o jutro, i skasowała wiadomość. Następnie skasowała wszystkie zrobione przed chwilą zdjęcia zarówno z wiadomości, jak i z archiwum aparatu.

Naga i wciąż mokra wyszła z łazienki i przeszła przez pokój, by opaść na kanapę. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio Bosco wezwał ich w ten sposób. I co to mogło właściwie znaczyć?

*

O tym, że jednak nie pojedzie prosto do domu, Marcin zdecydował dopiero na peronie katowickiego dworca. Jeszcze godzinę wcześniej, w pociągu stojącym w szczerym polu gdzieś pośrodku Centralnej Magistrali Kolejowej, kłął na czym świat stoi na opóźnienie i brak sieci oraz prądu w gniazdkach. Padała mu bateria w komórce, a on marzył już tylko o piwie czekającym na niego w lodówce, w jego mikołowskim domu. Ale gdy wysiadł, nagle mu się odwidziało. Czasem tak miał.

Mimo to, schodząc do podziemnego tunelu, skręcił nie w prawo, w stronę

centrum miasta, a w lewo, w kierunku placu Andrzeja, gdzie – jak pamiętał – mieściły się skrzynki depozytowe. Nie musiał z nich korzystać, jego samochód stał od kilku dni zaparkowany ledwie trzy ulice dalej. Podświadomie jednak czuł, że dojście do auta, a potem perspektywa drogi powrotnej skutecznie zniechęciłyby go do powziętego spontanicznie planu, by dzisiejszą noc spędzić w nie swoim łóżku.

Większość schowków stała pusta, wybrał więc na chybił trafił ten z numerem dziewiętnaście, włożył do środka torbę, wrzucił monety, przekręcił i zabrał kluczyk, a pięć minut później wychodził już Galerią Katowicką po drugiej stronie dworca prosto na ulicę 3 Maja.

Wtedy zdał sobie sprawę, że jest środek tygodnia, a choć nie znał Katowic za dobrze, coś mu mówiło, że nawet w weekend nie jest to najbardziej imprezowe miasto w kraju. Jak przez mgłę pamiętał kilka lokali, w których kiedyś zdarzało mu się bywać i nawet dobrze bawić. Ale wszystko mogło się zmienić od tamtej pory.

W podjęciu decyzji pomogły dwie mocno umalowane dziewczyny. Zwłaszcza wyższa z nich, zgrabna brunetka w czarnej, obcisłej sukience ze srebrnymi motywami zwróciła jego uwagę. Ścisnęła niegustowną torebkę i gibała się pokracznie na boki za sprawą butów na za wysokim obcasie. Miała dwadzieścia, może dwadzieścia jeden lat, ewidentnie studentka, mógł iść o zakład, że nietutejsza. Jej wygląd, sposób poruszania się i to, jak oddawała konwersacyjne pole mniej atrakcyjnej koleżance, sugerowało Marcinowi, że dziewczyna jest nieśmiała, ale jednocześnie żadna przygód. Z małego miasteczka? Całkiem możliwe i byłoby miło, choć oczywiście nastęczałoby dodatkowych trudności. Jeśli jest wystarczająco długo w dużym mieście, czekający na nią w domu chłopak mógł już stać się dla niej ciężarem albo wciąż był wyrzutem sumienia hamującym przed oddaniem się zabawie.

Z jej koleżanką, myślał Marcin, byłoby łatwiej. Ta energiczna, pucułowata blondynka nieco w typie amerykańskiej komiczki Amy Schumer, ewidentnie wiedziała, czego chce i po co ruszyła w miasto. Emanowała pewnością siebie, a zarazem – mógł się o to założyć – tą stosowną dozą autodystansu

niezbędną, by uświadomić sobie, że to ona jest w tym duecie brzydszą koleżanką. I że to ją kolejni adoratorzy brunetki najpierw oleją, a potem potraktują jak nagrodę pocieszenia.

Marcin cenił sobie ten pragmatyzm i wynikające zeń kalkulacje, ale sam nie zamierzał iść na łatwiznę. Wiele mogło się jeszcze zmienić, jednak na razie ustawił radar na brunetkę i z tą myślą ruszył w ślad za dziewczynami.

Założył, że kierują się do jednego z dwóch lokali w tej okolicy. Jeden mieścił się na końcu ulicy, po lewej, przy dużym placu, którego nazwy nie pamiętał, ale na którego środku znajdował się zaniedbany park. Ta miejscówka kojarzyła mu się z imprezownią studencką, stołami z palet, kredową tablicą nad barem i gazetkami typu „Ultramarina” w kiblach.

Drugi lokal krył się w jednej z bram, całkiem niedaleko. Nazywał się City pub albo club, jakoś tak, i o ile Marcin dobrze pamiętał, tkwił zawieszony w czasie między poprzednimi dwiema dekadami. Boksy obite czerwonym skajem i wytarty parkiet, a na nim goście w czarnych koszulkach i złotych łańcuchach kołyszą się topornie i ślinią na widok grupki dziewczyn tańczących w bezpiecznym kółeczku. Z głośników lecą hity nowe i stare, a nad wszystkim unosi się nieustannie duch Franka Kimono deklarującego raz po raz, czyli mniej więcej co dziesięć kawałków, jak to swoją wybranek będzie brał w aucie.

Szybko okazało się, że dziewczyny zmierzają do tego drugiego miejsca. Marcin dał im chwilę, by nie wchodzić do bramy zaraz za nimi. Spokojnie zapalił papierosa i wyjął telefon tylko po to, by upewnić się, że urządzenie padło już zupełnie.

– Szlag! – mruknął. Wrzucił smartfona do kieszeni i wszedł w bramę.

Pod lokalem stało kilku mężczyzn w białych koszulach i poluzowanych krawatach. Palili. Jeden z nich opowiadał coś podekscytowanym głosem, a reszta się śmiała. Byli w całkiem niezłych nastrojach, ewidentnie z tej samej branży, co sugerowało delegację albo konferencję. Nie mieli marynarek, czyli pewnie reszta grupy jest w środku. To mogło ułatwiać i utrudniać. Ułatwiać, jeśli na szkoleniu są kobiety i oni przyprowadzili je tutaj, by zmiękczyć i przeruchać potem w hotelu. Utrudnić, jeśli do lokalu

wpadło po prostu stado wygłodniałych samców, spuszczonej z małżeńskich smyczy i...

Dość, skarcił się w myślach. Stanowczo za dużo dzisiaj analizował. Nic tylko kalkulował i przygotowywał się na każdą ewentualność. Kiedy przestało mu to sprawiać zwyczajną frajdę? Kiedy ostatni raz improwizował jakiś numer, nie wiedząc, jak się potoczy, albo poszedł na żywioł? Kiedy...

– Hej, podziel się ogniem – zagadał do niego jeden z krawacıarzy, stojący trochę na boku i od dłuższej chwili mordujący się z mechanizmem taniej, przezroczystej zapalniczki. Gość wyglądał na porobionego, ale jeszcze się trzymał.

– Jasne, stary. – Marcin wyłowił z kieszeni swoje zippo, machnął nadgarstkiem i podsunął tamtemu płomień prawie pod sam nos.

– O, niezły trik – pochwalił facet. – I dzięki, stary. Palić mi się chce jak sam chuj.

– Żaden problem. Ciasno w środku?

– Niestety, puściutko. – Machnął ręką z wyraźną rezygnacją. – Ja wiem, że jest środek tygodnia, ale myślałem, że Katowice to bardziej rozrywkowe miasto. Stąd jesteś?

Marcin już miał odpowiedzieć, gdy nagle zdał sobie sprawę, że... Że to wszystko nie ma sensu. Nic, ani to śledzenie dziewczyn, ani analizowanie ich wyglądu i zachowania, ani stanie tu i rozmowa z krawacıarzem, ani nic, co zamierzał zrobić tego wieczora.

Znał ten stan, to uczucie, miewał tak już wcześniej. Zupełnie jakby jego umysł stanowczo odmawiał powrotu do normalnego życia, jakby pragnął jedynie pozostać w trybie stuprocentowego gracza. Tyle że, pomyślał Marcin, dotąd zdarzało się to wyłącznie po długich numerach, nigdy po zwykłej przygrywce.

– Przepraszam, chyba... – Ku swojemu szczeremu zdumieniu, nie był w stanie znaleźć odpowiedniej wymówki. – Chyba muszę być gdzie indziej.

Odwrócił się i nie oglądając na zaskoczonego rozmówcę, pokonał bramę i ruszył w stronę dworca.

Idąc wzdłuż galerii, zaczął się śmiać. Przechodnie oglądali się na niego, a on śmiał się coraz głośniejsze, coraz bardziej, aż poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Przetarł twarz przedramieniem i stał kilka minut zgięty wzdłuż przy wejściu na dworzec, łapiąc oddech.

Następnie pokonał główny hol i podziemny tunel wiodący do wyjścia od strony placu Andrzeja, gdzie wyjął ze schowka torbę.

Zanim dotarł do samochodu, właściwie pogodził się z myślą, że następne dni, aż do kolejnego powołania, będą znowu zwyczajne, szare i nudne. Życie to też jest rola, tłumaczył mu na samym początku Bosco, być może najtrudniejsza ze wszystkich, bo wbrew wpisanej w każdego z nich naturze i przez to wymagająca nieustannej pracy, nawet wtedy, gdy nikt nie patrzy. Ale, podkreślał stary oszust, to rola najważniejsza. Bez niej nie ma bowiem żadnej innej.

Marcin podłączył telefon do ładowarki.

Wiadomość z teatru Damka, która przyszła zaraz po tym, gdy urządzenie zalogowało się do sieci, przyjął z nieskrywaną radością.

*

Gdy Marta wróciła do domu, Bartek siedział przy laptopie rozłożonym na stole w kuchni. Jego zielona walizka stała obok szafki z butami; na wyciągniętej rączce wisiała czarna, zapinana po przekątnej bluza z kapturem.

– Cześć – rzuciła.

– Cześć. – Bartek oderwał wzrok od monitora. – Chcesz pogadać o tym, co zaszło?

Musiał poczekać na odpowiedź, aż Marta zdejmie buty, odwiesi zakiet i starannie umyje ręce. Mimo to, gdy weszła do kuchni, wciąż obwąchiwała palce.

– Ja nie wiem, to cholerstwo musiało być przeterminowane jakies – powiedziała. Podeszła do Bartka i podsunęła mu dłoń prosto pod nos. – Weź powąchaj. Śmierdzi nie?

– No, śmierdzi – przyznał. – Co to?

– Ten gaz, który miałam w torebce.

– Gaz? – zdziwił się i wyraźnie zaniepokoił.

– No tak, użyłam go na pośrednika, żeby zwiać – wyjaśniła. – Pierdolone staruszki donosicielki. Oby zdechła, mumia zasuszona.

Wyciągnęła spod stołu taboret i usiadła obok Bartka, kładąc mu głowę ramieniu. Ten wzdrygnął się, a jego dłoń uniosła się nieznacznie, acz zauważalnie ku krawędzi ekranu. Marta natychmiast się wyprostowała.

– Trzeba mówić, że robisz coś, czego nie mogę widzieć – powiedziała z wyrzutem. – Wezmę sobie tylko coś do jedzenia i idę coś pooglądać.

Podniosła się ze stołka, ale złapał ją za rękę.

– Nie, przepraszam, odruch taki – wyjaśnił. – Szykuję stronę fałszywkę na numer z Gdańska. Niby jest gotowa, tylko czegoś mi w niej brakuje, jakiegoś ostatniego szlif.

Nie usiadła od razu, ale Bartek widział, że ją udobruchał i że nie może się doczekać, aż dowie się czegoś więcej. Zamierzał jej na to pozwolić, w końcu była wtajemniczona w większe numery od tego, co choćby szykowali na Zakopane, a poza tym zdawał sobie sprawę, że Marcie przyda się pocieszenie. Z rozmowy sprzed kilku dni wywnioskował, że w sukcesie dzisiejszego numeru upatrywała szansy na wejście do kręgu.

Nie wyprowadził jej z błędu i nie dawało mu to spokoju, bo miał wrażenie, że łamie w ten sposób zasadę szczerości. Tylko czy naprawdę liczyła na to, że się dostanie? Nigdy nie zasugerował takiej wizji, zresztą sam nie wiedział, w jaki sposób to się odbywa.

Trochę jak z pasami w sztukach walki. W jednym promocję dostajesz regularnie jak w zegarku, z każdym kolejnym zamkniętym etapem. W innych twój mistrz musi najpierw uznać, że jesteś gotowy. Wybrani dostawali szansę poznania Bosco i działania w jego numerach – niekoniecznie najrentowniejszych, ale zwykle bezczelnie pomysłowych i przechodzących do legendy.

Czy Marta miała szansę? Owszem! Nie była tak dobrą aktorką jak Anka czy on, nie potrafiła tak znakomicie, z zimną krwią improwizować jak Marcin, by wspomnieć tylko o ostatnich nabytkach kręgu. Ale wiedzę

teoretyczną o oszustach czy klasycznych numerach miała w małym palcu. I w boju też radziła sobie niezgorzej. Kto wie, może weszłaby już do zespołu, gdyby nie ich związek? Ale o tym też Bartek nie zamierzał jej mówić.

Usiadła.

– Wprowadzisz mnie? – zapytała, wpatrzona w otwartą zakładkę ze stroną gdańskiego dewelopera.

– Pewnie, czemu nie? – odparł. Poruszył myszką i przełączył na drugą zakładkę, zawierającą zdjęcie osiedla mieszkalnego w stanie zaawansowanej budowy. – Sprawa jest już na finiszu, na dniach odpalamy finał. Będziemy sprzedawać mieszkania na tym osiedlu. To znaczy oni będą, ja jadę tylko jako wsparcie.

Zrobił pauzę, licząc, że zapyta, o co właściwie chodzi, jednak nie zrobiła tego. Po prostu patrzyła na ekran, uroczo marszcząc czoło i ściągając usta w ciup. W pewnej chwili bezwiednie uniosła rękę, by założyć za ucho niesforny kosmyk, a on powstrzymał się przed zwróceniem jej uwagi na te niekontrolowane odruchy. Kiedyś będzie musiał, ale dziś ani mu to było w głowie.

– Legenda jest taka – powiedział w końcu, przerywając ciszę. – Deweloper już od długiego czasu szykuje te oto ładne mieszkania, chcąc na nich wygarnąć od pół do półtorej bańki na każdym, i właśnie dowiedział się od swoich ludzi w radzie miasta, że tu, na tym polu – pokazał palcem dolny róg zdjęcia – powstanie osiedle dla muzułmańskich uchodźców, których miasto zdecydowało się przyjąć. Decyzję na ten temat ogłoszą za niecałe dwa tygodnie, więc oczywiście tyle zostało deweloperowi na sprzedanie mieszkań, zanim okaże się, że nie ma już co sprzedawać, bo przecież kto rozsądny przy dzisiejszych nastrojach kupi luksusowe mieszkanie obok obsranych Syryjczyków? Facet decyduje się więc sprzedać mieszkanie za połowę ceny, jednocześnie rozpuszczając wiarygodne plotki, uzasadniające szybką potrzebę spieniężenia inwestycji.

– Okej, i to jest zanęta dla gapa.

– Tak, choć oczywiście nie cała, bo tu jeszcze nie ma biznesu, zwłaszcza szybkiego – wyjaśnił nieco protekcjonalnie, z czego zdał sobie sprawę

poniewczasie. Kiedyś, gdy bardziej była fanką niż zawodowcem, lubiła, gdy tak wszystko objaśniał. Potem zaczęło ją to drażnić. Tym razem jednak nie powiedziała ani słowa.

– Tak się składa – podjął – że gap zupełnym przypadkiem podsłuchuje rozmowę na ten temat i tu pojawia się jeszcze jeden istotny szczegół w sprawie. Deweloper nie wie, że ulokowanie budynków dla uchodźców będzie jednak inne! Miało być obok osiedla, ale – i to nie jest fakt znany człowiekowi dewelopera – pewne kwoty poszły pod stołem, pewne interesy się zawiązały i teraz budynki socjalne postawią gdzie indziej, by zaniżyły ceny innych gruntów i inwestycji. Temat brzmi pewnie, padają konkretne nazwiska przekupionych, a sprawa – tak wychodzi z rozmowy – będzie głosowana na najbliższym posiedzeniu rady, za kilka dni. To oznacza...

– ...że bardzo okazyjne ceny mieszkań będą tylko przez kilka dni – dokończyła Marta. – Fajne.

– Tak, właśnie! – Tym razem Bartek przegiął w drugą stronę, reagując tak, jakby dokonała przełomowego odkrycia, a nie tylko dokończyła zdanie oczywiste dla kogoś z dużo mniejszą niż jej wiedzą i doświadczeniem. Muszę się bardziej pilnować, pomyślał. I lepiej stonować tę rozmowę, jeśli nie chcę, by skończyło się awanturą.

– Oczywiście rozmówcy orientują się, że gap ich podsłuchuje – pociągnął myśl dalej – i ostatecznie proponują mu udział w szybkim skupie przecenionych mieszkań. Każdy wchodzi z jakąś kwotą, ale nie mniejszą niż dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Plan jest taki, by kupić za połowę ceny, a gdy sprawa się rypnie dzień później, odsprzedać temu samemu deweloperowi za siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć procent, w pakiecie oferując milczenie na temat całej sprawy. Jeśli nie, mamy wariant awaryjny w postaci konkurencji, która oferuje trochę niższe, jednak wciąż imponujące dziesięć i piętnaście procent. W wersji optymistycznej przy mieszkaniu za pół bańki zysk z numeru to sto tysięcy. Gdy zainwestujesz minimum, jesteś pięć dych do przodu w dobę. W wersji awaryjnej...

– Umiem liczyć – mruknęła Marta, w zamyśleniu skubiąc górną wargę. – No dobra, czyli lecicie klasykiem. Ale co jeśli gap zamiast iść na ten układ,

pójdzie bezpośrednio do dewelopera, gdy tylko zobaczy obniżone ceny? Bo rozumiem, że zobaczy, gdy przekierujecie go z oryginalnej na tę wersję strony.

Bartek uśmiechnął się szeroko.

– Po pierwsze nie pójdzie, bo nie będzie chciał, by go kojarzono z podobnymi akcjami. W tak szemranej sprawie wskazana jest cisza i gotówka – wyjaśnił. – Po drugie zrobiliśmy z nim już pierwszy etap i na tę chwilę jest do przodu z dycheń. Ale nawet gdyby mimo wszystko zdecydował się pominąć nas w tym projekcie...

– Czekaaj, nie kończ! – zawołała, a potem raz jeszcze zmarszczyła czoło i odgarnęła kosmyk za ucho. – W biurze dewelopera zaraz rozpocznie się deratyzacja i potrwa akurat tyle, by gap natknął się na miejscu na naszą załogę?

Spojrzała na niego i właśnie w tym momencie zdał sobie sprawę, co się dzieje. Późno jak na zawodowca, cholernie późno! A przecież prowadziła tę rozmowę śpiewająco, skłaniając go wręcz, by używał mentorskiego tonu, by wyjaśniał każdy detal, aż wreszcie sam doszedł do punktu, w którym wygada się, że w jednej ze scen, choćby w epizodzie, znalazłoby się miejsce dla niej.

Marta przekrzywiła głowę.

– Proszę cię, Bartek, zabierz mnie ze sobą.

*

Pół godziny później czerwony z wściekłości wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. W dłoni ścisnął rączkę walizki i czekał na taksówkę zamówioną za pomocą aplikacji. Nie miał pojęcia, w jaki sposób eskalowało to tak szybko. Od możliwie najdelikatniejszej formy odmowy i przypomnienia Marcie reguł gry, po wypominanie starych spraw, a w szczególności „Jej”, koniecznie dudniącej wielką literą i wymawianej tonem zarezerwowanym dla cholernych filmowych czarnych charakterów. Nie wiedział, dlaczego nagle ta konkretnie sprawa z jego przeszłości, o której wspominał, gdy postanowili być ze sobą całkowicie szczerzy, zaczęła wracać z taką częstotliwością. Przecież nie dał

ku temu żadnych, kurwa, powodów!

Wiadomość o rezerwacji z teatru *Damka* przyszła, gdy Bartek siedział już na tylnym siedzeniu bordowego passata.

Przeczytawszy ją, bez zwłoki anulował bilet do Gdańska, zrobił rezerwację w warszawskim hotelu Leonardo i kazał kierowcy zmienić trasę.

Nie zamierzał teraz wracać do Marty. Cokolwiek skłoniło Bosco do ściągnięcia ich wszystkich w trybie pilnym, najprawdopodobniej będzie wymagało pełnej uwagi w najbliższych dniach. W domu nie miał co liczyć na sprzyjającą temu atmosferę.

Skutki II

(wrzesień)

– Jesteś u celu – poinformował kobiecym głosem GPS.

Pedro zwolnił i odwrócił głowę, by przyrzeć się mijanemu piętrowemu budynkowi po lewej. Ładny, uznał, ale widywał ładniejsze. Gdyby miał wskazywać pozytywy, a tego ostatnio uczył się za sprawą słuchanej niedawno książki, szczególnie podobały mu się duże okna na dole, teraz zasłonięte żaluzjami antywłamaniowymi, oraz taras na piętrze z wielkim grillem jak z amerykańskich filmów.

– Na następnym skrzyżowaniu, jeśli możliwe, zawróć – polecił GPS dwieście metrów dalej.

Zamiast tego Pedro skręcił w prawo i znalazł miejsce na osiedlowym parkingu pod blokiem. Wyjął telefon z uchwytu i wysiadł. Z tylnego siedzenia wziął lekką kurtkę wiatrówkę i torbę sportową bez logotypu. Upewnił się, że w kieszeni wiatrówki wciąż ma rękawiczki, a potem zamknął samochód i ruszył pieszo drogą, którą przyjechał.

Był ciepły wieczór. Tylko wiatr dmuchający raz po raz przeszywał na wskroś, skłaniając w końcu Pedra do przystąpienia, postawienia torby i zapięcia kurtki.

Gdy mocował się z zamkiem, obok przechodziła jakaś para dzieciaków, a chłopak wpatrzony w Pedra na moment stracił wątek. To dobrze, bo znaczyło to, że te dwie sztuczne blizny – jedna poprzeczna wzdłuż szczęki i druga ciągnąca się ukosem od skroni po górną wargę – faktycznie działały, jak powinny. Prosty patent podpatrzony u bratanicy, buteleczka Collodionu z sieci za trzydzieści złotych i wszelkie zeznania potencjalnych świadków szły w piódziec.

Na skrzyżowaniu minęła go ekipa w busie. Gestem pokazał im, by skręcili, i postukał się w nadgarstek na znak, że powinni się pospieszyć.

W rzeczywistości czas nie grał teraz aż tak wielkiej roli.

Ponownie postawił torbę na ziemi i z jej bocznej kieszonki wyjął papierosy i zapalniczkę. Zapalił i czekał, aż do niego dołączy.

– Hej, Pedro, co ci się stało w ryło? – zarechotał Pumba, który mimo tuszy wysforował na czoło ekipy. – Nie rozumiesz, że „nie” znaczy „nie”?

– Stul ryj, grubasie – odparł Pedro i poczuł satysfakcję na widok zaskoczonej, urażonej miny Pumby. Nie lubił grubych, a ten wkurwiał go najbardziej ze wszystkich spaślaków, jakich do tej pory poznał. Zaciągnął się jeszcze raz i rozgniół kiepa pod butem. Poczul drapanie w gardle i że ciśnie go kupa. Czasem tak miał, gdy się denerwował. Od małego miał.

Gdy dołączyła reszta, Pedro szybko wydał dyspozycje i poczekał, aż podzieleni ruszą: trzech prosto w górę ulicy i tamtędy przez ogródki na tył domu, jeden w lewo, tak jak on od frontu, ale kawałek wcześniej, by nie wzbudzać podejrzeń.

Torba była ciężka, obijała mu się o kolana, a raz, gdy za mocno nią zakołysał, zabrzczała cicho. Nie przejmował się tym, bo w pobliżu nikogo nie było, tylko co kawałek przekładał ją do drugiej ręki, by żadnej szczególnie nie obciążyć.

Pchnął łokciem specjalnie dla niego uchyloną furtkę, pokonał wysypany żwirem chodnik wiodący na ganek i zatrzymawszy się pod drzwiami, najpierw odstawił torbę na bok, a następnie włożył rękawiczki i nacisnął dzwonek.

Usłyszał zamieszanie. W przeszklonym rombie na drzwiach, złożonym z czterech mniejszych rombów, dostrzegł, jak ktoś zapala światło w przedpokoju. Pedro cofnął się o krok, kątem oka dostrzegając po swojej prawej sylwetkę jednego z chłopaków.

– Kto tam? – rozległ się męski głos zza drzwi. Nie zaniepokojony, raczej rozdrażniony, czemu trudno się było dziwić, zważywszy na porę.

Pedro chrząknął cicho w pięść.

– Kurier, proszę pana. Zaplątała nam się paczka pod ten adres, bardzo przepraszam. Zostawiłbym na schodach, ale tu jest napisane...

– Chwila, nie będziemy przez drzwi gadać – odpowiedział głos i jednocześnie trzasnął odryglowywany zamek. Pierwszy, potem drugi, aż wreszcie drzwi uchyliły się i w progu stanął chudy, siwy mężczyzna w okularach, ubrany w sztruksy i rozpiętą flanelową koszulę. Na widok Pedra, blizn na jego twarzy i rękawiczek, spiął się, rozchylił lekko usta, a następnie cofnął o krok, by zamknąć drzwi.

Pedro okazał się jednak szybszy. Rzucił się do przodu i lewą ręką łapiąc mężczyznę za poły koszuli, prawą wymierzył silny, precyzyjny cios.

Chrupnęło i niemal natychmiast z nosa połała się krew, ciekąc po wąsach i brodzie okalających usta starszego mężczyzny. Teraz Pedro bez trudu przyciągnął go do siebie, przytrzymał, by tamten nie upadł, i zapytał:

– Syn jest?

Oczy starego zrobiły się wielkie. Spróbował potrząsnąć głową, ale nie dał rady.

– Nie... nie ma – mruknął tylko. Był bliski omdlenia.

Pedro spojrzał w prawo.

– Weź torbę – poleciał i wszedł do mieszkania, a wtedy dojrzał stojącą w głębi przedpokoju żonę starego. Krępa, otyła kobieta o krótko przyciętych, farbowanych na żółty blond włosach przykładła do ust pulchne dłonie, wyraźnie zbierając się do krzyku.

– Piśnij choć słowem, kurwo, a skręcę mu pieprzony kark – warknął. – Podejdź tu.

Podeszła z ociąganiem, a wtedy Pumba, który właśnie wszedł, zdzielił ją przez głowę teleskopową pałką.

– Ha, ale zajebicie! – zawołał, gdy kobieta osunęła się bez przytomności na podłogę.

Ten widok wyraźnie poruszył gospodarza, bo szarpnął się i spróbował wyrwać. I choć Pedro doceniał tę rycerskość, to jednak zdecydowanie nie mógł na nią pozwolić. Pchnął starszego mężczyznę na ścianę i dwoma szybkimi uderzeniami pozbawił go resztki sił i woli walki.

– Co ty, kurwa, nienormalny jesteś, tłuściochu?! – warknął, zamykając

drzwi. – Do łazienki po mopa i krew pościerać. A ty – zwrócił się do drugiego z chłopaków – przejdź od tyłu i wpuść resztę. Związać mi tę dwójkę, co by szopek nie było.

– A potem? – chciał wiedzieć Pumba.

Boże, jaki on jest wkurwiający, pomyślał Pedro.

– Potem czekamy.

III

PROFIL GAPA

(lipiec)



10

Rano w kuchni czekało na Kaśkę gotowe śniadanie – omlet z miodem i kawałkami pomarańczy, kawa – ale Mikołaja tam nie było. Znalazła go w dużym pokoju, stał w garniturze przed lustrem w drzwiach szafy i mocował się z krawatem. Boso, z zawziętą miną i włosami nieładnie wyglądał uroczo i rozczulająco.

– Czekaj, pomogę ci z tym.

Podeszła do niego, a on z wyraźną ulgą zdjął krawat z szyi.

– Dzięki – powiedział. – Cholera, niby wiem, jak to się robi, a za każdym razem coś.

– Źle wymierzasz. – Wzięła od niego krawat i zajęła jego miejsce przed lustrem. Następnie w kilku wprawnych ruchach najpierw odmierzyła właściwe proporcje, a potem raz-dwa zawiązała i wymodelowała palcami podwójnego windsora. Podciągnęła, poluzowała, zdjęła i położyła krawat na wyciągniętej ręce Mikołaja.

Rozbawiło ją zaskoczenie w jego oczach. Rozchylił usta, zapewne po to, by zapytać, jak to zrobiła, jednak zaraz je zamknął i tylko potrząsnął głową.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć, gdzie się tego nauczyłaś, ale dziękuję – powiedział z uśmiechem.

– A ja dziękuję za śniadanie – odparła. – O której jest ten pogrzeb?

– O trzynastej. – Mikołaj wrócił przed lustro, założył krawat, obciągnął rękawy i obejrzał się na boki, czy wszystko równo leży. – Słuchaj, przepraszam, że tak wyszło wieczorem. Mieliśmy iść na kolację, a mnie coś zmogło...

Objęła go i chciała pocałować, ale w ostatniej chwili zdała sobie sprawę, że nie myła jeszcze zębów, i cmoknęła go tylko w policzek.

– I tak wróciłam późno, więc nic by z tego nie wyszło. Tak to

przynajmniej ty przepraszasz, a nie ja – odpowiedziała. Odsunęła się od niego, ujęła za rękę i pociągnęła za sobą do kuchni. – Chodź, potowarzyszysz mi.

– Zaraz, tylko się przebiorę. Nie będę tak jadł.

Gdy wszedł do kuchni, ona była już w połowie omletu. Wpatrywała się w zeszyt od Górskiego, poprzetykany teraz licznymi karteczkami, na których widniały świeże notatki. Nie zamierzała go dotykać, choć ją kusiło. Chciała dowiedzieć się, co takiego jest w środku, że skłoniło jej partnera do tylu przemyśleń.

Mikołaj przeszedł przez kuchnię, z dzbanka ekspresu przelewowego wciąż stojącego na blacie nalał sobie kawy do kubka i oparł się pośladkami o blat.

– I jak pierwszy dzień w pracy? – zapytał. – Jakaś ciekawa zbrodnia?

– A wiesz, że tak? – Powiedziała to z pełnymi ustami, więc w rzeczywistości przypominało to raczej „aweszże taaa”. Przełknęła i dopiero wtedy rozwinęła temat: – Mamy taką zbrodnię w małej wsi na Mazurach: ojciec, bogaty wdowiec, czwórka dzieci i macocha. Pewnej nocy ginie najstarszy syn, zadźgany bestialsko nożem w swoim łóżku. Podejrzenie pada w pierwszej chwili na chłopaka z wioski, któremu zamordowany odbił dziewczynę. Tyle że to była zima...

– A pod oknem żadnych śladów? – wtrącił się Mikołaj.

– No właśnie nie! – Kaśka uniosła widelec z kawałkiem omletu ociekającym miodem. – Były, ale prowadziły w jedną stronę – od okna. Czyli ktoś mógł tamtędy uciec, tylko pytanie: którędy przyszedł?

– Może wyszedł po własnych śladach?

– Może. – Kaśka wzruszyła ramionami. – Albo zabójca przyszedł tyłem i po wszystkim ukrył się w domu. Pomysłów jest kilka, wątpliwości jeszcze więcej, więc mamy nad czym pracować.

– No to chyba dobrze, nie? O to chodzi w programie. – Mikołaj przepił do niej kawę.

– No, niby dobrze – odparła wyraźnie nieprzekonana. – Rzecz w tym, że sprawa mocno przypomina sprawę Gorgonowej. Ostatnio znowu zrobiło się

o niej głośno, wyszła jakaś nowa książka, serial chcą kręcić...

– Kogo sprawę?

Kaśka spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Gorgonowej. Co ty, nie słyszałeś? Największa afery sądowniczej przedwojennej Polski, wielka, do dzisiaj niewyjaśniona zagadka całkowicie podzieliła opinię publiczną. Taki polski O.J. Simpson. Ostatnio jej temat wypłynął przy okazji sprawy mamy Madzi z Sosnowca, a teraz wyszła o Gorgonowej książka i...

Widziała, jak Mikołaj mruży oczy, co znaczyło, że próbuje sobie poukładać w głowie wszystkie fakty, zanim się odezwie. Ceniła to w nim, więc pozwoliła mu pomyśleć w spokoju i dojadła omlet.

– To prawdziwa sprawa, nie? Ta wasza, w sensie.

– No prawdziwa – odparła. – Mamy akta, świadków, wszystko.

– To na waszym miejscu uprzedziłbym atak i sam porównał sprawę do Gorgonowej – zaproponował.

– W sumie... – Sięgnęła po kawę. Nie chciała mu mówić, że oczywiście dawno na to wpadli i taką właśnie zamierzali obrać strategię. Najważniejsze, że udało się odwrócić jego uwagę od tematu ojca i notatek, nad którymi wczoraj zasnął. Niech myśli, że właśnie jej pomógł, tak jak ona jemu z krawatem. – Tak, myślę, że powiem to dzisiaj Wiktorowi. Dziękuję, Mikołaj. Superpomysł.

Ponownie upił kawy, mierząc Kaśkę badawczym spojrzeniem. W końcu opuścił kubek i uśmiechnął się szeroko.

– Sami już na to wpadliście wcześniej, co?

Rozłożyła bezradnie ręce.

– Co mnie zdradziło?

– Przesadny entuzjazm i nadgorliwość – odparł. – Gdybyś skończyła na „Dziękuję”, pewnie bym się nie połapał. – Odstawił kubek na blat, podszedł do stołu i wysunawszy sobie hoker, usiadł obok niej. Wziął jej dłoń w swoje ręce i spojrzał głęboko w oczy.

– Doceniam, co dla mnie robisz, serio. Że się starasz i w ogóle –

powiedział.

– Mhm, ale?

– Nie ma „ale”. Po prostu chcę, byś wiedziała, że doceniam. Nie ukrywam, ruszyła mnie ta sprawa i jeszcze przez jakiś czas będzie ruszać. Przeczytałem to wszystko kilka razy, wynotowałem ważne rzeczy do sprawdzenia, wczoraj też rozmawiałem z Karwaszem. Z notatek wynika, że czeka mnie całkiem dobry spadek, tylko jest dużo niewiadomych i muszę to posprawdzać, okej? Gdy to się wyprostuje, jakoś ci podziękuję, dobra?

– Jasne, coś wymyślimy – zgodziła się i uśmiechnęła. – Jak rozmowa z Karwaszem?

– Był bardzo zdziwiony, ale chce się spotkać. Mamy się zdzwonić, może znajdzie czas dziś wieczorem.

– O, to szybko, zważywszy na jego kalendarz. Mówiłeś mu o pogrzebie?

Zawahał się.

– Wolałem nie – stwierdził w końcu. – Sam nie wiem, może to trochę samolubne, ale to jest znany aktor. A gdzie aktorzy, tam paparazzi. Nie wiem, czy rozumiesz...

– Myślę, że tak, rozumiem. I nie uważam, by akurat twoje postępowanie było samolubne. To raczej odruch obronny.

Raz jeszcze się uśmiechnęła, po czym oswobodziła rękę, by spojrzeć na zegarek. Skrzywiła się.

– Szlag, Miki, muszę się szykować, bo zaraz się spóźnię.

– Pewnie, pędź. – Wyprostował się na hokerze. – Tylko uważaj w łazience na mój garniak, nie chciałbym mieć na spodniach śladów po paście.

– Będę ostrożna – odparła, po czym posłała mu całusa i wyszła.

W łazience przewiesiła garnitur na uchwyt szafki z dala od umywalki i mało się nie wywróciła o jego świeżo wypastowane buty. W porę chwyciła się pralki, łapiąc równowagę, i wtedy zauważyła na podłodze złożoną na cztery kartkę, pokrytą niestarannym pismem Mikołaja.

Musiała mu wypaść ze spodni, pomyślała. Sięgnęła po nią, obejrzała z obu stron i już miała wepchnąć do kieszeni marynarki, gdy nagle zobaczyła

zwrot: „wyjazd z Kaśką” i kwotę. Tuż nad nią widniał punkt: spłata mieszkania i kwota ich kredytu.

To tylko proste wyliczenia, rachunki, w dodatku ich wspólne, przemknęło jej przez głowę. Nic, czego przecież nie mogłaby zobaczyć. Ileż to razy robi się takie rozpiski na brudno, żeby coś sobie sprawdzić. A mimo to obejrzała się przez ramię, upewniając się, że Mikołaj nie stoi za nią. Następnie, to już z pewnym wahaniem, zablokowała drzwi.

Na rozłożonej kartce było jeszcze kilka punktów, takich jak gra, samochód, karta kredytowa. Obok każdego widniała kwota, a zsumowane na dole dały łącznie około czterystu siedemdziesięciu tysięcy złotych.

„Wolne trzydzieści” – dopisał Mikołaj na boku. I zaraz obok: „Motocykl?”.

Złożyła kartkę i po namyśle odłożyła z powrotem na podłogę, lekko tylko trącając nogą, by częściowo wsunęła się pod pralkę. Dyskretnie odblokowała drzwi, po czym szybko podeszła do umywalki i odkręciła wodę. Szczotkując zęby, zastanawiała się, skąd Mikołaj wziął taką kwotę – pół miliona. Czyżby to miał być ten wspomniany mimochodem spadek? Jeżeli tak, to czy taką sytuację, gdy niespodziewanie dostaje się ogromną schedę po kimś, kogo w zasadzie się nie znało i nie czuło się z nim emocjonalnej więzi, można nazwać łutem szczęścia?

Jedno wiedziała na pewno. Jeżeli faktycznie ta kwota, skądkolwiek pochodziła, była czymś więcej niż tylko mrzonką, Kaśka nie zamierzała pozwolić Mikołajowi na zakup motocykla. Ani teraz, ani w przyszłości. Na jednym z nich zginął kiedyś jej wujek i bała się tych maszyn jak niewielu rzeczy na świecie.

Skowroński odłożył telefon i raz jeszcze przejrzał zawartość garderoby. Nie miał w domu niczego czarnego do ubrania prócz kilku znoszonych koszulek i kilkunastu par skarpet, w większości poprzecieranych na piętach i palcach. Ale nawet gdyby pominąć kwestię koloru, i tak nie znalazłby wystarczająco eleganckiego stroju.

Z dwóch wiszących w szafie garniturów – obu wymiętolonych, tak jakby zanim je tu powiesił, trzymał w walizce zwinięte w kulkę – jeden, ten przyciasny, był jasnoniebieski, a drugi oliwkowy. Żaden, z czego podkomisarz zdał sobie właśnie sprawę, nie pasował absolutnie do niczego, co kiedykolwiek w szafie miał lub mieć zamierzał.

Czas naglił, więc Skowroński zdecydował się na najciemniejsze z posiadanych dżinsów, błękitną koszulę z krótkim rękawem i ciemnoszarą marynarkę. W gruncie rzeczy, uznał, nie jest przecież żałobnikiem, nie powinien go obowiązywać ich dress code.

Wiedząc, że czeka go dłuższa droga w upale, wziął z lodówki dwie małe butelki wody, a po namyśle jeszcze jabłko z niewielkiego koszyczka na owoce pod oknem.

Gdy schodził na dół do samochodu, zadzwonił Fogiel.

– I jak tam, jesteś już w drodze do Piaseczna? – zadrwił.

– Jestem na schodach, więc nie będę klął, bo się niesie – odparł. – Domyśl się, co chcę powiedzieć.

Fogiel się roześmiał.

– No już, już. Chcę ci tylko powiedzieć, że jakbyś potrzebował, to załatwiłem z kumplem zdjęcie karty zgonu tego twojego Górskiego. Poprosiłem go o to wczoraj, przed chwilą mi wysłał. Chcesz?

– Pewnie, Fogiel. – Sądząc po głosie, podkomisarz się wzruszył. –

Naprawdę dziękuję, że tak się angażujesz.

– Tylko obiecaj, że nie będziesz się bawił telefonem na pogrzebie.

Skowroński uśmiechnął się pod nosem. Pchnął drzwi wyjściowe i wyszedł przed budynek, próbując sobie przypomnieć, gdzie wczoraj zaparkował.

– Już nie jestem na klatce, więc mogę ci kazać spierdalać – powiedział. – Ale naprawdę dziękuję. To miłe.

– Wiesz, jak to jest, czasem trzeba kibicować wariatom. Zresztą chyba czujesz, że wszyscy... no, może z wyjątkiem samej góry, wspieramy cię w tym wariactwie. A zdjęcie zaraz ci prześlę. Umiesz je odczytać?

– Umiem. – Skupiony na szukaniu samochodu, Skowroński odpowiedział automatycznie, zanim się zorientował, że to kolejna drwina. Uzmysłowił mu to dopiero śmiech komisarza.

– Dobra, dobra, już kończę. Daj znać, jakby udało ci się coś odkryć w temacie, no i trzymaj się tam. A, i daj znać, czy zdołasz wpaść wieczorem. Naprawdę będzie nam miło.

– Raczej tak, ale dam ci jeszcze znać, okej? Dzięki.

Dostrzegł wreszcie dach swojego seata stojącego między małą czerwoną corsą a lśniącym czarnym SUV-em od Hondy. Podszedł, otworzył drzwi i postął jeszcze dwie minuty, licząc, że w środku się ochłodzi. Gdzieś czytał, że nie powinno się od razu zamykać w rozgrzanym aucie i włączać klimy, bo wtedy uwalniają się jakieś toksyny. Nie miał pojęcia, czy to prawda, ale nie zamierzał tego sprawdzać.

Pięć minut później był już na głównej drodze i ciesząc się z umiarkowanego natężenia ruchu, jak również z tego, że przezornie zabrał ze sobą wodę, obrał kurs na Piaseczno.

*

Spóźnił się około dwudziestu minut, bo pomylił piaseczyńskie cmentarze. Podjeżdżając pod ten właściwy, komunalny na Juliańskiej, bez trudu znalazł miejsce na parkingu ciągnącym się wzdłuż ogrodzenia. Oprócz jego auta stało tam jeszcze pięć innych pojazdów, ściśniętych jeden obok drugiego,

możliwie najbliżej głównej bramy. Skowrońskiemu nie wadziło zrobienie kilku kroków. Gdyby mógł, chętnie by je wymienił na możliwość zaparkowania w cieniu. Choć jednak na samym cmentarzu rosło sporo drzew, parking nie oferował takiego luksusu.

Zamknął samochód i ruszył w stronę wejścia. Tuż przy samej bramie zawahał się, czy nie kupić jakiegoś znicza lub sztucznego kwiatka, ale uznał, że byłoby to pretensjonalne.

– Przepraszam, gdzie tutaj trwa właśnie pogrzeb? – zwrócił się do starszego mężczyzny w koszulce polo z logo firmy ochroniarskiej. Ochroniarz siedział na ganku drewnianego domku, umiejscowionego zaraz za bramą, i rozwiązywał krzyżówkę. Zapytany, uniósł głowę i zsunął okulary do czytania na czubek nosa.

– Teraz?

– No tak, teraz – odparł podkomisarz.

Ochroniarz podrapał się po głowie.

– Teraz to w sumie nie wiem. A kwaterę miał?

– Nie, raczej nie.

Mężczyzna wstał, przeciągnął się i tym razem dla odmiany podrapał po brzuchu.

– No to ja bym na nowe kwatery poszedł sprawdzić. – Ręką wskazał bliżej nieokreślone miejsce gdzieś przed sobą. – Ale to daleko.

– Dam radę, dziękuję.

Dopiero po dziesięciu minutach spaceru równymi alejkami Skowroński dostrzegł między nagrobkami karawan, urzędnika, grabarzy i garstkę żałobników.

Tych ostatnich było jednak więcej, niż mu się w pierwszej chwili wydało. Gdy podszedł bliżej, zorientował się, że reszta skryła się za drzewami oraz srebrnym samochodem, obok którego czterech postawnych grabarzy w granatowych koszulkach z krótkimi rękawami i w białych rękawiczkach w pełnym powagi znudzeniu czekało, aż będzie im wolno skończyć robotę.

Trzon żałobniczej grupy stanowili głównie ludzie starsi, kobiety

i mężczyźni, najprawdopodobniej pensjonariusze z ośrodka. Skowroński patrzył na ich poważne twarze, pożłobione bruzdami zmarszczek, w te pozbawione wyrazu oczy i zaczął się zastanawiać, czy ci ludzie faktycznie znali zmarłego, czy też pożegnanie jednego ze swoich traktowali jako rodzaj obowiązku, licząc, że i wobec nich ktoś go kiedyś spełni.

Nieco po lewej stały cztery wyszykowane kobiety w średnim wieku, jedna pewnie tuż przed emeryturą. Policjant mógł iść o zakład, że to pielęgniarce. Ta w środku miała czerwone oczy i raz po raz siąkała w chusteczkę. Spojrzenia pozostałych były chłodne i poważne, a usta ściągnięte w grymas ni to złości, ni powagi.

Skowroński już notował sobie w pamięci, żeby porozmawiać z tą zapłakaną pielęgniarką, gdy jego wzrok wychwycił jeszcze kogoś. Na oko trzydziestoletni mężczyzna w czarnym garniturze i pod krawatem stał kilka nagrobków dalej, choć z uwagą słuchał tego, co mówił nad grobem urzędnik. Przed sobą oburącz ścisnął niewielki wieniec, na którego taśmach – co policjant dostrzegł dopiero, gdy wystarczająco się zbliżył – napisano jedynie „Spoczywaj w pokoju”.

Skowroński nadłożył drogi, by obejść wszystkich dużym łukiem i niezauważenie podejść do mężczyzny z boku. Przyglądał mu się. Tamten nie płakał, był raczej zamyślony.

– Dużo się spóźniłem? – zapytał szeptem podkomisarz, gdy już znalazł się niemal tuż obok, na wyciągnięcie ręki.

Młody mężczyzna wzdrygnął się, obejrzał i na widok Skowrońskiego na moment zmrużył oczy, jakby próbował sobie przypomnieć, czy się znają.

– Właściwie prawie pan przegapił – odparł również szeptem i niemal w tym samym momencie urzędnik prowadzący uroczystość polecił, by ciało Górskiego złożono w ziemi. Grabarze ruszyli do pracy, odłożyli na bok cztery niewielkie wieńce i kilka małych bukietów, chwycili za końce grubej liny i nogami odsunęli deski prowizorycznego rusztowania. Ich twarze wykrzywiły się od wysiłku, wyprężyli bicepsy i napięli szyje, a potem powoli, miarowo opuścili trumnę na samo dno. Następnie sprawnie oswobodzili liny, a dwóch z nich przyniosło zbitą z desek atrapę nagrobka

i zakryło nią dół, by ułożyć na niej wieńce i kwiaty.

– Chciałbym serdecznie podziękować wszystkim przybyłym w imieniu pana Ferdynanda... – zaczął urzędnik, ale wtedy jakaś staruszka wyminęła go, wrzuciła w szczelinę między deskami grudkę ziemi i przeżegnała się nad grobem. W kolejce za nią już ustawili się kolejni starcy, więc urzędnik w pierwszej chwili usunął się na bok, a zaraz potem złożył kondolencje jedynej osobie, która naprawdę wyglądała jak ktoś w żałobie – zapłakanej pielęgniarki.

– Przepraszam, że pytam, bo nie moja sprawa – Skowroński odchrząknął, udając skrępowanie – ale... czy pan jest krewnym zmarłego?

Młody mężczyzna posłał niechętnie spojrzenie.

– Tak – odparł. – Nie pańska sprawa.

Skowroński docenił tekst półuśmiechem, uznając jednocześnie, że może sobie w tej rozmowie pozwolić na pójście na skróty. Rozejrzał się na boki, trochę teatralnie, po czym wyjął z kieszeni legitymację policyjną.

– Tylko proszę się nie denerwować, nic poważnego się nie dzieje – zastrzegł półszepem. – I nie zamierzam, broń Boże, przeszkadzać w żałobie, potrzebuję jedynie odpowiedzi na kilka pytań.

Mężczyzna westchnął.

– Tak sądziłem, że przyjdzie tu nie będzie dobrym pomysłem – mruknął. – Czy zmarły miał jakieś kłopoty? Albo ja mam ze względu na swoją tu obecność?

Skowroński potrząsnął głową.

– Nic poważnego, jak mówiłem – zapewnił ponownie, wciąż szepem. – Przepraszam za takie pytanie z grubej rury. Rozumiem, że mógł się pan poczuć dziwnie.

Mężczyzna w garniturze wyraźnie się zawahał, jakby nie do końca przekonany, czy powinien coś jeszcze powiedzieć.

– Nie jestem w żałobie – stwierdził w końcu. – A co do bycia krewnym, to nie mam pewności... Rzekomo to mój ojciec.

– Pan wybaczy, ale... rzekomo?

– Tak, rzekomo, bo dowiedziałem się o nim dwa dni temu na okoliczność śmierci i... – Przerwał nagle, bo dostrzegł, że kolejka żałobników do trumny się kończy. – Wie pan co? Dokończmy za chwilę, dobrze?

– Jasne.

Skowroński obserwował, jak mężczyzna składa kwiaty na ścianie atrapy, a potem cofa się o krok i przez chwilę patrzy na nagrobek. W pewnej chwili podeszła do niego ta zapłakana kobieta i wyglądała, jakby chciała go objąć albo chociaż dotknąć. Zamiast tego wymienili kondolencje, uścisnęli sobie ręce i mężczyzna wrócił do policjanta.

– Już – zdecydował. – Możemy iść.

Przeszli między grobami do głównej alejki i podążyli w stronę głównej bramy.

– To może najpierw się przedstawię – zaproponował policjant. – Podkomisarz Skowroński, wydział kryminalny.

Celowo nie podał jednostki przydziału, mając nadzieję, że tamten nie zapyta ani nie będzie drażył tematu.

Nie zapytał. Zamiast tego również się przedstawił.

– Nazywam się Mikołaj Otyś. To jakie ma pan te pytania, panie podkomisarzu?

– Konkretnie, brawo. – Uśmiechnął się Skowroński. – Ale to może usiedlibyśmy przy jakiejś kawie?

Otyś raz jeszcze się zawahał. Wciągnął powietrze, zmrużył oczy, w końcu opuścił głowę i nią potrząsnął.

Cholernie nienaturalne, teatralne gesty, zanotował w pamięci podkomisarz.

– Wybacz pan, ale nie – powiedział w końcu Otyś. – To spadło na mnie tak nagle, trochę namieszało mi w planach, a mam jeszcze dzisiaj ważne spotkanie w Warszawie.

– Rozumiem, oczywiście. To w takim razie może mi pan powie, kto pana poinformował o śmierci pana... rzekomego ojca. Czy to była ta pielęgniarzka, z którą pan przed chwilą rozmawiał?

– Tak. – Otyś skinął głową. Zrobił unik, by przepuścić rozkrzyczaną trzy-,

może czteroletnią dziewczynkę i goniącego ją niewiele starszego braciszka. Idący kilka metrów za nimi młodzi rodzice nie zwracali na pociechy uwagi, trzymając się za ręce, jakby spacerowali po parku, nie cmentarzu.

– Ta pielęgniarka nazywa się Wilk. Imienia nie pamiętam. Ona dwa dni temu przyniosła mi notatki mojego rzekomego ojca, Ferdynanda Górskiego. Przyniosła mi też pieniądze w kwocie osiemnastu tysięcy złotych. Powiedziała, że mój ojciec spędził kilka ostatnich lat w ośrodku, a zmarł na coś z płucami.

– To możliwe? – zapytał Skowroński.

– Że zmarł na coś z płucami? – zdziwił się Otyś. – Nie wiem, nie dopytywałem.

– Że był pańskim ojcem.

Otyś przejechał palcem po karku, po czym przystanął, by zdjąć marynarkę.

– Mój ojciec opuścił mnie i moją mamę, gdy byłem małym chłopcem. Któregoś dnia po prostu wyszedł i nie wrócił. Od tamtej pory nie wiedziałem o nim nic. W tych notatkach znalazłem kilka jego zdjęć z ośrodka i – bezradnie rozłożył ręce – w sumie nie wiem. I jest podobny, i nie jest.

Przewiesił marynarkę przez ramię.

– Tylko gdyby nie był moim ojcem, po co kazałby dostarczyć mi kopertę z pieniędzmi? I tyle osobistych wspominek?

– No tak – przyznał Skowroński.

Kawałek szli w milczeniu. Minęli staruszkę zgarbioną tak, że laska w jej dłoni ani chybi chroniła ją przed złamaniem się wpół, rodzinę zgromadzoną nad stosunkowo świeżym, starannie wypielęgnowanym nagrobkiem i w pewnym oddaleniu od krewnych chłopaka, który kłócił się z kimś przez telefon.

– Jest szansa, że mógłbym zobaczyć te notatki? – zapytał w końcu podkomisarz. Spodziewał się teraz usłyszeć lawinę pytań: o co właściwie chodzi, co to za sprawa, o co Górski jest podejrzany, i w myślach układał już sobie odpowiedzi.

Zamiast tego Otyś wolno pokiwał głową.

– Myślę, że nie wszystkie, ale niektóre owszem – powiedział. Odwrócił się, by spojrzeć prosto na Skowrona, a wtedy na jego twarzy pojawił się krzywy, trochę jakby złośliwy uśmiech. – Zwłaszcza jedna może pana w szczególności zainteresować.

Teraz to Skowroński przystanął, zaskoczony.

– Co pan ma na myśli? – zapytał.

W odpowiedzi Otyś wyjął z kieszeni telefon, odblokował i przeszukał zawartość.

– Zrobiłem zdjęcie strony – wyjaśnił wciąż z tym samym uśmiechem. – Przeczytam panu.

Po czym nie czekając na zaproszenie, zaczął czytać:

– Jednym z nich jest Skowroński, chowany przede mną dość długo jako ten as w rękawie. W końcu się o nim dowiedziałem, gdy pewnego dnia groziła nam wpadka i zjawił się policjant z wydziału kryminalnego, by raz-dwa wyciągnąć naszych ludzi z kłopotów. Spektakularne akcje zdarzają mu się jednak rzadko, ale nie sposób go przecenić. To gracz pierwszej wody, zawsze w roli naszego zagorzałego wroga i któregoś dnia pogromcy... – Podniósł wzrok znad ekranu. – Czytać dalej? Bo mam też trochę konkretów...

Skowroński milczał. Nie wiedząc, co począć z rękami, zaplótł je na piersi, po czym rozplótł i wepchnął do kieszeni. Dwa razy otwierał usta, by coś powiedzieć, i dwa razy zamykał je z powrotem.

Otyś schował telefon, pokręcił głową i roześmiał się trochę nerwowo.

– Widzi pan, panie podkomisarzu, nie jestem pewny, co o tym wszystkim myśleć. – Poprawił ułożenie marynarki na przedramieniu i powoli ruszył. – Po prostu nie jestem pewny. Kilka dni temu nie miałem ojca, teraz nagle okazuje się, że mieszkał i umarł pół godziny od mojego domu, a kiedyś był wielkim oszustem do spółki ze znanym aktorem, policjantem i...

Przerwał i odchrząknął.

– Pan oczywiście wie, że gdyby coś mi się teraz stało... W zapiskach widnieje też instrukcja, jak zabezpieczyć się przed taką ewentualnością.

– Nic się panu nie stanie – zapewnił Skowroński. – To nie jest *Ojciec*

chrzestny, panie Mikołaju. Raczej *Żądło* albo *Vabank*.

– *Żądła* nie widziałem, jednak w tych okolicznościach zapewne zobaczę – powiedział Otyś, by zaraz znowu się uśmiechnąć. – Będzie pan dzisiaj na spotkaniu wieczorem? Nie, głupie pytanie. Pewnie pan i Karwasz nie pokazujecie się razem, prawda?

– Tak – odparł Skowroński. – To głupie pytanie. Ale panu życzę możliwie udanego spotkania. Rozumiem, że zamierza pan przyjść z jakąś propozycją... hmm, rozwiązania tej sytuacji?

– Dowie się pan pewnie pierwszy, zaraz po panu Karwaszu.

Skowroński zorientował się, że Otyś specjalnie zwalnia, by puścić go przodem. Zrozumiał aluzję i obejrzał się przez ramię. W oddali dostrzegł żałobników z pogrzebu Górskiego zmierzających aleją w stronę wyjścia i parkingu. Wśród nich również tę, która zdaniem Otysia nazywała się Wilk.

– Dobrze, panie Mikołaju – powiedział, wyciągając rękę – To może na pierwszy raz wystarczy i ja się pożegnam. Nie ma pan żalu, prawda?

Otyś ujął podaną dłoń, ścisnął ją i wolno pokręcił głową, patrząc policjantowi w oczy.

– Nie. To znaczy mam, ale nie do pana.

– Rozumiem. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Przez chwilę patrzył, jak Otyś idzie w stronę bramy, a gdy zawrócił ku żałobnikom, podkomisarz wyjął telefon i wybrał Baśkę na liście kontaktów. Przeczekał pięć sygnałów i komunikat poczty głosowej, po czym powiedział tylko jedno słowo:

– Spalony.

12

Warszawski teatr Damka nie mógł poszczycić się długą historią sceny. Nie miał też w stałej obsadzie nazwisk znanych z telewizji czy filmu, a lokalizacja przy ulicy Grzybowskiej vis-à-vis Muzeum Powstania Warszawskiego tylko pozornie była dobra, bo miejscówka w żaden sposób nie mogła się wryć w pamięć miłośnikom teatru. Wszyscy nadal kojarzyli siedzibę teatru z wieloletnim głównym lokatorem tego budynku – wydawnictwem historycznym Bellona.

Mimo tych niesprzyjających okoliczności teatr wykazywał niezwykłą umiejętność utrzymywania się na powierzchni. Więcej nawet, z kolejnymi spektaklami wypływał na coraz to szersze wody tematyczne, podejmował się trudnych tematów, realizował spektakle na podstawie dzieł klasycznych, jak i modnych. Ogłaszał konkursy dla młodych twórców, przyjmował pod swój dach formy kabaretowe, muzyczne, rozwijał teatr improwizacji i koło miłośników Szekspira. Jedne rzeczy wychodziły, inne nie, ale wszystkiemu dawano szansę.

„Podoba mi się to, że szukają – na portalu Kocham Warszawę zacytowano niegdyś w kontekście Damki znanego aktora Jana Karwasza. – Teatr to nieustanne poszukiwanie, wieczny niepokój rozedrganej duszy. A także śmiałość, artystyczna bezczelność w doborze dramatów. W Damce znajduję to wszystko. Dostrzegam też wielką pokorę, gdy dana sztuka przenosi się na deski. Z przyjemnością przychodzę tam, ilekroć znajdę czas i potrzebuję, a to moja częsta potrzeba, stać się widzem”.

Tym razem jednak Jan Karwasz nie zjawił się pod Damką z przyjemnością ani też z tej samej co zwykle potrzeby. Na kwadrans przed rozpoczęciem sztuki, na którą miał zarezerwowane miejsce, wszedł do budynku i od razu skierował się do kas.

Przed jedynym czynnym okienkiem dostrzegł czteroosobową kolejkę, więc

przeszedł jeszcze kilka kroków, zastukał do drzwi z napisem „Sekretariat” i wszedł, nie czekając na „proszę”.

Pani Małgosia, siedząca za masywnym, ciemnobrązowym biurkiem szczupła blondynka o bardzo wyraźnych kościach policzkowych i dwóch rzędach mocnych, przypominających końskie zębów, z uśmiechem odpowiedziała na jego „dzień dobry” i od razu wskazała na drzwi po swojej lewej.

– Pan dyrektor zaraz do państwa dołączy – powiedziała. – Kawy? Herbaty?

– Kawę poproszę. – Karwasz odruchowo zerknął we wskazaną stronę i zauważył, że od jego ostatniej wizyty pojawiła się obok nich tabliczka z wygrawerowanym: „Dyrektor Jaromir Pęczak”. – Ach, i jeszcze raz dziękuję, pani Małgosiu, za pomoc w szybkiej organizacji spotkania.

– Drobiazg, panie Janie, wie pan przecież – odparła, by zaraz zachichotać jak nastolatka. – A wie pan, ten nowy przystojniak...

– Marcin? – upewnił się Karwasz, jednak sekretarka machnęła ręką.

– Ja tam o imiona przecież nie pytam. No ale ten ładny to przywitał mnie dzisiaj słowami: „Dzień dobry, Moneypenny”. Komplementarz.

– Moneypenny? – Karwasz zmarszczył czoło, by zaraz się w nie klepnąć. – Ach, no tak. James Bond! Widzi pani, człowiek się starzeje, to i chwila mu potrzebna, by w głowie takie oczywistości odnaleźć. Ale ładne, ładne.

Podszedł do drzwi dyrektorskich, zapukał cicho i otworzył. W progu jeszcze sobie coś przypomniał.

– Jakby się dało, pani Małgosiu, to dziś dla odmiany z mlekiem jednak, dobrze?

– Oczywiście, panie Janie.

*

Pierwsza w Damce zjawiała się Anka. Zanim jednak przeszła do sekretariatu, skorzystała z łazienki, a gdy z niej wyszła, do budynku wchodził właśnie Bartek. W foyer nie było nikogo oprócz nich, ale i tak do sekretariatu

udali się osobno. On pierwszy, po zasięgnięciu informacji w kasie, ona po chwili studiowania wyłożonych na stojaku broszur.

Gdy weszła, pani Małgosia pochylona nad komputerem zerknęła na nią tylko i z uśmiechem zapytała, czego się napije. Anka poprosiła o wodę, jeśli to możliwe z cytryną, i weszła do gabinetu dyrektora.

Pomieszczenie nieodmiennie kojarzyło jej się z nowojorskim loftem. Wysokie – w przeciwieństwie do sekretariatu tu nie zdecydowano się obniżyć sufitu – z jedną ścianą w cegle i drugą gładką, ozdobioną starannie odmalowanymi ramami okiennymi. Biurko zrobiono ze starych drzwi i wkomponowano w nie szklany blat. Podobną techniką wykonano duży stół na środku pomieszczenia, wokół którego ustawiono sześć krzeseł. W głębi, we wnęce stała dwudrzwiowa szafa, a obok niej znajdowały się schody donikąd. Kiedyś Anka zapytała dyrektora Pęczaka, czy ustawił je tam dlatego, że planuje zrobić antresolę.

– Planuję? – zdziwił się Pęczak. – Przecież ona już tam jest, sprawdź, to się przekonasz.

I choć brzmiało to jak przedni żart, kilka razy kusiło ją, by to sprawdzić. Kto jak kto, ale ona wiedziała doskonale, że nie wszystko jest takie, jak wygląda na pierwszy rzut oka.

Bartek stał przy oknie. Gdy weszła, odwrócił się i pozdrowił ją niedbałym ruchem ręki.

– Jak robota przedwczoraj? – zapytał.

– Przygrywka zwykła – odparła. Położyła torebkę na stole i odsunęła krzesło.

– Zwykła? I potrzebowali do tego ciebie i Marcina?

Chciała odpowiedzieć zaczepnie, ale uznała, że nie warto, więc zamiast tego wyjaśniła:

– Byłam akurat w Warszawie od kilku dni, więc zapytałam, czy czegoś nie ma. Marcin, o ile wiem, zrobił to samo. Zresztą przyjdzie, to go zapytasz.

– Mhm. – Bartek stał jeszcze chwilę przy oknie, po czym również zajął miejsce przy stole, naprzeciwko Anki.

Złożył dłonie w piramidkę, co w połączeniu z łysą głową nadawało mu wygląd jednego z tych trenerów personalnych aspirujących w social mediach do bycia coachami. Albo wszechpolaka, którego polityczny wiatr zmian pchnął zniecka w ramiona prawdziwej władzy. Rozbawiło ją to.

– O co chodzi? – zapytał, widząc reakcję Anki. Powiedziała mu, a wtedy i on się roześmiał. Napięcie towarzyszące jej od wejścia jakoś zeszło.

– Dziwna sprawa z tym wezwaniem, nie? – powiedział Bartek zaraz po tym, gdy w gabinecie zjawiała się pani Małgosia z jego kawą i jej wodą.

– Ano dziwna – zgodziła się Anka, jednak z rozwinięciem tematu zaczęła, aż sekretarka wyjdzie. – I co gorsza, trochę mi miesza w planach, bo zamierzałam dzisiaj wracać do domu, a teraz nie wiem. Za trzy godziny mam pociąg i coś czuję, że nic z tego nie będzie.

– Może zdążysz – powiedział Bartek. Może to było tylko paranoiczne wrażenie, ale wydawało jej się, że na moment posmutniał, gdy wspomniała o domu.

Jezu, żeby mu nie wróciło, pomyślała. Ostatnie, czego teraz potrzebowała, to przechodzenie przez to od początku.

Na szczęście Bartek podjął zaraz już weselszym tonem:

– Ja miałem dzisiaj być w Gdańsku, szykować finał, ale wygląda na to, że będą sobie musieli poradzić sami.

– O, do Gdańska wysłaliśmy przedwczoraj bardzo sprawną małąotę. Robiła z nami tę przygrywkę i...

Przerwała, bo nagle otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł Marcin. Miał na sobie jasny garnitur i grafitową koszulę, a na nogach mokasyńki bez skarpet. Włosy starannie zaczesane do góry i na bok, dwudniowy zarost i markowe ciemne okulary sprawiały, że wyglądem przywodził na myśl bohatera jednego z amerykańskich kryminalnych tasiemców z akcją w Miami, jakiegoś CSI, NCIS czy innego skrótowca. Jeszcze w progę, trzymając za klamkę, bajerował sekretarkę:

– Pani się śmieje, ale naprawdę, pani MoneyPENNY, jest taka aplikacja – mówił. – Trochę jak połączenie Tindera i gry Dixit. Grała pani kiedyś? Nie?!

No to dziś jeszcze się umówimy! A wy co tak siedzicie smutno? – rzucił, wchodząc do środka. – Reszta na górze?

Brodą wskazał schody obok szafy i zrobił to tak naturalnie i spontanicznie, że – Anka nie miała wątpliwości – musiał to ćwiczyć. Ciekawe, pomyślała, jak dawno temu wpadł na ten żart.

– Tak, są tam i czekają na ciebie – powiedziała. – Akurat robią sobie powtórkę z lat młodzieńczych i oglądają *Policjantów z Miami*. Będiesz pasował jak ulał.

Marcin się roześmiał.

– Tęskniłaś, co?

– Nie zdążyłam – odparła. – A bardzo bym chciała.

– W samo serce. A jeszcze przedwczoraj „tak fajnie było pracować znowu razem, och”. – Na zakończenie tej wzbogaconej pantomimą parodii puścił do Anki oko i wycelował z palca, po czym wybrał sobie miejsce przy stole, siadając po tej samej stronie co ona, tylko dwa krzesła dalej. Ledwie usiadł, natychmiast się poderwał, by pomóc pani Małgorzacie ze swoją kawą.

– Dziękuję najpiękniej – rzucił nonszalancko. – No to jedno pragnienie mam z głowy, ale...

– Jezu, zaraz puszcze pawia. – Bartek przewrócił oczami. – Przepraszamy za niego, pani Małgosiu.

– Przywykłam – odparła sekretarka, choć jej mina świadczyła, że to durne, pozerskie zachowanie Marcina mile ją łechce.

Gdy wyszła, Marcin usiadł, zdjął okulary i rozmasował nasadę nosa.

– Dobra, kto dał dupy? – zapytał.

– Zależy, o co pytasz – odpowiedziała mu Anka. – Ale jeżeli o to, dlaczego tu jesteśmy, nie wiemy. Nowy numer?

Marcin potrząsnął głową.

– „Hrabia” jest gruby, angażuje dużo środków i sporo ludzi z zewnątrz – stwierdził. – Nie sądzę, żeby duży Be chciał się przy tym rozpraszać. Może ktoś wszedł w celownik, jednak do rozpoznania nie trzeba tu nas wszystkich.

– Ale my nie bierzemy udziału w „Hrabim”, nie? – poprawiła go Anka. – To znaczy ty, to wiem, na epizodzie, a Bartek miał być dziś w Gdańsku, więc nie sądzę. Ja się nie załapałam. Może faktycznie coś się nadarzyło, jakaś okazja, i chce, żebyśmy to wzięli sami?

– Może. – Marcin nie wydawał się przekonany. Uniósł filiżankę, gdy nagle o czymś sobie przypomniał, bo zwrócił się do Bartka: – Ty, a jak tam twoja blogerka? Słyszałem, że wczoraj niezłe się wyłożyła.

– Co się stało? – zaciekawiła się Anka.

Bartek wzruszył ramionami.

– Robiła wczoraj wynajem na Żoliborzu – wyjaśnił. – Prawdziwy pośrednik zabezpieczył się jakąś starą sąsiadką, więc prawie wpadła. Ale uciekła.

– Odpalając typowi gazem w oczy – uzupełnił Marcin z wyraźnie złośliwą satysfakcją w głosie. – Teraz całe Żoli o tym huczy, pierwsza wiadomość, gdy z pociągu wysiadłem. No pierwszorzędny numer.

Bartek milczał i przez chwilę Anka sądziła, że da się sprowokować. On jednak upił kawy, odstawił filiżankę na spodek i przekręcił uszko tak, jakby wyłączał gaz w kuchence. Taki właśnie podobał jej się najbardziej.

– A poważnie, to skąd wiesz? – zapytał.

– No przecież mówię... – zaczął Marcin, ale w połowie zdania zrezygnował. – Dzwoniłem do Mandzura, czy mnie nie przekima kilka dni, gdyby tu wyszło coś grubszego. I on tam matkę ma. A wiesz, jak to jest ze starymi kobietami.

Bartek skinął głową na znak, że wie.

– I co ci powiedział? – zapytał.

– No to przecież ci właśnie...

– Przekima cię? – doprecyzował Bartek. – Bo jak nie, ja mam dwójkę w Leonardzie kawalek stąd.

Anka zasłoniła twarz ręką, by ukryć uśmiech. Była pod wrażeniem, jak Bartek to rozegrał. Tą jedną propozycją nie tylko subtelnie i jednoznacznie odpowiedział na pytanie, „jak tam jego blogerka”, ale i dał Marcinowi do

zrozumienia, jak wielkim jest dupkiem i jak wiele mu do Bartka brakuje. Pytanie tylko, czy do playboya z Miami w ogóle docierały takie sygnały nie wprost.

Kurczę, pomyślała nagle. Przecież jeszcze dwa dni temu Marcin nie zachowywał się w ten sposób. Znaczący był normalnym sobą, irytującym, jednak w granicach normy. I faktycznie fajnie się z nim i rozmawiało, i pracowało. Czy to on dzisiaj przechodził samego siebie, czy ją aż tak rozdrażniła i zaniepokoiła ta sytuacja? To wezwanie i to, co mogło za sobą nieść. A może obecność Bartka, świadomość jego kłopotów sprawiła, że zrobiła się przeczulona.

Drzwi do gabinetu otworzyły się ponownie i do środka weszli, jak zawsze nierozłączni, Maurycy z Waldek. Obaj przed sześćdziesiątką, przypominali emerytowanych pracowników budowy. Waldek, wyższy i postawniejszy, miał płaski nos boksera i szeroką szczękę, a także policzki poznaczone siatką pękniętych naczynek. Posiwiące włosy domagały się fryzjera, a obwisłe policzki golarki. Na jego przedramieniu prezentowała swoje wdzięki nieudolnie wykonana *pin-up girl* w rozpiętym kombinezonie mechanika.

Maurycy, drobniejszy od kolegi, na pierwszy rzut oka składał się wyłącznie z mięśni rysujących się pod cienkim materiałem białej koszuli. Przedramiona i pierś gęsto porastały ciemne włosy, a gładko ogolone policzki odróżniały się wyraźnie kolorem od reszty bladej twarzy. Fryzura na jeża ewidentnie mu nie służyła, bo zwracała uwagę na niekształtne, odstające uszy. Oczy za to miał hipnotyzująco błękitne, emanujące spokojem i wewnętrzną siłą.

Anka zdała sobie sprawę, że dawno ich nie widziała. Ostatnio doszły ją tylko słuchy o numerze, jaki wycieli stacjonującym w Polsce żołnierzom amerykańskim – Maurycy wcielił się wtedy w polskiego oficera straży granicznej zdolnego do zorganizowania sojusznikom w pełni funkcjonalnego kasyna połączonego z burdelem z dziewczynami z Polski i Ukrainy. Waldek odegrał rolę chłopca, który najpierw chętnie użyczył na przybytek swojej murowanej stodoły, a potem ruszyły go strach, sumienie i bogobojaństwo.

Anka nie wiedziała, ile panowie wyjęli tym numerem, ale z całą pewnością

mieli dzięki niemu dobrą opowieść. To znaczy mieliby, gdyby byli choć odrobinę bardziej rozmowni i chętni do dzielenia się sukcesami. Oni jednak zawsze sprawiali wrażenie, że w kręgu są bardziej przez lojalność wobec wielkiego Be niż z chęci czy potrzeby utrzymania kręgu. Zwykli się trzymać z boku i teraz też przywitali się tylko cichym „cześć” i usiedli razem obok Bartka.

Parę minut po nich zjawił się Tolek, krępy, łysiejący siedemdziesięciolatek w okularach. Na ile Anka się orientowała, już tylko nominalny i honorowy członek kręgu, bo nie brał udziału w żadnych numerach inaczej niż na epizodach. Jako krakowski taksówkarz podobno – tak twierdził Marcin, który czasem u Tolka bywał – żył jak król, robiąc zagranicznych turystów na liczniku.

– Komu świeżego obwarzanka? – zapytał, ledwie stanął w progu i podniósł płócienną torbę trzymaną w dłoni. – Z solą mam. I z sezamem.

Zgłosili się Marcin i Waldek. Tolek podszedł do obu, podsuwając im torbę pod nos, a następnie zajął ostatnie wolne miejsce przy stole.

– To co, myślicie, że stary Karwasz ma dosyć? – zapytał, odchylając się na krześle. Chyba jako jedyny członek kręgu mówił o wielkim Be, używając jego nazwiska. – Że wezwał nas, by się pożegnać?

– Nie sędzę – stwierdził Marcin. – Nie w trakcie trwających i szykowanych numerów. Może po „Hrabim”, ale... Nie, w ogóle nie sędzę.

Anka podzielała jego zdanie, jednak nie zamierzała zabierać głosu w sprawie. Teraz gdy krąg był niemal w komplecie – pomijając ludzi przebywających ponoć za granicą, brakowało jeszcze tylko dwóch osób – dotarła do niej wyjątkowość tego spotkania. Ostatni raz w takim gronie widzieli się przecież przy okazji wtopy, która kosztowała Skowrona posadę w komendzie głównej... To wydarzyło się jakiś rok po wtajemniczeniu Marcina, kilka dni po tym, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży. Rok wpadek, jak to wtedy żartobliwie określił Bartek.

W końcu drzwi się otworzyły i w progu stanął Jan Karwasz. Opalony, ogolony, w białej koszuli z krótkim rękawem i ciemnych dżinsach wyglądał dobrze i zdrowo, zadając kłam plotkom niosącym się ostatnio po brukowych

portalach. „Czy Karwasz ma raka?“, „Karwasz niknie w oczach!“, alarmowały nagłówki artykułów okraszone wyjątkowo niekorzystnymi zdjęciami aktora. Gazety i serwisy sieciowe pozwalały sobie na podobne zabiegi, bo Karwasz rzadko kiedy decydował się czy to na pozew, czy choćby zwykłe dementi. Ostatni raz zareagował chyba przy okazji śmierci żony, pozywając „Fakt” za publikację zdjęcia jej ciała w trumnie.

– Jakby się dało, pani Małgosiu, to dziś dla odmiany z mlekiem jednak, dobrze? – powiedział Karwasz, stając w progu i odwracając się do sekretarki.

– Oczywiście, panie Janie.

Karwasz wszedł i zamknął drzwi do gabinetu.

– Dzień dobry wszystkim – powiedział pogodnie i rozejrzał się za wolnym krzesłem.

Marcin z miejsca podchwycił to spojrzenie, zerwał się jak wcześniej po kawę i szybko przyniósł obrotowy fotel stojący za biurkiem. Wyraźnie szykował go dla Karwasza, ale ten, gdy tylko Marcin się podniósł, zajął jego miejsce, zmuszając eleganta do zajęcia pozycji u szczytu stołu.

– Od razu uspokajam, na razie niczego nie odwołujemy – zapewnił, przechodząc z miejsca do rzeczy. – Przy okazji, Skowron się spóźni, dostał już robotę w związku z tą sprawą.

– To znaczy jaką? – nie wytrzymał Bartek i zaraz poczuł na sobie wymowne spojrzenia niemal wszystkich. Tylko Maurycy wciąż wpatrywał się w Karwasza uważnie, w skupieniu.

– Zacznijmy od tego, że wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że znalazła nam się zguba – zdążył powiedzieć Karwasz, gdy usłyszał za sobą dźwięk poruszanej klamki. Dał znak Marcinowi, a ten podniósł się po raz trzeci, by tym razem odebrać kawę dla szefa.

Karwasz nie musiał wyjaśniać, co znaczy zguba, bo wszyscy w pomieszczeniu wiedzieli, o kogo chodzi. Pozostawała jednak inna istotna kwestia. Zapytał o nią Tolek.

– Żyje?

Karwasz pokręcił głową.

– Dzisiaj odbył się pogrzeb na cmentarzu w Piasecznie. Skowron był, ale nie widział ciała. Denata pochowano jako Górskiego.

– Jaka jest pewność, że to naprawdę Houdin? – zapytała Anka. Użycie pseudonimu człowieka legendy, którego znała tylko z opowieści, ten zniknął bowiem na kilka lat przed jej przystąpieniem do kręgu, sprawiło, że poczuła dziwne podniecenie. – Można to jakoś potwierdzić? Nie wiem, zdjęcia, dokumentacja...

Karwasz uśmiechnął się do niej w taki sposób, że nie potrafiła stwierdzić, czy kryje się za tym sympatia, czy podszyte kpina rozbawienie.

– To właśnie ustala Skowron – wyjaśnił. – Na razie mamy podstawowe informacje, zdjęcie z dokumentów, wzrost, wagę, grupę krwi, odpis z dokumentacji ośrodka w Piasecznie. O bardziej szczegółowe trudno, bo odcisków palców, podobnie jak moich, nie ma w policyjnych bazach. Wiemy już natomiast, że naprawdę nazywał się Ferdynand Górski, bo oficjalnie zmienił nazwisko w urzędzie na kilka miesięcy przed zapisaniem się do ośrodka. Przyczyna zgonu, czyli obturacyjna choroba płuc, mogłaby pasować, bo Houdin palił jak smok, a to choroba palaczy. Skowron rozmawiał też z tamtejszą pielęgniarką. Zaprzyjaźniła się z naszą zgubą w jego ostatnich spędzonych tam latach. Na razie krótko, są umówieni na dłuższą rozmowę na miejscu. Znaczy w tym ośrodku.

– Żartujesz! – Niski, głęboki głos Waldka zaskoczył wszystkich. – On cały czas był tutaj?

– Na to wygląda. – Karwasz rozłożył dłonie. – Przynajmniej ostatnie trzy lata. Najpierw w domu spokojnej starości, potem w jego szpitalnym skrzydle, gdy wyszło, że do grobu wpędzi go obturacyjna choroba płuc. Kopcił jak komin.

Zapadła cisza, przerywana jedynie brzdękami filiżanek o spodki i głośnymi siorbnięciami. Anka zdawała sobie sprawę, że nie tylko jej cisną się teraz do głowy liczne pytania, ale nie zamierzała wyrywać się ze swoją ciekawością przed szereg.

– Za tym, że to prawdziwy Houdin, przemawia jeszcze jedna rzecz – powiedział w końcu Karwasz. – Wczoraj po spektaklu odbyłem bardzo

dziwną rozmowę telefoniczną, która sprawiła, że uznałem za zasadne ściągnięcie was tutaj.

Zrobił pauzę, przez co Anka miała ochotę go udusić, upił kawy, po czym podjął tym samym, spokojnym, nieco ślamazarnym tonem.

– Zadzwoił do mnie mianowicie syn Houdina. Młody człowiek, niejaki Mikołaj Otyś... Nie sprawdzaj teraz, zaraz się tym zajmiemy.

Skarcony Bartek posłusznie schował telefon.

– Rzeczonego Otysia, jak się okazuje, zaskoczyła nie tyle śmierć ojca, co w ogóle fakt jego posiadania. Na ile udało nam się do tej pory ustalić, chłopaka wychowała matka, ojciec zniknął, gdy Mikołaj był jeszcze małym chłopcem, i od tamtej pory nie dawał znaku życia. Odezwał się dopiero teraz, rzec można post mortem, bo za sprawą swojej przyjaciółki pielęgniarki. Ta dostarczyła panu Otysowi kopertę z pieniędzmi oraz coś na kształt pamiątnika. Którego treść skierowała tego młodego człowieka prosto do mnie.

Znów zapadła cisza. Anka, Bartek i Marcin popatrzyli po sobie, Tolek, Maurycy i Waldek wpatrywali się uważnie w Karwasza.

– Co szczeniak wie? – zapytał w końcu Maurycy.

Karwasz pokręcił głową.

– Jeszcze nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, będę się z nim widział dopiero wieczorem. No i oczywiście Skowron sprawdza też jego.

– To bezpieczne? – zaniepokoił się Marcin.

– Bezpieczniejsze, niż gdybym odmówił. Chłopakowi drżał głos, nazwał mnie Bosco i powołał się na numer w Bydgoszczy.

– Numer w Bydgoszczy? – Marcin nie wiedział, o czym mowa, ale najwyraźniej nikt nie zamierzał teraz zaspokajać jego ciekawości.

Waldek zacisnął wielkie dłonie i uderzył knykциями prawej o blat.

– Zaszantażował cię? – zapytał.

– Raczej chciał, żebym potraktował go poważnie – odparł Karwasz, upijając kolejny łyk kawy. – Co też zrobiłem. Od razu wysłałem Skowrona na pogrzeb, choć jak się okazało, i tak się wybierał, bo informacja dotarła do

niego jego kanałami. Zarzucił kiedyś znajomym glinom aliasy Houdina i wypłynęło. A przy okazji wyszło, że dzieciak może faktycznie coś mieć. O Skowronie na przykład wiedział całkiem sporo, zacytował mu nawet fragment, w którym...

Rozległo się pukanie i zaraz w progu gabinetu pojawił się dyrektor Pęczak. Elegancki mężczyzna o pyzatej, rumianej twarzy, wręcz stworzonej do prezentowania inicjatyw kulturalnych dla najmłodszych, ukłonił się i pchnąwszy drzwi barkiem, wniósł do środka paterę z kawałkami ciast i owocami. Za nim pojawiła się pani Małgosia z zestawem talerzyków i widelczyków. Gdy Anka przechwyciła wzrokiem spojrzenie sekretarki, ta zabawnie przewróciła oczami, wyrażając w ten sposób swoją opinię na temat ani chybi pomysłu szefa.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale może państwo się poczęstują? Świeże, pyszne, z zaprzyjaźnionej cukierni koło mojego domu – odezwał się dyrektor ciepłym i nieco przymilnym, choć nie służalczym głosem.

Anka nie знаła szczegółów relacji łączącej Pęczaka z Karwaszem, ale na ile się orientowała, zbudowali ją na wzajemnym wspieraniu się w trudnych chwilach. Gdzieś w tym wszystkim przewinęły się jakieś oskarżenia o agenturę, gdzieś kłopoty rodzinne, a koniec końców wyszła z tego prawdziwa przyjaźń, w której jednak nie bez znaczenia były podziw dyrektora dla aktorskiej legendy i nieodmienna radość z goszczenia go u siebie.

Karwasz obrócił się na krześle i wstał, by przywitać się z dyrektorem. Podał mu rękę, przykrył złączone dłonie drugą dłonią i zaczął mówić. Anka nie mogła ukryć podziwu, jak szybko i sprawnie przekazał tacę Marcinowi i wyprowadził Pęczaka za drzwi, udając, że tak naprawdę podtrzymuje rozmowę i cieszy się z tego niespodziewanego spotkania. Przyjacielski gest, dłoń oparta na łopatkę, gotowa pchnąć w stosownym momencie. Trzymanie się niby z boku, ale jednocześnie pół kroku za rozmówcą, by w razie potrzeby łatwiej nim sterować. To wszystko, choć sprawiało wrażenie marnowania czasu, w rzeczywistości go oszczędzało. Gdyby Karwasz pozwolił dyrektorowi samemu postawić tacę, ten szukałby w głowie słów, by

zbudować namiastkę konwersacji, potem zapadłaby na chwilę niezręczna cisza i koniec końców Pęczak wyszedłby zakłopotany, a tak znalazł się poza gabinetem rozanielony, w dwa razy krótszym czasie.

Bez względu na to, ile umiemy, pomyślała Anka, zawsze jest coś, czego możemy się od niego nauczyć.

Karwasz tymczasem zamknął drzwi i wrócił na swoje miejsce. Przesunął paterę bliżej do Waldka sięgającego właśnie po kawałek sernika i podjął przerwany wcześniej wątek.

– Nie mam pojęcia, ile chłopak wie, co jest w tych notatkach i o co mu chodzi. Wielu rzeczy dowiem się pewnie po dzisiejszym spotkaniu, ale jestem przekonany, że tej sprawy nie zamkniemy ot tak, na jednym spotkaniu.

– A jeśli to szantaż? Jeśli chce pieniędzy? – zapytał Bartek.

– Pieniądzy za nic? – Karwasz się uśmiechnął. – Wiesz przecież, co się robi z ludźmi, którzy chcą coś za nic.

– Dajesz im nic za coś – dokończył Marcin z ustami wypchanymi ciastem z galaretką.

Bartek oparł łokcie na stole i zaczął nerwowo bawić się palcami. Robił z nich piramidkę, a potem stukał o siebie knykciami.

– Czyli co, rozpracowujemy go jak gapa?

– To na pewno – stwierdził Karwasz. – Musimy też ustalić w związku z tym przebieg bieżących na podniesionym ryzyku. Moja propozycja jest taka, żeby Gdańsk puścić samopas. Sprawa toczy się właściwie, obstawiona jest, jak należy, myślę, że możemy zrezygnować z udziału i dać zarobić młodemu. Bartek, ciebie wolę mieć tutaj, podobnie jak Marcina i...

– Obecnie Anka, szefie – powiedziała, a Karwasz mrugnął do niej i postukał palcem w skroń, co miało znaczyć, że zakodował.

– Zatem potrzebuję tu Bartka, Marcina i Ankę, bo istnieje szansa, że skoro nie poznali Houdina, to i on nie znał ich, a więc i nie opisał. Na pewno – uniósł palec, widząc, że Bartek chce wejść mu w słowo – na pewno zakładał, że krąg się powiększył, może nawet utrzymywał kontakt z kimś ze

środowiska i dzięki temu był na bieżąco do końca. Tego nie wiemy, ale...
Tak, Toleczku?

– Co masz dla mnie? – zapytał taksówkarz, by zaraz z przekąsem dodać: – Bo rozumiem, że nie dane mi będzie jednak cieszyć się emeryturą.

– Zawsze masz prawo odmówić – odparł Karwasz. – Ale faktycznie, chciałbym, żebyś przejął nadzorowanie numeru w Zakopanem. Ten szwindel to klasyk, w dodatku w twoich ulubionych nadętych klimatach, więc wdrożysz się raz-dwa. Ja wolałbym nie mieć tego na głowie.

– Dobra. – Tolek wziął z patery kawałek makowca. – Niech będzie Zakopane.

– Dziękuję. – Karwasz zerknął na zegarek. – Waldek i Maurycy, jak dam znać i potwierdzą, puszczają na miasto wieści o śmierci Houdina i sprawdzają reakcje. Chciałbym też wiedzieć, panowie, kto z zaufanych ludzi jest wolny pod ewentualny angaż, gdyby przyszło coś klecić na szybko. I oczywiście za ile, bo budżet mamy nieco nadwyrężony, a nie chciałbym korzystać ze środków własnych. Spotkanie z Otysiem mam na dziewiętnastą. Niech Marcin idzie ze mną, a potem odprowadzi niezauważenie naszego gapa pod samiutki drzwi domu. Rutynowe odprowadzenie, może nam się z czymś poszczęści.

– Tak jest! – Marcin zsalutował widelczykiem do ciasta.

– W tym celu musisz się przebrać, bo wyglądasz jak pajac. Bartek, Anka, niezależnie od Skowrona zróbcie mi profile z tego, co znajdziecie. Jego, rodziny, wszystko. Zresztą nie muszę was przecież uczyć diagnozowania gapa, prawda? Jeśli pojawi się coś pewnego w ciągu dwóch godzin, ślijcie od razu, przyda mi się na rozmowę. Ale tu bez presji i parcia, tylko sprawdzone, sensowne informacje. To i tak będzie macanko po ciemku, a to, co ważne, wykorzystamy później. Dacie radę?

– Tak, ale ja na pewno nie zdążę w dwie godziny, bo obiecałam być dzisiaj w domu, a muszę jeszcze zabrać rzeczy – powiedziała Anka. – Właściwie to zaraz powinnam się zbierać, więc jakby się dało...

– Pojadę z tobą – zaoferował się Bartek. – Weźmiemy traficara i przegadamy dokładny podział po drodze, co ty na to? W razie czego

Skowron ma sposoby, by mnie złapać.

– Dobrze, niech tak będzie – odpowiedział za nią Karwasz i najwyraźniej zamknął tym temat, bo zamiast dodać coś jeszcze, nałożył sobie ciasta, skosztował, odchylił się na krześle i zakręcił w powietrzu kółko widelczykiem.

– A przy okazji, choć okoliczności nie są najlepsze, naprawdę cieszę się, że was wszystkich widzę, choćby i w przelocie.

Nikt nie zdążył na to odpowiedzieć, gdyż z jego kieszeni nagle popłynęły dźwięki, a wyświetlacz wyłowionej z kieszeni komórki poinformował aktora, że dzwoni Skowron.

– Tak... Dobrze, jasne... W porządku. – Karwasz rozłączył się i schował telefon. – Skowron do nas nie dotrze, mieli jakieś włamy, ściągają go na komendę. Ale i tak wiemy, czego nam trzeba, czyż nie?

Wszyscy obecni potwierdzili.

– No to bierzmy się do roboty!

13

Marta wiedziała, że nie powinna się na niego denerwować, i właśnie to denerwowało ją najbardziej. Bartek był fair. Gdy zdecydowali się zamieszkać razem, obiecał jej szczerą, nawet bolesną, i od tamtej pory nigdy nie złapała go nawet na małym kłamstwie. Owszem, nie mówił wszystkiego, jednak kiedy zdarzało się coś, o czym mówić nie mógł lub nie chciał, informował ją wprost, czy nie chce, czy nie może.

Pamiętała, że zaczynając ten eksperyment, powiedział:

– Nie uważam, by ludzie naprawdę oczekiwali od innych szczerości. Owszem, tak mówią, ale gdy tylko ją dostają, prawda zaczyna wprawiać ich w zakłopotanie, odbiera im pewność i nadzieję. Nie umiem też ocenić, czy jest gorsza od paranoicznego przekonania, że coś złego dzieje się, ilekroć się odwrócimy. Nie wiem, sama oceń i zdecyduj, czy chcesz, bym mówił ci tylko prawdę, czy raczej to, co moim zdaniem powinnaś wiedzieć dla swojego dobra. Ja się dostosuję.

Wybrała prawdę, by dość szybko przekonać się, że mówiąc o szczerości, miał rację. Co jednak nie powstrzymało jej przed zadawaniem pytań:

Czy jesteś w kręgu Houdina i Bosco?

Tak.

Trudno się do niego dostać?

Wolałbym nie rozmawiać o kręgu.

Jak w tym filmie, tym o facetach bijących się w garażu?

Piwnicy. Podziemny krąg, tak. I właśnie tak.

A czy są w nim jakieś kobiety?

Tak, są.

Ładne?

Marta...

Spotykałeś się z którąś?

Tak, ale naprawdę...

Długo?

Marta, proszę cię...

Zapytałam, czy długo.

Kilka miesięcy.

Ona to skończyła czy ty?

Ona.

Chciałbyś do niej wrócić?

Nie, bo mam ciebie.

Najgorsze w zabawie w prawdę jest to, że w każdej chwili może się skończyć. Sto szczerych odpowiedzi nie wyklucza kłamstwa w sto pierwszej, sto dwudziestej czy później, a jeśli człowiek ma do czynienia z zawodowym oszustem, może tylko się łudzić, że w razie potrzeby odróżni prawdę od fałszu.

Jak ma na imię?

Nie znam jej imienia.

Jak możesz nie znać jej imienia?

Po prostu, zmienia je co jakiś czas.

A gdy byliście razem?

Agnieszka.

A teraz?

Anka.

Bywały pytania związane z tamtą, na które nie odpowiadał, bywały takie, o które się wkurzał, że przegina, że wchodzi za głęboko i to nie jest normalne. Krzyczał wtedy, czy naprawdę chce wiedzieć, czy chce, by podawał szczegóły. Odpuszczała, ale nie dawało jej to spokoju. A odkąd zaczęła brać udział w numerach, do zwykłej zazdrości doszła jeszcze ambicja. Co musiała zrobić tamta, by dostać się do kręgu? Czym sobie zasłużyła?

Czasem całymi godzinami siedziała w internecie i pod pozorem przygotowywania materiałów na bloga, szukała ciekawostek na temat polskich oszustek, a potem wkładała w sekwencję zdarzeń wyobrażoną Agnieszkę czy Ankę. Ilekroć oszustka grała dupą, puszczały jej nerwy, robiła amatorski błąd, Marta na siłę próbowała sobie mówić: to na pewno ona! By zaraz przyznać przed samą sobą, że to niemożliwe. To była amatorska robota. Żaden artysta czy artystka przekrętu nie pozwoliliby sobie na taki błąd. I myśląc tak, jeszcze bardziej suki nienawidziła.

Nie miała prawa wkurzać się na Bartka. Pomógł przy numerze, to ona sama później go zawałiła. Potem, gdy poprosiła, streścił jej swój numer, choć nie musiał i w zasadzie niekoniecznie powinien. Owszem, odmówił, ale to nie była jego decyzja i to ona zagrała nie fair, w ogóle go o to prosząc. Zachowała się paskudnie i miała świadomość, że to po jej stronie leżą przeprosiny.

A jednak to odkładała. Najpierw zajęła się zleceniami, które wzięła do domu mimo urlopu. Potem popłaciła rachunki i zauważyła, że mimo kłótni pamiętał, by na czas przelać jej połowę kwoty. To też ukłuło ją w sumienie i tym samym zdenerwowało, że taki jest, kurwa jego mać, porządny! Taki poukładany!

Wreszcie stwierdziła, że może skończy artykuł na bloga, bo patroni z Patronite już się o niego dopominali.

Tekst był właściwie streszczeniem książki *The Great Impostor* Roberta Crichtona uzupełnionym o jej własne przemyślenia na temat bohatera Ferdinanda Waldo Demary Jr. – człowieka uważanego przez niektórych za największego oszusta w dziejach.

Obiecała go kilka miesięcy temu, gdy ktoś na forum czy w jednej z zamkniętych grup dotyczących oszustów, con manów i scam artystów wrzucił link do ekranizacji z lat sześćdziesiątych. Marta знаła ten film. W rolę Demary wcielił się Tony Curtis i grał w zasadzie dobrotliwego cwaniaka, przyjmującego coraz to nowe tożsamości, by służyć nimi ogólnemu dobru. Takiego Forresta Gumpa, tyle że przebiegłego i inteligentnego.

Marta po lekturze książki i licznych artykułach na temat oszusta nawet lubiła Demarę, a obraz przedstawiony w filmie daleko odbiegał od tego prawdziwego. Prawdziwy Demara, złodziej przynajmniej sześćdziesięciu tożsamości, w tym lekarza wojskowego, strażnika więziennego, inżyniera od mostów czy mnicha, borykał się w rzeczywistości z poważnym problemem psychicznym, który sprawiał, że robił to, co robił, nie bacząc na innych i nie licząc się z ryzykiem. I takim właśnie chciała go pokazać swoim czytelnikom.

Tekst właściwie już napisała, jeszcze tylko we wstępie chciała nawiązać do postaci Franka Abagnale'a Jr., czyli bohatera *Złap mnie, jeśli potrafisz* z Di Caprio i Hanksem, i brakowało jej zwięzłego podsumowania, na które wcześniej nie miała pomysłu, a teraz przyszło ot tak. Cholera wie, może potrzebowała się wkurzyć?

Gdy skończyła, zrobiła sobie herbatę, a następnie wróciła, by jeszcze raz przejrzeć artykuł, dobrać do niego zdjęcia i umieścić na blogu. Link do notatki wrzuciła najpierw na swoim profilu na Facebooku i w zamkniętej grupie dla patronów, potem w kilku innych grupach, a wreszcie na forum strony www.artysci.przekretu.pl. Sama witryna od dawna była już martwa, ale zamknięte, mocno elitarne forum nieustannie i na przekór czasom tętniło życiem.

Wrzuciła swój tekst jak zawsze w dziale Aktualności, w temacie z nazwą bloga i już miała wyjść, gdy rubrykę wyżej zobaczyła:

WOREK KOŚCI – spotkanie forumowiczów w Warszawie.

Z ciekawości zajrzała do środka i znalazła wpis autorstwa Alexis, jednej z adminek forum.

Hej, Wraz z Tomishem pomyśleliśmy, że czas wakacyjny sprzyja spotkaniom, a że dawno się nie widzieliśmy i nie wypaliło czerwcowe spotkanie w Malborku (jeszcze raz sorry, Killroy, wiem, że się napracowałeś, by wszystko tam było super), padła propozycja, by zorganizować wyjście na piwo w stolicy. Wiem, że nie każdy da radę, ale tym, którzy mają jak, proponuję taki sympatyczny lokal przy Bagatela 10 (koło placu Unii Lubelskiej). Byłam tam ostatnio na wykładzie o seryjnych mordercach

i naprawdę jest klimat. Warto zobaczyć, odwiedzić, może zaproponujemy im coś własnego, o scam artystach? Co myślicie?

Przejrzała pobieżnie odpowiedzi i, jak zresztą słusznie się spodziewała, znalazła przede wszystkim narzekania na stolicocentryzm i pochwały pod adresem lokalu, a także wzmianki o udziale w wykładach czy innych inicjatywach tam organizowanych. Wczytała się dopiero w kolejny wpis Alexis, podsumowujący wątek i ustalający ostateczną datę spotkania.

Czyli umówieni. Worek Kości, sobota godzina 16.00. Nie ma rezerwacji miejsc, bo lokal nie praktykuje, ale z miejscem o tej porze nie powinno być problemu.

Marta wpatrywała się dłuższą chwilę we wpis. Z jednej strony nie miała najmniejszej ochoty na udzielanie się teraz towarzysko, a z drugiej być może lepiej by się poczuła, gdyby posiedziała z kimś, kto docenia jej robotę? Właściwie dlaczego nie? Przecież i tak zapowiadał się wolny weekend.

Wtedy przypomniała sobie, że miała napisać do Bartka. Wzięła telefon i po namyśle wystukała:

Cześć. Przepraszam, nie powinnam cię stawiać w takiej sytuacji i tak się zachowywać. Byłam zła, bo dałam dupy. Daj znać, jak będziesz mógł pogadać.

Ledwie odłożyła komórkę, ta zawibrowała. Podniosła ją szybko, tylko po to by zobaczyć, że odpowiedź Bartka ograniczała się do krótkiego:

OK.

Czym znowu mimowolnie ją wkurwił.

*

Temat pod tytułem podział zadań wyczerpał się po kilku minutach i teraz w ciszy przebijali się przez Warszawę autem na minuty. Bartek prowadził pewnie, spokojnie, nie dało się jednak nie zauważyć, że skupia się na drodze bardziej, niż musi.

Jakby za wszelką cenę nie chciał na mnie spojrzeć, pomyślała Anka. Naprawdę tylko tego brakowało, żeby akurat teraz, gdy znowu nie była

wszystkiego pewna, znów się pojawił. Fool me once shame on you, przyszła jej do głowy święta zasada oszustów i oszukanych, Fool me twice shame on me, a zaraz po niej myśl pozornie bez związku, że z całego kręgu tylko Bartek zna adres jej sekretnego azylu.

– Marta jest o ciebie zazdrosna – Bartek przełamał narastającą ciszę. – Wczoraj, gdy powiedziałem, że jadę do Gdańska, zapytała, czy też tam będziesz.

Anka sapnęła głośno i potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Znowu? Kurwa, myślałam, że to już za wami – powiedziała. – Znaczący wiesz, od początku uważam, że głupio zrobiłeś, mówiąc jej o wszystkim, ale...

Umilkła, niepewna, jak skończyć to zdanie. Ale się uparłeś? Ale masz te swoje durne zasady?

– To dlatego śpisz teraz w hotelu? – zapytała w końcu. – Bo się pokłóciliście?

Skinął głową.

– O spotkaniu dowiedziałem się już w taksówce. Nie chciałem wracać, bo nie wiedziałem, co będzie do zrobienia, a nie chcę się rozpraszać.

– Rozumiem. I przykro mi, naprawdę. – Przejechała ręką po włosach. – Kurwa, naprawdę chciałabym ci jakoś pomóc.

– Chciałbym, żeby ktoś mógł – odparł, uśmiechając się smutno. – Niekoniecznie ty.

Parsknęła, a w kącikach jego oczu znowu pojawiły się zmarszczki. Pamiętała, jak zwróciła na nie uwagę, gdy się poznali. Oto ktoś, kto dużo się śmieje i bierze świat na wesoło, pomyślała wtedy. Nie była to ostatnia jej pomyłka z nim związana.

– Będzie chciał kasy – stwierdził Bartek po dłuższej chwili milczenia. – Ten Otyś znaczący. Będzie próbował szantażu.

– Też tak sądzę – zgodziła się. – Myślisz, że wie o nas?

– O mnie i tobie kiedyś czy ogólnie o mnie, tobie i Marcinie?

– To drugie – odparła. – Jezu, o pierwszym nawet nie pomyślałam.

Myślisz?

– Cholera wie. Zależy, czy z kimś pracował w ostatnich latach. Wiesz, nie znam historii aż tak dobrze, właściwie to nawet nie wiem, dlaczego się rozstali. Z Bosco znaczy.

Spojrzał na nią, korzystając z czerwonego światła.

– Ty wiesz?

– Słyszałam, że Houdin garował gdzieś za granicą – odparła. – Podobno wpadł na jakimś prostym numerze w Skandynawii, odsiedział krótki wyrok i już nie wrócił. To znaczy oficjalnie.

– Bosco go nie szukał?

Wzruszyła ramionami.

– A czemu miałyby? Dostał wiadomość, że Houdin żyje i kończy z tematem, więc dla niego to też było zamknięte. Znaczą tak przypuszczam. Nie dopytywałam nigdy.

Bartek pokiwał głową. Ruszył, ale po kilkudziesięciu metrach stanął znowu, tym razem w niewielkim korku. Spojrzał na zegarek na kokpicie.

– O której masz ten pociąg?

– Za półtorej godziny jeden i za dwie i pół następny. Spokojnie.

– Jestem spokojny. Myślisz, że Bosco tęskni?

– Za Houdinem?

– Za robotą – doprecyzował Bartek. Poczł wibrację, więc wyjął z kieszeni telefon. Przeczytał wiadomość i szybko na nią odpisał, by zaraz podjąć przerwany wątek. – Czasami myślę sobie, że ta nagła sława to największe przekleństwo, jakie mogło go spotkać. Nie ma nic gorszego dla oszusta niż gęba znana z telewizji i gazet.

– To chyba jednak zależy od numeru – odpowiedziała Anka.

– W sumie fakt – zgodził się, choć nie do końca przekonany.

Kwadrans później dojechali na miejsce. Bartek zaparkował pod pobliskim Lidlem, uznając, że nie ma sensu wjeżdżać do niej na osiedle. Zgodziła się i pobiegła sama, a on wysiadł i zamknął auto, by nie naliczało mu

dodatkowych minut, jednak oparł się tyłkiem maskę, żeby nikt nie zwinął mu samochodu sprzed nosa.

Z powodu wysokiej temperatury i posmaku kawy w ustach chciało mu się pić, ale przez szybę widział kolejki w sklepie i zrezygnował. Zamiast tego wyjął telefon i jeszcze raz przeczytał wiadomość od Marty.

Cześć. Przepraszam, nie powinnam cię stawiać w takiej sytuacji i tak się zachowywać. Byłam zła, bo dałam dupy. Daj znać, jak będziesz mógł pogadać.

Chciał dodać coś do swojego wcześniejszego OK, zdawkowego i – mogła tak to odebrać – obrazonego. Problem w tym, że nie miał pojęcia, co napisać. Że w porządku i że pogadają, jak wróci? Nie był pewien ani jednego, ani drugiego. Właściwie, z czego zdał sobie sprawę, jadąc tu przez zakorkowane miasto, nie był pewien, czy w ogóle chce wracać.

Schował telefon i zaplótł ręce na piersi, próbując skupić myśli na czekających go zadaniach.

Kwadrans później pojawiła się Anka i pojechali na Centralny.

14

Obawiając się kłopotów z parkowaniem, Mikołaj podjechał na miejsce Uberem. Kierowca z Ukrainy bał się wysadzić go na awaryjnych przy samym lokalu i przejechali jeszcze prawie dwieście metrów, nim zdecydował się zatrzymać. Mimo to Mikołaj odruchowo sprezentował mężczyźnie komplet gwiazdek, choć bez napiwku. Wsiadł, przeciągnął się i upewnił, że nic nie wypadło mu ani z kieszeni, ani z małego płóciennego plecaka z logiem WOŚP, w którym trzymał zeszyt od Górskiego.

Miał teraz na sobie dzinsy i spraną koszulkę z okładką zespołu Queen, tę z czterema twarzami na ciemnym tle, oraz trampki. Przebrał się po powrocie z pogrzebu i w tym stroju pojechał do Kaśki na Woronicza, bo zapomniała dokumentacji z domu i poprosiła, by jej przywiózł. Zapytał, czy może tak iść na spotkanie.

– Chyba jeszcze nikt nie opracował protokołu dla tego typu wydarzeń – odparła ze śmiechem. – A Karwasz, ucząc w akademii, pewnie przywykł do większych dziwadeł. Dasz znać po wszystkim?

Obiecał, że da, zostawił jej auto, a sam zamówił Ubera. Pół godziny później stał na rogu placu Teatralnego i zastanawiał się, czy powinien czekać tu, czy w środku. W głowie analizował też nieustannie możliwe warianty czekającej go rozmowy, próbując przewidzieć to, co może usłyszeć i jak się do tego odnieść.

W końcu zdecydował się wejść do restauracji. W bramie minął figurę przypominającą ołtarzyk i skręcił w prawo, skąd dochodził przyjemny zapach sera, smażonego mięsa i ostrych przypraw.

Natychmiast podszedł do niego drobny kelner, który sądząc po rysach twarzy i odcieniu skóry, faktycznie mógł mieć domieszkę krwi meksykańskiej.

– Dzień dobry – powiedział z szerokim uśmiechem amerykańskiego

sprzedawcy samochodów. – Czy była rezerwacja?

– Nie wiem, wydaje mi się, że tak – odparł. – Proszę sprawdzić na nazwisko Karwasz.

– A tak. – Mina kelnera mówiła teraz wyraźnie, że już wszystko wie. – Bardzo proszę za mną na antresolę.

Poprowadził Mikołaja schodami na górę, gdzie już siedział Jan Karwasz, pochylony nad książką i częściowo ukryty za dzbankiem z wodą.

Na widok Mikołaja aktor się uśmiechnął, odłożył książkę i z pewnym trudem podniósł się z krzesła. Wyciągnął rękę do powitania.

– Karwasz – przedstawił się. – Bardzo mi miło poznać, panie Mikołaju.

– Mnie również. – Mikołaj uścisnął podaną dłoń, po czym odsunął sobie krzesło i zawisł nad nim, jakby niepewny, który z nich powinien teraz usiąść pierwszy.

Karwasz dostrzegł to wahanie i usiadł.

– Nie wiem, czy pan zna to miejsce, w każdym razie jako przystawkę serdecznie polecam queso fundido. Pańskie żyły mogą potem panu nie podziękować za taką dawkę cholesterolu, ale niektóre grzechy warte są każdej pokuty.

– Dobrze, poproszę – odparł Mikołaj nieco nerwowym głosem, zastanawiając się, co zrobić z płóciennym plecaczkiem. Położyć obok krzesła? Na kolanach? Na wolnym, trzecim krześle?

– Zaznaczam, że potrawa jest pikantna – ostrzegł kelner. – Czy coś do picia pan sobie życzy?

– Macie jakąś lemoniadę?

– Mamy lemoniadę z cytryną, z...

– Z cytryną będzie w porządku. – Zdecydował się położyć plecak na wolnym krześle i teraz pospiesznie zerknął w menu. – A oprócz tego fundido poproszę burrito z kurczakiem.

– I z jaką salsą?

– Proszę dobrać, żeby było smacznie. – Mikołaj odłożył kartę na bok, by

dać do zrozumienia, że zamknął temat.

Kelner zrozumiał, podziękował i zwrócił się w stronę Karwasza.

– Tak, ja również jestem gotowy zamówić. Tym razem daruję sobie queso fundido, choć kubki smakowe łkają. Na pocieszenie dla nich poproszę machete. A na deser... Albo nie, to później.

– Czyli na ten moment to wszystko? – upewnił się kelner. – Pozwolą panowie, że powtórzę zamówienie, by uniknąć pomyłek.

Mikołaj mało nie zaprotestował, jednak powstrzymał się w ostatniej chwili. Karwasz musiał to dostrzec, bo puścił do niego oko, uśmiechając się półgębkiem. Jeżeli nadchodząca rozmowa w jakimkolwiek stopniu stresowała aktora, w jego zachowaniu nie było po tym zdenerwowaniu nawet śladu.

Wreszcie kelner podziękował i oddalił się, a wtedy Karwasz sięgnął po pustą szklankę i nie pytając, nalał Mikołajowi wody.

– Muszę coś panu wyznać, panie Mikołaju – powiedział, podsuwając rozmówcy szklankę – Nie jestem zbyt dobry w rozmowach o niczym. Small talk, tak? Tak to się nazywa?

Mikołaj skinął głową, przyglądając się aktorowi badawczo.

– No właśnie – kontynuował Karwasz. – Niby rozumiem ich sens, ale gdy przychodzi co do czego... – Bezradnie rozłożył ręce, komicznie wypychając do przodu dolną wargę. Mina, którą doskonale znali miłośnicy jego filmów, zwłaszcza tych komediowych.

– Ja też lubię konkret, panie Janie – stwierdził Mikołaj. Zrobił krótką pauzę i nabrał szybko powietrza, jakby szykował się do poderwania ciężaru czy innego nagłego wysiłku, po czym wyrzucił z siebie jednym tchem: – Poznałem dzisiaj na pogrzebie pańskiego przyjaciela z policji.

Karwasz uśmiechnął się pod nosem.

– Poznałem i przyjaciel. Dwa duże słowa, panie Mikołaju. Tymczasem przecież ani pan podkomisarza nie poznał, ani to żaden mój przyjaciel. – Przerwał i nachylił się ponad stołem. – Proszę mi powiedzieć, ale tak szczerze. Nagrywa pan teraz naszą rozmowę?

– A pan?

Karwasz wrócił do poprzedniej pozycji i przejechał palcami po wargach.

– Ja nie. Tylko że mnie, umówmy się, nie przychodzi nawet na myśl, jak mógłbym z takiego nagrania potem skorzystać. Na ile zdążyłem się wstępnie zorientować, pan ze swoim rzekomym ojcem za wiele wspólnego nie miał, prawda? To znaczy do przedwczoraj. Czego byśmy zatem nie powiedzieli, ciężko byłoby tym pana obciążyć.

Uniósł szklanke, obejrzał ją niczym kryształ i upił łyk wody, cały czas uśmiechając się na poły wesoło, na poły kpiąco.

– Co innego, mógłby pan pomyśleć, ze mną. Dlatego ponowię pytanie, licząc na szczerą odpowiedź. Czy nagrywa pan nasze spotkanie, panie Mikołaju?

– Nie.

– I świetnie. – Karwasz upił jeszcze jeden maleńki łyk wody i odstawił szklanke. – Zatem o czym teraz porozmawiamy? Co pan chce wiedzieć: jaki on był? Czy wspominał kiedyś o swojej rodzinie? Synu?

Mikołaj przyglądał się rozmówcy przez chwilę z powagą, próbując wypatrzyć w tym beztroskim uśmiechu choćby odrobinę zawahania, wątpliwości, a może nawet... strachu? Na razie jedyne, co dostawał, to beztroską drwinę.

– W tym, co dostałem od ojca, są materiały, które pana obciążają, panie Karwasz – powiedział w końcu. – Część z nich odnosi się do spraw raczej przedawnionych, ale część jest całkiem aktualna. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby potraktował mnie pan poważnie.

– Ależ ja pana traktuję poważnie, panie Mikołaju – odparł Karwasz. – W chwili gdy rozmawiamy, mój, jak to pan powiedział, przyjaciel rozmawia z pielęgniarką pańskiego ojca, poznając jej wersję wydarzeń. Jednocześnie każdy, kogo znam, robi od naszej wczorajszej rozmowy rachunek sumienia, by upewnić się, czy doszedł pan do posiadanych informacji nie inaczej niż przez znajomość z Houdinem. Jak dotąd nie znajduję jednak nikogo, kto wiedziałby jednocześnie o mnie, o Bydgoszczy i... moim przyjacielu. Dlatego

niech pana nie zwiedzie wyuczony, teatralny spokój na mojej twarzy. Ja...

Przerwał, bo właśnie pojawił się kelner, stawiając przed Mikołajem talerz z roztopionym serem, talerzyk z tortillami i salsą.

– ...chcę wiedzieć, co pan zamierza zrobić ze swoją nowo nabytą wiedzą, panie Mikołaju – dokończył. – I dlaczego właściwie się tutaj spotykamy.

Mikołaj zmusił się do utrzymania kontaktu wzrokowego przez starannie odliczone dziesięć sekund, po czym spojrzał na swój talerz i pokręcił głową.

– Nawet nie wiem, jak to się je – przyznał.

– Ostrożnie, bo gorące – doradził aktor. – Poza tym wolna amerykanka. Ale doradzałbym za pomocą tortilli.

Otyś sięgnął po placek, jednak w połowie ruchu jakby się rozmyślił i wyciągnął rękę po plecak. Wyjął z niego gruby, sfatygowany zeszyt, a z niego wyłowił zaklejoną kopertę. Zeszyt schował, kopertę położył na stole i przesunął w stronę Karwasza.

– To łapówka? – zaśmiał się aktor.

– Raczej list do pana – wyjaśnił Mikołaj. – Znajdował się w notatkach z prośbą o przekazanie.

Karwasz wziął do ręki kopertę i obejrzał ją starannie. Koperta nie była podpisana.

– Nie zaglądał pan? – zapytał. – Nie próbował tych szkolno-harcerskich sztuczek z rozklejaniem nad parą?

– Nie musiałem. – Mikołaj wpakował do ust umoczony w fundido kawałek placka. Cienkie nitki ciągnącego się sera poparzyły go w brodę, więc szybko starł je chusteczką. – Wiem mniej więcej, co jest treścią tego listu, bo Górski opisał to w zeszycie. Nie wdawał się tylko w szczegóły.

– Aha.

Karwasz wyjął z kieszeni okulary w skórzanym pokrowcu i wsunął je na nos. Następnie sięgnął po leżący na stole nóż, rozciął brzeg koperty i wyjął z niej dwie kartki w kratkę, zapisane po obu stronach drobnym, starannym pismem.

– Mogę? – zapytał Mikołaja, a ten zachęcił go gestem. Aktor pogrzyżył się

w lekturze.

Gdy skończył, złożył list i wsunął go do koperty. Akurat zjawił się kelner, który postawił przed nimi talerze i przeprosił Otysia za brak lemoniady. Ten odparł, że nic się nie stało, podał mu talerz po queso fundido i spojrzął na Karwasza wyczekująco.

Aktor zdjął okulary i położył na stole. Sięgnął po sztucce.

– Jak pan to sobie wyobraża? – zapytał w końcu spokojnym, nieco przygaszonym głosem. Ku satysfakcji Mikołaja zniknął gdzieś ten drwiący, protekcyjny uśmieszek, mówiący, że mimo wszystko to on jest panem sytuacji.

– Co takiego sobie wyobrażam, panie Janie?

Karwasz czubkiem noża wskazał na kopertę.

– No to, ten szwindel. Jak pan go sobie wyobraża w praktyce? Zrobi go pan ze mną? Poczekaj, aż sam go zrobię? Jak pan to widzi, panie Mikołaju?

Mina Otysia musiała być bardzo wymowna, bo w jednej chwili na twarz Karwasza powrócił drwiący uśmiech, a ospałość i przygaszenie zupełnie się rozwiały.

– Czyli jednak pan nie wie, co jest w liście? – Bardziej stwierdził, niż zapytał, mimo intonacji sugerującej to drugie. – Niech zgadnę, w wersji przeznaczonej dla pana Górski niczym prawdziwie troskliwy ojciec pominął wszystkie kwestie oprócz tej mówiącej, że dostanie pan ode mnie pieniądze, tak? Pomyślał pan może, że mamy z moim niedysiejszym kompanem zakopany skarb, jak piraci, i teraz panu dostanie się w spadku jego dola? Myle się?

To pytanie było niepotrzebne, bo twarz Mikołaja, mimo jego usilnych starań, by to zamaskować, mówiła aż nadto wyraźnie, że Karwasz ma rację.

Aktor uśmiechnął się i zabrał do jedzenia.

– Mówiąc w dużym skrócie, główną treścią tego listu – rozwinął myśl, dzieląc potrawę na małe porcje – jest tak zwany profil gapa. Wie pan, co to, czy wyjaśnić? Ale niech pan je, panie Mikołaju. Zimne traci pewnie z połowę smaku.

Otyś niechętnie zabrał się do jedzenia.

– Proszę wyjaśnić.

– Gap to ten, kogo zwykło się nazywać ofiarą numeru – zaczął tłumaczyć Karwasz. – To ten, kto ostatecznie kończy bez pieniędzy, za to z ceną lekcją.

Mikołaj prychnął.

– Tak pan to nazywa? Cenną lekcją?

– A jak inaczej? – Karwasz wzruszył ramionami. – Proszę nie odebrać tego jako próby samousprawiedliwienia, ale czy nie jest tak, że dajemy się oszukiwać każdego dnia? Politycy, sprzedawcy w sklepach z fałszywymi wyprzedażami, dostarczyciele usług. Gdyby pan tylko zliczył te wszystkie małe przekręty i naciągnięcia, zdziwiłby się, o jakich kwotach mówimy.

Zrobił przerwę, by przeżuć kawałek mięsa i zapić wodą, po czym znów podjął:

– A jednak nikt z tego lekcji nie wyciągnie, bo to jak gotowanie raków przez stopniowe podnoszenie im temperatury. Zanim się zorientują, jest za późno. Tymczasem jako gap numeru... No cóż, tu się nie zagotujesz, choć poparzenie zapamiętasz na długo. Cenna lekcja. Może niewspółmierna do faktycznie zapłaconej ceny, ale wciąż cenna.

Przez chwilę jedli w ciszy, nasłuchując dźwięków z kuchni, głosów hałaśliwej rodziny, wreszcie śpiewu muzyka, który z gitarą, w stroju mariachi, do wtóru pisków i oklasków odśpiewał komuś Las Mañanitas, meksykańską pieśń urodzinową.

– Co zamierza pan zrobić z tym listem? – zapytał w końcu Otyś.

Karwasz odłożył sztucce i otarł usta serwetką.

– To nie jest pytanie do mnie, panie Mikołaju – odparł. – To pytanie do pana. Rozumiem, że z tego numeru oczekuje pan dla siebie takiej samej doli co kwota wspomniana przez pana rzekomego ojca?

– A o jakiej kwocie mówimy?

Karwasz potrząsnął głową z rozbawieniem.

– Jak panienka na pierwszej randce. Chciałaby, a się boi. Nic nie wyjdzie

od pana, prawda? Dobrze, niech zatem będzie, że ja to powiem. Pół miliona złotych polskich. Tyle obiecał panu w spadku wyrodny rodzic?

– Tak.

– No więc nie mam tyle – stwierdził Karwasz. – To znaczy inaczej, mam, ale są to moje pieniądze, zarobione nade wszystko aktorstwem. Może mi pan wierzyć lub nie, jednak dla mnie w tym, co robiłem, pieniądze grały zwykle najmniejszą rolę. Chodziło bardziej o...

– Bycie skurwysynem? – warknął Mikołaj niespodziewanie, także dla siebie.

Aktor się roześmiał.

– Ostrożnie, panie Mikołaju – pogroził mu nożem. – Przypominam, że mówimy także o modelu postępowania pańskiego ojca. To z kolei z pana czyniłoby...

Urwał i zmarszczył czoło. Poruszył językiem w ustach, przyłożył palce i wyciągnął z ust coś, co przypominało plastikową zawleczkę. Przyjrzał się znalezisku w pierwszej chwili ze zdumieniem, jednak nim jeszcze skinął na kelnera obsługującego akurat parę dwa stoliki dalej, puścił do Mikołaja oko.

– Przepraszam najmocniej – powiedział, gdy kelner już podszedł, i pokazał chudemu chłopakowi wyjęty z ust krążek. – Mam wrażenie, że tego nie powinno być w moim posiłku.

Kelner z miejsca pobladł.

– Jezu, panie Karwasz, najmocniej... Ja bardzo przepraszam, proszę pana. Naprawdę...

– Hej, spokojnie, nic się nie stało. – Aktor uśmiechnął się, położył krążek na wyjętej ze stojaczka chusteczce i przekazał ją kelnerowi. – Jestem przekonany, że to przez przypadek i to incydentalna sprawa, ale proszę zwrócić uwagę szefowi kuchni, że to trochę niebezpieczne.

– Oczywiście, panie Karwasz, już biegnę. – Kelner wziął chusteczkę z zawiniętym kawałkiem plastiku i ruszył przejściem w stronę schodów.

– I poprosimy rachunek – zawołał za nim aktor, po czym odsunął na bok talerz z resztką posiłku. Oparł ręce na łokciach, dłonie złożył w piramidkę

i powiedział:

– Panie Mikołaju, ja to widzę tak: generalnie ma mnie pan w garści. List, który od pana dostałem, ostatecznie przekonał mnie do autentyczności tych notatek, a także zasugerował, co mogą one zawierać. Przestrzegł też, że gdybym nastawał na pana życie, co – zaznaczam – żadną miarą nie jest w moim stylu, podjęto środki, by i pana w tym układzie stosownie zabezpieczyć. Tak że tutaj punkt dla pana.

Zrobił pauzę, by Otyś należycie to sobie przetrawił.

– Jednakowoż ja również mam pana w garści, panie Mikołaju – podjął po chwili. – Bo ja wiem, że pan potrzebuje tych pieniędzy. Nie tylko ich chce, ale potrzebuje. Co więcej, jest pan przekonany, że panu się należą, a to potrzeba największa z możliwych. Potrzeba sprawiedliwości. By je zdobyć, może mnie pan zaszantażować, jednak wtedy ja podejmę ryzyko. Stać mnie na prawników, którzy podważą wszystko, co pan ma, a przy odrobinie szczęścia sprawa będzie się toczyć na tyle długo, że umrę, nim się skończy. Przywilej starości, rozumie pan.

Zrobił kolejną pauzę, tym razem jakby licząc na jakąś reakcję ze strony Mikołaja. Gdy ten się nie odezwał, Karwasz mówił dalej:

– Jedyna szansa dla pana i dla mnie, o czym Górski doskonale wiedział, skoro napisał taki, a nie inny list, to skuszenie mnie przy okazji dobrym tematem. Czymś, co obudzi we mnie potrzebę walki. I przyznam, że przedstawiony tu gap jest rzeczywiście interesujący. Ideologicznie, że tak powiem. Oczywiście zanim powiem coś konkretniej, muszę go sprawdzić, zweryfikować, dowiedzieć się wszystkiego, jednak mogę powiedzieć, że wstępnie jestem zainteresowany. Pytanie, czy pan również.

W tym momencie Mikołaj zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem – przyznał.

– To proste, panie Mikołaju. – Karwasz, dostrzegając kelnera zmierzającego ku schodom antresoli, pochylił się do przodu i ściszył głos. – Jeżeli szwindel jest czysty, a profil dobry, jestem skłonny podjąć tę grę, ale tylko z panem na pokładzie. Chce pan swoich pieniędzy, zapracuje pan na nie. Co pan na to?

Kiedy Otyś otworzył usta, by odpowiedzieć, do stolika podszedł kelner. Położył na stole tacę z dwiema porcjami gorących churros i sosem czekoladowym.

– To od szefa kuchni w ramach przeprosin. Podobnie jak posiłek. Jeszcze raz najmocniej panów przepraszam za zaistniałą sytuację...

– Jak dla mnie to bardzo miłe postawienie sprawy, dziękuję – powiedział Karwasz, po czym zwrócił się do Otysia: – A jak ty się na to zapatrujesz, Mikołaju?

Ten powoli, z rozmysłem skinął głową.

– Tak, bardzo miłe.

– Proszę przekazać ode mnie kuchni, że to nadal mój ulubiony lokal meksykański w tym mieście... A tam, nawet w kraju – dodał Karwasz, a między jego palcami zmaterializował się nagle pięćdziesięciozłotowy banknot, który wręczył kelnerowi. – I dziękuję za uczciwe postawienie sprawy.

Gdy kelner odszedł, aktor dopił wodę, po czym wstał, zasunął krzesło i bez słowa ruszył ku wyjściu. Przechodząc koło Mikołaja, położył dłoń na jego ramieniu i lekko ścisnął.

– Przemyśl to sobie, Mikołaju – powiedział. – Mój numer masz. Tylko nie zwlekaj zbyt długo z odpowiedzią.

Praca w pociągu była możliwa przez niecałe pół godziny, a potem szlag trafił internet. Mimo to Anka nie wyłączyła komputera, tylko na podstawie zawczasu pootwieranych stron zrobiła listę pytań, na które chciała znaleźć szczegółowe odpowiedzi, oraz konkretnych ścieżek, którymi zamierzała podążyć.

Już na pierwszy rzut oka wiedziała, że z samym Mikołajem Otysiem daleko nie zajdzie. Co prawda miał publiczny profil facebookowy i nic nie wskazywało na to, by jakieś treści pozostawały ukryte wyłącznie dla stu osiemdziesięciu trojga przyjaciół i znajomych, ale co z tego, skoro nie umieścił na nim wielu wartościowych materiałów.

Ot, kilkanaście memów udostępnionych z różnych miejsc w sieci, każdy z kilkunastoma lajkami, jednak w zasadzie bez dyskusji w komentarzach. Szereg krótkich wpisów typu: „Ach, gdzie jest cholerna Nokia 3310, gdy jest potrzebna”, opatrzonych zdjęciem kilku gwoździ wysypanych na deskę. Z pięciu dłuższych wpisów jeden stanowił opinię na temat widzianych w kinie *Strażników Galaktyki 2* – bardzo pozytywna, dwa traktowały o irytujących bugach w trzeciej części *Wiedźmina*, a trzy polecały jakieś niszowe gry na konsole. Jeśli pojawiały się tu dyskusje, to raczej letnie, wszyscy albo się ze sobą zgadzali, albo dość szybko zamykano spory zdaniem: każdy ma prawo do swojej opinii.

Najbardziej wartościowe okazały się jak zawsze zdjęcia i tagi. To stąd Anka wynotowała, by sprawdzić firmę, skąd pochodziło łącznie siedem zdjęć z różnych momentów w ciągu trzech lat (wyglądało na to, że Otyś tam pracuje lub pracował), oraz powtarzające się dwa warszawskie lokale, jeden w Śródmieściu i drugi nad Wisłą. Nade wszystko jednak to właśnie dzięki zdjęciom Anka trafiła na Kaśkę i mimo braku ustawionego statusu związku dowiedziała się, że to obecna lub od niedawna była dziewczyna Otysia.

Dziewczyna zbyt często pojawiała się na zdjęciach, by mogło być inaczej.

Kaśka lubiła się udzielać w socialu, ale nie szła w tej kwestii na łatwiznę. Jako zgrabna dziewczyna o naprawdę ładnej i miłej twarzy mogłaby spokojnie wygarniać po kilkaset lajków pod każdym instagramowym zdjęciem – wystarczyłoby trochę pozowania, subtelnej erotyki, gry z męskim użytkownikiem. Zamiast tego Kaśka prezentowała zdjęcia z pracy w telewizji, siebie ubabraną błotem podczas Runmageddonu, zasapaną i czerwoną po biegu ulicznym, niewyspaną i rozczochraną w kuchni, w pokoju przed telewizorem, w łazience...

Jej Facebook pełen był linków do akcji społecznych, memów, wyników z Endomondo, ale Anka wiedziała, że akurat w tym przypadku to filtr, a część treści mogła być niejawna.

Póki więc jeszcze miała sieć i mogła to zrobić, przelogowała się na fałszywy profil i z niego porzysłała zaproszenia do znajomych Kaśki. W pierwszej kolejności męskich, bo ci powinni się złapać na uroczę zdjęcie modelki robiącej głupią minę. Gdy faceci mile połechtani zaproszeniem dwudziestosiedmioletniej graficzki z Warszawy, przyjmą je grupowo, wówczas zacznie się szturm na koleżanki Kaśki. Te zobaczą, że dziewczyna zna tych samych ludzi, i też ją przyjmą, bo tak to działa. Nikt z nas nie pamięta wszystkich osób, które w życiu poznał, a przecież nie chcemy nikogo urazić. No a skoro mamy tylu wspólnych znajomych, to coś musi być na rzeczy, nie?

A kiedy liczba wspólnych znajomych z Kaśką urośnie do z pewnością nieprzypadkowych dwudziestu, trzydziestu, ona też przyjmie Mirkę Kowalik do grona fejsowych przyjaciół. Bo w sumie czemu nie?

Gdy padł jej zasięg, Anka wynotowała sobie ze zarchiwizowanych zdjęć wszystkie interesujące ją szczegóły mieszkania i umeblowania. Czasem przydawały się na przykład takie detale jak marka pralki, lodówki czy telewizora, model stojącego w kącie routera – wszystko to mogło służyć jako pretekst do odwiedzin w roli specjalisty lub serwisanta. Książki na półkach, płyty DVD, albumy muzyczne pozwalały czerpać informacje o gustach domowników i podsuwały dobre tematy do pozornie przypadkowego

zagajenia. Oczywiście nie można było oprzeć się na tym całkowicie, ale jako uzupełnienie wiedzy mogło czasem zadziałać i pomóc.

Anka zanotowała sobie również, żeby koniecznie sprawdzić rozstawienie pomieszczeń, by mieć pełen obraz mieszkania. Tak na wszelki wypadek.

Na osobnej stronie wynotowała sobie: Spotify lub Tidal. Oba serwisy stwarzały możliwość jeszcze lepszego poznania gustu Kaśki, o ile ta udostępniała swoją listę.

Kilka lat wcześniej Anka zrobiła całkiem niezłą akcję zainspirowaną właśnie playlistą ze Spotify. Zbuntowana córka całkiem dzianego przemysłowca ni stąd ni zowąd dostała szansę na angaż w załodze swojego ukochanego Robbiego Williamsa. Mogła z nim pracować, jeździć na koncerty i jeszcze nieźle na tym zarobić, tak że pieprz się, tato, ty i to twoje gładzenie o studiowaniu prawa! Wszystko dograne i w ostatniej chwili komplikacja, bo utrzymywany w tajemnicy koncert w Londynie się nie odbędzie. Pozostaje polecieć do Australii i tam poczekać na Robbiego w jego hotelu, na własny koszt. Oczywiście uczynna znajoma wszystko załatwi, tylko trzeba kasy. Nie, nie można bokiem, taniej, bo to musi być ten hotel i ta linia, żeby nie załapać po drodze w paszporcie pieczętek z Arabii, i tak dalej. Wszystko po tanioci, w sumie osiem tysięcy euro, dla tatusia jak splunąć. Praca rozpięta na dwa miesiące – od pierwszego spotkania do przelewu PayPal, kilkadziesiąt wiadomości, ze dwadzieścia rozmów i może z siedem spotkań. A wszystko zaczęło się od ujawnionej playlisty.

Oczywiście można było jeszcze łatwiej, i tę opcję Anka również miała zanotowaną. Tu jednak potrzebowała albo więcej szczęścia, albo bezpośredniego kontaktu. Wszystko zależało od aplikacji w komórce Kaśki. Wystarczyło napisać do Gregga i dowiedzieć się, czy ona lub Otyś zainstalowali sobie jedną z lewych apek. Dzięki tym programom i bezmyślnemu udzielaniu im dostępu do różnych obszarów w telefonie, oszuści mogli dysponować wszystkim – od stale uaktualnianej lokacji, przez zdjęcia i filmy zrobione aparatem, po esemesy i wykaz rozmów. Jeśli znałeś nazwisko gapa i miałeś kasę i szczęście, dostawałeś swoją ofiarę na srebrnym półmisku z jabłkiem w zębach. Anka potrzebowała sprawdzić dwie osoby,

a to bardzo kosztowna sprawa, ale też miała świadomość, że ze względu na stawkę, czyli bezpieczeństwo kręgu, nie musi – oczywiście w granicach rozsądku i możliwości – liczyć się z kosztami.

Wypisawszy wszystko, co się dało, Anka spróbowała zrobić wstępny profil Kaśki, jednak wciąż było za mało punktów zaczepienia. Miała co nieco o jej rutynie, o pracy, o domu, ale nie wynikały z tego ani marzenia, ani lęki, ani poczucie krzywdy. A to na jednym z tych trzech filarów albo na umiejętnym wyważeniu właściwej proporcji między nimi opierała się większość przekrętów. Na tym, jak i na irracjonalnym poczuciu własnej wyjątkowości ofiary. I to bez względu na jego ukierunkowanie, bo równie dobrze działać mogło: „nic złego mi się nie stanie”, co „wszyscy chcą mnie dorwać”.

Odpuściła więc pisanie, zamknęła komputer i spróbowała najpierw poczytać, a gdy okazało się, że na kupionej na dworcu książce o katastrofie lotniczej nie może się teraz skupić, postanowiła się przespać.

Ze snu wyrwało ją wibrowanie komórki. Otworzyła oczy, przetarła je i zerknęła za okno. Rozpoznawała te okolice, pociąg zbliżał się już do stacji Wrocław Główny, na której wysiadała. Wyjęła telefon i spojrzała na ciąg cyfr niezapisanego, ale znanego jej numeru. Nieco zdziwiona odebrała.

– Tak? Co jest?

– Zmiana planów – powiedział Bartek. Sądząc po gwarze i szumie tła, rozmawiał przez słuchawki na ulicy albo na stacji metra. – Musisz zrobić tego gapa sama.

– W porządku... Poczekaj chwilę – odparła. Wyłowiła z kieszeni słuchawki i zaskakująco łatwo je rozplątała. Podłączywszy je, podjęła temat. – Właściwie to i tak planowałam zrobić dość pod profil. Zostało mi jeszcze sprawdzenie bazy dla niego i dziewczyny.

Przerwała na moment, by przeanalizować swoje słowa. Zawsze tak robiła, rozmawiając w miejscach publicznych o pracy. Czy z tego, co powiedziała, ktoś z postronnych gapiów mógłby ułożyć sensowną całość? Nie, przecież się pilnowała się, to kwestia odruchu. Ale mimo wszystko z tyłu głowy pojawiał się irracjonalny lęk. Jak wtedy, gdy zatrzymując się na światłach w połowie wzgórze, nie masz pewności, czy wciąż umiesz ruszać z ręcznego, czy też

stoczysz się i uderzysz w auto za tobą.

– Dobra, nieważne. Możesz powiedzieć, co się stało? Skąd zmiana?

– Był na rozmowie. Szykuje się praca. Okazuje się, że szef dostał spadek, a w nim gotowy, całkiem obiecujący profil, tyle że wraz ze zobowiązaniem zapłaty.

Kolejnych słów nie usłyszała, powiedział je do kogoś, po czym jego głos zabrzmiał głośniejsz, jakby Bartek przysunął mikrofon pod same usta.

– No w każdym razie ja sprawdzam profil, a ty nastawiaj się na powrót do Warszawy w poniedziałek, wtorek.

– Jasne, będę gotowa – odparła i w tym momencie głos z głośnika poinformował, że pociąg zbliża się do stacji Wrocław Główny. Pasażerom wysiadającym podziękowano za wspólną podróż i przypomniano o bagażu. – A, powiedz mi, ta robota to jakaś grubsza sprawa?

– Ponoć mowa nawet o dwóch bańkach, ale znasz szefa. W każdym razie według niego nie mniej jak bańka. A co lepsze, niewielu na podwykonaniu.

– To bardzo ładnie – stwierdziła Anka i miała dodać coś jeszcze, gdy pociąg wjechał na stację, a ona dostrzegła na peronie znajomą sylwetkę Grześka z małą na ręku. Zwykle ten widok ją rozczulał, tym razem jednak rozdrażnił. Napisała mu przecież, że dojedzie autobusem, nie? To co w tym było, kurwa, niezrozumiałego?!

– Dobra, Bartek, muszę kończyć – rzuciła. – Dojeżdżam właśnie do Wrocławia i...

– A jak podróż? Tu generalnie jest tak sobie. Jakiś wypadek na Bankowym, stłuczka, tylko trochę większa...

– Kończyć muszę – powtórzyła z irytacją i przerwała połączenie. Co ci faceci mają dziś ze słuchem i przyswajaniem informacji?!

Zdjęła z góry walizkę, dość obcesowo rezygnując z pomocy grubego, spoconego mężczyzny, i ustawiła się w kolejce do wyjścia. Idący wzdłuż pociągu Grzegorz zauważył ją i pokazał małej, więc Anka pomachała córce i zrobiła głupią minę, która rozbawiła męża, dziewczynkę jednak pozostawiając obojętną i zainteresowaną bardziej czymś w oddali.

Gdy jednak Anka już wysiadła, Wisia wyrwała się z rąk taty i podbiegła do mamy pokracznie niczym mała kaczka.

– Mama! – zawołała.

Anka odstawiła walizkę i wzięła małą na ręce, przytulając mocno i pocierając nosem o jej nos.

– I jak tam... Ej! – Zachwiała się, potrącona przez jednego z trzech chłopaków w bluzach z kapturami. Jeden uderzył ją barkiem, drugi przechodząc obok trącił i przewrócił jej walizkę.

– Ej, uważaj trochę – zawołał za nim Grzesiek.

– Pierdol się – odparł tamten, a jego koleżka przystanął i obejrzał się.

– Jakiś problem masz, kurwa?

Anka spojrzała na twarz męża, na jego zaciskające się pięści. Niemal widziała, jak kalkuluje, zastanawia się, co może teraz zrobić. Racjonalnie rzecz ujmując, nic nie mógł, ale najwyraźniej albo to jeszcze do niego nie dotarło, albo zwyczajnie nie wiedział, jak się wycofać.

Tamci też nie zamierzali odpuszczać, nie kiedy poczuli krew, kiedy zwietrzyli okazję popisania się przed laską i jednocześnie upokorzenia wrywnego faceta. Jeden z nich, chłopak w tiszercie z wilkiem i słowami „Za zdradę jedna jest cena” opuścił głowę, a jego paskudny uśmiech świadczył wyraźnie, że zaraz pchnie całą akcję do przodu. Dосkoczył do Grześka, odpychając na bok jego rękę, którą ten nieporadnie próbował się zasłonić, i złapał go za koszulę.

Grzesiek zatoczył się, nieprzygotowany na taki impet, szarpnął i wyrwał z uścisku.

Musiła działać. Odstawiła na ziemię Wisię z buzią wykrzywioną do płaczu i sięgnęła po telefon. Natychmiast to zauważyli.

– Gdzie, kurwa, dzwonicz? – rzucił ten z wilkiem, a jego kompan ruszył w jej stronę.

Zlekceważyła ich. Wiśka zaczęła płakać, kilka osób z sąsiednich peronów się obejrzało, ktoś coś krzyknął.

– Halo, Marcel, napadli nas właśnie na Głównym we Wrocławiu, biją

Grześka... Nie wiem który peron. Trzeci. Dzwon, szybko!

Drugi chłystek skoczył ku niej, ale wtedy Anka wycelowała w niego telefon. Strzeliła mu lampą błyskową prosto w oczy, po czym zerknęła na ekran i stuknęła w niego dwa razy. Następnie powtórzyła czynność, celując w chłopaka z wilkiem oraz trzeciego, choć ten zdołał się zasłonić.

– Wysłałam! – zawołała. – Wysłałam te zdjęcia i cokolwiek nam się stanie, policja dostanie wasze twarze.

– I chuj! – warknął ten z wilkiem, ale puścił Grześka i odstąpił od niego.

– Jeżeli myślisz, suko, że kogoś takim gadaniem przestraszysz...

– Nie mów tak do niej! – Grzesiek podjął kolejną rycerską próbę bronięcia jej honoru. Równie głupią i bezsensowną jak poprzednia. W dodatku głos mu się łamał, przez co wkurzał teraz nawet ją.

Wisia rozryczała się już na dobre. Anka znowu wzięła ją na rękę i przytuliwszy mocno, podeszła do Grześka. Mała stanowiła immunitet, kimkolwiek byli ci trzej, raczej nie rzuciliby się na rodzica z dzieckiem. Nie na widoku. Nawet jeśli poza tym jednym krzykiem z drugiego peronu nikt nie zareagował, mieli sporo potencjalnych świadków zajścia.

– Weź ją – wycedziła.

Wziął. Niechętnie, z malującym się na twarzy sprzeciwem, jednak wziął.

– Co, teraz za dzieckiem się chowasz, miękka fajo? – warknął wilk. – Już twoja baba ma większe jaja niż ty, pizdo.

Grzesiek drgnął, ale ścisnęła dyskretnie jego dłoń. Nie było sensu. Widziała po ich twarzach, że odpuszczą, jeśli tylko oni nie pociągną tego dalej.

Zerknęła na bok i udając, że widzi kogoś przy schodach, zawołała:

– Nie ten peron, tutaj! – Zamachała ręką, a wtedy jeden z chłystków obejrzał się nerwowo.

– Dobra, idziemy stąd – zdecydował, ruszając w stronę drugiego zejścia.
– Ja się nie będę z pałami kopał dla jakiegoś pedała.

Anka znowu ścisnęła dłoń męża i poczekała, aż wszyscy trzej ich miną. Dopiero gdy zniknęli na schodach, odetchnęła i zrobiła krok w stronę

walizki. Podniosła ją, złapała za uchwyt i powiodła wzrokiem po ludziach z tego i sąsiednich peronów.

– I tyle właśnie jesteście warci! – zawołała. – Tyle jesteście warci!

Wyciągnęła rękę do Grześka i razem ruszyli w stronę podziemnego przejścia.

*

– Grzesiek, spokojnie. Za ostro jedziesz – powiedziała, gdy po raz trzeci wszedł za mocno w zakręt. Wcześniej trzy razy zmienił pas w ostatniej chwili, zajeżdżając komuś drogę, i raz mało nie wpakował się na światłach w tył terenowego suzuki. Dobrze, że w zasadzie wyjeżdżali już z miasta.

Jeszcze z parkingu wracali na dworzec, bo okazało się, że gdzieś w tym całym zamieszaniu wypadł mu telefon. Przeszukali peron, Grzesiek zszedł nawet na tory – na co, o ironio, SOK zareagował niemal natychmiast – ale nie znaleźli aparatu.

Na szczęście ktoś odniósł go do punktu informacji. Miał pękniętą osłonkę z hartowanego szkła, jednak poza tym nie wydawał się uszkodzony i wszystko działało.

Teraz tkwił w uchwycie, za pomocą nawigacji prowadząc ich do domu.

To też Ankę teraz wkurzało. Tyle razy jeździł tą trasą, tak często bywał we Wrocławiu, a mimo to zawsze na GPS-ie, zawsze posłuszny najgłupszej nawet sugestii urządzenia.

Wisia zasnęła kilka kilometrów za miastem. Grzesiek zatrzymał się na stacji i Anka przesiadła się do przodu.

Jechali w ciszy, a gdy położyła rękę na jego dłoni opartej na drążku zmiany biegów, stracił ją niemal natychmiast pod pozorem ustawienia temperatury.

– Nie powinieneś się zadręczać tym, co się stało – powiedziała w końcu. – To znaczy właściwie nic się nie stało. I dziękuję, że stanąłeś w mojej obronie...

Prychnął cicho i dostrzegła, jak zaciska szczękę. Nie pasował mu ten

gniew do jego pociągłej twarzy żydowskiego komika, nie pasował do okularów w modnej rogowej oprawce, zarośniętej grdyki z mocno wystającym jabłkiem Adama. Nie pasował do jego osobowości, do ciepłego, pogodnego człowieka, który pilnował jej domowego ogniska. Właściwie, zdała sobie sprawę, pierwszy raz widziała go takim. Bezsilnym, bezradnym, roztrzęsionym i wściekłym.

– Grzegorz? – zagaiła raz jeszcze.

– Na długo jesteś tym razem? – zapytał ostro i jakby celowo zniżył głos.

– Jeszcze nie wiem – skłamała. – Czekam na telefon. Jesteśmy teraz w trakcie ważnej kampanii i...

– Będziemy musieli porozmawiać. – Spojrzał na nią, zatrzymując się na stopie. – Coś musimy zmienić w tym układzie, bo coraz bardziej mam wrażenie...

Ktoś zatrąbił za nimi, więc Grzesiek wbił jedynekę i ruszył.

– Pogadamy w domu, dobra? – zaproponowała.

– Jasne – mruknął i więcej się nie odezwał.

Anka westchnęła i wlepiła wzrok w widok za oknem. Gdyby to od niej zależało, najchętniej wsiadłaby teraz w powrotny do Warszawy.

16

Marcin miał ogromną ochotę na meksykańskie żarcie, jednak uznał, że bezpieczniej zająć miejsce w ogródku lokalu naprzeciwko. Usiadł przy stoliku i zamówił podwójny tonik w pokalu, płacąc z góry.

Gdy Karwasz opuścił restaurację, Marcin wstał i skierował się do zaparkowanego na wprost wypożyczonego samochodu. Wsiadł, włączył silnik, ale nie światła. Zapiął pasy i czekał.

Mikołaj wyszedł po chwili z nosem w komórcę.

Zgodnie z przewidywaniami Marcina, udał się na drugą stronę ulicy, bo tu łatwiej było się zatrzymać Uberowi. Odczekał kilka minut, a gdy podjechała niebieska skoda rapid, wsiadł do niej i ruszyli w stronę placu Bankowego. Marcin wycofał i spokojnie włączył się do ruchu, jadąc tak, by nie znajdować się bezpośrednio za skodą, ale też nie tracić jej z oczu.

Nawigacja prowadziła uberowego kierowcę wyjątkowo pokrętnymi drogami, więc Marcinowi chwilę zajęło, zanim pojął, że kierują się do domu Mikołaja, pod adres, który wcześniej zdobył dla niego Skowron. Gdy to do niego dotarło, rozluźnił się i pozwolił sobie na wpuszczenie kilku aut między nich. Włączył radio, ale ponieważ akurat wybiła pełna godzina, na wszystkich zaprogramowanych stacjach trwały właśnie wiadomości. Nie chciał ich słuchać, więc wyłączył odbiornik.

Gdy zajechali pod blokowisko na Ursynowie, Marcin zdał sobie sprawę, że w zasadzie nie ma gdzie zaparkować. Odjechał więc dalej, upewniwszy się, że Mikołaj wchodzi do domu, znalazł miejsce na parkingu pobliskiego sklepu i wrócił na piechotę pod bramkę. Zapalił papierosa i wyjął telefon, ustawiając się pod takim kątem, by dobrze widzieć panel do wpisywania kodu. Nie musiał długo czekać, bo już po dwóch minutach do bramki podszedł jakiś chłopak, szybko wystukał ciąg cyfr i pchnął bzyzącą bramkę.

Marcin sprawdził nagranie, zapamiętał szyfr i przetestował na panelu.

Wszedł bez trudu. Zapisał kod w notatkach i poszedł zrobić to samo pod właściwą klatką. Oczywiście równie dobrze mógł dzwonić do sąsiadów, podając jakieś bzdurne powody, i najwyżej za trzecim razem dostać się do środka. Ale Marcin wiedział, że są sytuacje, w których liczy się czas, i wtedy takie rzeczy się przydają.

Dwadzieścia minut później był już z powrotem przy samochodzie, mając w posiadaniu nie tylko kod, ale i informację o dwóch apartamentach do wynajęcia w bloku. Sprawdził je na Booking.com i skopiował adresy do notatek.

Już zamierzał odpalić silnik, gdy zadzwoniła jego mama. Westchnął, wyłączył silnik, odebrał.

– Cześć, mamó, co tam?

– Ty wracasz dzisiaj czy nie wracasz?

Zamknął oczy i powoli policzył do czterech.

– Nie, mamó, nie wracam – odparł spokojnie. – Teraz będę trochę w Warszawie, pilna praca. Mówiłem ci.

– No ale ojcu obiecałeś pomóc z piwnicą. – Jej rzeczowy, głęboki głos przywodził Marcinowi na myśl Krystynę Czubównę, choć miał w sobie jakąś jęklivą, zrzędzącą nutę wiecznej pretensji. – Znasz go, on zaraz sam się za to weźmie, a z jego plecami...

Urwała, bo oboje wiedzieli, co z plecami ojca. Zwyrrodnienia, jakich się dorobił, były kiedyś tematem artykułu prasowego, a ze światowej klasy specjalistą ortopedii Ryszardem Krachem – idealne nazwisko dla ortopedy – widywali się tak często, że zostali serdecznymi przyjaciółmi.

– To mu powiedz, że ja przyjadę i to zrobię. Sam to zrobię, sam odgrzybię, odmaluję...

– Miałeś to zrobić już w czerwcu.

Marcin odsunął telefon od ucha, znowu policzył cicho, tym razem do pięciu.

– Miałem, ale nie było kiedy. Gdy teraz skończę pracę, przyjadę i się tym zajmę, dobrze? Weź mu to powiedz, niech się nie szarpie.

Tym razem to matka umilkła na dłuższą chwilę, aż zaczęła podejrzewać, że się rozłączyła.

– Nie wiem, czy mnie posłucha. Wiesz, jaki jest – powiedziała.

Dokładnie taki jak ty, pomyślał Marcin. Uparta jak cholera i niereformowalna.

– Dzięki, mamó – powiedział na głos, po czym dodał: – Muszę teraz kończyć, lecę na zebranie. Odezwę się, dobrze?

– Zebranie? O tej porze?

– Tak, kolacja biznesowa. Kocham cię, mamó, będę się odzywał. Pa!

Rozłączył się i sapnął głośno. Pierwsza rzecz, jaką zrobi po powrocie do domu, to ta pieprzona piwnica. W drugiej kolejności się wyprowadzi. Bo ileż, kurwa, można.

Włączył silnik i wyjechał na ulicę, po drodze uzmysławiając sobie, że właściwie nie wie, dokąd jedzie. Niczego nie załatwił, żadnego ogarniętego miejsca do spania. Przypomniał sobie o propozycji Bartka, ale nie miał ochoty dzielić z nim pokoju.

W końcu zdecydował się na Novotel w centrum. Zjechał na przystanek, zatrzymał się na awaryjnych i szybko zabukował miejsce w aplikacji.

*

Mikołaj wszedł do domu, usiadł na stołku w kuchni i podciągnął nogę, by zdjąć but. W takiej pozycji zastała go Kaśka i w pierwszej chwili chciała zażartować, jednak dostrzegła jego minę i zrezygnowała.

– Coś się stało?

Westchnął głośno, po czym rozwiązał i zdjął but. Odstawił go na bok, równo przy nodze stołu. Widziała już u niego podobne zachowania. Robił tak zawsze, gdy próbował sobie poukładać coś w głowie. Kiedyś zastanawiała się nawet, czy to nie jest jakieś schorzenie psychiczne, podstawa zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, czy jak to się tam nazywało. Ale zdarzało się na tyle rzadko, że nie podnosiła tematu.

– Miki? – zagadała ponownie, nie doczekawszy się odpowiedzi na poprzednie pytanie. – Jak poszła rozmowa?

– Dobrze – odparł, stawiając drugi but równiutko koło pierwszego. – Chyba dobrze.

– To dobrze czy chyba? – zapytała. – O czym rozmawialiście? Powiedział ci, co jest w tym liście do niego?

Mikołaj przez kilka długich sekund przyglądał jej się, jakby była kimś obcym, jakby pierwszy raz ją widział. W końcu potrząsnął głową i się uśmiechnął.

– Powiedz mi, bo to powinna być nasza wspólna decyzja, powinienem przyjąć spadek po Górskim czy nie?

– Spadek? – Nie miała pewności, czy zabrzmiało to przekonująco. A może, zdała sobie sprawę, wcale niepotrzebnie udawała zaskoczoną? Wspominał wcześniej o spadku przy niej czy nie? Tak, wspomniał, przecież dlatego powiązała kartkę ze spadkiem. A teraz wyglądało na to, że chlapnęła z tym pytaniem i musiała szybko wybrnąć. – Czeka, bo chyba się gubię, miałam dzisiaj kocioł w pracy. Jaki spadek?

– No spadek po Górskim – odparł Mikołaj. – Wspomniał o tym w notatkach, dzisiaj Karwasz potwierdził. Powinienem czy nie?

Nie wiedziała, czy to tylko wrażenie, czy też w jego głosie pojawiła się nutka zniecierpliwienia. Nie podobało jej się to, nie chciała, by zrzucał na nią podobną decyzję, bo wtedy to ona wyjdzie na pazerną. Takie rzeczy zwykły wracać, odbijać się. W najgorszym momencie wypomni jej, że zrobił to dla niej.

Uspokój się, napomniała się w myślach. Mikołaj nie jest twoim ojcem! Pyta, bo to dla niego trudna decyzja i liczy się z twoją opinią. Jesteście parą i on właśnie daje temu wyraz. Bądź, kurwa, pomocna!

Podeszła i stanęła tuż przed nim, a on wtulił twarz w jej brzuch.

– Najpierw musisz się upewnić, czy to spadek bez wad prawnych. Czy przyjmując go, nie bierzesz też jakichś długów. Nie wiem do końca, jak to działa, ciotka miała kiedyś podobny problem.

Poruszył głową, jakby chciał nią pokiwać.

– A poza tym – powiedziała – myślę, że powinieneś wziąć. Jemu się nie

przydadzą, a ty możesz to potraktować jako zaległe alimenty albo coś. Należy ci się. Gdyby żyła jeszcze twoja mama, należałoby się jej, a teraz należy się tobie.

Poczuła na brzuchu ciepło i zdała sobie sprawę, że Mikołaj płacze. Przytuliła go mocniej i pogładziła po włosach.

Godzinę później dalej prowadzili tę rozmowę, tyle że już normalniej, w salonie, na kanapie. Mikołaj opowiedział o spotkaniu z Karwaszem. Podał jej też wysokość szacowanej kwoty spadku, a wtedy ona raz jeszcze spróbowała udać zaskoczenie. Tak jak podejrzewała, to właśnie na podstawie tej kwoty przeprowadził obliczenia na kartce. Pół miliona złotych, huczało jej w głowie. Tyle pieniędzy, które może nie uczyni ich bogatymi, ale w jednej chwili zdejmie z głowy tak wiele trosk! Cieszyła się, że chciał je wydać z myślą o niej, o nich, ich wspólnym życiu. Chciała mu o tym powiedzieć, jednak na szczęście w porę ugryzła się w język. Przyjdzie czas na tę radość, jak i na zabranianie mu kupna motocykla, gdy już oficjalnie się ujawni.

– Zastanawiam się, jak on to sobie wymyślił, Górski w sensie – powiedziała. – Karwasz miał specjalny dostęp do jego konta czy co?

Mikołaj wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że był dłużnikiem Górskiego.

– I ten list to coś w rodzaju weksla?

Ponowne wzruszenie ramion.

– Nie wiem, nie pokazał mi go. Ale zapytałem o spadek, a on potwierdził. Więc albo weksel, albo Karwasz jest wyjątkowo honorowy.

– Kwotę też potwierdził?

– Tak. Powiedział tylko, że może to potrwać. I że będę potrzebny do załatwienia formalności. Kurde, Kasia, nie wiem... Sam nie wiem. To kupa forsy. Spłacilibyśmy do końca mieszkanie, pojechalibyśmy gdzieś...

No powiedz, powiedz o tym motocyklu, pomyślała rozbawiona. Powiedz, żebym mogła wyrazić sprzeciw. Ale ponieważ nie powiedział, zapytała:

– A wiesz, co to są za pieniądze? Jak twój ojciec je zdobył?

Pochylił się do przodu, rozmasowując czoło.

– Chodzi ci o to, czy są uczciwe?

– Przede wszystkim.

Zmrużył oczy i ściągnął usta, skupiając nagle wzrok na leżącej na stole podkładce pod kubek. Patrzył na nią długo, aż w końcu przeniósł wzrok na Kaśkę.

– A gdyby nie, bo w sumie nie wiem – powiedział – to powinienem odmówić?

Wytrzymała jego spojrzenie, choć z trudem. Najchętniej w ogóle by na to pytanie nie odpowiadała, ale skoro prowadzili tę rozmowę uczciwie, skoro byli tu razem, a on chciał poznać jej zdanie w sprawie, która dotyczyła przyszłości ich obojga, nie mogła się po prostu wymigać.

– Nie wiem, Mikołaj, co powinieneś zrobić – odparła, by zaraz dodać nieco ciszej: – Ja bym chyba wzięła.

*

Jan Karwasz siedział w fotelu w salonie i czytał, gdy zawibrował telefon leżący na stoliku obok. Dwa razy, jeden sygnał po drugim i cisza, co oznaczało esemesa. Aktor niespiesznie wsunął zakładkę między strony, zamknął książkę i odłożył ją na bok, następnie wziął komórkę do ręki.

Zgadzam się. Co teraz?

Karwasz się uśmiechnął. Przeniósł wzrok na stół, na którym leżał wyjęty z koperty list od Houdina. Aktor przeczytał go już trzy razy i musiał przyznać, coraz bardziej podobało mu się wyzwanie, jakie rzucił mu pośmiertnie stary kompan. O ile to faktycznie był on, co Skowron wciąż próbował ustalić. Ale wszystko wskazywało na to, że jednak tak.

A co najważniejsze, w tej grze znalazła się też rola specjalnie dla Karwasza. Dla Bosco. Coś, o czym marzył, od kiedy te przekłete filmy i seriale odebrały mu resztkę prywatności. Tu mógł wreszcie wykorzystać cały ten cholerny bagaż.

Odpisanie na esemesa zajęło mu kilka minut, bo rozmywały mu się literki przed oczami, a reumatyczny ból stawów w palcach utrudniał wklepywanie

kolejnych znaków.

Cieszę się – napisał w końcu. – *Odezwę się w poniedziałek z propozycją spotkania.*

Nie zdążył odłożyć telefonu, gdy ten zawibrował ponownie.

OK, czekam – brzmiała odpowiedź.

– Chciałbyś dostać coś za nic, prawda, kolego? – zapytał na głos Karwasz i zaraz dodał: – Cóż, to nigdy nie jest takie proste.

Podkomisarz Skowroński wybrał ławkę na skraju parku, skąd po prawej miał widok na bramę wjazdową, a po lewej na szpitalne skrzydło domu opieki Trzy Dęby w Piasecznie. Nie zwracał na siebie uwagi. Mijający go starsi ludzie, pensjonariusze zakładu, pogrążeni byli w rozmowach albo pochłonięci utrzymywaniem rytmu półsportowego chodu. Zdaniem Skowrońskiego wyglądali na całkiem szczęśliwych i rześkich. Jak dziadkowie i babcie z reklam Biovitalu.

W głębi parku, za plecami Skowrońskiego, rozpoczynały się właśnie jakieś zajęcia. Młoda dziewczyna uzbrojona w szczekaczkę i gorliwość neofitki zachęcała wszystkich do zebrania się na polance i rozłożenia mat. W ciągu czterech minut chyba trzy razy powtórzyła, że młodość to stan ducha i można być młodym, gdy tylko się chce i o to dba. Słyszając to, Skowroński, choć wcale nie czuł się bardzo stary, miał wielką ochotę ją uderzyć. Zastanawiał się, jak wielu pensjonariuszy myśli podobnie, a ilu faktycznie się na to łapie.

Zerknął na zegarek. Kinga Wilk spóźniała się już trzy minuty. Umówili się, że poświęci mu swoją przerwę, by dokończyć krótką rozmowę, którą odbył z nią telefonicznie wczoraj, po pogrzebie Górskiego. Wydawała się wtedy bardzo przejęta faktem, że jej zmarłym przyjacielem interesuje się policja, a on celowo uspokoił ją tylko częściowo. Mówiąc, że Ferdynand Górski nie był oskarżony o żadne przestępstwo, w zasadzie nie kłamał – tego aliasu Houdin nie zdążył ubrudzić.

W końcu się zjawiała. Przyszła od strony budynku, ubrana w jasnozielone spodnie. Spod bluzki bez rękawów wylewały się opalone na różowo ramiona. Włosy spięła ciasno, przez co jej twarz wydawała się jeszcze bardziej okrągła niż chociażby dzień wcześniej. Różowe lenonki na nosie tak bardzo nie pasowały do reszty, że Skowroński uśmiechnął się mimowolnie. Wstał, gdy podeszła, i przedstawił się.

– Podkomisarz Skowroński, dzień dobry.

– Wilk Kinga – odpowiedziała. Oczy wciąż miała opuchnięte, a kącik ust drżał jej ze zdenerwowania. Nieco teatralnym gestem uniosła rękę, by spojrzeć na drobniutki zegarek na przegubie. – Zostało mi piętnaście minut przerwy. Zdążymy?

– Powinniśmy. – Uśmiechnął się i wskazał jej ławkę. Gdy usiadła, zajął miejsce obok i wziął leżące z boku pudełko. Otworzył je i podsunął pielęgniarce pod nos świeże, pachnące pączki. – Sokołowski, prawdziwy artysta słodkości. Jeśli pani nie próbowała, koniecznie trzeba.

Zawahała się i miał wrażenie, że w pierwszej chwili chce nawet odmówić, ale zmieniła zdanie i sięgnęła po pierwszy pączek z brzegu, bo ten było najłatwiej wyjąć. Skowroński również się poczęstował, a lewą ręką wyjął z kieszeni spodni zwitek papierowych serwetek. Położył je między nimi i przygniótł pudełkiem.

– Przydadzą się – zapewnił.

– Dziękuję – odparła i zanim jeszcze ugryzła, zapytała: – Dlaczego policja interesuje się panem Górskim?

– Widzi pani, to dość długa historia – mruknął Skowroński, po czym spałaszował pączka w kilku szybkich kęsach i od razu wytarł rękę w serwetkę. – Mówiłem, psychota... A co do Ferdynanda Górskiego, to... Właściwie nie wiem, od czego zacząć. Na pewno nie jest o nic oskarżony, jak już wspominałem. Obawiam się raczej, że mógłby być ofiarą przestępstwa, nie jego sprawcą. Słyszała pani kiedyś o kradzieżach tożsamości?

Pokiwała głową z przejęciem, wciąż ściskając w ręce nietkniętego pączka.

– Tak... To znaczy nie... To znaczy na filmach czasami, wie pan.

Uśmiechnął się pocieszająco.

– Może być pani pewna, nas też czasem zaskakuje pomysłowość i bezczelność oszustów. A kradzieże tożsamości to wyjątkowo perfidna rzecz. Pozwalają dokonywać paskudnych rzeczy na cudze konto. Proszę, niech pani się częstuje, bo zaraz nam się tutaj wiewiórki zlecą.

Ugryzła pączka machinalnie, wciąż wpatrzona w Skowrona. Wiedział, że

zanęta zadziałała, teraz pozostawało tylko zbudowanie właściwej legendy.

Bosco porównał kiedyś ten proces do uwodzenia. Powiedział: „Wiesz, że prawie każdy człowiek szuka kogoś, kto go zrozumie, kto będzie drugą połówką zdolną kończyć nasze zdania. Kluczem do sukcesu jest więc układanie swojej opowieści wyłącznie z takich zdań, które druga strona umie skończyć i tylko czeka, by to zrobić. Wtedy stworzysz iluzję, że od początku spoglądacie w tym samym kierunku”.

– Rozmawiałem wczoraj z panem Otysiem. – Pozornie zmienił temat, uważnie obserwując jej reakcję. Tak jak zakładał, na dźwięk nazwiska Mikołaja drgnęła i uciekła wzrokiem na bok. – Podobno przyniosła mu pani jakąś przesyłkę od pana Górskiego. Nie wie pani, czy wcześniej ci dwaj utrzymywali ze sobą kontakt?

– Nie... To znaczy nie wiem, nie jestem pewna – rzuciła szybko, po czym nabrała tchu i wypuściła z głośnym sapnięciem.

Skowron uśmiechnął się do niej.

– Proszę się nie denerwować, naprawdę. Zakładam, że przekazując tę przesyłkę panu Otysowi, wyświadczyła pani przysługę nie tylko pacjentowi, ale komuś ważnemu dla pani. Mama mojej żony zmarła w podobnym ośrodku. Salowy stamtąd to teraz bliski przyjaciel rodziny, spędził z nami w zeszłym roku Wigilię.

Szył i choć sam czuł, że to, co teraz powiedział, brzmiało strasznie łązawo i tendencyjnie, trafił w sedno. Widział to po jej reakcji. Kluczowe były detale tej legendy – nie jego mama, a teściowa, o której mówi dobrze, używając zwrotu „mama żony”, nie pielęgniarka czy pielęgniarz, a salowy i tak dalej. Podobieństwo ma być zauważalne, ale ogólne. Detale muszą się różnić – to czyni opowieść wiarygodną.

I Wilk rzeczywiście się rozluźniła. Ugryzła trzymanego w dłoni pączka, zlizwała lukier z dolnej wargi.

– Rzeczywiście smaczne – potwierdziła, gdy już przełknęła.

– Mówiłem. – Uśmiechnął się i tym razem to on spojrzał na zegarek. – Pani Kingo, żeby nie przedłużać, bo zaraz skończy się pani przerwa. To, co

pani teraz powiem, jest objęte częściowo tajemnicą śledztwa, więc mogę mieć kłopoty, że w ogóle o tym wspominać. Zależy mi jednak na tym, żebyśmy sobie nawzajem zaufali, dla dobra świętej pamięci pana Górskiego.

Ostrożnie skinęła głową.

– Wszystko wskazuje na to, że pan Ferdynand to zaginiony przedsiębiorca, na początku lat dziewięćdziesiątych zamieszany w dość dużą aferę przemysłową na granicy polsko-czechosłowackiej na Opolszczyźnie... Nie, spokojnie, proszę się nie denerwować. Tak naprawdę, jak ustaliliśmy w toku śledztwa, mieliśmy do czynienia właśnie z kradzieżą tożsamości. Ktoś podszył się pod pana Ferdynanda i dokonał szeregu oszustw na jego konto. Problem w tym, że wie pani, jakie to były zwariowane czasy. Pamięta pani pewnie aferę Optimusa czy zamieszanie z Bagsikiem, nie? No i jeszcze mafie, Pruszków i Wołomin. Policja miała pełne ręce roboty...

Szył coraz bardziej, szeroko zarzucając sieć skojarzeń i zupełnie lekceważąc chronologię. Kolejna lekcja zdobyta dawno temu: przeciętni ludzie – a nic nie wskazywało na to, by Kinga Wilk była jednostką nadprzeciętną – kodują ważne wydarzenia tylko na podstawowym poziomie. Afera Optimusa i Art-B to coś, co huczało w głowie niemal każdego, choć oba zdarzenia miały miejsce dawno temu i stanowiły jedynie symbol dzikiego kapitalizmu. Podkreślały chaos dekady po zmianie ustrojowej równie dobrze jak zdjęcia Stadionu Dziesięciolecia. Przyrównanie zamieszania wokół Górskiego do tych afer dodawało zajściu powagi i wiarygodności, podobnie jak nawiązanie do najsłynniejszych polskich grup przestępczych.

– Chodzi o to – kontynuował Skowron – że afera z przemysłem kosztowała pana Ferdynanda dużo pieniędzy oraz zdrowia psychicznego. Ze strachu przed więzieniem po prostu nie wytrzymał i... zniknął. Szukała go rodzina, szukała policja, wystawiono za nim list gończy.

Skowroński umilkł i sięgnął ponownie do pudełka z paczkami. Wyłowił najbardziej obsypanego kandyzowanymi skórkami pomarańczy i wtopił w niego zęby. Nie musiał się spieszyć. Mina jego rozmówczyni, jej przyspieszony, płytki oddech i świdrujący go wzrok mówiły wyraźnie, że

miał ją na widelcu. Spokojnie zjadł pączka i wytarł ręce w serwetkę.

– Oczywiście gdy policja doszła do prawdziwych sprawców zamieszania, oczyszczono pana Ferdynanda z zarzutów, ale znowu: dziki kraj, dzikie czasy, więc nie było jak mu tej wieści przekazać. I tak pan Górski uciekał przez resztę życia, aż w końcu trafił tutaj.

Przerwał opowieść, dając rozmówczyni czas, by sobie przeanalizowała wszystkie fakty i znalazła luki w tej historii. Specjalnie je tam zostawił, wielkie niczym kałuże na wiejskiej drodze, więc nie powinna mieć z tym najmniejszego problemu. Najważniejsze, by sama do nich doszła i o nie zapytała.

– Czyli mówi pan, że Mikołaj Otyś to syn Ferdynanda i ojciec opuścił go po aferze, tak?

Skowroński uśmiechnął się. Może i zabrzmiało to jak doprecyzowujące pytania, ale on już wiedział, dokąd zmierzają. Zamiast odpowiedzieć od razu, sięgnął po kolejnego pączka.

– Nie powiedziałem tego – odparł, uważając to za odpowiedź na tyle niekonkretną i wymijającą, że dało się ją wyprowadzić w dowolnym kierunku. Wgryzł się w różane nadzienie i rzucił kolejną informację:

– To znaczy inaczej, pan Otyś na pewno nie jest żadnym z trójki znanych nam dzieci pana Górskiego. Właściwie to cała ta sytuacja z panem Mikołajem i z rzekomym spadkiem właśnie dla niego jest dla nas sporą zagwozdką. I dlatego chciałem porozmawiać z panią.

Widział, że trafił w samo sedno. Zwłaszcza ta rodzina, trójka dzieci, o której nigdy jej nie powiedział, bo i jak mógł – to zabolalo ją najbardziej.

Cokolwiek mówiłeś, stary oszuście, pomyślał Skowron z satysfakcją, twoja legenda właśnie idzie w strzępy.

– Miał trójkę dzieci? – zapytała Wilk.

Podkomisarz skinął głową.

– Dwie córki i syna. Obie mieszkają z matką na Opolszczyźnie. I spokojnie, dobrze sobie radzą. Pan Górski został zrehabilitowany i przyznano mu stosowne odszkodowanie.

Dostrzegł ulgę na jej twarzy, co tym bardziej go rozbawiło. To zabawne, jak ludzie wychowani na telewizyjnych serialach postrzegają świat. Gdyby te wszystkie sprawy sądowe i formalne faktycznie mogły być takie proste... Ech, świat byłby piękniejszym miejscem.

Ponownie spojrział na zegarek.

– Pani Kingo, bo nie chcę pani narażać na spóźnienie, a naprawdę mam kilka ważnych pytań i prośb. Najważniejsza z nich dotyczy zdjęć. Czy ma pani jakieś fotografie pana Ferdynanda z okresu, gdy przebywał tutaj, w zakładzie? Może jakieś wspólne, pamiątkowe zdjęcie? Im więcej, tym lepiej.

– Tak – odpowiedziała i sięgnęła do kieszeni spodni. – Tak, właściwie to nawet przyniosłam, bo pomyślałam, że może pan o to zapyta. Nie wiem właściwie skąd...

Uśmiechnęła się nieco zakłopotana, a on przemilczał cisnące się na usta: jak to skąd? Z seriali. Tam zawsze wszyscy mają wszystko pod ręką. I tak oto fikcja stała się rzeczywistością. Wziął od niej kopertę i wyjął z niej dwie fotografie zrobione polaroidem. Na jednym Ferdynand Górski, chudy i wysuszony mężczyzna o surowym wzroku, siedział na fotelu, a Kinga Wilk wychylała się zza jego ramienia. Drugie zdjęcie przedstawiało ich w bardzo podobnej pozie, ale na tym oboje już się śmiali.

– Jeśli mogę, wolałabym ich panu nie dawać – powiedziała Wilk, na co Skowron tylko się roześmiał.

– Ja też wolałbym ich od pani nie brać, bo to zaraz kwity, papierologia, wpisywanie materiału. Masa roboty – odparł. – Ale czy ma pani coś przeciwko, żebym zrobił tym zdjęciom zdjęcia?

– Nie, proszę robić.

Skowron wstał, położył fotografie na ławce i szybko strzelił kilka fotek telefonem. Podniósł i oddał zdjęcia pielęgniarce.

– Druga sprawa. Z kim w ośrodku mógłbym porozmawiać na temat pana Górskiego? Chodzi mi o ludzi, z którymi rozmawiał, z kimś, kto go szczególnie lubił...

– Na pewno z Migacką z drugiego skrzydła. Niziurski...

– Ten pisarz?

– Nie. – Roześmiała się. – Tamten to już chyba nie żyje. Kto jeszcze...?

– Proszę się zastanowić i spisać mi ich w esemesie dobrze? Bardzo byłbym wdzięczny, a ja pokręcę się tu po terenie jeszcze trochę. No i oczywiście jeśli przypomni się pani coś ważnego, na przykład na temat gości pana Górskiego, to będzie dla mnie naprawdę ważne.

– Dobrze – odparła Wilk, po czym wstała. – Muszę już iść. Przepraszam bardzo, ale...

– Och, oczywiście. – Skowroński również się podniósł, sięgając po pudełko. – Pączka na drogę? Albo dla koleżanek? Ja już nie wcisnę, pani ledwo skubnęła.

– No nie wiem...

– Nalegam. – Zamknął pudełko sprawnym ruchem i wyciągnął w jej stronę. – Żal, by się zmarnowały.

– No dobrze – zgodziła się wreszcie Wilk. – Dziękuję bardzo.

– To ja dziękuję – odparł, po czym dodał takim tonem, jakby ta myśl właśnie mu przyszła do głowy: – A, proszę mi jeszcze powiedzieć, czy wiedziała pani o panu Otysiu za życia pana Ferdynanda, czy dowiedziała się dopiero po jego śmierci.

Nie spodziewał się odpowiedzi, nie po tym, jak na niego spojrzała. Uśmiech zniknął z jej twarzy, a w oczach niemal natychmiast pojawiły się łzy.

– Za życia – odparła. – Namawiałam go, żeby spotkał się z synem wcześniej, ale nie chciał słuchać. Za życia nie będzie miał już ze mnie pożytku, mówił.

Skowron pokiwał głową. Nie musiał już zadawać ostatniego pytania: czy wiedziała, co jest w zeszycie, bo nie miał już wątpliwości, że do niego nie zajrzała. To uczciwa kobieta, szczerą i do rany przyłóż – idealna ofiara dla kogoś takiego jak Houdin.

Gdy odeszła, raz jeszcze przyjrzał się zdjęciom, które zrobił. Niczego

ostatecznie nie przesądzały, a człowiek na nich wyglądał na zniszczonego chorobą, ale w połączeniu z tym, co Skowroński miał od Fogła, zdobytą nielegalnie niemal kompletną medyczną dokumentacją, zawierającą między innymi wzmianki o plastycznej korekcji nosa i paru innych interwencjach chirurgicznych, właściwie był już prawie pewien.

Dziesięć minut później przyszedł esemes od Wilk z listą nazwisk. Skowron wstał z ławki i ruszył do roboty.

Od czwartkowego OK do soboty rana Bartek nie dawał znaku życia, więc Marta zaczynała się poważnie martwić. Do śniadania sprawdziła wszystkie trójmiejskie serwisy informacyjne, z drżącym sercem szukając jakiegokolwiek wzmianki o akcji policji, zatrzymaniu oszustów i tym podobne. Nie chciała do niego pisać, wychodzić na panikarę. Zresztą, jak podejrzewała, nie miał przy sobie swojego normalnego telefonu, bo ten mógłby szkodzić roli. No i dochodziła jeszcze kwestia dumy – w końcu zbył jej przeprosiny.

Cokolwiek by jednak robiła, by zająć sobie przedpołudnie i czas do spotkania forum, ciągle wracała myślami do Bartka. Co robi, jak im idzie, na jakim są etapie. Czy ich gap jest niebezpieczny? A może ma niebezpiecznych znajomych? Czy wszystko przemyśleli i pamiętali o każdym detalu, czy też przeoczyli coś, co w ostatniej chwili mogło im wybuchnąć w twarz, jak jej ostatnio?

Weszła na bloga, sprawdziła ruch. Przyzwoity, choć bez szału. Tu akurat sama zawiniła, zaniedbując regularność publikowania wpisów. Komentarzy kilkanaście i właściwie same nieinteresujące.

Sprawdziła forum i wypowiedzi w swoim wątku. Tam jak zawsze było ciekawiej. HerrmandMłodszy wytknął jej literówkę i jakieś niedopatrzenie w chronologii wydarzeń – obie uwagi okazały się słuszne, więc raz-dwa poprawiła – a stosunkowo nowy użytkownik Gibbons porównał bohatera wpisu, Demarę, do człowieka, który podając się za misjonarza, stworzył sobie w Afryce małe państewko z prywatnym haremem i armią. Marta nie знаła tej historii, jednak nie uważała, by coś łączyło ją z tą przytoczoną we wpisie. Chciała już to skomentować, ale kilka wpisów później ScaryHarry wykazał, że przytoczona opowieść to streszczenie jakiejś książki z lat pięćdziesiątych. Dalszych jedenaście komentarzy stanowiło kłótnię między Gibbonsem a ScaryHarrym, wzajemne domaganie się linków, zawołowane

wyzwiska, wreszcie interwencję admina.

Marta westchnęła. Sięgnęła po telefon, szybko napisała: *Hej, wszystko w porządku?*, po czym natychmiast odłożyła urządzenie, jakby miało ją poparzyć. I ledwie telefon dotknął blatu, zawibrował.

W normie, odpisał Bartek.

– Chociaż tyle – mruknęła.

Skończyła śniadanie i zabrała się do pracy, jednak wciąż nie mogła się na niej skupić. Znowu weszła na forum, przeczytała w wątku spotkania, że kilka osób zbiera się pod dawną Feminą, by jechać razem. W sumie nie miała daleko, więc napisała, że chętnie dołączy. To skracało jej czas do zagospodarowania o jakieś czterdzieści minut.

*

Wisia właściwie nie odstępowała Anki na krok. Pokazywała stare i nowe zabawki, chciała, żeby czytać jej książeczki i brać na ręce. Nie widziały się raptem tydzień, a mała zachowywała się tak, jakby zaliczyły co najmniej kilkunastodniową rozłąkę.

Anka nie lubiła się za te myśli i za tę irytację, która towarzyszyła jej, ilekroć zostawała w domu sama z dzieckiem. To normalne, że mała domagała się uwagi, normalne, że po czasie niewidzenia się z mamą chciała to nadrobić. To jak w piosence granej kiedyś przez Ugly Kid Joe, tej o zaganianym ojcu i dziecku wciąż szukającym okazji do zabawy, do spędzania wspólnie czasu. W końcu role się odwróca, brzmiało przesłanie tego kawałka. Kiedyś to ty będziesz zabiegać o czas swojego dziecka.

Tyle że ona naprawdę nie miała teraz czasu, a sytuacja była awaryjna. Musiała zrobić ten profil i podzwonić w kilka miejsc. Ledwie jednak napomknęła o tym Grześkowi, ten mruknął, że on też ma sprawy i musi wyjść, po czym pieprzył wszystkim i zostawił ją samą z małą. I na to też nie mogła się wściekać.

Teraz przynajmniej udało się zająć małą bajką. Bóg zapłać za Netfliksa, choć żeby go włączyć, musiała oddać Wisi komputer, bo w starym telewizorze posypało się oprogramowanie i nie dało się uruchomić aplikacji.

Drażniło ją to za każdym razem, gdy wracała tu z Warszawy, bo w tamtym mieszkaniu urządziła wszystko po swojemu i wedle potrzeb. Rozmawiali już o tym wielokrotnie, ale zawsze pojawiały się pilniejsze wydatki. Nawet gdy raz przywiozła parę tysięcy w gotówce, udając, że to świąteczna premia, poszło ostatecznie na zaległe ubezpieczenie i coś tam w samochodzie. Kiedyś rozważała po prostu przywiezienie telewizora, ale uznała, że jej się nie chce. Za dużo pytań, za dużo kombinowania, to nie było tego warte.

Przynajmniej robota, gdy już Anka wyłączyła małą za pomocą tego całego *Psiego patrolu*, szła niezłe, choć z komórki. Nie poszczyściło jej się z aplikacjami ani w przypadku Mikołaja, ani Kaśki, tyle dobrze, że odnalazła konto Otysia na Naszej Klasie, skąd udało się prześledzić kilka ścieżek. Nic, co uczyniłoby go dobrym celem, ale też nie dostrzegła żadnych sygnałów ostrzegawczych. Normalny chłopak, na zdjęciach trochę jakby smutny, zamyślony, w gruncie rzeczy zwyczajny. Miała adres jego dawnej szkoły i kilka osób z rocznika, jednak wątpiła, by musiała z tego korzystać.

– Skończyło się, mama. – Wisia spojrzała na Ankę, przekrzywiając głowę jak sroka. W tym geście i w jej minie tkwił urok dzieciaków z fotografii Anne Geddes, tym bardziej że mała miała na sobie dresik z kapturem upodabniający ją do disneyowskiego Tygryśka. Czasem bywała tak cudownie urocza w tej swojej dziecięcej powadze.

– Poczekaj, zaraz włączę ci jeszcze jedną... Albo wiesz co? Poczekaj, mama się przebierze i pójdziemy na spacer, co ty na to?

Wisia skrzywiła się i potrząsnęła główką, co rozśmieszyło Ankę.

– Na pewno nie? Nawet jak kupimy Happy Hippo?

Łobuzerski uśmiech na twarzy małej mówił wszystko. Anka odłożyła telefon i wstała od stołu. Wzięła małą na ręce i zniosła do pokoju, żeby ją przebrać.

Popracować, uznała, mogła w nocy, gdy już uśpią małą, gdy pogodzą się z Grześkiem, a potem on pójdzie spać. Bo że się pogodzą, nie miała wątpliwości. Od tak dawna nie stanowił już nawet cienia wyzwania.

*

Marta zjawiała się pod dawnym kinem Femina dziesięć minut przed czasem. Dziesięć minut to takie ni wpiął ni wypiął, bo z jednej strony długo, gdy po prostu stoi się na przystanku czy łązi tam i z powrotem, z drugiej za mało czasu, by na przykład skoczyć na kawę do Starbucksa naprzeciwko albo jeszcze lepiej, na szybkie zakupy do Galerii Wypieków, którą tak z Bartkiem lubili.

Ledwie o tym pomyślała, naszła ją wielka ochota na drożdżówkę z malinami. To znaczy najbardziej na jagodziankę, ale znając siebie i swoje szczęście do jagód, resztę dnia spędziłaby na maskowaniu jakiejś paskudnej plamy.

Spojrzała na zegarek. Dziewięć minut. Uznała, że zdąży. A nawet jeśli nie, to co? W najgorszym przypadku pojedzie stąd prosto na plac Unii Lubelskiej, przecież sama umie przemieszczać się po Warszawie.

Podeszła do przejścia, akurat gdy zmieniło się światło i ruszyła z tłumem, kiedy nagle po drugiej stronie ulicy zobaczyła... Bartka!

Zatrzymała się gwałtownie na środku pasów, przez co idący za nią mężczyzna wpadł jej na plecy i najpierw przeprosił, by zaraz zapytać, co, do cholery, robi. Marta nie odpowiedziała, tylko cofnęła się na chodnik, wciąż wpatrzona w mężczyznę po drugiej stronie.

Nie było wątpliwości, że to on. Stał na przejściu, wpatrzony w telefon, w lewej ręce trzymał reklamówkę z Galerii Wypieków. Miał na sobie koszulkę z Laboratorium Dextera, którą mu kupiła, krótkie spodnie bojówki i sandały. Ten lewy pękał przy palcu, więc Bartek skleił go Kropelką i zszył zszywką.

Może właśnie wrócił? – pomyślała, ale bez przekonania. Bo jeśli tak, to gdzie jest walizka? I dlaczego nie dał znać, że będzie? Nie, tu musiało chodzić o coś innego.

Tymczasem Bartek również zrezygnował z przejścia na drugą stronę. Rozejrzał się na boki, spojrzał w telefon i po namyśle ruszył w prawo, w stronę ronda ONZ.

Marta wiedziała, że właśnie odpuścił sobie tramwaj. Często tak robił w ciepłe, letnie dni jak dziś. W zasadzie to nawet w chłodniejsze wolał przejść dwa, trzy przystanki niż czekać albo cisnąć się między spoconymi ludźmi. W przeszłości miewali o to niejedno spięcie.

Nie zastanawiając się dłużej, ruszyła swoją stroną, trzymając się nieco z tyłu, tak by mieć go cały czas między godziną pierwszą a drugą. Nie szedł szybko, bo cały czas czytał w telefonie, więc bez trudu dotrzymywała mu kroku, choć raz zagapiła się tak, że prawie wpadła na rowerzystę. Wtedy przestraszyła się, że go zgubiła, ale zaraz wyłonił się zza stojącej na awaryjnych ciężarówce DHL-u.

Gdy zbliżali się do Elektorальной, mało nie zgubiła go po raz drugi, bo zatrzymał się, zagadany przez kogoś, i zniknął w grupie emerytów z błękitnymi chustami na karkach. Była już wtedy bliska przejścia na jego stronę ulicy i poszukania go, nawet kosztem konfrontacji, jednak pojawił się znowu, przeciął Elektorальną i poszedł dalej prosto.

Skręcił dopiero w Grzybowską, w prawo, w kierunku Muzeum Powstania. Nerwowo odczekała swoje na światłach i pobiegła za nim, nie marnując już czasu na przejście na drugą stronę. Niewiele potrzebowała, by spłycił jej się oddech. Czuła pot lejący się strumieniem wzdłuż kręgosłupa, bluzka momentalnie przylepiła się do pleców, spodnie tarły w kroczu, a stopy w nieprzystosowanych do biegu balerinach już dawały o sobie znać. Trzysta metrów, nie więcej. Tyle wynosiła jej pieprzona kondycja!

Przystanęła, łapiąc oddech. Zawsze po tym, gdy próbowała biegać, widziała w lustrze różową jak u świni twarz, zroszoną wielkimi tłustymi kroplami, więc teraz zdała sobie sprawę, że nawet jeśli jeszcze przed chwilą chciała konfrontacji, to ta chwila już minęła. Choćby nie wiem co, z taką twarzą nie zamierzała pytać go, co tu robi.

Wyłowiała go w tłumie, w oddali i poszła za nim kilka przecznic, utrzymując bezpieczną odległość.

Zaraz za skrzyżowaniem z Żelazną Bartek przeszedł przez ulicę i wszedł do hotelu Leonardo. Marta zatrzymała się po przekątnej, za niewielkim kawałkiem żywopłotu i wyjęła telefon z kieszeni. Zadzwoiła do niego, ale

nie odebrał. Spróbowała jeszcze raz.

Jestem zajęty. Coś pilnego?

Tak, kurwa, bardzo pilnego, pomyślała. Okłamałeś mnie, dupku.

Tak, to pilne. Oddzwoń, odpisała.

Nie wiedziała, co właściwie chce mu powiedzieć, więc spanikowała, gdy telefon w jej ręku zawibrował, a na ekranie pojawiło się zdjęcie Bartka. Odebrała jednak.

– Co się stało? – rzucił zniecierpliwionym tonem, od którego w jednej chwili zrobiło jej się głupio. Że mu przeszkadza, że podejrzewa go o cokolwiek, że przeszkadza mu w pracy.

Zaraz jednak odrzuciła te myśli. To on ją oszukał! Był tutaj, w Warszawie, zamiast w Gdańsku. W hotelu! Z torbą ich pieprzonych drożdżówek!

Opanowała się.

– Śledzisz wiadomości? Właśnie mówią o planowanym osiedlu dla uchodźców, nie wiem, czy to zgodne z waszym planem, więc daję ci znać.

– Co mówią?

No tak, głupia, skarciła się w myślach. Znalazłaś wytłumaczenie dla telefonu, ale przecież nie po to dzwonisz! Chcesz go złapać na kłamstwie wprost, więc nie stwarzaj mu okazji do zadawania pytań. Zepchnij do defensywy, zmuś, by się przyznał.

– No, że jest planowane, że będzie duże i...

– A podają lokalizację? – Teraz w jego głosie zabrzmiał prawdziwy niepokój i to sprawiło, że szczerze zwątpiła. Czy na pewno widziała jego? Czy za nim szła pod ten hotel? Może po prostu ktoś bardzo podobny, ktoś...

– Nie, nie podają, ale myślę, że tak czy siak powinniście to sprawdzić – odparła i zaraz szybko zmieniła temat. – W ogóle wiesz już, kiedy wracasz z tego Gdańska?

– Nie jestem w Gdańsku – rzucił bez chwili na zastanowienie. – Zdjęli mnie z tej roboty.

Czyli jednak! Nie przewidziało jej się. To był on! Spojrzała w górę, na

hotel, zastanawiając się, czy Bartek stoi właśnie w oknie i patrzy na nią z góry. Czy to dlatego się przyznał? Bo zauważył, że go śledzi? Jest przecież zawodowym oszustem, a ona, podekscytowana, nie przesadzała z ostrożnością.

– Więc gdzie jesteś? – zapytała.

I tym razem już się zawahał.

– Nie mogę ci powiedzieć. Może po wszystkim, ale nie teraz. I muszę już kończyć.

Rozłączył się.

Marta długo wpatrywała się w trzymany w dłoni telefon. Z chęcią wbiegłaby do tego hotelu i go znalazła! Albo lepiej, zadzwoniła jeszcze raz i powiedziała, że wie, gdzie jest, domagała się wyjaśnień. Tyle że ani jedno, ani drugie nie miało większego sensu i na pewno nie przyniosłoby ukojenia czy rozwiązania sprawy. Wściekła, wcisnęła komórkę do kieszeni i wolnym krokiem, z głową pełną myśli, ruszyła przed siebie.

Skutki III

(wrzesień)

Na środku zagraconej piwnicy stało krzesło. Na nim siedział nagi mężczyzna, przyklejony grubą warstwą srebrnej taśmy. Jego twarz, przystojna jeszcze godzinę temu, teraz ledwo przypominała ludzką. Lewe oko było tak opuchnięte, że prawie niewidoczne, prawe podeszło czerwienią. Jeden policzek zapadł się i obwisł, ze złamanego nosa krew sączyła się na rozgniecione na miazgę usta. Mężczyzna rzeził cicho, raz po raz podrygując w spazmach ni to kaszlu, ni zadławienia. Głowę miał zwieszoną, jakby przyglądał się swoim stopom o potrzaskanych palcach.

Dwa metry przed nim Pedro skończył wycierać narzędzia i pakować je do sportowej torby. Akurat ją zapinał, gdy z góry zszedł Zulas, żyłasty chudzielec, z którym Pedro pracował dziś po raz pierwszy.

– I jak? – zapytał Zulas.

Pedro wzruszył ramionami.

– Muszę zapalić – mruknął.

– Znaczy nic?

Pedro podniósł torbę i ruszył w stronę wyjścia.

– Znieście tu starych i całą trójkę zasypać kretem. Powycierać inne ślady i niech wszyscy wrócą przez ogródki. Oprócz Pumby, bo tłuścioch prędzej się zasapie, niż przez jakiś płot przeskoczy.

Zulas skinął głową i przywarł do ściany, przepuszczając Pedra na wąskich schodach.

– A tego tam to na żywca tym kretem czy jak? – zapytał, wskazując głową na mężczyznę na krześle.

– W dupie mam. Rób, jak chcesz. – Pedro nawet się nie odwrócił.

Poszedł na górę, gdzie na kanapie w salonie siedzieli Miron i Słaby,

pilnując ciał starych przeniesionych teraz na wielkie czarne worki na śmieci. Pumba, Rudy i Greg stali w kuchni. Pumba zmywał w żółtych gumowych rękawiczkach.

Jak w domu, pomyślał z rozbawieniem Pedro. Jak w pięknej patologicznej rodzinie.

– I jak? – zapytał Miron. Najstarszy z ekipy, miał bogate doświadczenie i Pedro traktował go niemal jak równego sobie.

– Ni chuja, musiał faktycznie nie wiedzieć. – Machnął ręką na znak, że było, minęło. – No nic, sprzątam i jadę dalej. Jak w Warszawie?

– W ogóle do dupy, czekają.

– Nikt się nie zjawiał?

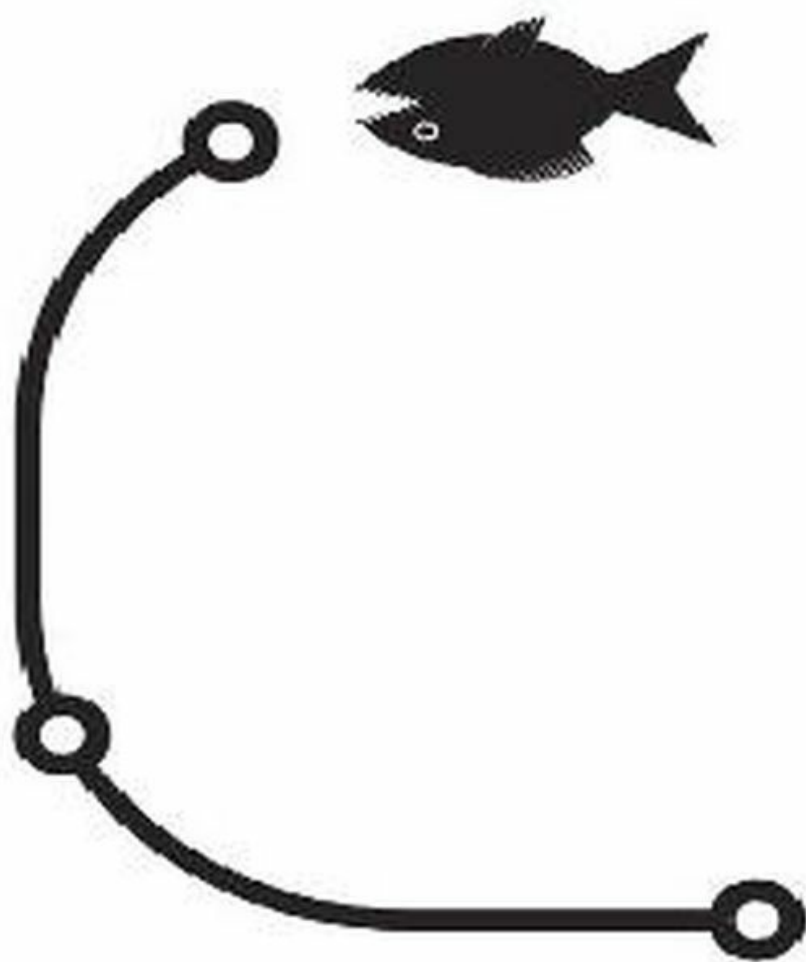
– Najwyraźniej. A szef się niecierpliwi.

– Dobra, to idę. Palić mi się chce jak sam skurwysyn.

Uchylił drzwi, by upewnić się, czy nikogo nie ma na ulicy, choć o tej porze raczej się tego nie spodziewał. Idąc chodnikiem w stronę skrzyżowania i auta, wyciągnął z kieszeni paczkę fajek. Przydałby się jeszcze redbull albo dwa, pomyślał. Czekala go wszak długa noc i spora trasa. Postanowił, że kupi kilka na stacji przy okazji tankowania.

Był ciekaw, co zastanie na drugiej robocie, kogo mu tam przydzielą i czy też skończy się tak jak tutaj. W sumie, jeśli miał być szczery, nie miałby nic przeciwko.

IV
W GRZE
(sierpień)



Zdaniem Bartka kawiarnia Nastrojowa na Ursynowie bardzo chciała zasłużyć na swoją nazwę. Problem jednak tkwił w tym, że właściciele nie do końca wiedzieli, o jaki konkretnie nastrój im chodzi. Ostatecznie więc zdecydowali się na połączenie czegoś na kształt artystycznej galerii ze sklepem w rodzaju Pożegnania z Afryką. Za kontuarem, na półkach wyeksponowano słoje z kawą i herbatą o nazwach brzmiących jak dosłowne tłumaczenia hippisowskich imion, a na obrazach przedstawiających wnętrza kawiarni, paryskich ulic czy bulwarów impresjonizm walczył z realizmem. Gdzieniegdzie na półeczce stał kawowy młynek bądź gustowna cukiernica, a z ustawionego w rogu radia stylizowanego na lata trzydzieste leciały współczesne przeboje.

Bartek zajął miejsce na wprost wejścia, tuż obok automatu z napojami. Blisko baru, więc w punkcie niespecjalnie dobrym do odbycia dyskretnej rozmowy, ale przecież instrukcje dostał jasne – miał nie wdawać się w dyskusje. Na razie im chłopak wiedział mniej, tym lepiej. Poza tym ledwie wejdzie, Bartek go przechwyci. Tak, wybrał idealny stolik.

Zamówił kawę. Zwykłą, czarną, czym wyraźnie rozczarował kobietę w średnim wieku, która już zabierała się do zaprezentowania mu mieszanek z całego świata, jakie mieli w asortymencie. By poprawić jej i sobie humor, domówił jeszcze kawalek marchewkowego ciasta i wrzucił piątkę do słoiczka na napiwki.

Była za kwadrans trzecia, co oznaczało, że miał jeszcze piętnaście minut do spotkania. Potem około godziny, żeby przebić się przez Warszawę do Damki, wyjaśniając po drodze zadania na dziś, czekanie i powrót. Niby drobnostka, ale i tak czuł podekscytowanie na myśl o tym, że wreszcie zaczynają.

Uwielbiał robić duże numery. A jeszcze ten konkretny, gra o kryptonimie

„Dziecko szczęścia”, wydawał się wyjątkowy z kilku powodów. Po pierwsze okoliczności, w jakich go dostali, cały ten spadek Houdina, zamieszanie z jego rzekomym synem, wyglądały na nietypowe i z jednej strony ich fascynowały, z drugiej wzbudzały w nich wątpliwość. Przez ostatnie dwa tygodnie dokładnie to sprawdzili, ale i tak nie mogli mieć stuprocentowej pewności, że wszystko jest w porządku.

Po drugie właśnie czas. Przygotowanie numeru tej skali w nieco ponad dwa tygodnie – a przecież ledwie tyle minęło od pogrzebu Houdina i spotkania kręgu w Damce – zakrawało na, lekko mówiąc, nieostrożność. Nawet Marcina, skłonnego wchodzić w najgłupsze numery dla samego dreszczyku emocji, dręczyły z początku pewne wątpliwości. Tyle że, jak słusznie zauważył Bosco, na ten profil musiał poświęcić więcej niż weekend. Bartek nie tyle go więc tworzył, co recenzował, szukając potencjalnych luk. I, sam to przyznał, nie znalazł nic wystarczająco dużego, by projekt odrzucić.

Wreszcie trzecia kwestia, czyli skład. Wyjątkowy pod każdym względem, numer rozpisany na członków kręgu z bezpośrednim zaangażowaniem samego Bosco. Gdy wtedy, w poniedziałek, cztery dni po pierwszym zebraniu, Karwasz przedstawił im swoją wizję, koncept wydawał się szalony i bardzo ryzykowny. Dopiero po chwili dotarło do nich, że jest dokładnie przeciwnie. Zabezpieczenie tyłów, ścieżki awaryjne, punkt bez odwrotu przesunięty na osi zdarzeń najdalej, jak tylko się dało. No i kozioł w razie niepowodzenia. Czysta, chirurgiczna robota. Aż dziw brał, że dopracowywana raptem w weekend.

Skosztował kawy. Była niezła, choć jak na jego gust odrobinę za mocno wyprażona. Nie zamierzał jednak się skarżyć. Gdyby pozwolił kobiecie za barem mówić, wybrałaby mu idealną, w sam raz dla niego. Ale nawet ta całkiem dobrze komponowała się ze smakiem ciasta. Gorycz nie zniknęła zupełnie, tylko schodziła na dalszy plan, co stanowiło doskonałą metaforę jego ostatnich dni.

Największym problemem, jaki zajmował mu teraz głowę, okazała się Marta. Dzień po tym, gdy ostatecznie zdecydowali, że zaczynają „Dziecko szczęścia”, Bartek wrócił do domu. Nie miał zamiaru siedzieć cholernych

dwóch tygodni w hotelu, bo raz, że koszty, a dwa, że... No cholera, w końcu to jego życie! Nie zamierzał jak Marcin podporządkowywać wszystkiego kolejnym numerom. Nie chciał jak Anka...

W każdym razie wrócił i od razu wyczuł, że coś jest nie tak. Ta dziwna rozmowa telefoniczna, gdy Marta zadzwoniła do niego nagle z rzekomo pilną wiadomością, a on powiedział, że nie ma go w Gdańsku – ta rozmowa coś zmieniła.

Niby wszystko wydawało się normalne. Rozmawiali, choć przypominało to raczej wymianę informacji w przelocie, bo widywali się rano i wieczorem. Dwa razy oglądali razem film, raz próbowali się kochać, ale bardziej przypominało to pokaz zenującej automatyki niż namiętności i podniecenia. Jakby oboje za wszelką cenę chcieli sobie pokazać, że jest w porządku.

Tyle że nie było. I choć Bartek nie miał pojęcia, co stoi za dystansem ze strony Marty, doskonale wiedział, że u niego chodzi o jedną krótką chwilę – gdy w poniedziałek przed spotkaniem dotyczącym profili odebrał Ankę z dworca, a potem zabrał ją do hotelu, by tam wzięła szybki prysznic, zamiast tłuc się na Ursynów i z powrotem. Nic więcej, tylko świadomość, że jest w łazience, ledwie ścianę dalej. Naga. A potem zapach jej mokrych włosów...

Z rozmyślenia wyrwał go mężczyzna w tiszercie Black Sabbath, dżinsach, trampkach. Gdy wszedł do Nastrojowej, zdjął okulary przeciwsłoneczne i trzymał je teraz w dłoni. Bartek, który widział wcześniej Mikołaja Otysia na zdjęciach, rozpoznał go od razu.

Oto rzekomy syn Ferdynanda Górskiego AKA Houdin, pomyślał, po czym uniósł rękę, jakby zamawiał piwo.

– Bartek – powiedział, wyciągając dłoń ponad stołem. – To ze mną umówił cię wielki Be. Chcesz kawy? Jeszcze zdążysz.

Mikołaj zajął krzesło naprzeciwko.

– Mikołaj – przedstawił się. – I zdążę na co?

– Na zajęcia – odparł Bartek z rozbawieniem, po czym machnął ręką. – Spokojnie stary, wszystko w swoim czasie. To chcesz tę kawę czy nie?

– Nie... Chyba nie.

Bartek sięgnął po swoją filiżankę, zajrzał do środka i wypił zawartość jednym łykiem. Z podajnika na serwetki wyjął dwie i sięgnął po kawałek ciasta. Wstał.

– No to chodźmy – zarządził. – Dziękuję za kawę, do widzenia.

Wyszli na zewnątrz i skierowali się w lewo, w stronę parkingu. Bartek w milczeniu jadł ciastko, Mikołaj szedł pół kroku za nim, również w ciszy, choć ta niewątpliwie mu doskwierała. W końcu nie wytrzymał.

– Jest jakaś szansa, że dowiem się, o co tutaj chodzi? – zapytał. – Dwa esemesy na dwa tygodnie to jednak trochę mało, jeśli mam brać udział w...

Bartek przystanął, odwrócił się i pytająco uniósł brew.

– No, w czym? – rzucił. – Co właśnie chciałeś powiedzieć? Tu, na środku ulicy, gdy ni cholery nie wiesz, kto słucha. Co chciałeś powiedzieć, stary, hmm?

Mikołaj zwiesił głowę.

– No właśnie. – Bartek wyjął z kieszeni pilota i zaczął się rozglądać za samochodem. Gdy go dostrzegł, wcisnął przycisk, a sfatygowana kia powitała go mignięciem świateł. – No już, wsiadaj, pogadamy w aucie.

*

Tak naprawdę trudno to było nazwać rozmową, bo Mikołaj czuł się jak na szybkim streszczeniu bieżących spraw w drodze na spotkanie biznesowe. Bartek w kilku słowach wyjaśnił mu jego zadanie na dziś, z miejsca kasując wszystkie pytania i zbywając je tym samym, coraz bardziej irytującym: „W swoim czasie”.

– Teraz istotne dla ciebie jest tylko jedno. Nazywasz się Nikodem Chyś i pracujesz w IT. Znasz się na tym, prawda?

– Skąd wiesz? – zdziwił się Mikołaj, ale pod ciężarem posłanego mu spojrzenia westchnął tylko i pokiwał głową. – Trochę się znam.

– No właśnie. Więc nazywasz się Nikodem Chyś, pracujesz w IT. Chyś, przez „ch”. Chyś, Otyś, Niki, Miki, nawet jeśli ktoś się pomyli, nie powinno być problemu, nie? A wyszukać w socjalach trudniej. Zresztą konto na fejsie już masz, jesteś jednym z tych matolów, co wrzucają zdjęcia wszystkiego

oprócz siebie. Hasła dostaniesz, ale samemu nic nie wrzucaj. Do znajomych też nie zagaduj, bo to albo fejki, albo nasi ludzie, a ci mają inne rzeczy do roboty niż wygłupy.

– Wasi ludzie? To ilu was jest?

– W swoim cza... Ej, no jedź, kurwa, człowieku! Jedź! To pas do skrętu jest, co ty odpierdalasz?!

Bartek wbił jednym kołem na chodnik, by wykorzystać wąską przestrzeń i jednak skręcić. Nie spodobało się to rowerzyście, który krzyknął coś, czego Mikołaj nie dosłyszał.

– Skup się, stary. Jeszcze raz – powiedział Bartek, gdy zatrzymali się na następnych światłach. Nazywasz się...

– Nikodem Chyś.

– Pracujesz?

– Stary, przed chwilą to powiedziałaś, nie jestem idiotą.

Mina Bartka sugerowała wyraźnie, że nie dzielą tej pewności.

– Pracujesz... – powtórzył.

– W IT. Jakaś konkretna firma?

– W swoim czasie. Twoja pasja to...

Mikołaj podrapał się za uchem.

– To też mówiłeś?

– Nie, sprawdzam cię. – Bartek skręcił gwałtownie i zajechał drogę czerwonej toyocie. Rozległ się dźwięk klaksonu, na co w odpowiedzi Bartek opuścił szybę i pokazał kierowcy za sobą środkowy palec.

Mikołaj potrząsnął głową z dezaprobatą.

– Zawsze tak jeździsz?

– Jak?

– Jak ostatni kutas?

Bartek wzruszył ramionami.

– Nie mam wyboru, gdy wokół same cipy.

Skręcił w lewo na rozwidleniu, łukiem w prawo i stanął na kolejnych

światłach.

– Pasjonujesz się teatrem, Nikodemie – powiedział spokojnie. – To dlatego jedziesz właśnie teraz na te zajęcia. A co do tego, jak mnie właśnie oceniłeś, cóż – nie potrzebowałeś wiele, nie? To sobie zapamiętaj, bo to ważna lekcja.

Mikołaj prychnął.

– Co mam zapamiętać, że ważne jest pierwsze wrażenie? No dziękuję, Yodo dla ubogich.

Bartek uśmiechnął się.

– Raczej jak łatwo jest czasem sprostać oczekiwaniom.

Wyglądało na to, że Mikołaj szuka celnej riposty. Gdy jej nie znalazł, zdjął z nosa okulary przeciwsłoneczne i zaczął je przecierać rąbkiem tiszerta.

– Na jakie zajęcia idziemy? – zapytał w końcu.

– Ty idziesz – sprostował Bartek. – Ja cię tam tylko zawożę. I dowiesz się...

– ...w swoim czasie, łapię.

Bartek uśmiechnął się pod nosem.

*

Za pięć czwarta zajechali na parking koło Damki. Bartek pobrał kwitek z automatu i zaparkował na miejscu zarezerwowanym tylko dla pracowników teatru. Opuścił osłonę przeciwsłoneczną i do wsuniętych tam dokumentów dołożył bilet parkingowy. Gdy wysiedli, dał kluczyki Mikołajowi.

– Po co mi? – zdziwił się Otyś.

– Bo będziesz nim wracał – wyjaśnił Bartek jak gdyby nigdy nic. – Masz prawko przy sobie, nie?

– No mam.

– No właśnie. To miłych zajęć. Sala główna. – Bartek spojrział na zegarek. – I lepiej się pospiesz.

Nie czekając na kolejne pytania czy reakcje, skierował się w stronę wyjścia z parkingu i dalej w lewo, na przystanek.

Mikołaj odprowadził go wzrokiem do samego szlabanu, po czym schował

kluczyki do kieszeni i wszedł do budynku. Wejście na główną salę miał dokładnie na wprost. Wstąpił po czterech schodkach i pchnął drzwi.

Widownia była rozświetlona. Kilkanaście mężczyzn i kobiet siedziało w pierwszych trzech rzędach, rozmawiając przyciszonymi głosami. Skupili się w małych grupkach, po dwie do czterech osób. Przeważali wśród nich ludzie młodzi, młodszy od Mikołaja – obstawiałby dziewiętnaście do dwudziestu pięciu lat. Najbardziej na lewo siedziała trójka przypominająca bardziej komisję powiatowego konkursu recytatorskiego niż uczestników zajęć. Ona, grubsza kobieta z krótkimi, postawionymi na sztorc włosami, farbowanymi na jasny blond. Obok niej z jednej strony łysiejący knypek z wąsikami, z daleka łudząco podobny do popularnego muzyka disco polo Sławomira. Z drugiej gruby, pyzaty jegomość z króciutką brodą, porastającą podwójny podbródek. Z tej trójki tylko on mówił, wtrącał się w rozmowę najbliższej grupki studentów i rzucał co chwila jakimś komentarzem, w jego przekonaniu zabawnym.

Był na sali jeszcze ktoś, kogo Mikołaj w pierwszej chwili nie zauważył. Chudy, drobny chłopak mniej więcej w jego wieku, w okularach z grubymi, niebieskimi oprawkami, kształtem trochę przypominającymi te Owsiakowe. Chłopak miał na sobie obcisły czarny tiszert i czarne dżinsy slimy, na nogach bordowe buty sportowe. Siedział pochylony do przodu, z łokciami opartymi na kolanach i splecionymi dłońmi, tak że kciuki znajdowały się pod brodą. Wpatrywał się w scenę.

Gdy dostrzegł, że Mikołaj mu się przygląda, odsunął ręce od twarzy i uśmiechnął się, prezentując dwa rzędy białych, równych zębów.

– Jeszcze zdążyłeś – powiedział, wstając. Poruszał się sprężystym, lekkim krokiem, a z bliska dało się dostrzec, że choć chudy, miał dobrze zbudowane ramiona, a pod tiszertem rysowała się rozbudowana klatka piersiowa. – Pierwszy raz?

– Tutaj tak – odpowiedział Mikołaj, po czym wyciągnął rękę. – Nikodem jestem.

– Brian, przez jot – odpowiedział z powagą okularnik, ściskając podaną dłoń, po czym nagle wybuchnął śmiechem. – Oj, stary, chciałbyś widzieć

teraz swoją minę. Zygmunt jestem.

– Za to pasujesz na Briana. Zwłaszcza takiego przez jot. Masz pojęcie, co się tu szykuje?

Okularnik pokręcił głową, wciąż rozbawiony.

– Na tym chyba właśnie polega urok tej zabawy – odparł. – Że nigdy nie wiesz. Ale przyznam ci...

Nie skończył, bo nagle przygasły światła na widowni, a zaraz potem pojedynczy reflektor rozświetlił scenę, tworząc na jej tylnej ścianie okrąg o średnicy dwóch metrów. Mikołaj dostrzegł, że Zygmunt przycupnął na najbliższym siedzeniu, więc sam zrobił to samo po drugiej stronie przejścia.

Na scenie pojawił się Karwasz w białej koszuli rozpiętej pod szyją i rękawami podwiniętymi do łokci. Gdy wszedł, niosąc dwa krzesła, ktoś zaklaskał, ale aktor zatrzymał się nagle i spojrzał w stronę publiki w taki sposób, że oklaski natychmiast ucichły. W absolutnej ciszy postawił dwa krzesła jedno obok drugiego, po czym rozsunął je, jakby chciał między nie wstawić jeszcze jedno.

Usiadł na tym po lewej, przecesał włosy i spojrzał na publiczność.

– Dzień dobry. Nazywam się Jan Karwasz i właśnie dostarczyłem wam wszystko, czego wam trzeba, by zacząć – powiedział. Zrobił krótką pauzę, po czym nagle się rozpromienił. – No już, bez zbędnej powagi, drodzy państwo. Nie chciałem oklasków, bo nie będziemy tu sobie klaskać, tylko rzucać wyzwania. Po to tu jesteście, prawda?

Odpowiedziało mu kilka cichych pomruków, co w zasadzie mogło oznaczać cokolwiek.

Karwasz podniósł się i stanął za krzesłem, opierając dłonie na oparciu.

– No to co, drodzy państwo. Czas okiełznać tę siłę nieczystą, którą każdy dobry aktor uczy się trzymać na krótkiej smyczy, by spuszczać tylko wtedy, gdy naprawdę jest po temu czas i miejsce. Kto pierwszy?

Nikt się nie zgłosił, co najwyraźniej wcale go nie zdziwiło. Powiódł wzrokiem po skąpanych w półmroku sylwetkach, po czym wskazał na Mikołaja.

– Pan z tyłu, tak, pan. Zapraszam tu do mnie.

Mikołaj w pierwszym odruchu chciał odmówić, ale zamiast tego westchnął tylko, podniósł się niechętnie i ruszył schodami w dół. Pozostali kursanci odprowadzili go spojrzeniem, z jakim obserwuje się skazańca idącego na szafot.

– Proszę, niech pan usiądzie, panie...

– Nikodem. – Mikołaj podszedł do wskazanego mu krzesła i zajął miejsce.

– Świetnie, panie Nikodemie. Niech pan sobie zatem wyobrazi, że właśnie siedzi w restauracji, oczekując na piękną... Albo damy tu panu możliwość pocucia się komfortowo. Niech pan sam postanowi, na kogo i z jakiego powodu pan czeka.

Ktoś z publiczności zarechotał i Karwasz pogroził mu palcem. Następnie wyprostował się, dociągnął lewą rękę do brzucha, jakby trzymał ją na temblaku, i uderzył piętą o piętę.

– Ja pozwolę sobie pana obsłużyć.

Zszedł na bok, wychodząc z kręgu światła, po czym wrócił sprężystym krokiem, stanął nad Mikołajem i uśmiechnął się szeroko.

– Pan szanowny raczył już wybrać? – zapytał.

Mikołaj nie odpowiedział, wpatrzony w publikę. Lewa noga podrygiwała mu zauważalnie, mimo iż próbował ją opanować, dociskając ręką. Prawą dłoń zacisnął w pięść, plecami przywarł do oparcia tak bardzo, że poprzeczna listwa zaczęła wrzynać mu się pod łopatki.

– Ekhem, przepraszam szanownego – zaczął Karwasz, jednak nie dokończył, bo Mikołaj nagle odwrócił i zadarł głowę, krzywiąc twarz w paskudnym grymasie.

– Słyszałem za pierwszym razem – warknął. – Ale z czego niby miałem wybrać? Z powietrza?! Siedzę tu już kwadrans i nikt nie pofatygował się nawet z kartą, że już o szklance wody nie wspomnę! A pan mnie teraz pyta, czy już wybrałem? I jeszcze to „pan szanowny”. Czy to jest kpina?! Czy pan ze mnie kpi?!

Z każdym kolejnym słowem nakręcał się coraz bardziej, coraz mocniej

i agresywniej gestykulował. Ostatnie słowa wypowiedział, już prawie stojąc.

Karwasz cofnął się o dwa kroki, stając na krawędzi świetlnego kręgu i rozglądał się niepewnie.

– Proszę się uspokoić – rzucił, wyciągając przed siebie ręce. – To na pewno jakieś nieporozumienie i...

– Nieporozumienie?! – Mikołaj, który właśnie usiadł, teraz poderwał się tak gwałtownie, że mało nie przewrócił krzesła. – Nie ma tu żadnego nieporozumienia. Gdybym był biały, traktowałibyście mnie inaczej! Natychmiast, natychmiast chcę tu widzieć kierownika sali i...

Urwał speszony, bo nagle kątem oka zobaczył, że ktoś wbiega na scenę, zajmuje drugie krzesło i reguluje je jak fotel, zaczyna przestawiać jakieś dźwigienki na niewidzialnej podsufitce.

Widząc to, Karwasz uśmiechnął się lekko i wycofał w cień.

– No już, siadaj – powiedział Zygmunt. – Jak znowu wylecę z kolejki, to mi wyrwą nogi z dupy.

Udał, że poprawia słuchawki i mikrofon.

– Wieża, tu sześć trzy siedem dwa do Londynu. Meldujemy gotowość.

Mikołaj wziął dwa głębokie oddechy, czując, jak uchodzi z niego przed chwilą wzbudzony gniew. Zajął miejsce na krześle i również udał, że nakłada słuchawki.

– Stary, nie mam pojęcia, jak się lata samolotami – powiedział, a publiczność zareagowała wybuchem śmiechu.

Zygmunt puścił do niego oko.

– Stary, nikt nie wie. Cała branża udaje od stu lat. – Złapał za widmowy drążek i pociągnął, symulując szarpnięcie i wstrząs. – Najważniejsze to wystartować i wylądować. Latać nie musisz umieć...

Publiczność znowu się roześmiała, a Mikołaj dostrzegł Karwasza przechadzającego się między rzędami. W pewnym momencie poklepał po ramieniu młodą dziewczynę w czarnym golfie, a ta obejrzała się za nim, podniosła i wbiegła na scenę jak wcześniej Zygmunt. Gdy podeszła do Mikołaja, szybko ustąpił jej miejsca. Usiadła, udając, że zakłada rękawiczki,

i zapina pasy. Spojrzała na widmowe tylne siedzenia i na Zygmunta. Piękne, rude włosy lśniły w blasku światła, jakby stworzono je, by błyszczały na scenie.

– Trzymajcie się. Pokażę wam, jak się jeździ po Londynie! – zawołała. Wcisnęła niewidzialne sprzęgło, wbiła bieg i docisnęła gaz.

Zygmunt ukradkiem obserwujący jej stopę doskonale wyczuł moment, więc oboje odchyliłi się niemal równocześnie, symulując moment przyspieszenia wbijający w fotel.

Mikołaj patrzył na nich wciąż ze sceny, ale już spoza kręgu światła. Uciekali przed policją po brawurowym napadzie na bank, wchodzili w zakręty i strzelali przez okna, i byli tak wyśmienicie zgrani, jakby ćwiczili tę scenę wiele razy wcześniej. A potem nagle wyrósł przed nimi gruby facet w marynarce i wznosząc ręce, powiedział:

– Módlmy się.

I ulica stała się kościołem.

*

Po zajęciach Mikołaj podszedł do Zygmunta, który czekał w pewnym oddaleniu od Karwasza, zapewne po to, by również się z nim rozmówić.

– Znakomite wejście – pogratulował, ściskając mu rękę. – Nie tylko uratowałeś mi tyłek, bo już mi brakowało pomysłu, ale też brzmiałeś bardzo profesjonalnie.

– Mówisz tak, bo nie umiesz latać – odpowiedział Zygmunt ze śmiechem. – Ale fakt, fajnie było. Robiliśmy to kiedyś z moją grupą, stąd wiedziałem, jak zareagować. Tylko tam już się znamy, wiemy, co kto potrafi, a tutaj...

– No, fajnie było – przyznał zgodnie z prawdą Mikołaj. – Dla mnie to zupełna nowość. Właściwie to zapisała mnie tutaj dziewczyna.

– Fajną masz dziewczynę. Ja... – zaczął, gdy dostrzegł, że Karwasz właśnie kończy rozmowę i zbiera się do wyjścia. – Przepraszam cię na moment. Panie profesorze!

Mikołaj patrzył, jak Zygmunt rozmawia z Karwaszem, jak podają sobie

ręce, a aktor nakrywa ich splecione dłonie swoją. Rozmowa trwała krótko, po czym Karwasz przeprosił wszystkich i ruszył w górę schodów.

– Sekretariat – szepnęła, mijając Mikołaja, a potem zniknęła za drzwiami.

– To co, jakaś kawa może? – zapytał Zygmunt.

Mikołaj udał, że się waha.

– Bardzo chętnie – powiedział – ale dzisiaj muszę jeszcze ogarnąć parę rzeczy. Te zajęcia trochę mi tak wskoczyły w plan dnia.

– Nie ma problemu, stary. – Zygmunt położył mu rękę na ramieniu – Na spokojnie następnym razem. Miło było cię poznać.

– I wzajemnie – odparł Mikołaj. Odczekał chwilę, niby sprawdzając coś w telefonie, po czym najpierw udał się do łazienki, a potem pod drzwi oznaczonych napisem „Sekretariat”.

Zapukał i wszedł, nie czekając na „proszę”. W środku siedział Karwasz zajęty rozmową z chudą sekretarką o końskich zębach. Z nogą założoną na nogę pił kawę z małej filizanki. A obok jego fotela stała skórzana aktówka.

Gdy Mikołaj wszedł, Karwasz wskazał na niego, nie wstając.

– Pani Małgosiu, to jest pan Nikodem. Przyszedł uregulować opłatę za zajęcia.

– Oczywiście – odparła sekretarka i sięgnęła po leżący na boku segregator, ale że nie była specjalnie dobrą aktorką, to powagi starczyło jej tylko do tego momentu. Parsknęła śmiechem i zasłaniając usta ręką, zapytała Mikołaja, czy czegoś się napije.

– Nie zdąży – odpowiedział za niego Karwasz. Wstał i obciągnął koszulę.

– Muszę dość szybko dostać się do domu, a pan Nikodem z łaski swojej zgodził się mnie podwieźć.

Podniósł aktówkę i podszedł do drzwi.

– Jak zawsze dziękuję za gościnę, pani Małgosiu. Oby częściej.

– Do widzenia, panie Janie.

– Do widzenia. – Mikołaj również się uklonił i podążył za Karwaszem.

– Który to pana? – zapytał aktor, gdy już wyszli przed budynek.

Mikołaj wskazał na samochód zaparkowany przez Bartka.

– Tylko muszę jeszcze opłacić bilet – przypomniał sobie.

Karwasz machnął ręką.

– Proszę się nie kłopotać, mam tu kartę abonamentową.

Podeszli do auta i Mikołaj zajął miejsce za kierownicą. Ku własnemu zaskoczeniu, choć wyższy od Bartka, prawie nie musiał korygować ustawieniu siedzenia i lusterek. Zerknął na gałkę biegów, by zobaczyć, jak wbija się wsteczny, poszukał świateł i właściwie był gotowy, by ruszać.

Przed szlabanem aktor podał mu plastikową kartę. Wyjechali na Grzybowską i zaraz w prawo w Towarową.

– I jak się podobało? – zapytał Karwasz.

Mikołaj wzruszył ramionami.

– Fajna zabawa. Trochę takie kółko teatralne dla dorosłych – stwierdził, co rozbawiło aktora.

– Nie takie trochę, Mikołaju – odparł. – Całkowicie. To całkowicie jest takie kółko teatralne dla dorosłych. I cieszę się, że dobrze się bawiłeś.

Mikołaj zmienił pas.

– Musi mi pan powiedzieć, dokąd jechać – powiedział. – A co do zajęć, rozumiem, że to kurs przygotowawczy do zadania, tak?

– Nic bardziej mylnego! – Karwasz znowu się roześmiał. – Nie mamy czasu na żadne kursy przygotowawcze, panie Mikołaju. Panu spieszy się ze spadkiem, nam do spełnienia woli zmarłego przyjaciela. Gra właśnie się rozpoczęła, a dziś poznał pan naszego gapa.

– Gapa? Znaczący cel, tak?

– Nie, panie Mikołaju. Gapa. Cel to pan może mieć na strzelnicy. Gap to gracz mimowolny. Ktoś, kto tak bardzo pragnie odmienić swój los, że gotów walczyć o szczęście znaczącymi kartami. Bohater, choć tragikomiczny. O, tu pan skręci w Solidarności. Ogólnie to na Mariensztat jedziemy.

Mikołaj wykonał polecenie.

– Zygmunt?

– Brawo – pochwalił Karwasz – Zygmunt Jan Gajewski, syn Kazimierza i Joanny Gajewskich. Dziecko szczęścia. Prezent od twojego ojca i sponsor twojego spadku. Jak ci się podoba?

Mikołaj nie odpowiedział od razu, co jeszcze bardziej rozbawiło jego towarzysza.

– Och, drogi Mikołaju, wybac. Zapomniałem, że to twój pierwszy raz. No niestety, musisz się przygotować, że zabolis.

Mikołaj spojrział na niego gniewnie, mało nie wjeżdżając przez to w samochód przed sobą. Zahamował gwałtownie.

– To pana śmieszy? Odruch sumienia? – zapytał.

– Tak chcesz to nazywać? – Karwasz nagle spoważniał. – Dobrze, skoro tak, pozwól, że zapytam. Zareagowałeś tak samo jeszcze wczoraj, gdy czekałeś na wiadomość ode mnie? Na okazję do zarobienia tak grubego szmalu w nieprzyzwoicie krótkim czasie? Nie, prawda? Bo wczorajszy gap nie miał twarzy, nazwiska, marzeń i planów. Nie wpadł też na pomysł, by zaprosić nowo poznanego kolegę na kawę.

– Czy pan mnie próbuje zniechęcić?

– Wręcz przeciwnie, kolego. – Tym razem w uśmiechu starego aktora nie było nawet śladu wesołości. – Chcę ci powiedzieć, że dziś zacząłeś grę. Usiadłeś z nami do stołu, a my zrobimy wszystko, by wygrać. Dlatego, wybac mój francuski, pierdolę twoje wyrzuty sumienia. Jeżeli dotąd lubiłeś dzieci, dzisiaj przestaniesz, bo właśnie dziecko będziesz zabijał. Dziecko w dorosłym człowieku. Skupionego na sobie, naiwnego, ale zdolnego do marzeń dzieciaka. Dorosłego da się zrobić tylko na małych rzeczach. Jeśli chcesz dużej skali, znajdujesz w dorosłym ukrytego w środku gówniarza i uderzasz w miękkie. Na tym polega nasza robota, rozumiesz?

Mikołaj długo nie odpowiadał. Zatrzymywał się na kolejnych światłach, ruszał, zmieniał pasy, wpatrzony przed siebie wciąż z tą samą zaciętą, poważną miną.

– Rozumiem – odparł w końcu.

– W samą porę, bo jesteśmy na miejscu – powiedział Karwasz znowu tym

samym co wcześniej luźnym, spokojnym tonem. – Zaparkuj tu na chwilę, bo jest jeszcze jedna sprawa, a potem musisz podjąć decyzję. Wyłącz silnik, włącz awaryjne... Tak, dobrze. – Zwrócił się w jego stronę. – A teraz spójrz na mnie.

– Możemy bez tej szopki, panie Karwasz? – zniecierpliwił się Mikołaj.

Gdy jednak aktor nie odpowiedział, westchnął i odwrócił się tak, by spojrzeć mu w oczy.

– Słucham.

Aktor odchrząknął.

– Nasz gap to naprawdę dziecko szczęścia – powiedział. – W wieku dziewiętnastu lat trafił totka, a potem za namową kolegów bardzo korzystnie zainwestował sporą część środków, przez co w zasadzie nigdy nie musiał pracować... Poczekaj, zanim coś powiesz, daj mi skończyć. To nie jest zły dzieciak, jego pieniądze nie są brudne, krwawe, a on sam nie zachowuje się jak rozpuszczony bachor. Widziałeś zresztą dzisiaj. Chce być aktorem i pracuje na to.

– Tak, widziałem – mruknął niechętnie Mikołaj.

– Kwota, na którą zamierzamy go oszukać, choć znaczna i odczuwalna, nie zaboli go tak naprawdę, nie zmusi do zmiany stylu życia. Ot, może nauczy ostrożności, może utwardzi i uczyni bardziej cynicznym, tylko tyle. Rozumiesz?

– Tak – tym razem Mikołaj odpowiedział od razu, bez wahania.

– To dobrze. Zatem ostatnie pytanie z mojej strony na dziś. Czy chcesz, bym wyłuszczył ci cały nasz plan krok po kroku, co z jednej strony da ci pewien komfort wiedzy, ale z drugiej może trochę utrudnić odgrywanie twojej roli, czy wolisz nie wiedzieć i zaufać, że zachowam się w porządku wobec ciebie?

Mikołaj parsknął.

– Mam zaufać oszustowi?

Karwasz wyciągnął rękę i poklepał go po twarzy, uśmiechając się przy tym prawie czule.

– Och, wierz mi, nie ufałeś w życiu nikomu innemu. Pytanie, czy zaufasz komuś, o kim wiesz, że jest mistrzem w swoim fachu.

Mikołaj roześmiał się trochę na siłę.

– Nie może mu się stać żadna krzywda – zastrzegł w końcu.

– Nie mogę ci tego obiecać – odparł Karwasz. – Jednak nie zamierzamy zrobić mu fizycznej krzywdy i nasz plan tego nie obejmuje.

– I żadne ślady nie będą prowadzić do mnie?

– Nie wiem, czy żadne. Na pewno nie wystarczające. Gdy to się skończy, w oczach Zygmunta Gajewskiego Nikodem Chyś będzie taką samą ofiarą jak on.

Jakaś para wyłoniła się zza samochodów i przechodząc przez ulicę, zerknęła w ich stronę. Musieli rozpoznać aktora, bo kilka kroków dalej on się obejrzał, a ona, zawstydzona, pociągnęła go za rękę.

– Dobra, niech będzie, że nie chcę wiedzieć – zdecydował Mikołaj. – To co teraz? Jakiś uścisk dłoni na znak zawarcia dżentelmeńskiej umowy?

– Nie bądź śmieszny. – Karwasz złapał za klamkę i otworzył drzwi. – W dokumentach jest adres, gdzie odstawić auto. Zamknij i zabierz kluczyki, mamy drugi zestaw. Na razie.

Wyszedł i po chwili zniknął za autami stojącymi w równym rzędzie wzdłuż ulicy.

Na przystanku pod Muzeum Powstania Bartek wsiadł w tramwaj numer 24 i pojechał na ulicę Obozową. Wsiadł przy stacji Orlen i cofnął się kawałek do skrzyżowania z Płocką. Wszedł do pierwszej klatki niskiego, pomalowanego na brązowo bloku, udał się na drugie piętro i tam zadzwonił do drzwi.

– Chwila! – ze środka dobiegł niski, tubalny głos. Zaraz też trzasnęły po kolei trzy zamki, zabręczał łańcuch i w progu stanął potężny mężczyzna pod pięćdziesiątkę w dresie i klapkach. Włosy miał długie, choć przerzedzone, spięte w kucyk na modłę samurajów z filmów Kurosawy, a gęstą, siwą brodę potarganą i pełną okruchów. Na wyłaniającym się spod rozpiętej bluzy tiszercie z grafiką przedstawiającą poloneza widniała duża, czerwona plama po dzemie. Wyglądała na świeżą.

Na widok Bartka olbrzym wyszczerzył się i cofnął, robiąc mu miejsce.

– Wchodź, robię gofry, załapiesz się.

Bartek spojrział na zegarek.

– Czas mnie goni, Fiołek. Masz...

– Mam ochotę choć raz zjeść z człowiekiem – przerwał mu olbrzym. – Więc albo mnie wkurwiasz i przychodzisz w przyszłym tygodniu, albo jesz gofra i obaj jesteśmy zadowoleni. To jak?

Bartek uśmiechnął się i potarł podbródek kantem dłoni.

– No skoro tak stawiasz sprawę – odparł. – Znajdzie się coś jeszcze do tych gofrów prócz truskawkowego dzemu?

– Skąd... – Chciał zapytać Fiołek, ale klepnął się najpierw czoło, potem w plamę na piersi. – Śmietana do ubicia jak chcesz, trochę owoców. Córka miała być dzisiaj z wnuczką, tylko mała się pochorowała, więc nie przyszły. A obiecane gofry są.

Teraz dla odmiany klepnął się w brzuch.

– No już, wchodź, bo mi wrażliwość sąsiedzka naleci.

Bartek minął zawalony gratami przedpokój i wszedł do dużego pokoju.

Ostatnim razem, gdy odwiedzał Fiołka, ten właśnie mocował na ścianach półki, dlatego w całym pomieszczeniu walały się kartony, a powiązane sznurkami stosy książek czekały, by je ułożyć. Teraz, blisko rok później, sytuacja zmieniła się o tyle, że książki leżały na półkach, ale tych poza regałami wcale nie było mniej. Niepowiązane, piętrzyły się niczym górskie masywy, wypełniając całą wolną przestrzeń. A co najważniejsze – Bartek wiedział, bo już raz próbował gospodarza zagiąć – wśród tych wszystkich woluminów znalazłoby się może z dziesięć, których Fiołek jeszcze nie przeczytał.

– Herbaty chcesz do tych gofrów? – dobiegło go z kuchni. – A może piwa?

– Herbata będzie w porządku – odpowiedział Bartek, przekładając na bok stare roczniki „Przekroju” i siadając na kanapie. Wolałby kawę, ale pamiętał, że Fiołek jest jej zdecydowanym przeciwnikiem. – Masz tu gdzieś to, po co przyszedłem?

– Wydruk obok drukarki, okładka z zielonym tyłem. PDF i docx na pendrivie. Pingwinek taki. Powinien być...

– Widzę. – Bartek wstał i zabrał z biurka figurkę pingwina, a z parapetu wydruk. Przekartkował szybko.

– Bez tytułu?

– Nie mogłem się zdecydować – odparł Fiołek, gdy wszedł do pokoju z goframi. Na każdym z nich piętrzył się stos owoców. Zręcznie wyminął jeden stos książek, delikatnie przesunął nogą drugi. Postawił talerze na wolnym kawałku wciśniętego w kąt kwadratowego stołu i sprzątnął rozłożone na nim gazety. – Na końcu jest parę propozycji, wybierzecie sobie.

Bartek przewrócił skrypt na ostatnią stronę.

– Dintojra? Fiołek, kurwa, naprawdę?

– No co? – Olbrzym przecesał brodę, niechcący zostawiając na niej białą smugę surowego ciasta. – Masz przestępcze porachunki? Masz. Swoją drogą

to ja nie wiedziałem, że Bosco i Houdin taki numer wycięli wtedy miastowym. Jak im się z tego udało wywinąć?

– Właśnie sobie odpowiedziałeś. – Bartek podszedł do stołu i wybrał gofra z większą ilością jagód niż plasterków brzoskwini. – Mało kto wiedział, oni sami połapali się grubo po czasie. Zresztą wiesz, ja w tym udziału nie brałem, za młody jestem. Szalone lata.

– Szalone, to fakt. Trochę ciężko to było z *Źądłem* poźnić, bo to w gruncie rzeczy poczciwa opowieść. Teraz masz trochę więcej Guya Ritchiego, trochę Manna z *Zakładnika*, widziałeś?

Bartek pokręcił głową.

– To znaczy *Źądło* tak.

– *Zakładnika* też zobacz. – Fiołek wycelował w niego palcem. – Świetny Cruise.

– Okej.

– Wracając do scenariusza, nie wiem, na ile oddałem realia, bo mało czasu mi daliście, nie będę krył, że to, co napisałem, to kalka na kalce.

– Będzie dobrze, Fiołek. Nie martw się. To nie dokument. Ważna jest ta... No...

– Prawda ekranu?

– Właśnie.

– Skoro tak twierdzisz. – Gospodarz zaśmiał się i znowu przeczesał brodę, wytrzepując z niej kilka okruchów. W tym momencie wyglądał trochę jak olbrzym z *Harry'ego Pottera*, Bartek nie pamiętał imienia.

W kuchni zagwizdał czajnik, więc Fiołek poszedł po herbatę.

– Swoją drogą to prawda, co mówi ulica? – zapytał.

– A co mówi?

– No o Houdinie. Że nie żyje.

– Prawda – potwierdził Bartek.

– I ten film to w hołdzie?

– Można tak powiedzieć.

Usiedli do stołu i zjedli gofry, właściwie nie rozmawiając. Dopiero gdy skończyli, Bartek wyjął z kieszeni kopertę i położył na stole. Fiołek przesunął ją na bok i docisnął palcem scenariusz.

– Mogę mieć jedną prośbę ekstra? – zapytał.

– Dawaj.

– Opis Houdina jest zgodnie z wytycznymi, ale Bosco... Weź zobacz, strona piąta na samej górze. Powiedz, czy chociaż byłem blisko. O wygląd chodzi.

Bartek przewrócił na wskazaną stronę, przemknął wzrokiem po kilku pierwszych liniijkach i uśmiechnął się półgębkiem.

– Ani trochę, Fiołek. Nie trafiłeś z niczym.

*

Marcin najchętniej nie wychodziłby z tej wanny już nigdy. Leżał prawie całkiem zanurzony, z zamkniętymi oczami, bliski zaśnięcia i wsłuchiwał się w niezrozumiałe dlań teraz głosy dochodzące z telewizora włączonego w pokoju.

Ostatnie dwa tygodnie był niczym Batman. Tak właśnie się czuł. W dzień zajęty interesami i działalnością filantropijną, wieczorami oddawał się mrocznym stronom życia, krążył pośród nocnych zwierząt i szukał ich słabości.

Powiniennem to sobie zapisać, pomyślał z rozbawieniem. Będzie do biografii. Czasem myślał o swoim życiu w ten właśnie sposób – jak opisać je za niego potomni. Jak zinterpretują czytelnicy tej bez cienia wątpliwości bestsellerowej pozycji, gdy już kiedyś powstanie.

Zadzwoił budzik. Marcin sapnął i wynurzył się z wody. Sygnał oznaczał szesnastą, czyli zostało czterdzieści pięć minut do pierwszej kawy w centrum, dwie i pół godziny do kolejnej i około pięciu godzin do imprezy, przed którą powinien się przebrać. Teoretycznie premiera zaczynała się o dwudziestej, ale wiedział doskonale, że nie było sensu zjawiać się tak wcześnie.

Wyrwał korek z odpływu i wstał, ociekając wodą. Wycierał się energicznie, aż poczuł, że piecze go zaróżowiona skóra. Dopiero wtedy

wyszedł z wanny i stanął na puchatym, wilgotnym dywaniku, łapiąc za elektryczną szczoteczkę do zębów.

Musiał przyznać, że gdy dwa tygodnie temu dostał od Karwasza wytyczne wraz z limitem budżetowym, nie spodziewał się, że to wszystko będzie tak łatwe. Oczywiście wiedział, że nie ma drzwii nie do sforsowania i problemów nie do przejścia, ale obstawiał, że jak zawsze na początku przyjdzie mu zderzyć się z nieufnością, co kosztować go będzie trochę wysiłku i energii.

Tymczasem na research poświęcony kampaniom społecznym dotyczącym zwierząt, a związanym z jego dziennym trybem filantropa, potrzebował raptem doby. Dłużej zajęło mu znalezienie interesującej fundacji, bo z jednej strony musiała istnieć na rynku już parę lat, dorobić się stosownej renomy i zbudować zaufanie, ale z drugiej wciąż trzymać się poniżej radaru. Nie mogła być tak jak prężnie i pomysłowo działające schronisko Na Paluchu, które odwiedził już chyba każdy stołeczny celebryta, za to musiała mieć to coś.

Szczególną uwagę zwrócił na fundację Kuter-łapa z siedzibą na Woli, koło Bemowa. Działali od siedmiu lat i z godnym podziwu zapałem ratowali wszelkie poranione zwierzęta, takie bez kończyn albo oka. Fanpage na Facebooku – cztery tysiące polubień – oraz Instagram – siedem tysięcy śledzących – budowali w konwencji okołopirackiej i taką też stylistykę chcieli utrzymać w samej siedzibie. To dlatego podłużny, kanciasty barak miał namalowaną scenę rodem z *Buntu na Bounty*, a zza wejściowej bramki wyglądał płaski, nieco wyblakły Jack Sparrow z *Piratów z Karaibów*.

Byli dla niego idealni. Trochę nieporadni w sieci, ale pełni zapału, z grupą mocno zaangażowanych młodych wolontariuszy. Gdy do nich zadzwonił, informując, że chciałby być może zaadoptować psiaka, zachowali się bardzo uprzejmie i nie wypytywali od razu o warunki mieszkaniowe, miejsce pracy, styl życia i związki. Po prostu: „Zapraszamy serdecznie, proszę tylko powiedzieć, o której godzinie, to ktoś pana oprowadzi”.

Pojechał, przedstawił się jako Tadeusz Zawada, ogrywając jeden z aliasów konsekwentnie rozbudowywanych w social mediach. Miał ich na samym Facebooku kilkadziesiąt, większość przyczajonych i uaktywnianych w razie

potrzeby. Zawada, warszawski biznesman, zajmował się produkcją plastikowych okien i drzwi, a kiedy osiadł i dorobił się domu, mógł wreszcie przyjąć kilka zwierzaków.

Przyjęli go z otwartymi ramionami, a on robił wszystko, by uznali go za psiego anioła. Na spotkanie przywiózł dwie torby łakoci dla podopiecznych i przekazał na ręce kierowniczkę placówki. Między zwierzakami nie zachowywał się jak klient w sklepie, tylko obdzielał miłością i głaskaniem, gdy tylko do niego podeszły. Nie przejmował się zabrudzeniami na garniturze, śmiał się i opowiadał rzewne historyjki o tym, jak kiedyś mieli w domu rodzinnym psa bez łapy i jak zabawnie kopał dołki.

Potem w biurze pytał o procedury adopcyjne i choć nie zamierzał się wtrącać w nie swoje sprawy, chciał wiedzieć, jak sobie radzą i czy nie borykają się z kłopotami. Szczera rozmowa zaowocowała natychmiastowym przelewem dwóch tysięcy na konto fundacji oraz deklaracją wymiany wszystkich okien w ośrodku na plastikowe.

– To może zająć kilka tygodni, bo mamy duże obłożenie – powiedział wtedy i z satysfakcją dojrzał grymas uprzejmej niewiary na twarzy swojej rozmówczynie.

Ponoć zdziwiła się bardzo, gdy trzy dni później zjawili się tam czterech fachowców od Maurycego, by dokonać wszelkich niezbędnych pomiarów.

Dwa dni potem Marcin zadzwonił do fundacji i przedstawił swój pomysł.

– Pani Weroniko, podejmuję właśnie współpracę z taką agencją reklamową – powiedział. – Rozmawialiśmy sobie tu o kilku kampaniach, nie wiem, czy pani kojarzy taką o mafii, z tym aktorem z *Klanu*...

– „Mafia dla psa”, tak, oczywiście, że kojarzę!

– No właśnie. No to mam tu jej autora i oni by chętnie... Zresztą wie pani co? Spotkajmy się może, dobrze? Przyjadę do państwa. Kiedy będzie pani odpowiadało?

Żeby zdobyć fajne skrypty reklamowe, nie musiał wydawać dużych pieniędzy, zatrudniać agencji czy choćby angażować Fiołka. Warszawa stała zdolnymi copywriterami, którzy ściągnęli tu na fali pierwszego agencyjnego

bumu i teraz ledwo wiązali koniec z końcem. Wystarczyło poszukać w odpowiedniej grupie i wyśmienite pomysły oddawali za bezcen, zwłaszcza jeśli przy okazji wspomniałeś o celu charytatywnym i jakiejś naprawdę udanej inicjatywie. No i że zatrudnisz znane twarze, dzięki czemu viral pójdzie jak ta lala!

Za zorganizowanie celebrytów gotowych wziąć udział w akcji odpowiadało już nocne alter ego Marcina. To ono, wkręcając się na rauty, pokazy i bankiety, brylowało na ściankach i witało się ze sławami jak z dawno niewidzianymi przyjaciółmi.

Żeby wejść gładko do tego świata, Marcin nie potrzebował żadnego researchu. Mechanizmy show-biznesu znał dobrze, ciekawostki śledził na bieżąco i już nieraz wykorzystywał je w swoich numerach. Chcesz zaistnieć na ściance? Zabierz ze sobą kogoś z kamerą, niech wygląda profesjonalnie i zrobi z tobą krótki wywiad. Możesz być pewien, że rzuci się na ciebie przynajmniej kilku fotografów, bo nawet jeśli nie wiedzą, kim jesteś, to a nuż kimś ważnym, trendy i warto cię mieć. Wtedy podchodzisz do kogoś faktycznie znanego, ściskasz mu dłoń, uśmiechasz się. Nikt potem tego nie sprawdza, nie wycina. Wszedłeś, jesteś w kadrze, twoja twarz się niesie. Rozmawiasz swobodnie z gwiazdami i wszędzie cię pełno? Kamera to zauważy. Ludzie zapamiętają.

Byle się nie narzucać. Byle nie próbować być w centrum. Słuchać, niewiele mówić, chwalić za dokonania, z których ludzie są dumni, stwarzać okazje, ale nie wciskać nic na siłę. To, co Marcin miał, jego słodka, uroczą Kuter-łapka, było niemal samowystarczalne dla każdego, kogo obchodził los zwierząt – dla każdego celebryty. Dobroczynność, empatia i wrażliwość na wierzchu, próżność i świetne kadry na Instagram tuż pod powierzchnią. A to wszystko zaprawione pierwszorzędnymi przekąskami i winem na koszt organizatora.

I dziś właśnie, po szalonych dwóch tygodniach ciężkiej pracy na dwa etaty, Marcin domykał pierwszy etap swoich przygotowań. Do wieczora potwierdzi dwie twarze kampanii, a przed dwudziestą podjedzie wypożyczonym mustangiem pod dom Kopciuszka, pani Weroniki z Kuter-

łapki, i zabierze ją ze sobą na bal. A tam pozwoli, by jej szczerość i oddanie ostatecznie dokonały cholernego cudu dobroczynności. Szczerzy, nieświadomi niczego ludzie są najlepszym narzędziem każdego oszusta.

Marcin wypluł pastę do zlewu, odłożył szczoteczkę i przepłukał usta. Wierzchem dłoni sprawdził gładkość policzka, po czym puścił oko do własnego odbicia.

– Czas zrobić coś dobrego – powiedział.

*

Z siedmiu osób pochylonych nad prowizorycznym stolikiem, zrobionym ze skrzynki, Hirek zwany Kuną nie znał dwóch: grubszego, ogolonego na łyso chłopaka z długą brodą, zaplecioną w dwa małe warkoczyki, oraz dziewczyny z długimi, prostymi włosami, sięgającymi atomówki na niemal płaskim biuście. To do niej mówił, ją zachęcał, ale to jego miał cały czas na oku. Dziewczyna raczej nie była przy kasie, a poza tym nie zakładał, że jest specjalnie bystra i spostrzegawcza.

Co innego łyso. Ten stał lekko z boku, za Kareczką i chudym Fiziem, jakby zatrzymał się tylko na sekundę, tylko by zerknąć, z miną mówiącą wyraźnie, że jest ponad takie przyziemne pierdoły i krętactwo. A mimo to nie spuszczał kart z oka.

Hirek pozornie całkowicie go olewał, choć oczywiście cieszyło go każde pogardliwe prychnięcie Łysego, ilekroć ktoś z ekipy przegrywał wyjątkowo łatwe ustawienie. Zerkał na niego zza okularów, czekając, aż tamten zdecyduje się na jakiś ruch.

– I jak, koleżanko, może jednak próbujemy? – zwrócił się znowu do dziewczyny. – Albo może zrobimy inaczej, co? Zobacz, właśnie wygrałem dwie dyszki. Obstawię je za ciebie, jeśli powiesz, jak masz na imię.

Dziewczyna nie była w tym za dobra. Uśmiechnęła się niby zalotnie, prezentując krzywe zęby.

– Tak tanio je wyceniasz? – zapytała, na co Fiż roześmiał się rubasznie.

– No to ci, chłopie, dowaliła! – zarechotał.

Hirek rozłożył ręce.

– Myślę, że to dobra cena za imię – stwierdził, próbując przełożyć karty między palcami lewej dłoni. Jedna wysliznęła się i upadła na skrzynkę koszulką do dołu. Czarny jopek. Łysy parsknął.

Hirek podniósł kartę, udając zawstydzienie, i położył wszystkie trzy na blacie. Zamienił je powoli miejscami, raz, drugi, trzeci, czwarty.

– Wiesz, ja też ryzykuję – powiedział do dziewczyny. – Zawsze możesz okazać się Eugenią albo Genowefą, nie?

Zaśmiała się i spróbowała zalotnie odrzucić włosy. Poszło jej jak z uśmiechem.

– I co wtedy?

– Wtedy będę musiał mówić do ciebie „kochanie” albo „pyszczku” przez resztę życia – odparł i jeszcze kilka razy przełożył karty, pilnując się, by nie zrobić tego za szybko. Ostrożnie sięgnął po dwudziestozłotowy banknot i uniósł tak, by mogła go z łatwością wyjąć z jego dłoni. – To jak, pyszczku? Jak ci na imię i gdzie kładziemy?

– Maja. – Zaśmiała się. Wzięła banknot i położyła go na karcie po lewej.

Już miał odpowiedzieć, ale wtedy przecisnął się Łysy i położył dziesiątkę na środkowej.

– Ej, kolego, teraz nie obstawiamy. – Hirek się skrzywił. – Teraz grałem z koleżanką Mają. Chcesz? To dawaj w następnej turze.

– Ej, ale dlaczego nie? – oburzyła się Kareczka. – Nic nie jest odsłonięte, wcześniej było można.

Pozostali podjęli temat, więc Hirek w końcu sapnął gniewnie i potarł pięścią nos, posyłając Łysemu nienawistne spojrzenie.

– Dobra, niech będzie – mruknął w końcu.

Odwrócił najpierw kartę Mai – czarny jopek, a następnie Łysego – czerwona dama.

Ktoś zaklaskał, Łysy uśmiechnął się tryumfalnie, a Hirek przełknął ślinę i spróbował zrobić dobrą minę do złej gry.

– Dobra, stary – powiedział, podając mu banknot dwudziestozłotowy, którym obstawiała dziewczyna. – To ci się udało. Ale może dasz mi się odegrać?

Godzinę później, gdy już rozliczony z ekipą Hirek siedział na murku pod Pałacem Kultury, podszedł do niego wysoki mężczyzna o płaskim nosie. Chwilę górował nad oszustem, kryjąc go w swoim cieniu, po czym usiadł obok, spuścił nogi z murka i poczęstował Kunę papierosem.

– Co tam, Waldziocha? Gdzie masz Maurycego? – zapytał Hirek, wyławiając z paczki pogięte marlboro.

Płaskonosy również wyciągnął papierosa, po czym odpalił im obu tanią zapalniczką z przezroczystego plastiku.

– Montuje lokację – odparł, wypuszczając dym z pierwszego bucha. – Zatrudniamy, Kuna. Dużo ludzi, ale sam konkret. Stawka normalna, od dwóch do czterech dni.

Sięgnął do kieszeni i podał Hirkowi złożoną na cztery kartkę z zeszytu w kratkę wraz z zapalniczką.

– Tu są szczegóły. Spał potem.

– Się wie. – Kuna schował kartkę i zaciągnął się mocno. Dym przyjemnie śwędział w przetyku. – A wy, to znaczy wy, czy...

– Bosco.

Hirek uśmiechnął się i zatarł ręce.

– No to będzie zabawa – stwierdził. – A weź mi powiedz tak przy okazji, skoro już cię mam...

– Tak, nie żyje. – Waldek strzepnął popiół na bok. – To jego pożegnalny numer.

Kuna odwrócił się i z powagą spojrział na profil rozmówcy.

– No, kurwa, skoro tak, to mnie w chuj zaszczyca!

Waldek skinął głową. Wstał, otrzepał lewą ręką tyłek i wypuścił kolejny kłęb dymu.

– Powinno, Kuna. Powinno.

Ekipy Gregga nie trzeba było pilnować. Zamówiona strona firmy Marcina wyglądała elegancko i w wersji mobilnej, i komputerowej, zdjęcia i filmy z imprez pojawiały się w serwisach i szybko generowały wysoką oglądalność. Wąsko stargetowane reklamy w social mediach bombardowały cele skutecznie i natarczywie, a fotoszopowane zdjęcia wrzucone na Instagram Tadeusza Zawady nie miały prawa wzbudzić żadnych podejrzeń. Kalifornijskie plaże, spotkanie z gwiazdami filmowymi i przyjacielskie fotki z drinkami w rękach. Nie za dużo, by nie zrobić z Marcina bufona, ale dość, by uwiarygodnić budowaną legendę.

Tak, ekipa Gregga, choć droga, to jednak warta każdej wydanej na nią złotówki, pracowała jak zawsze bez zarzutu. Mimo to Bartek zamiast ograniczyć się do kontrolnego telefonu z pytaniem o postęp prac, wsiadł w autobus na Stare Bielany, by odwiedzić ich w mieszkaniu na Przybyszewskiego.

Pracowali we czterech, każdy w osobnym pomieszczeniu przestrzennego mieszkania na pierwszym piętrze. Drzwi otworzył Dżołek, chłopięcej budowy mężczyzna o wyjątkowo starej i umęczonej twarzy. Jego ksywka wywodziła się ponoć od Jokera, którym bardzo chciał zostać. Jednak Gregg, bezlitosny dla podobnych prób autokreacji, stwierdził, że bardziej pasuje do chłopaka Dżołek. I tak się przyjęło. Bartek nie wiedział, czym on się zajmuje w ekipie.

– Gregga nie ma – powiedział Dżołek – ale kazał ci powiedzieć, że ograliśmy zamówienie na dwóch z trzech. Jest już od kilku dni, Świstak obrabia. Burna?

– Nie, dzięki. A kogo się nie dało?

Dżołek spojrział na Bartka jak na idiotę.

– No Pacino oczywiście – odparł. – Za wysokie progi. Z Bernthalem poszło łatwo, bo mieliście farta z terminem: gdyby nie trwający właśnie

Comic Con w San Diego, mogłoby nie zadziałać. A tak posłaliśmy tam takich dwóch, co zawsze z Polski latają. Jeden wywiady robi, to się zgodził, bo ponoć mocno się typem jara. Zamiast kwadransa na roundtable dostał godzinę rozmowy z opcją video i zrobił, co trzeba. Z Garcia też się udało, tyle że tniemy z pogaduch na Skypie, więc nieco gorzej. Ale będzie pan zadowolony.

– Jak zawsze. – Bartek zanurzył dłoń w stojącej nieopodal misce z orzeszkami. – A kiedy jedziecie na Służewiec?

– Na Służe... – Dżołek potrzebował chwili, zaraz jednak klepnął się w czoło. – Aaa, chodzi ci o tego Gajewskiego? Proszę cię, to już dawno załatwione. Chodź, zobaczysz.

Podprowadził go pod zamknięte drzwi dużego pokoju, zapukał cicho w szybę i wszedł do środka. Bartka od razu uderzył panujący w pomieszczeniu zaduch – woń potu, gnijących cytrusów, topionego plastiku i marihuany. W kącie, za trzema wielkimi ekranami siedział dobrze zbudowany, rozebrany do pasa chłopak z wielkimi słuchawkami na uszach. Śniady, ciemnooki, przypominał trochę Hindusa, dlatego nazywali go najpierw Gandi, co później ewoluowało w Gandzi i nawet bardziej pasowało. Na piersi, tuż nad sercem miał wizerunek komiksowego Wolverine'a, próbującego długimi, metalowymi pazurami wydostać się spod rozcięć w skórze.

– Gandzi, weź no pokaż Bartkowi sekskamerki ze Służewca.

Śniady chłopak zsunął słuchawki z uszu.

– Co?

– Gajewskiego chatę pokaż.

Gandzi uderzył kilka razy w klawiaturę i pochyliwszy się, obrócił w ich stronę jeden z monitorów. Na ekranie podzielonym na sześć pól, niczym na monitoringu w biurze ochrony, pokazały się kuchnia, przedpokój, łazienka, salon, pracownia i sypialnia. Większość z tych pomieszczeń Bartek już widział, bo był tam na początku ubiegłego tygodnia, podając się za kuriera DHL, i miał już skompletowaną dokumentację fotograficzną, jednak sypialnię czy pracownię zobaczył teraz po raz pierwszy. W tej ostatniej każde

wolne miejsce zajmowała imponująca kolekcja ekskluzywnych wydań DVD i Blue-ray zarówno klasyki kina, jak i popularnych nowości. Przypominało to trochę sytuację Fiołka z książkami, tyle że u Gajewskiego panował nieskazitelny wręcz porządek.

– Jak weszliście?

Gandzi wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby, pokazując w całej okazałości założony na nie aparat.

– Jak BTK – odparł.

Bartek zmarszczył czoło.

– Mam pytać?

– Jeśli chcesz usłyszeć jakieś chore gówna o amerykańskich psychopatach, to pytaj, ale ja nie radzę – stwierdził Dzołek, czym wyraźnie sprawił Gandziemmu zawód. – Weszliśmy, podając się za speców od alarmu. Facet ma system od SejfHouse’a, a ich zabezpieczenia to żart. Dość powiedzieć, że wszystkie hasła dostępu do bazy dostaliśmy od ich kierownika, który zainstalował sobie naszą apkę przerabiającą zdjęcia na karykatury.

Bartek pokręcił głową z dezaprobatą. Czasem to było zwyczajnie zbyt proste.

– Kamery w żarówkach, tak? Nie zorientuje się?

– Nie, póki świecą.

– A czy... – Bartek chciał jeszcze o coś zapytać, gdy w kieszeni zawibrował mu telefon. Wyjął go i przeczytał wiadomość na ekranie.

O której będziesz?

Westchnął.

– Dobra – powiedział, celując komórką w Dzołka. – Będę się zwiżał. Możecie mi zainstalować apkę do podglądu w telefonie?

– Jasne. – Dzołek wziął aparat. – Darmowego Netfliksa też chcesz?

– Nie, dzięki.

– Okej. – Chłopak wyszedł z pokoju, ale zaraz wrócił. – A to drugie mieszkanie też ci podpiąć?

– Drugie? – zdziwił się Bartek.

– No to na Ursynowie. Gandzi, pokaż mu.

Gandzi uderzył kilka razy w klawisze i na ekranie pojawiło się... wewnątrz mieszkania Mikołaja. Tu ekrany były trzy: łazienka, salon i kuchnia. W tej ostatniej dziewczyna Otysia, Kaśka, rozmawiała właśnie z Anką.

– To ta sama sprawa jest, nie? – zapytał Dzołek, nieco zmieszany. – Bo trochę już się pogubiliśmy.

– Tak, ta sama – uspokoił go Bartek. – Nie wiedziałem po prostu, że to już w grze.

– Trzy dni temu zainstalowała. Raz-dwa, bardzo sprawna robota – pochwalił.

Bartek patrzył przez chwilę na Ankę, na to, z jaką swobodą rozmawia z Kaśką, jak kładzie jej rękę na ramieniu.

– Też podepnij. A kwity za te kamerki...

– Wszystko zgodnie z umową – odparł Dzołek. – Możesz przekazać wielkiemu Be, że Yellow Brick Road wiedzie prosto do pałacu Oza.

Tylko on się roześmiał, ale najwyraźniej zupełnie mu to nie przeszkadzało. Znowu wyszedł i po chwili wrócił, oddając Bartkowi telefon.

– Pin do apki to nieparzyste od najwyższej. Podpiąłem ci też zarejestrowany odcisk palca – powiedział.

– Dzięki. – Bartek podał mu rękę, skinieniem pozdrowił Gandziego i wyszedł na korytarz. Dopiero tam, na półpiętrze włączył aplikację i wrzucił na cały ekran kamerę z kuchni na Ursynowie. Kaśka gdzieś wyszła, a Anka pisała akurat wiadomość. Szybko, nerwowo, więc pewnie do Grześka. Bartek poczuł, jak ściska go w dołku.

Wyszedł z aplikacji, przeszedł do wiadomości i wątku rozmowy z Martą. Jeszcze raz przeczytał wiadomość:

O której będziesz?

Późno, odpisał.

A następnie sprawdził repertuar kina w Arkadii.

*

Kaśka stała pod prysznicem, oparta o ścianę, i z prawdziwą ulgą poddawała się strumieniowi gorącej wody spływającemu z prysznicowego sita.

Nie umiała powiedzieć, kiedy poprzednio miała równie intensywny czas, jak przez ostatnie dwa tygodnie. Wiktor rzucił ich z tym programem na głębokie wody, wygrzebał skądś ekstra fundusze i kazał łowić szeroko, po kilka tematów naraz. Nagle z jednej sprawy zrobiło się dziewięć tylko na jej głowie, a ona nieustannie rozmawiała z kimś przez telefon – a to z researcherami dostarczającymi nowe informacje, a to ze scenarzystami ubierającymi policyjne i sąsiedzkie teorie w zgrabne, niewydumane scenariusze rekonstrukcji, wreszcie z urzędami, posterunkami i każdym, od kogo potrzebowała zgody na zdjęcia.

Dość szybko okazało się, że asystent bądź asystentka, którą Wiktor planował dla Kaśki „jakoś w najbliższym czasie, jak się ustabilizuje”, była potrzebna na już. A najlepiej na wczoraj.

Wystawili ogłoszenie i Kaśka do listy obowiązków musiała jeszcze dołożyć zapoznanie się z CV i rozmowy z kandydatami. Na szczęście to jedno od razu się wyjaśniło. Justyna, dwa lata od niej starsza brunetka, okazała się idealnym połączeniem czytanej, inteligentnej dziennikarki po dwóch kierunkach studiów z rockandrollową babką, zdolną na koncercie ulubionej kapeli bez skrępowania pokazać wokaliście cycki.

Już od pierwszej chwili Kaśka czuła od niej pozytywne wibracje. Nie tylko dlatego, że dzieliły wiele zainteresowań i zdawały się doskonale rozumieć. Przede wszystkim Justyna nie próbowała się przypodobać, odpowiadała szczerze, nawet wtedy gdy poruszała niewygodne kwestie.

– Tak, mam córkę, ale nie jestem specjalnie dobrą matką – odpowiedziała na przykład na pytanie o rodzinę. – Właściwie to na przekór modzie zdecydowaliśmy, że to mój Tomek zostanie z małą, a ja zajmę się tym, co umiem najlepiej.

– Czyli?

– Niebyciem w domu.

Rozmowa kwalifikacyjna trwała godzinę, potem poszły jeszcze razem na kawę i zeszło na luźniejsze tematy. Dwa dni później Justyna zaczęła pracę jako jej asystentka, sprawnie zdejmując z niej kolejne obowiązki i podsuwając coraz to nowe pomysły.

Szybko zaczęła też szukać nowych tematów, odzywając się do znajomych Bóg wie skąd. To dzięki niej Kaśka usłyszała po raz pierwszy o lesie wisielców na Podbeskidziu, w którym rzekomo powiesiło się trzydzieści siedem osób w ciągu niespełna sześciu lat. Wiktor zachwycił się tematem, a co ważniejsze, Justyna, choć ambitna, ani razu nie wyrwała się przed szereg. Robiły razem i tylko razem. To Kaśka była szefem.

Właściwie doskwierało jej teraz jedynie zaniedbywanie Mikołaja. Widywali się już nawet nie tyle rano i wieczorem, co sporadycznie, bo albo musiała wyjść wcześniej, albo siedzieć do naprawdę późna. Przez ostatnie dni tylko raz mieli okazję zjeść wspólnie śniadanie.

On oczywiście mówił, że wszystko jest w porządku, że to dobrze, że tak świetnie sobie radzi i odnalazła się w temacie mimo obaw. Widziała jednak, że jest spięty, że się martwi.

– Chodzi o ten spadek, tak? – zapytała w końcu. – Bo wiesz, Mikołaj, jeśli masz wątpliwości, poradzimy sobie. Naprawdę...

Ale on powtarzał, że wszystko jest w porządku, tylko musi ułożyć parę rzeczy. Mówiła więc sobie, że właśnie na to mu pozwala, na ułożenie spraw. W rzeczywistości kłuło ją, że nie jest dla niego wsparciem.

To Justyna też najwyraźniej rozumiała. Nie, nie zaczęły rozmawiać na ten temat wprost – ta rozmowa ulepiła się sama ze strzępków urwanych myśli, zasłyszanych fragmentów rozmów telefonicznych, z min, westchnień.

– Czasem myślę, że straszna ze mnie suka, bo jestem tu, a nie z dzieckiem, wiesz? – rzuciła pewnego razu Justyna. – I nie chodzi nawet o to całe pieprzenie o zaprogramowaniu płciowych ról. Chodzi o nieustanny lęk, że nawet jeśli słuchasz swojego serca, które podpowiada ci, za czym iść, i tak tracisz gdzie indziej coś naprawdę ważnego.

To właśnie czuła teraz Kaśka. Tak zaczęły rozmawiać. A potem w drodze

na Śląsk na spotkanie z ekspertem Justyna opowiedziała, jak prawie dokonała aborcji.

– Pewnego dnia po prostu poszłam do znajomej z takiej fundacji i zapisałam się na busa na Słowację. Jechałam tam pewna, że chcę to zrobić. I wtedy Grzesiek napisał do mnie: „Gdzie jesteś?”. Spanikowałam. Poprosiłam, żeby mnie wypuścili, teraz, zaraz, natychmiast... Ale do końca nie wiedziałam, co zrobić.

– Przepraszam, że zapytam, ale Grzesiek? Nie Tomek?

Justyna spojrzała wtedy na nią z takim przestraczem, jakby właśnie zdradziła największy ze swoich sekretów. Zaraz potem zwiesiła głowę, odetchnęła głęboko i wyznała:

– Mój Tomek nie jest ojcem Oli.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, tak bardzo domagała się wypełnienia, a okazane zaufanie odzwajemnienia, że Kaśka nie wytrzymała i opowiedziała o wydarzeniach ostatnich tygodni. O podejrzaniach wobec Mikołaja, o wizycie tej pielęgniarki i o tym, jak mimo wszystko z perspektywy minionych dni uważa Kingę Wilk za anioła.

– Nie wiem, czy przyznałby się do problemów, gdyby nie tamto spotkanie – powiedziała, by po namyśle dodać: – Ani czy umiałabym go o to zapytać, czy znalazłabym sposób. A wtedy to wszystko narosłoby tak, że w pewnym momencie byłoby już nie do odwrócenia.

Właśnie wtedy, ledwie pięć dni temu, wbrew wszelkiemu rozsądkowi Kaśka stwierdziła, że chyba ma przyjaciółkę. Czasem to podobno jest takie proste.

Jej rozmyślenia przerwało nagłe pukanie do drzwi łazienki.

– Muszę się zbierać! – zawołała Justyna. – Siostra Tomka ma być dzisiaj, będzie u mnie spała.

– Poczekaj moment! – krzyknęła w odpowiedzi Kaśka. Zakręciła wodę i szybko wyszła spod prysznic. Złapała za szlafrok Mikołaja i nie kłopotząc się wycieraniem, narzuciła na siebie. Gdy wyszła z łazienki, Justyna stała już przy drzwiach. Podniosła gruby skoroszyt.

– Dokończę wieczorem, będzie na jutro – powiedziała.

– Spokojnie, to nie jest takie pilne – odparła Kaśka. – Skoro masz dzisiaj gościa...

– Zdecydowanie nie znasz rodziny mojego męża. Trzymaj się i pozdrów swojego chłopca. Cześć.

– Cześć.

Kaśka stała jeszcze chwilę w przejściu, czując przyjemny chłodny powiew na ociekających wodą nogach. Potem podeszła do drzwi, zamknęła je na klucz i wróciła do łazienki.

Dwie godziny później wrócił Mikołaj i spędzili razem bardzo miły wieczór.

*

Do Wólki Radzymińskiej tłukł się co prawda dobrą godzinę, ale było warto, bo cynk się sprawdził.

Maurycy zjechał z głównej drogi na wysypany żwirem dojazd do posesji, zaparkował przed słupem, na którym już zamocowano tandetną figurkę lwa, choć nie osadzono jeszcze skrzydła bramy. Wysiadł i wszedł na podwórze.

Niemal natychmiast zza przeszklonych drzwi tarasu rezydencji wyłonił się czterdziestokilkuletni, brzuchaty wąsacz w pobrudzonych farbą ogrodniczkach. Kudłaty jeszcze bardziej niż Maurycy – co dało się zauważyć od razu, bo nie miał na sobie koszuli – przypominał borowego dziada albo diabła ze starego teatru telewizji.

– Pan do kogo? – warknął już na wstępie, jakby w ten sposób chciał dać szansę Maurycemu na zmianę zdania.

Ten jednak tylko pomasaował się po karku, skubnął koniuszek nosa i uśmiechnął się szeroko.

– Pan jesteś Koźlak? – zapytał.

– Koźlicz – poprawił wąsacz. – A pan to kto?

– Ja w sprawie hal. – Maurycy podniósł rękę i pokazał na dwie stojące

nieopodal nowoczesne hale magazynowe. – Czarnecki miał dzwonić mnie zapowiedzieć.

– Aaa, to pan jesteś ten filmowiec. – Pochmurna do tej pory twarz Koźlicza rozjaśniła się w uśmiechu. – No to powiem panu, nie wyglądasz. Ale tak, dzwonił, dzwonił, mówił, że pan zobaczyć chcesz. Tylko ja nie wiem, bo rozumiesz pan, to by z właścicielami trzeba, a oni teraz...

Maurycy pokręcił głową z rozbawieniem i sięgnął do tylnej kieszeni spodni, skąd wyjął kopertę.

– Panie Koźlicz – powiedział, wachlując się nią tak, by wąsacz zobaczył, co jest w środku. – I pan wie, i ja wiem, że jakby gospodarze zdawali sobie sprawę, że pan im tutaj w kanapę pierdzisz, by przed żoną się schować, to by szczęśliwi nie byli. A ja tu szybko, z interesem jak do biznesmana. Zresztą Czarnecki dzwonił, to mówił.

– Ano mówił. – Koźlicz podrapał się po czubku głowy, wyraźnie niezadowolony, że nie wyszedł mu wybieg pod targowanie. – No dobra, panie...

– Wieńczysławie.

– Tak się pan nazywa? – zdziwił się Koźlicz.

– Nie, ale to ładne imię, prawda? Dobrze, chodźmy. Pan mi da parametry tych hal przy okazji, bo będę musiał ludziom podesłać.

Podszedł i podał wąsaczowi kopertę, a ten szybko wyjął i przeliczył zawartość.

– Tylko faktycznie tydzień i was nie ma? Nie będzie przedłużania? – upewnił się.

Maurycy udał, że się rozgląda. Spojrzał na drogę i rosnące wzdłuż niej drzewa, na pola i dachy domów w oddali. Wreszcie splunął na żwir.

– Aż tak pięknie to tu nie jest, by siedzieć dłużej, panie Koźlicz – stwierdził.

Wąsacz zarechotał.

Niewidzialna piłka latała między nimi już trzecią minutę i tym razem zawierała chyba jedenaście słów. Mikołaj próbował je sobie przypomnieć.

Kwiat, konsola, puszka, nienawiść, rechot, przysiad, reklamówka... Co było dalej? Aaa, tak, łyżka, słowik, puzderko, Gwatemala.

Powtarzał je jak mantrę, jednocześnie łapiąc i odrzucając coraz większą, coraz bardziej nadmuchaną słowami nicość pozostałym ludziom w kręgu. Karwasz natomiast krążył za nimi niczym mroczna wersja liska z przedszkolnej zabawy i tylko raz po raz wymawiał: „Słowo”. A wtedy ten, kto akurat trzymał w dłoniach niewidzialną piłkę, nachylał się nad nią, wdmuchiwał pierwszy rzeczownik, jaki przychodził mu do głowy, a następnie rozsuwał nieco ręce, by dać znać, że piłka zwiększyła objętość, i odrzucał ją komuś innemu. Chyba wszyscy już czekali, aż wreszcie ta piłka komuś pęknie.

Dwie tury temu pękła Mikołajowi, składała się wtedy raptem z pięciu słów. Karwasz krzyknął nagle: „Bang!”, wszyscy usiedli, a Mikołaj musiał udąć wybuch, zdejmowanie z siebie wyrazów i wejście na niewidzialną mównicę. Stamtąd wygłaszał przemówienie w dowolnym tonie, ale na podstawie słów z piłki. Było ciężko, jednak dał radę. Teraz, z jedenastoma, pewnie by już nie dał.

Kwiat, konsola, puszka, nienawiść, rechot.

Piłka poleciała do niego. Złapał i błyskawicznie odrzucił.

Przysiad, reklamówka, łyżka, słowik.

BANG!

Niemal wszyscy usiedli płasko na podłodze. Na nogach zostali tylko Karwasz i Zygmunt, wyglądający teraz jak zmoknięta kura.

– Dziękuję – powiedział, odklejając z siebie niewidzialne ochłapy. Kiedy

zdjął jeden z lewego ramienia, przyjrzał mu się uważniej. – Nienawiść... Nie spodziewałem się, że jest taka tłusta.

Uroczą blondyneczką, która nie pojawiła się na ostatnich zajęciach, zachichotała, ale zaraz spoważniała, spiorunowana spojrzeniem Karwasza. Zygmunt tymczasem wyszedł na środek, odkręcił sobie butelkę wody ze stoliczka równie widmowego jak mównica, oparł dłonie na blacie i przemówił:

– Jakież by to było proste, przyjaciele. Konsola do odpalania naszej nienawiści tylko w czasie wolnym. – Zwracał się do nich miłym, spokojnym głosem, trochę jakby deklamował poezję romantyczną na wieczorku ze świecami. – Spóźnieni jak słowik, wracalibyśmy do domu wieczorną porą czy nawet nad ranem z reklamówką ziemi dla kwiatka, przysiad albo dwa, by nie zaniedbać kultury fizycznej, a potem puszka schłodzonego piwka, i już. Siedzimy z kontrolerem, a na ekranie wyzwolona z silnika konsoli nienawiść roznosi w pył Gwatemalę. Bo przecież, powiedzmy to sobie otwarcie, nikt z nas nigdy by tam nie pojechał, więc równie dobrze to miejsce mogłoby nie istnieć.

Skłonił się lekko, a wtedy wszyscy zebrani zaczęli klaskać.

– Zgubiłeś puzderko! – zauważył Mikołaj.

Zygmunt zrobił zdziwioną minę.

– Puzderko? A, tutaj leży, tak, faktycznie. Ślicznie dziękuję. – Udał, że schyla się po zgubę, podniósł ją i położył na mównicy. Puścił do Mikołaja oko i dopiero wtedy zwrócił się w stronę Karwasza. – Teraz skończyłem.

*

– Mam nadzieję, że nie masz mi za złe – powiedział pięć minut później, gdy wszyscy szykowali się do wyjścia. – Widziałem kiedyś podobny numer w wykonaniu Robina Williamsa i bardzo chciałem przetestować.

Mikołaj pokręcił głową.

– Coś ty, stary. To było naprawdę świetne – odparł. – W ogóle jesteś dobry. Chodziłeś kiedyś do szkoły teatralnej?

Gajewski zawahał się, najwyraźniej szukał wzrokiem Karwasza.

– Nie uważam, żeby polskie szkoły teatralne wychowywały dobrych aktorów – wyjaśnił cicho. – Wolę sobie wybierać rzeczy. Jak tutaj.

– Może to jest metoda? – Mikołaj udał, że się zastanawia, po czym potrząsnął głową. – To co, piwo?

– Czemu nie? – zgodził się Zygmunt.

Wyszli przed teatr, gdzie Mikołaj szybko napisał do Kaśki, żeby się nie martwiła, bo będzie późno, a potem rozmawiali kilka minut, czekając na taksówkę. Gdy ta podjechała, Zygmunt jako destynację podał Nowy Świat. Tak po prostu, bez wspólnego ustalania i zastanawiania się, który lokal będzie najlepszy. Mikołajowi z jednej strony to odpowiadało, z drugiej z rozbawieniem uznał, że tak pewnie czuje się dziewczyna na randce z prawdziwym macho. Podzielił się tą myślą z Gajewskim, co mocno go rozśmieszyło.

– Faktycznie trochę się rządę – przyznał. – Ale uznałem, że skoro i tak każde wyjście na piwo w tym mieście kończy się w Pawilonach, to dlaczego właściwie od nich nie zacząć?

Usiedli w Klapsie. Akurat znaleźli miejsce przy małym okrągłym stoliku tuż pod oknem, przy ścianie z gipsowych cycków. Obok, na kanapie rozsiadła się grupka na oko dwudziestoletnich miłośników metalu. Mikołaj złapał się na tym, że nie identyfikuje połowy ich naszywek.

Zamówili dwa piwa pszeniczne w butelkach, a potem szybko zeszło na Karwasza i jego zajęcia.

– Wywaliło mi je najpierw na fejsie. Pomyślałem, że to takie, wiesz, master class na video, jak ze Scorsese czy coś. Niby spoko, ale...

– Ale jak się nauczyć improwizacji z video!

– O! – Gajewski wycelował w Mikołaja palcem. – Właśnie to. A potem trafiłem gdzieś na ogłoszenie... A, wiem, u nas w domu kultury. Nawet się zdziwiłem, że dali do gabloty, przecież konkurencja. Z mojej grupy jednak tylko ja przyszedłem, dla reszty za drogo było.

– No fakt, tanio nie jest – zgodził się Mikołaj, uświadamiając sobie właśnie, że nie zna kosztu zajęć. – Ale wiesz, jest fajnie, myślę że warto.

Zygmunt skrzywił się i zakołysał wyciągniętą przed siebie dłonią.

– Na razie nie robi nic, czego bym nie znał – stwierdził. – Znaczy, wiesz, to nadal Karwasz. On czy choćby Gajos to jak dla mnie mogliby uczyć wierszyków na szkolne akademie, a i tak byłoby warto... Łapiesz, nie?

– Chyba łapię.

– No nic, mam nadzieję, że jeszcze się rozwinie. – Upił solidny łyk piwa i przetaił usta przedramieniem. – A ty? Jak trafiłeś na zajęcia?

– Właściwie trochę przypadkiem – odparł Mikołaj, ciesząc się teraz, że zawczasu przygotował sobie odpowiedź na to pytanie. – Miałem jakieś nerwobóle, więc poszedłem do lekarza i okazało się, że to stres. Moja jest na psychologii, więc wymyśliła sobie, że siądziemy i wymyślimy, co takiego chciałem kiedyś robić, ale z czego zrezygnowałem w imię dorosłego życia. Nic nie przychodziło mi do głowy oprócz kółka teatralnego, to rzuciłem, ona wyszukała, zafundowała w prezencie i jestem.

– Niezły prezent – zauważył Zygmunt i upił kolejny duży łyk. – Choć ja bym w takiej sytuacji pewnie poszedł w seks.

– Ja z niego nie zrezygnowałem w imię dorosłego życia – odparł Mikołaj.
– To był jedyny powód, dla którego w ogóle w całą tę dorosłość poszedłem.

Roześmiali się obaj, a potem Zygmunt zamówił drugą rundę. Przy czwartej, gdy akurat rozmawiali o filmach Eastwooda, piwo zastąpili wódką.

– Widzisz, a ja się nie zgodzę z tym *Million dollar baby*. – Wstawiony Zygmunt wyraźnie zwolnił i starał się, z coraz mniejszym powodzeniem, artykułować słowa. – Bo jasne, że to taki prymitywny, prostaczkowy moralitet, ale kurwa, to jest Clint pieprzony Eastwood. On nigdy nie mówił nic skomplikowanego. A tutaj, zauważ, on mówi, że eutanazja... że czasem można. Republikanin. To tak jakby u nas, u nas... A chuj, u nas nie ma takich na prawo, co by umieli. Idę po wódkę.

Wstał, złapał pion i skierował się do baru. Mikołaj też się podniósł, by iść do łazienki, gdy nagle ktoś cicho zastukał w szybę. Za oknem stał Bartek i dał mu głową znak, żeby wyszedł.

Mikołaj pokazał kciuk, podszedł do Zygmunta i klepnął go w ramię.

– Zaraz wracam, muszę się przewietrzyć.

– Jasne, tylko nie zniknij.

– Nie zniknę, spokojnie.

Bartek stał przy pobliskiej budzie z żarciem i zamawiał belgijskie frytki.

– Ostatnia kolejka – powiedział Mikołajowi, gdy ten się zbliżył. – Dopij, umówcie się na jutro na lunch i się zwijaj. Zawiozę cię do domu.

Mikołaj przyłożył dłoń do ust i już zamierzał zaprotestować, gdy nagle zrobiło mu się niedobrze, i uznał, że to w sumie niegłupi pomysł.

– Dobra – mruknął i beknął cicho. – A ten lunch to gdzieś konkretnie?

– Gdzie lubisz – odparł Bartek. Sprzedawca za kontuarem podał mu cenę, a on położył na tacce odliczoną kwotę. – Pamiętaj, że ty będziesz stawiał, skoro on płaci przez cały wieczór.

Sięgnął do kieszeni i podał Mikołajowi małą kartkę.

– Tu masz hasło i login do poczty, bo później zapomnę. Wejdz tam rano, znajdziesz wiadomość. Tylko później się wyloguj. A teraz idź, czekam na parkingu od palmy.

Wziął ze stojaka frytki i zniknął między pawilonami.

Mikołaj odprowadził go wzrokiem, po czym czknął, uderzył się w pierś i wrócił do Klapsa na ostatnią kolejkę.

*

Skowroński siedział okrakiem na odwróconym krześle, z rękami na oparciu. Patrzył, nie odzywając się ani słowem.

Naprzeciwko niego wychudzony dziewiętnastolatek w zniszczonym tiszercie z symbolem Legii ścisnął w dłoniach brązową szklanę z grubego, nietłukącego się szkła i popijał z niej herbatę. To podejmował pojedynek wzrokowy z policjantem, to znowu odwracał głowę, udając, że interesują go linie lamperii, włącznik światła, wzory na wykładzinie. Ostatnim razem, zanim się odezwał, minęło dwadzieścia minut. Teraz pękł po niecałych dziesięciu.

– Ja naprawdę nic nie zrobiłem – zapewnił ponownie. Głos mu się załamał

na słowie „nie”, ale pozostałe zabrzmiały prawie groźnie, jakby usiłował udawać kogoś innego. – Znalazłem się tam przypadkiem, wszedłem, zobaczyłem, co się stało, i wyszedłem.

– Ślady w kuchni – podpowiedział spokojnie Skowroński. Wcześniej o tym nie wspominał i teraz patrzył, jak chłopak nagle się spina, blednie, by zaraz zmusić umysł do błyskawicznego działania, uzupełnienia historii, załatwienia luki.

– Ja... ja, pamiętam, szukałem tam papierowych ręczników. Chciałem zatamować krew. Jezu, wszędzie było tyle krwi! – Reakcje miał niby prawidłowe, tylko opóźnione o sekundę czy dwie. To przypominało oglądanie filmu z rozjechanym dźwiękiem, najpierw słowo, potem pasujący do niego ruch.

– Znalazłeś? – zapytał Skowroński.

Chłopak łypnął na niego zaskoczony.

– Co?

– A czego szukałeś?

– Aaa, że ręczniki. Nie, nie znalazłem.

Skowron pokiwał głową, jakby dokładnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– A gdzie szukałeś? Znaczący w tej kuchni.

Nie odpowiedział od razu. Patrzył na podkomisarza kilka sekund, mrugając raz po raz.

– No tam, gdzie się szuka – odparł.

– Nie wiem, gdzie się szuka. – Skowroński wzruszył ramionami z tą samą, poważną miną. – W szafce pod zlewem, na oknie, w szufladach...

Błysk w oku chłopaka i lekkie drgnięcie kącika ust mówiło wyraźnie, że wyczuł pułapkę.

– Na pewno nie w szufladach i pod zlewem – wyjaśnił, a zaraz potem dodał już pewniej: – Wszedłem i po prostu się rozejrzałem, czy gdzieś nie leżą. Mogłem dotknąć jakiejś szafki, ale to przypadkiem. Aaa, jeszcze wymyłem ręce z krwi. To w panice.

– Aha.

Tym razem to Skowron nie odzywał się przez kilka sekund.

– A co ci nie pasowało w ścierkach leżących w stosie dokładnie na wprost wejścia, obok umywalki? – zapytał. – Nie zatamowałybyś nimi krwi?

Niemal dało się dostrzec tryby maszyny pracującej w czaszce dzieciaka. Czy były tam jakieś ścierki, czy mógł ich nie zauważyć, nie zwrócić uwagi?

Skowroński pozwolił mu się podgotować, po czym zmienił temat.

– Wróćmy do tego. Teraz powtórz wszystko od chwili, gdy zadzwoniłeś do Dagmary.

Chłopak wyraźnie odetchnął i ponownie zabrał się do opowiadania historii o dziwnej rozmowie, przeczuciu i o tym, że jego przyjaciółka, a jeszcze nie tak dawno temu dziewczyna, bardzo się bała. Zaniepokojony, postanowił przyjechać. Jak się okazało, słusznie, choć za późno.

Skowroński wysłuchał tego cierpliwie. Gdy chłopak skończył mówić, policjant wstał i nalał sobie herbaty z termosu.

– Chcesz jeszcze? – zapytał.

– Nie, dziękuję.

W kieszeni Skowrońskiego zawibrował telefon, informując o przyjęciu esemesa, ale podkomisarz zlekceważył go. Rozdarł torebkę cukru, wsypał do szklanki i zamieszał palcem, który następnie oblizał. Wrócił na swoje miejsce.

– Oglądasz seriale, Konrad? – zapytał.

Znowu ta pełna zaskoczenia mina. Co to ma, kurwa, do rzeczy?

– Czasem tak.

– Lubiliście jakieś oglądać razem z Dagmarą?

– Pewnie tak. Nie wiem, nie pamiętam.

Skowroński pokiwał głową.

– Bo widzisz, Dagmara i jej nowy chłopak, Witek, bardzo lubili oglądać wspólnie Brooklyn 9-9. To taki serial o policjantach, komediowy...

– Znam to – warknął odruchowo chłopak. Zaraz spróbował zamaskować to

kaszlem, jednak było już za późno. Skowroński uśmiechnął się lekko, by mu to uświadomić.

– Wiem, że znasz, bo polubiłeś ich stronę na Facebooku, a kilka miesięcy temu oglądaliście go wspólnie z Dagmarą, o czym raczyłeś powiadomić świat stosownym wpisem.

Przerwał i upił herbaty, patrząc, jak chłopak szuka, próbuje przewidzieć pytania. Pozwolił mu na to. Chciał, żeby dzieciak poczuł się gotowy.

– Niedawno wyszedł nowy sezon – powiedział w końcu. – I nie zgadniesz, co się okazało. Otóż Witek też jest jego fanem!

– No i? – Konrad ledwo się opanował. Gniew mieszał się w nim ze strachem, a mózg pracował na najwyższych obrotach.

– No i oglądali razem! Akurat tego dnia. Akurat w czasie, kiedy niby zdjęta obawami Dagmara zadzwoniła do ciebie, mówiąc, że się boi. Był wtedy u niej aktualny chłopak, świetnie się bawili, a wszystko wskazuje na to, że robili też przerwy, bo w śmietniku znaleźliśmy świeżą gumę wypełnioną...

– I co ja mam do tego?! – Chłopak nie wytrzymał.

Skowroński dopił herbatę jednym łykiem, wstał i odstawił kubek na stół.

– Może nic – powiedział. – A może to przez wspólne konto na Netfliksie. Nie zabrałeś jej go, bo chciałeś być taki męski, rycerski. A na koncie widać ostatnio oglądane rzeczy. To wtedy zadzwoniłeś, prawda? Gdy się zorientowałeś, że ogląda. Chciałeś wiedzieć, czy sama, czy z nim. A gdy wyszło, że z nim, przyjechałeś, odczekałeś, aż pójdzie, a potem podszedłeś do drzwi.

Skowroński przerwał. Przysunął swoje krzesło bliżej Konrada. Kiedy usiadł, ich twarze dzieliła szerokość dłoni.

– Otworzyła ci, bo myślała, że to on, nie? – zapytał szeptem. – Zobaczyłeś to w jej twarzy i uderzyłeś tym, co miałeś w kieszeni. Pękiem kluczy. Uderzyłeś raz, a potem kolejny i kolejny. A gdy się opamiętałeś, zamknąłeś drzwi i poszedłeś umyć klucze w zlewie. Tak było, co? Tak to ostatecznie wyszło.

Chłopak nie odpowiedział.

– Musisz mi tylko wyjaśnić jedno – odezwał się Skowroński po długiej pauzie. – Kiedy tam szedłeś, nie myślałeś o tym, żeby ją zabić, prawda? Dopiero gdy zobaczyłeś jej minę pełną zawodu, nie?

Konrad wciągnął powietrze i bardzo wolno je wypuścił. Jego oczy się zaszklily, a z lewego wypłynęła groteskowo wielka łza. Spłynęła w dół policzka, znacząc tor wzdłuż bruzd i krost, aż zatrzymała się w kąciku ust.

– Nie chciałem jej zabić – powiedział w końcu. – Tak wyszło.

Pół godziny później Skowroński wyszedł z sali przesłuchań. Zapukał do Fogła, który akurat wisiał na telefonie.

– Pękł – powiedział bezgłośnie.

Fogiel pokazał mu uniesiony kciuk.

Skowroński zszedł na dół, wyszedł przed budynek i dopiero tam odczytał wiadomość.

Była od Baški.

Spotkamy się dzisiaj?

Zapalił i odpisał na spokojnie:

Jeszcze aktualne?

Tak. Sady za godzinę?

OK.

Nie musiał wracać na górę, wszystko czego potrzebował, miał przy sobie. Wsiadł w samochód i pojechał na Żoliborz, po drodze zatrzymując się na stacji Shell po dwie czarne kawy.

*

– Sympatyczny jest – powiedział nagle Mikołaj. Wcześniej wyglądało na to, że zasnął.

– Mówisz o Gajewskim? No, całkiem. – Bartek skręcił w Sikorskiego, zjechał z dojazdowego, a potem jeszcze raz zmienił pas, by śmignąć obok wlekącego się matiza. – Łapią cię wyrzuty sumienia?

– Nie, chyba nie. – Zastanowił się. – Nie, na pewno nie. Tyle że nie

wygląda na bogatego. Wiadomo, ile wygrał w tego totka?

– Pięć milionów. – Bartek nie pamiętał teraz prawdziwej kwoty. Ta wydawała się realna i dobrze brzmiała.

– Uuu, to dużo. – Mikołaj poprawił się na siedzeniu. Z trudem, bo alkohol w jego żyłach najwyraźniej doszedł już w pełni do głosu. – Słuchaj, a ty znałeś mojego ojca? Znaczy tego Górskiego. Znałeś?

– Nie znałem – odparł Bartek. – Odszedł, zanim przyszedłem.

Mikołaj zachichotał.

– To inaczej niż u mnie. Znaczy najpierw ja przyszedłem, a potem on poszedł. – Pociągnął nosem i pomacał się po kieszeniach spodni. – Masz chusteczkę?

– W schowku zobacz.

Zajrzał do środka, wyciągnął jedną z paczki i wysmarkał nos.

– Kutas – mruknął.

– Co takiego?

– Nie, o ojcu mówię, że tak zniknął – wyjaśnił pospiesznie Mikołaj. Jeszcze raz się wysmarkał i wcisnął chusteczkę do kieszeni. – Ale skoro był takim oszustem, to w sumie się nie dziwię. Trzeba być kutasem w tej robocie, co nie?

Bartek uśmiechnął się.

– Ty mi powiedz. Właśnie wkręcasz sympatycznego gościa w niezły szwindel.

– Ha, ha, naprawdę tak się jeszcze mówi? Szwindel? Kto tak w ogóle mówi? – zapytał. – Znaczy oprócz Karwasza... Ej, weź stań tu na stacji, odleję się.

Bartek posłusznie zjechał na stację BP, zatrzymał się pod samym budynkiem i poczekał w aucie.

Gdy wrócili na trasę, Mikołaj zapytał:

– Jak się zostaje oszustem? Tylko mi nie mów, że tak jak ja, bo u mnie to wyjątkowo. Jak ty zostałeś oszustem? Czy też, przepraszam, artystą

przekrętu.

Mówiąc te ostatnie słowa, zrobił palcami znak cudzysłowu.

Bartek uznał, że to nawet zabawne.

– Jeździłem na stopa – odpowiedział. – Dużo.

– Nie rozumiem.

– Studenci na Teatralnej mieli taką zabawę. Potem dowiedziałem się, że to pomysł Bosco: jeżdżenie na stopa i podawanie się za kogoś innego. Najpierw mogłeś wymyślić sam, ale potem, jeśli dalej chciałeś się w to bawić, robiłeś sobie taki specjalny worek i tam wrzucałeś wszystkie zawody, o jakich słyszałeś. Losowałeś i szedłeś na stopa jako lekarz, doktor matematyki, tancerz.

– Nawet gdy nie miałeś o tym pojęcia? – upewnił się Mikołaj.

– Wtedy było najzabawniej. Chociaż nie, najśmieszniej to było, kiedy ty wiedziałeś co nieco, a trafiałeś na kogoś z branży. To dopiero jazda. Szybie pierwszej wody!

– Zdarzyło ci się tak kiedyś?

Bartek zakołysał ręką, jakby chciał powiedzieć, że i tak, i nie.

– Tak mi się raz wydawało, jednak potem wyszło, że to Ma... Znaczący oszust taki, znajomy Bosco. Sprawdzał mnie.

– A Karwasza znasz ze studiów?

W jednej chwili Bartek spoważniał. Chrząknął w zamkniętą dłoń i zmienił pas, by puścić przodem pędzące za nim bmw.

– Coś nie tak? – zapytał Mikołaj. – Za dużo pytam?

– Trochę – przyznał Bartek, po czym zaraz dodał: – Wiesz, nie zrozum tego źle, ale nie zostaniemy kumplami. Szef chce cię w tej akcji, bo ma coś do powiedzenia tobie, sobie, twojemu ojcu...

– Rzekomemu – poprawił Mikołaj, jednak Bartek machnął ręką.

– Chodzi o to – kontynuował – że kończymy ten numer, bierzesz kasę i znikasz. Widzimy się wtedy ostatni raz, więc po co bawić się w przyjaźnie. Łapiesz?

– Łapię. I wiesz co?

– Co?

Mikołaj nachylił się, jakby następne słowa chciał powiedzieć Bartkowi na ucho.

– Myślę, że Karwasz mnie udupi – szepnął, a potem dodał już głośniej: – Znaczy nie wrobi ani nic, tylko znajdzie na mnie haka, gdyby mi się spodobało. Gdybym kiedyś miał się zrobić nieostrożny i pazerny. Dobrze myślę?

Bartek spojrzał na niego z rozbawieniem i delikatnie odepchnął Mikołaja od siebie, a ten, nie stawiając oporu, lekko uderzył głową w szybę.

– Po prostu nie rób się nieostrożny i pazerny – powiedział, wbijając kierunkowskaz i zjeżdżając w prawo na ślimaka na Puławską. – I postaraj się teraz nie zrzygać, dobra?

*

– Naprawdę? Wciąż to robimy? – Skowroński roześmiał się, gdy Karwasz gestem zaprosił go do partyjki ustawionych na kamiennym stole szachów. Wokół panował półmrok, ale amatorzy królewskiej gry, potrafiący siedzieć w Sadach do późnych godzin nocnych, jak zwykle stanęli na wysokości zadania i na okolicznych drzewach porozwieszali lampiony. Podkomisarz lubił takie oddolne inicjatywy. Branie spraw w swoje ręce i niezawracanie światu dupy swoimi małymi problemami, gdy nie trzeba.

Zanim usiadł, wyjął kubki z kawą z uchwytu i postawił na stole obok grawerowanej planszy.

– Ostatni raz graliśmy tutaj ze dwa lata temu – przypomniał Karwasz. – Trudno powiedzieć, żeby to było „wciąż”. Jak dzień?

– Trochę roboty. – Skowron przejechał dłonią nad rzędem białych figur stojących po jego stronie. – Właśnie rozwiązałem sprawę.

– Gratulacje. Trudna?

– Krwawa.

– To nie chcę wiedzieć. Zaczynaj.

Skowroński zaczął.

– Nie martwimy się spotkaniem na widoku? – zapytał.

Karwasz się zaśmiał.

– Spotkaniem starego aktora i gliniarza?

– Wiesz, o czym mówię.

– Wiem. I nie, nie popadajmy w paranoję.

– Ty tu jesteś szefem, Jasiu.

Karwasz uśmiechnął się lekko. Wykonał ruch, po czym podrapał się za uchem.

– Miałem taką dziwną sytuację, zanim to się zaczęło. Zanim ten dzieciak zadzwonił – powiedział po zastanowieniu. – Grałem *Zdarza się*, sam nie wiem który raz, i w finale nagle mnie poniosło. Zrobiłem zupełnie niepotrzebny gest, taki po nic – Konrad w Improwizacji, ręka wyrzucona do góry, jak w *Hamlecie*... No z czego się śmiejesz?

– Nieważne. – Skowroński wzruszył ramionami. – Po prostu dopiero co przesłuchiwałem takiego chłystka, właśnie Konrada. Mów dalej.

Karwasz rozejrzał się na boki, sprawdzając, czy ktoś nad nimi nie stoi, czy ktoś mu się nie przygląda. Ale nie, wokół tylko starsi ludzie siedzieli nad kamiennymi szachownicami i jakaś para wolno sunęła alejką. Ona trzymała jego, on prowadził rower, próbowali się niezdarnie tulić.

– Wiesz, jak to się skończyło z Houdinem? Mówiłem ci? – zapytał.

Skowron pokręcił głową.

– Zrobiliśmy numer, nie bardzo duży, za to całkiem ładny. Przemyślany jak to u niego, trafiony w punkt, z idealnym profilem gapa. Właściwie, żeby być uczciwym, to on wszystko zrobił, bo ja już wtedy grałem w serialu i nie za wiele mogłem. Wszędzie była moja gęba. Wyłożyłem jednak szmal na wyjście, by odpuścić przygrywki, pomogłem szykować materiały. Poszło gładko. Houdin po wszystkim się przyczał, a po miesiącu przyszedł do mnie na dzielenie kasy. Wziął swoją działkę, spakował bez liczenia, a potem powiedział, że jemu już wystarczy. Pomyślałem, że nie chce więcej pieniędzy, ale tydzień później dostałem kartkę z Chile. Aż do zeszłego miesiąca nie miałem od niego żadnych wieści.

– A rodzina, bliscy, przyjaciele? Powiedział komuś?

Karwasz znowu się roześmiał.

– Rodzina? Bliscy? Marek, ufałem mu jak nikomu, co nie znaczy, że aż tak się znaliśmy.

Na te słowa Skowroński również parsknął śmiechem.

– No tak, zapomniałem, jak popierdolony jest nasz mały świątek. Swoją drogą, Basiu, gdybyś pytał, wciąż jesteś jedyną kobietą mojego życia.

– Nie pytam. – Karwasz upił kawy. – Graj.

Skowron zastanowił się, po czym ruszył skoczkiem. Trzymał go jeszcze chwilę nad wybranym polem, po czym puścił i cofnął rękę.

– Co to był za numer? Ten ostatni w sensie?

– Bardzo ładny – odparł Karwasz. – Świetnie przemyślany, choć chyba rozegrany trochę przedwcześnie. Dwa, trzy lata później i można by z tego ugrać znacznie więcej.

– To znaczy? Myślałem, że znam wszystkie wasze akcje.

Aktor pokręcił głową, po czym znowu się rozejrzał.

– O tym ci chyba nie mówiłem. – Zawahał się, próbując sobie przypomnieć. – Nie, nie mówiłem. Stworzyliśmy pisarza. To znaczy Houdin stworzył, bo wymyślił, a Fiołek zrobił swoje. Typ z lat siedemdziesiątych, dobry przyjaciel Tyrmanda, pisał książki dla dzieci z myślą o Zachodzie. Kurwiarz, lekkoduch, zmarł w jakimś przytułku, ale nim do tego doszło, udało mu się sprzedać małej angielskiej oficynie trylogię książek inspirowanych trochę Korczakiem, a trochę Kleksem Brzechwy.

– Czekał. – Skowroński przerwał mu i złożył ręce w piramidkę. – Kiedy robiliście ten numer?

– W dwa tysiące pierwszym. A może drugim? Musiałbym sprawdzić. Dużo się wtedy działo, zresztą sam pamiętasz.

Policjant pokiwał głową, stukając nosem w złączone palce wskazujące.

– Dobra, to chyba wiem. Mała angielska oficyna została wchłonięta przez inne wydawnictwo, to przez kolejne, i tak książeczka kurwiarza zaginęła

w pomrokach dziejów.

Karwasz udał, że klaska.

– A skoro Korczak i Brzechwa – kontynuował Skowroński – to dziwnym trafem dotarliście do człowieka, który naprawdę stworzył Harry’ego Pottera, tak? Dobrze!

– Ano dobre – przyznał aktor. – Oczywiście nieświadomi rozpustnego przodka spadkobiercy zostali poinformowani, że proces może się ciągnąć latami i że na etapie zbierania dokumentacji trzeba zachować największą ostrożność, ale dowody, ekspertyzy nie pozostawiały wątpliwości. Warto było wyłożyć pieniądze na adwokatów.

Kilka kolejnych ruchów wykonali w ciszy. Skowron dopił kawę i odstawił pusty kubek na ziemię, by wiatr go nie przewrócił.

– Mam wątpliwości, Marek – powiedział w końcu Karwasz. – To znaczy nie zrozum mnie źle, mnie tu wszystko pasuje. Sprawdziliśmy to całe zamieszanie lepiej niż większość numerów, odkąd pamiętam. I jeden, i drugi gagatek pod pełną kontrolą. Numer w stylu Houdina. Gap to gap. Nie ma pieprzenia o oszukiwaniu tylko nieuczciwych, o byciu narzędziem karmicznej siły. To wciska się gówniarzom, dobrze brzmi w hasłach, jak tym o czymś za nic. Jednak obaj wiemy, i on też wiedział, że w tym biznesie jedynym grzechem jest marnowanie okazji. Nasz chłopaczek to prawdziwe dziecko szczęścia, sam to sprawdziłeś. I my z tego szczęścia teraz troszkę uszczkniemy. Słowem wszystko cacy...

– Ale...? – zapytał policjant. – Bo czuję, że wisi jakieś „ale”. Chodzi o to, że wszystko za ładne? Za gładkie?

– Trochę, chociaż w sumie już tak nie myślę. Numer to numer, jednak tamten z Potterem był ładniejszy – odparł aktor po namyśle. – Dużo lepszy na koniec kariery.

– Może faktycznie chodziło mu o spadek dla dzieciaka? – podsunął Skowroński. – Może chciał pod koniec życia zachować się względem niego w porządku i akurat to uznał za „w porządku”?

– Może...

Karwasz miał powiedzieć coś więcej, ale nagle sięgnął do kieszeni i wyjął telefon.

– Zamknęliśmy Gdańsk – oznajmił. – Właśnie przejęli pieniądze.

*

Bartek wszedł do mieszkania już z butami w rękach i cicho przekręcił klucz w drzwiach. Odłożył trampki na półkę, jeszcze w przedpokoju zdjął tiszert i spodnie i właśnie miał wśliznąć się do sypialni, gdy Marta włączyła małą lampkę.

Siedziała tu w fotelu, po ciemku, pomyślał. Jak w pierdolonym horrorze albo filmie z Bondem. Siedziała i czekała.

– Musimy porozmawiać, Bartek – powiedziała.

– Na pewno nie teraz – odparł. Zdawał sobie sprawę, że komicznie wygląda w samych bokserkach i skarpetkach, z tiszertem w jednej i spodniach w drugiej ręce. Jak głupi amerykański nastolatek z kretyńskiej komedii.

– A właśnie, że teraz. – Wstała i przeszła do kuchni. W jej ruchach było coś sztucznego, przerysowanego i gdyby nie narastająca w Bartku wściekłość, pewnie wybuchnąłby śmiechem. – Od dwóch tygodni nic nie mówiłam, dawałam ci czas, żebyś to poukładał, ale nie tak się umawialiśmy, Bartek.

Pierdolę to, pomyślał. Pierdolę, nie będę tu stał jak debil!

Rzucił tiszert na kanapę i wciągnął spodnie na tyłek.

– O czym ty gadasz? O jakich dwóch tygodniach? Mam robotę, to poważna rzecz, a ty zawracasz mi głowę swoimi fochami! – Czuł, że narasta w nim gniew i wszystko, co ostatnio wydawało mu się niejasne, teraz, w jednej chwili się upraszcza. Z każdym kolejnym, coraz ostrzej wypowiedzianym słowem. – Wiesz, kim jestem. Wiesz, gdzie pracuję. Wiesz, kurwa, wszystko! Powiedziałem ci o rzeczach, których pewnie nie powinienem! A ty teraz tu siedzisz po nocy i będziesz mi urządzać pieprzoną scenę?! Za co, ja się, kurwa, pytam?!

Sięgnął po tiszert. Wściekły, za pierwszym razem nie trafił w rękaw, więc mało nie rozerwał materiału.

Marta patrzyła na niego z rękami założonymi na piersi i tryumfalnym uśmiechem. Nie lubił go, bo zwykle uśmiechała się tak, gdy była pewna, że ma ostatnie słowo w dyskusji. Z chęcią starłby go teraz z jej ust.

– No, dawaj – warknął. – Co takiego chcesz mi powiedzieć?

– Szłam za tobą – odparła. – Dwa tygodnie temu. Wiem, że mieszkałeś w hotelu Leonardo i...

– I co? Co w związku z tym? – Już wiedział. Przypomniawszy sobie tamtą dziwną, telefoniczną rozmowę. Czy od tamtej pory siedziała pod hotelem i go obserwowała? Czy chodziła za nim, wykorzystując sztuczki, których jej nauczył? A może w poniedziałek zobaczyła tam Ankę? Czekał, aż spuści na niego tę bombę, w myślach rozważając swoje kolejne słowa.

Powie prawdę, tak jak obiecał? Że tak, to ona, ta znienawidzona Ona i zabrał ją do pokoju hotelowego tylko po to, by wzięła prysznic? Że tak, pracują teraz razem, ale osobno i nie, nie może powiedzieć, co to znaczy?

A może skończy wreszcie z tą bzdurą, z tym eksperymentem. Powie jej zgrabne kłamstwo, które ją przekona albo nie, za to na pewno pociągnie za sobą lawinę kolejnych, aż to wszystko zwyczajnie się rozsypie. A może właśnie ma się rozsypać? Może właśnie powinno?

– Byłeś w Warszawie – powiedziała Marta. – W Warszawie i w naszej piekarni i słowem się nie odezwałeś...

Parsknął śmiechem. Dosłownie zgiął się wpół i klepał po udach z tego rozbawienia. Śmiał się długo i tak szczerze, że Marta również najpierw się uśmiechnęła, a potem zachichotała, by wreszcie roześmiać się głośno. Trwało to długo, aż w końcu jeden z sąsiadów uderzył w kaloryfer, dając im znać, że jest środek nocy.

Bartek w końcu się opamiętał. Wyprostował się, otarł łzy i powoli uspokoił oddech. Chciała do niego podejść, jednak powstrzymał ją gestem.

– Skończyłem z tym, Marta – powiedział. – To koniec.

– Ale z czym? – Wyraźnie nie zrozumiała.

– Z tym. – Gestem pokazał mieszkanie. – Z tym, z tym, z tym. – Po kolei dotykał rzeczy wokół siebie. Kanapy, krzesła, szafki. – No i przede wszystkim z tobą.

Cofnął się do przedpokoju, gdzie włożył trampki. Wybiegła za nim, autentycznie przejęta.

– Ej, o czym ty mówisz?

– Mieszkanie jest na mnie, ale jeszcze przez tydzień nie będzie mi potrzebne, więc masz czas, żeby się stąd zwinąć.

– Bartek, kurwa, nie wygłupiaj się, ja tylko...

– To nie mogło się udać. Od samego początku nie mogło – powiedział spokojnie, zupełnie nie przejmując się łzami kapiącymi po twarzy Marty. Zdał sobie sprawę, że gdy kiedyś już o tym myślał, można by rzec, fantazjował, tego jednego bał się najbardziej. Swojej reakcji na jej łzy. Jednak było dużo łatwiej, niż się spodziewał. – Nikt nie chce prawdy.

Cofnął się, gdy rzuciła się do niego.

– Uderzę cię, Bóg mi świadkiem – powiedział. – Nigdy tego nie zrobiłem, ale teraz zrobię.

Poskutkowało. Odsunęła się, a on spokojnie otworzył drzwi.

– Idziesz do niej, prawda? – zapytała cicho.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się prawie miło, prawie z sympatią.

– Chcesz prawdy?

Nie odpowiedziała.

Wyszedł.

Skutki IV

(wrzesień)

Skończyła oglądać odcinek, rozebrała się i z kieliszkiem wina w jednej, a telefonem w drugiej ręce przeszła do łazienki. Weszła do pustej wanny, wcisnęła korek do odpływu, wlała trochę różowego płynu do kąpieli i odkręciła wodę. Zawsze wolała ten sposób niż wchodzić od razu do pełnej. Czekanie, aż woda otuli ją ciepłem, miało w sobie coś z filmów science fiction, które w dzieciństwie tak lubiła oglądać.

Wtedy wyobrażała sobie, że to komora kriogeniczna, a gdy wanna się wypełni, woda w ułamku sekundy zmieni się w lód i dzięki temu Anka uda się w długie, międzygwiazdne podróże. Dziś po prostu dobrze na nią działał szum lejącej się wody.

Sięgnęła po wino i leżącą na półeczce książkę, gdy zawibrował telefon. W pierwszej chwili pomyślała, że ktoś dzwoni, jednak długa i ciągła wibracja okazała się wiadomością na WhatsAppie od Grześka.

Filmik. Nie miała ochoty na jego wygłupy, nieważne, czy z podtekstem, czy nie, jednak i tak się ucieszyła, bo skoro go przysłał, wszystko wracało do normy. W czasie finału numeru Grzesiek napisał, że powinni pomyśleć o rozwodzie. Może jeszcze nie ruszać procedury, ale zastanowić się, czy nie są dla siebie wzajemnie ciężarem i nie ograniczają się do robienia sobie mimowolnej krzywdy. Nie odniósł się co prawda do sytuacji na wrocławskim dworcu oraz jej ponownego szybkiego wyjazdu, jednak wiedziała, że właśnie to przelało czarę goryczy.

Z chęcią napisałaby mu wtedy, że pewnie ma rację, tyle że rozstanie nie byłoby dobrym pomysłem. To znaczy dla niego być może, ale dla niej? Bartek niedawno rozstał się z Martą, pewne niedokończone tematy wisały w powietrzu, a ona była pewna, że taki związek dla nikogo nie skończyłby się dobrze. Bonnie i Clyde, kurwa ich mać. Król i królowa oszustów.

Dlatego teraz się ucieszyła i zamiast zlekceważyć, włączyła filmik.

W pierwszej chwili widziała tylko ich duży pokój w skąpym świetle lampek na ścianie oraz szczelnie zasłonięte okna. Zaskoczył ją ekran telewizora, bo wydawało jej się, że dostrzega w nim odbicie... trzech osób. Pierwsza siedziała na krześle, druga stała nieco z tyłu, trzecia trzymała telefon. Zaraz potem obraz zjechał w dół...

– O Jezus! – zawołała i mało nie upuściła komórki do wody.

Na ekranie widziała teraz opuchniętą, zmasakrowaną twarz męża. Spocone, mokre od krwi włosy lepiły mu się do twarzy, tuż pod okiem wystawał odłamek rozbitego szkła. Pęknięte oprawki zwisały smętnie ze złamanego nosa. W ustach Grzesiek miał grubą, frotową skarpetę z wesołym reniferem, którą dostał od niej na gwiazdkę, i oddychał z największym trudem.

Filmik się skończył, ale Anka nie potrafiła odłożyć telefonu. Trzęsa się, drżała na całym ciele, niezdolna wykrztusić choćby słowa. Zalała ją fala paniki. Kto to był?! Kto to zrobił i dlaczego?! I, na litość boską, gdzie jest Wisia?!

Zmusiła się, by odłożyć komórkę na półkę, i wstała, ślizgając się na różowej plamie płynu na dnie wanny. Jej myśli, niczym rój pszczoł wokół przewróconego ula, cały czas chaotycznie krążyły wokół córki. Gdzie jest Wisia? Co zrobili z Wisią?

I wtedy do niej dotarło. Była sobota i Wisia pojechała do jego rodziców na weekend. Pierwotnie planowali, że spędzą go razem, może w górach, może w jakimś SPA, ale potem wyskoczyło Grześkowi zlecenie i postanowił poświęcić ten czas pracy. Gdyby nie to...

Telefon zawibrował i tym razem z daleka zobaczyła numer Grześka. Poczuła, jak spina się jej całe ciało. Miała wrażenie, że stopy wrastają w płytki, że zaraz je rozsada, że nie będzie w stanie się ruszyć.

A jednak była. Sięgnęła ponad wanną, złapała za aparat. Mało się nie wysliznęła, więc przytrzymała go drugą ręką i z namysłem, powoli nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Dobry wieczór, Marysiu – rozległ się nieprzyjemny męski głos. – Dostałaś filmik?

– Kim jest...

– Zapytałem, kurwo, czy dostałaś filmik? – Nie podniósł głosu, ale mocno zaakcentował trzy ostatnie słowa.

– Tak, dostałam.

– I obejrzałaś?

– Tak.

Mężczyzna po drugiej stronie zarechotał.

– Chciałbym, żebyś ty też nagrała mi filmik, suko. Widziałem przed chwilą twoje fotki. Nagrasz mi filmik, złotko?

Odsunęła telefon od ucha i odetchnęła głęboko raz, drugi.

– Czego naprawdę chcesz? – zapytała.

Parsknął.

– Od razu do rzeczy? Dobrze, jak chcesz. Gdzie on jest?

– Kto taki?

– Bosco. Gdzie jest wasz szef?

Zaskoczył ją tym pytaniem.

– Nie wiem, naprawdę – powiedziała, by zaraz zdać sobie sprawę, że tymi słowami być może ściąga właśnie wyrok na Grześka. – Mogę spróbować się dowiedzieć, ale...

– Masz godzinę. A spróbujesz jakiegokolwiek numeru...

– Nie spróbuję, daję słowo.

– Akurat będę wierzył w słowo suki – warknął i się rozłączył.

Anka najwyższym wysiłkiem woli opanowała szarpiący nią spazm. Zamknęła oczy, policzyła do dziesięciu, powtarzając sobie po każdej kolejnej cyfrze, że najważniejsze, że Wisia jest bezpieczna, że Wisi nic się nie stało.

Gdy w końcu się opanowała, wybrała numer do Bartka. Odebrał po trzecim sygnale, wyraźnie zaspany.

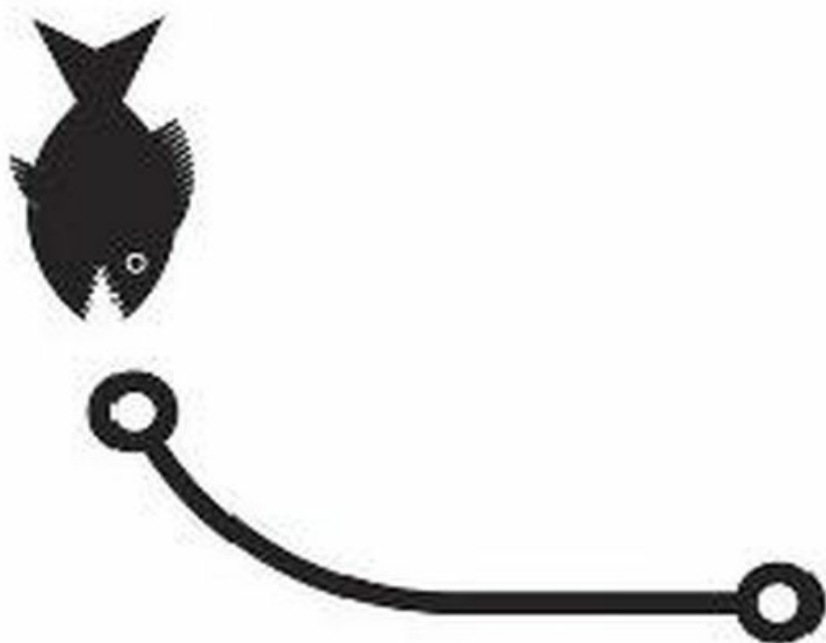
– Co jest?

– Potrzebuję cię. Natychmiast.

v

SZWINDEL

(sierpień)



Nic nadzwyczajnego, ale po raz pierwszy od co najmniej kilku tygodni mogli zjeść śniadanie razem i w zupełnym spokoju, bez gonitwy i pośpiechu. Tym razem zajęła się tym Kaśka. Wstała wcześniej, zrobiła zakupy w Biedronce i przygotowała tosty francuskie na chałce, z owocami, miodem i cukrem pudrem. Gdy Mikołaj wstał, kawa w jego Wall-E akurat kończyła kapać.

Nic nadzwyczajnego, ale fajnie im się gadało. Podsumowali czas ewidentnych zmian u obojga w kilku barwnych anegdotach. Kaśka mówiła o Justynie i zabawnych sytuacjach w pracy, Mikołaj o zajęciach z Karwaszem, które – nie dało się nie zauważyć – zdecydowanie go otwierały. Przyjemnie się go takiego słuchało, bo mówił z pasją i wyraźnym zaangażowaniem. Nawet gdy pieprzył straszne głupoty.

– Jak to byłęś sutkiem?! – zapytała w pewnej chwili, zaraz po tym gdy niechcący zafundowała mu prysznic z wyplutej kawy.

– No normalnie – odparł ze śmiechem. – Zygmunt z Elżunią robili za cycek, a ja byłem sutkiem. Wokół mnie biegał Szczepan w roli języka i mnie stymulował.

Kaśka zaczęła się tak śmiać, że łzy pociekły jej z oczu i mało nie zadławiła się kawałkiem grzanki. Chciał pomóc, jednak pokręciła głową i uspokoiła się sama, bez jego pomocy.

– Jak to stymulować? Co on ci robił? – zapytała cała czerwona, przecierając ręką mokre policzki.

– No nic, biegał w kółko – wyjaśnił Mikołaj. – Bo wiesz, wcześniej to ja grałem Ziemię, Elżunia z Zygmuntem wolno nadciągający meteor, a Szczepan Księżyc krążący wokół mnie, ale taki, wiesz, zawzięty mały zakapior, co się uparł, że mnie obroni. A potem ktoś krzyknął, że jemu to się bardziej kojarzy ze stymulacją cycka, i poszło w tę stronę.

Kaśka przyniosła kilka ręczników papierowych. Jednym wytarła twarz.

– Aktorstwo, poważny zawód. – Zaśmiała się.

– Ej, mówi to dziennikarka, która ostatnio w wioskowe morderstwo na Podkarpaciu wmieszała utopce i dziewczynę ze studni z *Ringu!*

– To nie ja – zaperzyła się Kaśka – to lokalsi!

– Dobra, dobra!

Nic nadzwyczajnego, ale zanim wyszła, kochali się na palce, on ze spodniami od dresu na kostkach, ona z zadartą letnią sukienką i stringami owiniętymi wokół stopy. Szybko, choć nie gwałtownie. Krótko, ale... No po prostu miło.

A potem zadzwoniła Justyna z wiadomością, że Wiktor potwierdza zebranie na szesnastą, a Mikołaj dostał esemesa od Zygmunta, czy widzą się wcześniej, przed zajęciami.

Zapiecek koło ronda, 13.30? – odpisał Mikołaj

Jasne, czemu nie?

Nic nadzwyczajnego, ale gdy wychodziła, powiedziała mu, że go kocha. A on odpowiedział: „Ja ciebie też”.

*

Marcin stał na środku hali i krytycznie przyglądał się potężnemu zielonemu ekranowi niemal sięgającemu sufitu. Maurycy czekał na jego reakcję i niecierpliwie wodził wzrokiem po ludziach uwijających się jak w ukropie: nosili kable, pudła, case’y i statywy pod światła.

Po lewej dwóch z nich – Maurycy ich nie znał – uporało się z kranem i teraz rozkładało szyny pod wózek. Niemal pod samym zielonym ekranem, na który Marcin gapił się w takim skupieniu, czteroosobowa grupa aranżowała właśnie pozbawioną ścian paryską kawiarenkę. Obok Waldek kłócił się z Koźliczem o wypożyczony z rezydencji fortepian, a grupa młodych w kącie ćwiczyła kwestie i udawała, że przemawia do mikrofonów różnych telewizyjnych stacji.

– Nie jestem pewien, czy to wygląda profesjonalnie rozstawione na zwykłym rusztowaniu – zauważył Marcin. Wyjął telefon i jeszcze raz pokazał Maurycemu kilka zdjęć referencyjnych z amerykańskich planów

filmowych. – No bo zobacz, tu chodzi o to, żeby było równe, idealnie równe, tak żeby dało się potem bez trudu...

– Wiem, po co to jest – mruknął wyraźnie zniecierpliwiony Maurycy. – I będzie równo, daj im skończyć.

– No ale już, kurwa, nie ma czasu! – krzyknął Marcin, klepiąc się w nadgarstek. – Na wczoraj miało być. Wczoraj wieczorem powinno być gotowe, ja dzisiaj wchodzę na spokojnie, robimy próbę, a za pięć godzin przyjeżdżają gwiazdy. Człowieku, Kuter-łapka ściąga nam tu dzisiaj pół polskiego szoł-bizu. Co ja powiem pierdolonemu Dorocińskiemu czy temu, no, Wojewódzkiemu? Edycie Górniak co powiem?!

– Od „dzień dobry” zacznij, to zawsze taki pozytywny początek. – Maurycy podrapał się po piersi. – A jak zaraz nie przestaniesz się drzeć, to słowo daję, ktoś ci tu jebnie i będziesz musiał na szybko pizdę pod okiem w legendę wplatać. Więc jeszcze raz, daj im skończyć i wtedy przyleżesz marudzić. A na razie przepraszam, bo chyba żarcie na catering przyjechało.

Brodą wskazał dwóch mężczyzn w białych tiszertach, którzy właśnie weszli do hali. Wyższy z nich miał na czapce logotyp z parującym garnkiem.

– Dobra, idź, pewnie, kurwa, zostaw mnie samego z... O, cześć. Agnieszka, tak?

Dziewczyna pędząca akurat do kącika fałszywych mediów, zatrzymała się w pół kroku i uśmiechnęła szeroko. Ze starannym, modnym makijażem, w eleganckich płóciennych spodniach i koszuli znakomicie podkreślającej nieduży, ale kształtny biust, w niczym nie przypominała uroczej, choć trochę zahukanej Saszy z CzarnoWidzę.

– O, cześć, Marcin! Właśnie słyszałam, że ty tu dowodzisz – powiedziała. – Cieszę się bardzo, że będziemy razem pracować.

– A będziemy? – zdziwił się. – Kurwa, ja nic nie wiem po prostu. Waldek! Chodź tu na chwilę, możesz?!

Waldek, zajęty rozmową z operatorami, odpowiedział coś, jednak zdał sobie sprawę, że jest za daleko i nie chce mu się krzyczeć. Dlatego przeprosił rozmówcę, po czym ruszył w stronę Marcina, kłapiąc ciężko, jakby niósł na

plecach wielki ciężar.

Marcin westchnął ciężko.

– Nikomu dzisiaj się nie spieszy. Wszyscy mają czas – mruknął, po czym zwrócił się do Agnieszki nieco pogodniejszym tonem: – Jak Gdańsk? Słyszałem, że z nadwyżką.

– Z nadwyżką, ale ja tam małą rolę grałam, więc to nie moja zasługa – odpowiedziała.

– E tam, pieprzysz. Zespół to zespół. Jak się udaje, to sukces wszystkich i... Poczekaj moment. Waldek, powiedz mi, proszę, kogo gra Agnieszka?

Waldek, którego dzieliło teraz od Marcina raptem kilka kroków, zatrzymał się nagle i zrobił minę, jakby chciał zawrócić. Sapnął, charknął i z tylnej kieszeni wyjął pogiętą rozpiskę.

– Twoją sekretarkę gra. Milenę Czernecką.

– Tak myślałem. – Marcin westchnął i rozmasował czoło. – Dlatego właśnie zawsze mówię, nie na ostatnią chwilę, nie na ostatnią chwilę.

– Chuja mówisz, bo z tobą nie robię – odburknął Waldek. – I gdzie jest problem? Ładna dziewczyna, uśmiech śliczny...

– Ej! – oburzyła się Agnieszka. – Ja tu jestem!

Marcin przyłożył dłonie do skroni i na moment zamknął oczy. Gdy je otworzył i się odezwał, mówił już dużo spokojniej.

– Spójrz na mnie. – Pokazał na siebie. – A teraz na nią. Wyobraź sobie, że ktoś taki jak ja jest szefem kogoś takiego jak ona. Co robię?

– Nooo, co robisz? – Waldek najwyraźniej nie zrozumiał.

– No rucham ją! – Marcin nie wytrzymał i ryknął tak, że niemal wszyscy wkoło przerwali pracę, by na niego spojrzeć. – Rzną, ledwie drzwi się zamkną! Na dzień dobry zgarniam kawę i lodzika, na lunch wpieprzam jej cipkę na swoim biurku. No spójrz na nas, na mnie. Jestem dupkiem!

– Nie da się ukryć – mruknęła zażenowana sytuacją Agnieszka. Waldek puścił do niej oko.

– A teraz przejrzyj skrypt, Waldek. Czy mam być dupkiem? Czy

w skrypcie na całość moja postać to dupek? Podpowiem ci: nie! To wizjoner. Zajarany filmem fagas, który realizuje swoje marzenie o polskim Hollywood. Arogancki? Jasne. Megaloman? W chuj! Ale nie dupek rznący na boku sekretarkę... Bez obrazu oczywiście.

– Nie, no coś ty. – Agnieszka nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

Waldek natomiast stał długą chwilę, przyglądając się Marcinowi spod zmrużonych oczu. Głowę zwiesił jak byk do szarży, na przemian rozluźniał i zaciskał pięści. W końcu uniósł już znacznie bardziej pogniecioną kartkę.

– Słuszna uwaga – stwierdził. – To kogo proponujesz?

– Nie wiem! – krzyknął Marcin. Odruchowo nastawiał się na opór i podświadomie przeznaczył na to sporą porcję energii. Gdy okazała się zbędna, potrzebował kilku sekund, by dostosować się do nowego, spokojniejszego trybu rozmowy. – Nie wiem, Waldek, nie znam ludzi. To wasza działka.

– Tak – odparł tamten. – Tylko ja o typ pytam. Starsza? Grubsza? Taka miła pani Grażynka ze szkolnej biblioteki czy Halina z dziekanatu?

Marcin musiał się zastanowić.

– Miła, starej daty, nie zna się na komputerze i ma telefon z klapką, jednak w innych sprawach konkret. Kojarzysz kogoś takiego?

– Znajdę. – Waldek zaznaczył sobie ołówkiem w formularzu, po czym przeniósł wzrok na Agnieszkę. – A ty chodź, damy ci coś innego. Przydzielę cię do obsługi gwiazd, dobra?

– Jasne – odparła dziewczyna, pozwalając się objąć starszemu mężczyźnie. – Ale Dorocińskiego też?

Marcin patrzył, jak odchodzą, jeszcze raz westchnął na widok fałd na zielonym ekranie i wyszedł z hali, by udać się do swojego tymczasowego biura w rezydencji.

Tam, w ewidentnie roboczym pomieszczeniu, którego tymczasowe wyposażenie składało się z biurka, jednego wąskiego regału, komody z ekspresem i dwóch krzeseł, czekał już na niego Bartek. Stał przy oknie z rękami zaplecionymi na pośladkach i przyglądał się trzem fachowcom od

Maurycyego, gdy sztucznie postarzali nowe naklejki na burtach wypożyczonych ciężarówek. „Profesjonalny sprzęt filmowy. Sprzedaż, wynajem”, głosił najbardziej czytelny z napisów.

– Cześć, i jak tam? Masz? – zapytał Marcin od progu. Podszedł do ekspresu kapsułkowego, z pudełeczka obok wybrał kawę orzechową i zaparzył sobie espresso.

Bartek odwrócił się i zrobił krok w stronę biurka.

– To Andy Garcia – powiedział.

Kliknął klawisz spacji i z komputera popłynął męski głos mówiący po angielsku. Amerykański aktor wypowiadał kilka zdań, potem milknął na chwilę, dodawał coś jeszcze i wybuchał śmiechem. Marcin zastygł z filiżanką przy twarzy.

– Dobra – stwierdził w końcu. – Chyba teraz jest w porządku. W treści nic się nie zmieniło?

– Nic, poprawili tylko pauzy i reakcje. No i tak jak chciałeś, będziesz widoczny na tej małej kamerce. W jednym miejscu Gregg sugeruje, byś zrobił taką minipauzę, wtedy śmiech Garcii zabrzmiał naturalnie, jakbyś trafił z żartem. Tu jest zaznaczone.

Odkleił od ekranu żółtą karteczkę i pokazał ją Marcinowi. Ten skinął głową.

– A Bernthal? Udało się coś?

– Niewiele. – Bartek się skrzywił. – Problem jest taki, że on ciągle do tego chłopaka, dziennikarza, mówi po imieniu. Taki ma styl.

– A jak mu na imię?

– Nie kombinuj. Zrobili tak, że jest dobrze. Gadacie chwilę, ktoś woła Bernthala z offu, bo on nagle się odwraca i przeprosza, że musi lecieć. – Bartek również podszedł do ekspresu i wybrał kapsułkę. Nie włożył jednak do urządzenia, tylko podrzucił kilka razy w dłoń. – Ja zresztą w ogóle nie wiem, czy on będzie potrzebny, bo wiesz, co za dużo, to niezdrowo...

– Tak, wiem – zgodził się Marcin. Usiadł przy biurku i włączył nagranie, ale zaraz je wyciszył. – Jak w domu?

– Nie wiem, nie byłem. – Bartek znów podrzucił kapsułkę, po czym wsadził ją z powrotem do pudełka. – O której zaczynacie?

Marcin sprawdził zegarek.

– Koło drugiej powinien tu być Kopciuszek – powiedział, zaplatając ręce na karku i odchylając się na krześle.

– Kopciuszek?

– Pani Weronika z Kuter-łapki. Chłopie, żebyś ty ją widział na tej gali. Odstrzeliła się, a potem chodziła z otwartą buzią, jakby kto etiopskie dziecko do Biedronki wpuścił. Z Ostaszewską sobie zdjęcie zrobiła, Artur Szpilka fotki psów jej pokazywał. Człowieku, mógłbym rok chodzić, a bym tak młodego Stuhra nie zbajerował. Albo Nergala. Uwierzysz, kurwa?! Nergal przyjedzie nam tu zagrać w reklamówce schroniska! Zajebista jest... Tylko schudnąć by mogła trochę.

Bartek nie odpowiedział, świadom, że Marcinowi, gdy się zapędzi, trzeba po prostu dać czas. Wyjął ze zgrzewki obok regału małą butelkę wody gazowanej i czekał.

– Aleja gwiazd zacznie się tak koło szesnastej – podjął znów Marcin. – Późno, jednak gdy widzę stan robót, to może i dobrze. Mało nam się zresztą nie wyjechało, bo nikt mi nie raczył powiedzieć, że z pięć czy sześć osób musi być na jakiejś konferencji HBO w związku z ich serialem. Bałem się, że będzie trzeba Karwasza angażować, ale na szczęście zrezygnowali z obiadu.

Przerwał i nagle się wyprostował.

– To oznacza, że wszyscy mi obsiądą catering, kurwa! A ja nawet nie wiem, co Maurycy zamówił.

Bartek odkręcił butelkę i wypił na raz połowę zawartości. Przetarł czoło.

– Wentylację tu jakąś załatw – powiedział. – Wiatrak chociaż. Budżet ci styka?

– O właśnie, czekaj. – Marcin wyjął z szuflady biurka teczkę. – Kwity masz. Wszystko jak trzeba, wczoraj w nocy sprawdzałem.

Bartek machnął ręką.

– Teraz to już i tak za późno, Anki nie złapię – stwierdził. – Spokojnie,

trzymaj. Nie przepadnie. Dzwonię, gdy ruszą, okej?

– Jasne, pewnie.

– To się trzymaj – powiedział Bartek i wyszedł.

Marcin rozmasował kark, cofnął filmik do początku i uśmiechnął się promiennie.

– *Andy, I miss you, my friend!* – zawołał. – *How are you?*

Aktor roześmiał się i rozłożył ręce, jakby chciał się zaprezentować.

– *Little bit tired, but as you see, still handsome* – odparł wciąż ze śmiechem – *What's up?*

Siedem minut, trzydzieści sekund później powiedział to znowu. A potem znowu. I jeszcze raz. Wciąż z tym samym entuzjazmem.

*

Mikołaj zjawił się w Zapiecku pierwszy. Ledwie usiadł, zadzwonił do Zygmunta z pytaniem, co mu zamówić, żeby nie musieli czekać. Chwilę potem dzwonił jeszcze raz, bo kelnerka, urocze dziewczę, z autentycznym żalem malującym się na rumianej twarzy poinformowała, że niestety placki po węgiersku obecnie nie wchodzą w grę. Stańto na pierogach – z soczewicą dla Mikołaja i z mięsem dla Zygmunta – i dwóch butelkach fanty.

Złożył zamówienie i czekając, po raz kolejny przeczytał mejla z sekretnej skrzynki, do której dostęp dał mu Bartek. Dotyczył z grubsza tego, jak powinny wyglądać relacje Mikołaja z Zygmuntem w trakcie trwania numeru. Zaczynało się ogólnie: *Nie wychodź za często z inicjatywą, nie narzucaj się. Słuchaj tego, o czym chce rozmawiać, i podejmuj te tematy, ale miej w zanadrzu kilka własnych, tak by rozmowa płynęła naturalnie i pozostawała wyważona. Kłam jak najmniej, zmieniaj tylko drobne detale. Nie wdawaj się w szczegóły, jeśli to nie jest konieczne. Miej własne zdanie i trzymaj się go. Zwycięzcy loterii bardzo często są przeczulenii na punkcie tanich pochlebstw i ludzi okazujących im nadmierne zainteresowanie.*

Było też kilka kwestii szczegółowych: *Wymieńcie się (PILNIE) numerami telefonów. Utrzymujcie nie za częsty, ale regularny kontakt w tej formie.*

Dołóż też starań, by nie zerwać ciągu spotkań. Kończąc jedno, umawiaj się na kolejne. Wliczaj w to zajęcia, ale nie ograniczaj się do nich. Rozwijaj więź towarzyską i pilnuj, by spotkania odbywały się na mieście. Pamiętaj, im głębiej wejdiesz w relację, tym trudniej będzie z niej wyjść po finale.

Ostatnie zdanie uznano za tak ważne, że specjalnie je podkreślono. Mikołaj zawiesił na nim wzrok na dłuższą chwilę, po czym westchnął i schował telefon.

Zygmunt zjawił się niemal idealnie w momencie, gdy podano pierogi. Przywitał się, szybko zszedł na dół, do łazienki, by umyć ręce, i wrócił wyraźnie z jakiegoś powodu zadowolony.

– Słyszałeś? Pacino ma być w Polsce – powiedział, zabierając się do jedzenia. – Na pewno wygłasza jakąś mowę motywacyjną we Wrocławiu, ale podobno będzie u nas grać. Słyszałeś o tym?

Mikołaj pokręcił głową, jednocześnie zastanawiając się, czy to prawdziwa wiadomość, czy jedna z tych, które Bartek sukcesywnie podrzuca Zygmuntowi a to na mejla, a to na Facebooka.

– Przemówienie Pacino na żywo, to by było coś – powiedział. – Gość ma do nich talent.

Zygmunt uniósł widelec.

– Trzy minuty do największej batalii w waszej karierze – wyrecytował ochryłym głosem, bardziej kojarzącym się z Marlonem Brando z *Ojca chrzestnego* niż z Pacino. – Podźwigniemy się jako zespół albo upadniemy.

Opuścił widelec, nabijając na niego połówkę pieroga i wcisnął go do ust, po czym uśmiechnął się, nadymając policzki.

– Nie wiem, z czego to, ale z tą miną i przez te okulary jeszcze bardziej przypominasz Owsiaka – stwierdził Mikołaj.

Zygmunt prychnął, próbując nie wypluć pieroga.

– Sam jesteś, kurwa, Owsiak – odparł. – I to *Męska gra* była.

– Nie widziałem. Warto?

– Nie, chyba że lubisz... Chociaż w sumie chyba nawet wtedy nie.

Do końca posiłku rozmawiali już tylko o Pacino, jego rolach wartych

uwagi i o tym, czy udało mu się zachować godność, czy też stoczył się jak de Niro.

– Ja będę Bobby’ego bronił – mówił Zygmunt. – Jasne, że grywa w gównie, ale przynajmniej gra. Pacino już tylko wali mowy. I to coraz gorsze. No i proszę cię, *Adwokat diabła* to parodia samego siebie.

– Większa niż *Co ty wiesz o moim dziadku*? – zapytał Mikołaj, na co Gajewski mógł już tylko westchnąć.

– Mam nadzieję, że ten *Irishman*, co go robią wspólnie ze Scorsese dla Netflixa, nie będzie chujnią – stwierdził w końcu, gdy dzielili rachunek. – Swoją drogą trochę późno ten Pacino debiutuje u króla kina gangsterskiego, nie?

Obaj dorzucili do koszyczka z paragonem po piątce.

– Coś ty? – Mikołaj szczerze się zdziwił. – Pacino nigdy nie grał u Scorsese? Tak nigdy, nigdy?

Zygmunt rozłożył ręce.

– No co ci poradzę. Sprawdź, jak nie wierzysz.

Dotarcie pod Damkę samochodem Mikołaja zajęło im prawie trzydzieści minut. I tak zjawili się przed czasem, a na miejscu czekała ich niespodzianka. Ledwie zaparkowali i wysiedli z auta, zobaczyli zdenerwowanego Karwasza, wychodzącego z budynku. Aktówka, którą trzymał w ręce, oraz garnitur nie sugerowały, by wyszedł tylko na papierosa.

– A panowie co tu robią? – zapytał zaskoczony ich widokiem. Zaraz jednak przeniósł wzrok najpierw na zegarek, a następnie na bramkę szlabanu. – Przecież zajęcia dzisiaj odwołane, pani Małgosia informowała mejlowo.

Zygmunt z Mikołajem spojrzeli na siebie zaskoczeni.

– Ja nic nie dostałem – stwierdził Mikołaj. Zygmunt szybko sprawdził pocztę w telefonie.

– No, ja też nie – powiedział, ale machnął ręką. – A pan, panie profesorze, to, jeśli można, gdzie tak się spieszy?

– A niech mi pan nawet nie mówi, panie Zygmuncie. – Karwasz był wyraźnie roztrzęsiony. – Nie wiem, co się ze mną dzieje ostatnio. Najpierw

wczoraj sobie przypomniałem, że mam dzisiaj nagranie do jakiejś kampanii społecznej dla zwierząt, a dzisiaj mi wyleciało, że miałem złożyć ważne dokumenty do jakiegoś wniosku. I teraz jeszcze taksówka nie przyjechała. Czekam tu od piętnastu minut. Zamówiłem drugą i...

Spojrzał na nich zrezygnowany.

– To może ja pana podwiozę? – zaoferował się Mikołaj.

Karwasz przetarł spocony kark i szyję wyjętą z kieszeni chusteczką.

– Dziękuję za propozycję, panie Nikodemie, ale gdzie ja pana będę do Wólki Radzywińskiej ciągnął teraz? Przecież to z dobre pięćdziesiąt kilometrów w jedną stronę.

– Około trzydziestu – poprawił Zygmunt, pokazując mapę na telefonie. – I w zasadzie możemy to potraktować jako zajęcia w terenie. Aktor jest? Jest. Improwizujemy? A jakże! No to jedźmy!

Mikołaj z Karwaszem wymienili spojrzenia. Obaj zdawali się bezgłośnie mówić to samo.

To było aż za proste.

Weronika Sawicka z ekscytacji ledwie mogła usiedzieć na składanym krzeselku. Zaczerwieniona, z oczami zaszklonymi wzruszeniem, patrzyła na aktorów grających scenę w paryskiej kawiarence. Zza fragmentów ścian przebijał idealnie gładki, zielony materiał.

Spot utrzymany w konwencji powojennego melodramatu opowiadał historię weterana, który właśnie wrócił z wojny. Akurat nagrywali scenę, gdy bohater, siedząc naprzeciw dawnej ukochanej, pokazuje jej swoje blizny i kikut ręki, po czym niskim, głębokim głosem mówi:

Każda z tych blizn to historia. I niektóre z nich nie są piękne. Ale żadna z nich nie sprawiła, że przestałem kochać życie.

I na te właśnie słowa pani Weronika przechyliła się na bok, do siedzącego przy niej Marcina, i położyła dłoń na jego dłoni. Ścisnęła.

– Panie Marcinie, to jest cudowne – szepnęła. – Cudowne. Dziękuję, że nam pan pomaga. Że pan to wszystko tak pięknie zorganizował.

W tym momencie musiała zdać sobie sprawę, że przekroczyła granicę, bo speszyła się i chciała cofnąć dłoń, ale nim to zrobiła, Marcin nakrył ich złączone ręce swoją prawą i uśmiechnął się najmilej, jak potrafił.

– To pani i fundacja robicie to dobro na co dzień. Ja, my, wszyscy ludzie tutaj tylko sprawiamy, że będzie o tym troszkę głośniej.

Hirek Kuna reżyserujący spot krzyknął: „Cięcie!”, i podszedł do aktorów omówić z nimi ostatnie sceny. Dołączył do nich operator i tylko dźwiękowiec trzymał się z boku, majstrując coś przy tyczce.

Marcin oswobodził dłoń.

– Muszę panią przeprosić, pani Weroniko – powiedział. – Chętnie bym posiedział, jednak za chwilę w drugim studiu kręcimy reklamę dla mojej firmy. Rozumie pani, dwie pieczenie.

– Tak, oczywiście, panie Tadeuszu. Bardzo, bardzo dziękuję.

– I à propos pieczeni, jakby zrobiła się pani głodna, proszę się częstować. Te stoły po to są.

Wstał i podszedł do stojącego nieopodal Maurycego. Ten z założonymi rękami doglądał wszystkich ludzi, którzy krążąc po planie, budowali odpowiednie wrażenie.

– Ja ci, kurwa, dam częstować – warknął do niego. – Czwarty raz dokładamy.

– Słuchaj, pytanie mam. – Marcin postanowił zupełnie zlekceważyć marudzenie kolegi. – My to w ogóle nagrywamy?

Maurycy spojrzał na niego i roześmiał się. Dziwny to był widok, bo jego niebieskie, nad wyraz spokojne oczy pozostawały przy tym poważne.

– Gdzie? Czym? Przecież to atrapy.

– Wszystko? Cały sprzęt?

Maurycy przechylił się, by zza Marcina spojrzeć na Weronikę. Cmoknął.

– No, powiem ci, chłopie, niczego sobie. Nic dziwnego, że chcesz się przymilić – przyznał. – Jednak poszukaj innego sposobu. Widzisz tę kamerę zamocowaną na kranie? Gdybym chciał prawdziwą, to za dwa dni zapłaciłbym więcej niż za wszystko tutaj. A tak? Tańsza niż sam kran. W środku jest iPhone i z niego na ekran rzucamy obraz, taki niby podgląd. Chcesz, to ci mogę potem z telefonu pozgrywać, ale to tyle.

– Gdyby się dało, to faktycznie poproszę. I mógłbyś jeszcze... O, dzień dobry, panie Karwasz! Tutaj, tutaj proszę! – Zamachał i aktor w towarzystwie Mikołaja i Zygmunta ruszył w jego kierunku.

– Dobra – mruknął Maurycy. – To ja idę tę twoją trzymać z dala od gapa, bo dobrze pamiętam, ty tu w dwóch osobach jesteś?

Marcin mrugnął i klepnął starszego mężczyznę w ramię, po czym wyszedł naprzeciw Karwaszowi. Podali sobie ręce.

– Dzień dobry, panie Janie – powiedział. – Andrzej Toczek. My jeszcze chyba nie mieliśmy okazji poznać się osobiście, ale bardzo dziękuję, że zgodził się pan wziąć udział w tej akcji. Tam jest pani Weronika, to zaraz

przedstawię, szefowa fundacji Kuter-łapka.

Urwał, jakby dopiero w tym momencie dostrzegł stojących nieco z tyłu Mikołaja i Zygmunta. Zmarszczył czoło.

– Pan pewnie z castingu tak? – zapytał tego drugiego.

Zygmunt obejrzał się za siebie, po czym wskazał ręką na swoją pierś.

– Że ja? – Roześmiał się. – Nie, nie, ja z panem Karwaszem.

– Kurczę, a mógłbym przysiąc... – Marcin wyjął telefon i szybko otworzył galerię. – Niech pan spojrzy, panie Janie. Podobieństwo jest uderzające, prawda?

– No, może nie uderzające... Cześć, cześć, Maćku. – Karwasz pozdrowił mijającego go właśnie aktora. – Ale rzeczywiście, panie Zygmuncie, proszę tylko popatrzeć...

Zygmunt podszedł i zerknął, a w tym czasie nad jego głową Karwasz bezgłośnie dał znać Mikołajowi, by się włączył.

Mikołaj skinął głową i również postąpił krok do przodu.

– Nie no, toczka w toczkę – stwierdził. – A co to za film jest? Bo może jeszcze z tym castingiem to nie jest za późno?

– A pan jest aktorem? – Marcin zwrócił się bezpośrednio do Zygmunta.

I zanim ten zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wtrącił się Karwasz.

– Bez szkoły, za to z talentem. Ja bym go na pana miejscu sprawdził, panie Andrzeju. – Rozejrzał się. – Dobrze, to możemy zaczynać? Skorzystałem z uprzejmości pana Nikodema, nie chciałbym go za długo trzymać.

– Oczywiście, panie Janie. – Marcin ruszył i przystanął. – A panów to ja zapraszam do siebie do biura, dobrze?

*

– Słyszałeś go? – ekscytował się Zygmunt. – Słyszałeś?

– Którego?

– Karwasza! Kurwa, to chyba największy komplement, jaki mnie w życiu spotkał!

– No popatrz, co za szczęście, że się z nami zabrałeś – odparł Mikołaj.

Nie przestawał rozglądać się po hali. Nie znał się na tym specjalnie, ale chyba mieli tu wszystko, co być powinno. Mnóstwo sprzętu i kręcących się wokół ludzi, namioty ogrodowe jako garderoby, rząd stanowisk dla charakteryzacji, namiot z kostiumami, stoły z jedzeniem, a nawet dwa wózki elektryczne, teraz stojące przy ścianie. No i aktorów z pierwszej i drugiej półki, sławy prawdziwe i pudelkowe, skupionych teraz na wąskiej przestrzeni wypoczynkowej. Gdyby nie wiedział, że to jedna wielka bzdura, z pewnością by uwierzył.

Nagle zdał sobie sprawę, że Zygmunt przygląda się mu badawczo.

– Co jest? – zapytał.

Gajewski wzruszył ramionami.

– No właśnie nie wiem. Obraziłeś się czy co?

– Ja?

– Tak to zabrzmiało, stary. To o szczęściu.

Mikołaj roześmiał się i klepnął go w ramię.

– No weź, człowieku. Zajebicie się cieszę – powiedział. – I też uważam, że jesteś świetny i... O, wraca.

Rzeczywiście Marcin już się zbliżał, niosąc pod pachą teczkę. Na jasnych spodniach dorobił się ciemnej sznyty sadzy, która najwyraźniej nie dawała mu spokoju.

– Kurwa, wszędzie prowizorka. – Stęknął, gdy już się do nich zbliżył. – Powiedzcie mi, panowie, gdzie w tym kraju człowiek może się ubrać na białą, żeby zaraz się nie ujechać?

– Ja tam papieża ujebanego nigdy nie widziałem – zauważył Zygmunt. – Może jego ścieżkami czy coś?

Marcin ryknął donośnym śmiechem i wszyscy momentalnie się na niego obejrżeli.

– Przepraszam, przepraszam. – Podniósł ręce, mało nie upuszczając teczki. – Dobra, chodźmy stąd, bo mnie zaraz uduszą. Ścieżkami papieża, a to dobre.

Wyszli z hali i udeptaną dróżką dotarli na skróty na tył podwórka rezydencji. Przeszklone drzwi od tylnego tarasu były zamknięte, więc Marcin

poprowadził ich łukiem do drzwi frontowych.

– Przepraszam za tę prowizorkę, dopiero się budujemy – tłumaczył się. – Miało być w marcu, a tu dzięki Bogu sierpień i kręcić trzeba, bo plany. I tak opóźnienie jest, więc uznałem, że można coś dobrego zrobić. Stąd ta kampania.

– A co to za akcja właściwie?

– A – Marcin machnął ręką – taka dla kotów bez łapy, psów bez oka. Co mam, kurwa, powiedzieć. Rozczulają mnie takie w chuj. Tędy proszę.

Wpuścił ich do budynku, a następnie pokazał drogę w głębi.

– Jakby ktoś chciał z łazienki, to po lewej, biuro naprzeciwko. Pani Misiu, gości prowadzę, kawki trzy bym poprosił. W moim się pokończyły kapsułki.

Otyła kobieta pod sześćdziesiątkę o tlenionych włosach, upiętych w kok podniosła się zza biurka i z trudem poczłapała w stronę stojącego na szafce ekspresu.

– Dzwonili z tego schroniska pod Szczelińcem – powiedziała, stojąc tyłem do nich. – Mówili, że zgoda jest, można się ustawiać, tylko żeby zaliczkę wpłacić. Powiedziałam, że w przyszłym tygodniu. Niech sobie poczekają, jak tyle kłopotów było.

– Pani Misiu, jest pani aniołem – zaśmiał się Marcin. – Panowie, proszę tutaj do mnie.

– Z mlekiem któraś? – zapytała pani Misia.

– Dla mnie tak – odezwał się Zygmunt.

– Ja też poproszę – zawtórował mu Marcin.

Kobieta pokiwała głową, po czym nagle się odwróciła.

– A, jeszcze pan Bernthal dzwonił. Spróbuje jeszcze później.

– Tak, oczywiście. Dziękuję pani bardzo. – Marcin jakby się zmieszał. – Chodźcie, panowie, proszę.

– Jon Bernthal? – Zygmuntowi natychmiast zaświeciły się oczy. – Punisher w sensie?

– Tak, fantastyczny aktor, jeszcze lepszy człowiek. Siadajcie, panowie,

proszę. Chwileczkę, zaraz doniosę krzeselko. O, proszę, panie...

– Nikodem.

– Ładne imię. Pan też jest aktorem, panie Nikodemie?

– Tylko hobbystycznie.

Marcin pokiwał głową, jakby doskonale rozumiał. Zajął miejsce za biurkiem i szybko sprawdził pocztę. Następnie przeklikał coś w komputerze i odwrócił go w ich stronę. Na czarno-białym, rozmytym zdjęciu szczupły mężczyzna w okularach palił papierosa.

– No niech pan powie, panie Nikodemie, czy kolega pana nie jest podobny? Bardzo nawet!

– Ale to nie jest ten sam człowiek, co na tamtym zdjęciu.

Marcin pokręcił głową.

– Nie, tam był Arek Grzeszczuk, aktor z Poznania. U Smarzowskiego gra teraz, wcześniej seriale robił. Zdolny chłopak.

– A ten? – zapytał Mikołaj.

– A ten to najprawdopodobniej jeden z najważniejszych polskich oszustów – powiedział Marcin z dumą w głosie, prawie jakby zapowiadał olimpijskiego mistrza. – Miron Staszewski, pseudonim Houdin. Z duetu Houdin i Bosco, słynnego... O, dziękuję, pani Misiu. A co to za kartki są?

– Klauzule poufności dla panów, bo słyszę, co pan tu wygaduje – odpowiedziała mu kobieta. Postawiła tacę na biurku, rozstawiła kawy i rzeczywiście podsunęła Mikołajowi i Zygmuntowi dokumenty do podpisania. Ci nie kryli rozbawienia, jednak nie robili problemów.

– Jeszcze raz pięknie dziękuję, pani Misiu! – Marcin zawołał za wychodzącą kobietą, po czym nachylił się i dodał już ciszej: – Czasem jest jak wrzód na dupie, ale mówię wam, panowie, to anioł.

Wyprostował się i zatarł ręce.

– No dobrze. A wy długo w ogóle z Karwaszem pracujecie?

– Trochę. – Zygmunt wyrwał się z odpowiedzią szybko, ewidentnie, by uprzedzić Mikołaja. – Przede wszystkim w grupach improwizatorskich. Uczą

fachu jak mało co.

– Tak, to prawda, jak mało co – powtórzył Marcin, jeszcze raz spoglądając na komputer. Podrapał się po nosie. – Kurczę, nie wiem, czy coś jeszcze da się z tym castingiem... A pan to w ogóle by chciał, panie... Noż cholera, nie mam pamięci do imion, przepraszam najmocniej.

– Nic nie szkodzi, panie Andrzeju. – Zygmunt się uśmiechnął. – A co do filmu, musiałbym coś więcej. To coś o oszustach, tak? Bo przyznam szczerze, nie znam tematu. To takie *Żądło*?

Marcin wyraźnie się zawahał, a jednocześnie zerknął na Mikołaja, jakby to u niego szukał odpowiedzi: może powiedzieć coś więcej czy nie może.

– No dalej, panie Andrzeju – zachęcił go Mikołaj. – Podpisaliśmy kwitek, prawda?

Marcin znowu skubnął się po nosie.

– No dobrze, ale to zaraz. – Wyszedł z biura i po chwili usłyszeli jego głos: – Pani Misiu, pani mi zadzwoni do tych ze Starisborn, czy oni już zamknęli castingi na Houdina. Bo właśnie nie wiem, czy to do wczoraj, czy... O, właśnie, dziękuję.

Wrócił z wydrukowaną kartką i podał ją Zygmuntowi.

– Pomyliłem się, to w piątek będzie. Cztery dni, mało czasu, cholerka. A, no i nie wydrukowałem dla pana, panie Nikodemie...

– Ja dziękuję – odparł Mikołaj i dodał: – Mierz siły na zamiary.

– A ja spróbuję, co tam! – zawołał Zygmunt.

I w tym momencie rozdzwonił się stojący na biurku komputer. Charakterystyczny sygnał skype'owego połączenia poniósł się po biurze. Marcin obszedł biurko, żeby zobaczyć, kto to i gdy tylko dostrzegł ikonę, jego oczy zrobiły się wielkie. Usiadł gwałtownie i szybko się wyprostował.

– Panowie, teraz, kurwa, błagam o ciszę, dobrze?

– To może wyjdzie... – zaproponował Zygmunt, ale Marcin już odebrał.

Uśmiechając się promiennie, zawołał po angielsku:

– *Andy, I miss you, my friend. How are you?*

– *Little bit tired, but as you see, still handsome. What's up?* – padło w odpowiedzi i ledwie Zygmunt to usłyszał, najpierw zamarł, a potem wychylił się, by zerknąć na ekran. Siedział w takim miejscu, że nie było to aż takie trudne.

A gdy upewnił się, kogo widzi, zrobił minę, jakby właśnie stał się świadkiem cudu. Przeniósł wzrok na Mikołaja.

– Wiesz, kto to jest? – zapytał, poruszając samymi wargami.

Mikołaj wzruszył ramionami.

– Andy Garcia – dodał równie bezgłośnie Zygmunt. – Andy pierdolony Garcia!

*

Anka przekręciła klucz w zamku i ostrożnie weszła do mieszkania Kaśki. Położyła torebkę na podłodze przy samych drzwiach i wybrała w telefonie numer Bartka. Zanim odebrał, wsunęła do uszu słuchawki.

– No? – odezwał się.

– Dobra, jestem – powiedziała.

– Widzę.

Podniosła wzrok na żyrandol i pokazała mu palec wskazujący.

– Och, już wystarczy tych czułości. Najpierw weź to, po co przyjechałaś dla Kaśki. Żebyś potem nie zapomniała.

– Dobra. To będzie sypialnia.

Przeszła do sypialni, minęła niepościelone łóżko i zajrzała do szuflady w szafce nocnej. Znalazła tam trzy pendrive'y. Wzięła wszystkie. Następnie otworzyła najpierw jedną połowę szafy, jak się okazało, tę należącą do Mikołaja, a następnie Kaśki. Zdjęła z wieszaka dwie białe koszule i wsunęła je w foliowy pokrowiec.

– Jezus, dobrze, że nie muszę ich prasować – stwierdziła i już zamierzała odejść, gdy Bartek ją powstrzymał.

– Czekał. Weź mój pendrive, pingwinka, i schowaj go w jego połowie, dobra? Tylko ich nie pomył.

– To, że rozstałeś się z głupią babą, nie znaczy, że my wszystkie jesteśmy takie.

Słyszała, jak się zbiera, by odpowiedzieć, ale odpuszcza. Zrobiło jej się głupio, więc odwróciła się i tym razem posłała żyrandolowi całusa.

– Dobra, to dla Kaśki już wszystko jest – stwierdziła i zerknęła na zegarek.
– Zostało mi jeszcze pół godziny. Na pewno nie wróci?

– Siedzi w Wólce. Marcin dzwonił przed chwilą. Jak to ujął, mają go tak bardzo, że chyba teraz wali w łazience do tego Garcii.

Anka skrzywiła się z niesmakiem.

– Powiedz mi, czy to tylko moje wrażenie, czy on czasami jest strasznym chujem?

– Marcin? – Zaśmiał się Bartek. – Czasami nie jest. No ale dobra, idź do dużego pokoju. Podejdź do regału i usuń deskę od spodu. Tak, tę, to atrapa.

Anka zrobiła, jak polecił, i wsunęła rękę pod regał.

– Tu nic nie ma – powiedziała.

– Jest – uspokoił ją Bartek. – Wkładał go tam przedwczoraj i nie wyciągał. Musisz wymacać cięcie w wykładzinie. Znalazłaś?

– Chyba tak. – Wyczuła krawędź, wsunęła palec i podważyła wykładzinę.
– Dobra.

Podniosła się i pokazała zeszyt od Houdina.

– Okej, co teraz?

– Musisz zrobić zdjęcia. Włącz funkcję skanera w telefonie.

– Teraz? Zwariowałaś? Tych kartek jest tu ze sto.

– Osiemdziesiąt. – Roześmiał się. – To zeszyt osiemdziesięciokartkowy. Masz tam napisane.

Znowu podniosła zeszyt w stronę żyrandola i przewróciła kilka stron, tak żeby widział.

– Ale trzeba każdą kartkę z dwóch... A nie, czekaj, przecież mogę po dwie.

Położyła go na podłodze i pochyliła się nad nim, a potem zaczęła przekładać strony i robić zdjęcia każdej z nich.

– Jeżeli gapisz mi się teraz na mój tyłek... – mruknęła.

– Nie ten kąt, moja piękna. Jest tam coś ciekawego w ogóle?

– Nie czytam. Zobaczysz za chwilę. Mają szybkie łącze, to raz-dwa pójdzie. – Odwróciła się i uśmiechnęła do kamery w żarówce. – No chyba że ktoś nadal je będzie zapychał podglądaniem.

– Rób te zdjęcia, nie gadaj.

Anka przerzuciła i obfotografowała kilka kolejnych stron.

– Ty, Bartek, a powiedz, bo ja w sumie nie wiem. To, co podrzucamy, wypali tylko w Mikołaja czy w nich oboje?

– A co, polubiłaś ją? Na razie to w ogóle nie wiadomo, czy wypali. Karwasz chyba nie chce mu dowalić, tylko się zabezpiecza. Wiesz, niektórym jak dasz palec, to potem chcą całą rękę.

Anka usiadła na podłodze i położyła aparat obok. Wyglądało na to, że jest w połowie zeszytu.

– To o palcu i ręce było o Mikołaju czy jednak chcesz pogadać o swoim związku? – zapytała.

Bartek milczał tak długo, że aż sprawdziła, czy połączenie się nie urwało.

– Nawet gdyby – zaczął – jesteś ostatnią osobą... Coś się w ogóle tak przyjebała?! Nie wiem, radość ci sprawia, że nie mam tak udanego życia jak twoje? To jakiś, kurwa, konkurs?!

– Racja – odpowiedziała. – Właściwie chodzi tylko o to...

– Rób te zdjęcia i się zwijaj. – Nie dał jej dokończyć. – Będę się odzywał, jakby coś się zmieniło.

Rozłączył się.

*

Zygmunt ekscytował się jak dziecko przez całą drogę powrotną, co zdawało się bardzo bawić Karwasza.

– No już, panie Zygmuncie, wystarczy – powiedział w pewnej chwili. – W tej branży ekscytacja jest niczym krew. Nie chce pan, by rekiny z księgowości ją wyczyły, bo będzie pan pracował za głodowe stawki.

– A tam. – Machnął ręką Gajewski. – Panie Janie kochany, Andy Garcia i Jon Bernthal. Ja to bym w takim filmie i za darmo mógł pracować.

– O, i tego też niech pan nigdy nie mówi. – Karwasz się zaśmiał. – Sztuka sztuką, jednak psuć rynku to panu nie pozwolę.

– A jak w ogóle reklama, panie profesorze? Będzie coś z tego? – zapytał Mikołaj.

– A czemu miałyby nie być? Znani ludzie, urocze zwierzątka. Ja jedynie się martwię, że wpłacić to może i ludzie wpłacą, tylko kto takie biedaki weźmie?

W tę stronę podróż minęła im szybko i sprawnie, bo wjechali do Warszawy już po wieczornych korkach. Zygmunt zapytał o piwo, ale Mikołaj i bez sygnału od Karwasza odmówił, tłumacząc się wieczorem z Kaśką.

– Jasne, w porządku, zrozumiałe – odparł Zygmunt. Wyglądało na to, że nic w tym momencie nie było w stanie zepsuć mu humoru. – A jest szansa, że wyrzucisz mnie koło metra Marymont? Ja już sobie spokojnie dojadę, a ty odwieziesz profesora.

– Jesteś pewien? – upewnił się Mikołaj. – Bo wiesz, aż tak mi się nie spieszy i...

– Nie, spokojnie. Naprawdę ogarnę.

Gdy już wysadzili go na Marymoncie, Mikołaj nie wytrzymał.

– No dobra, to teraz już chyba chcę wiedzieć – stwierdził. – Na czym to będzie polegało? Jak teraz chcecie doprowadzić do tego, żeby oddał pieniądze?

– Teraz to już za późno – odpowiedział Karwasz. – Poczekasz i się dowiesz. Ale powiem ci, że dobra robota. Ojciec byłby z ciebie dumny.

Mikołaj zerknął na niego.

– To żart? – zapytał. – Pan ze mnie drwi? Bo nie rozumiem.

– Nie drwię – odparł aktor. – Naprawdę jestem pełen podziwu, choć jednocześnie trochę mnie przerażasz, Mikołaju. Tak łatwo odnalazłeś się w tym wszystkim i tak dobrze się w tym trzymasz. Nie przeszkadza ci, że odbierasz komuś marzenia?

Mikołaj nie odpowiedział od razu.

– Widział pan *Skazanych na Shawshank*? – zapytał w końcu. – Taki film o facecie niesłusznie skazanym na więzienie, który spędza tam dziesięć czy piętnaście lat, a potem...

– Widziałem. Bardzo lubię – przerwał mu Karwasz. – Dlaczego pytasz?

– Bo jest tam taka scena, gdy główny bohater dostaje płyty z muzyką i postanawia podzielić się nimi ze wszystkimi więźniami, więc wbrew dyrekcji puszcza je w radiowęźle. Ląduje za to w karczerze, ciężko pobity, jednak uważa, że ta jedna chwila, gdy siedział z założonymi rękami na dyrektorskim krześle, była tego warta. Bo dostał wolności w więziennych murach. Tyle że to nie była wolność, panie Karwasz, tylko iluzja, ale taka, która jeszcze spotęgowała wrażenie tej prawdziwej.

Akurat dojechali na Mariensztat, więc Mikołaj zatrzymał się na awaryjnych na miejscu dla niepełnosprawnych. Odwrócił się do pasażera.

– Do dzisiaj, przyznaję, miałem wątpliwości – powiedział. – Jednak widziałem, jak się ekscytuje, jak przeżywa. I jasne, zaboli go, gdy wyjdzie, że został oszukany, ale myślę, że będzie pamiętał tamte emocje. I że będzie chciał poczuć je znowu.

Karwasz popatrzył na niego z powagą, po czym nagle wybuchnął śmiechem.

– Piękny wywód, mój chłopcze. Czyli tak naprawdę jesteśmy dla niego bardzo kosztowną terapią, tak?

Wciąż się śmiejąc, odpiął pasy i otworzył drzwi.

– Dobranoc, Mikołaju. I dziękuję za podwiezienie.

>Gdy koło północy Bartek zjawił się na Przybyszewskiego, ku niemałemu zaskoczeniu zastał tam Marcina i Ankę. Akurat rozmawiali z gospodarzem o „Dziecku szczęścia”. Gregg, a właściwie Grzegorz Brudnik, był przedwcześnie siwiejącym, ostrzyżonym na krótko brodaczem, któremu do bycia przystojnym brakowało raptem kilku miesięcy biegania i paru zmian w diecie. Niczego natomiast nie brakowało jego inteligencji, choć ta objawiała się w denerwujący sposób, bo przez zamięłowanie do szczegółu i roztrząsania drobiazgów, nawet jeśli nie budziły jego wątpliwości.

– Nie wiedziałem, że mamy spotkanie – powiedział Bartek. – A to nie jest tak, że w trakcie numeru powinniśmy zachowywać szczególne środki ostrożności?

Marcin przepił do tych słów trzymaną w dłoni puszką piwa.

– Oczywiście – odparł. – A znasz bezpieczniejsze miejsce niż to?

Gregg uśmiechnął się pod nosem na te słowa, jednak nie oderwał wzroku od trzymanego w dłoni tabletu.

– Dobra, skończył cię sprawdzać – zwrócił się do Marcina z wyraźną ulgą.
– Doszedł do trzeciej strony w wyszukiwaniu. Uparty skurwysyn.

– A ile przygotowaliście? – zapytał Bartek.

– Właśnie gdzieś tyle, potem już powtarzanie. Mało kto grzebie aż tak daleko.

– A Bosco i Houdina już sprawdzał?

– Ma w zakładkach – odparł Gregg. – Tam jest luz, bo leci z prawdziwych wyników. Pana superproducenta Andrzeja – wskazał na Marcina – to szyliśmy od zera i na miarę. A przy całym szacunku do wysiłku włożonego w imprezowanie, nie było tego znowu aż tak dużo. Ale chyba łyknął temat. O, czekaj, pisze do kogoś esemesa.

– Kiedy właściwie zhakowaliście mu telefon? – Anka spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– To ja – powiedział Bartek. – Ładował go w Damce na zapleczu. Pin taki sam jak do komputera.

– *Siema, czy twój gliniarski brat mógłby mi pomóc? Szukam policjanta, który zna się na oszustach.* Uśmiezek – przeczytał Gregg. – *Odpowiedź: Zapytam go. Coś się stało?* Gap: *Nie he he he potrzebuję konsultacji ale to sza.* Mrugajek.

– Mrugajek? – zdziwił się Marcin. – Co to, kurwa, jest mrugajek?

– No emotka mrugająca – wyjaśnił Gregg. – *Odpowiedź: Jasne.* Uśmiezek. *Jutro rano dam ci znać. Pozdro.*

– Czyli pełen sukces, kolejny oplot w pajęczynie zaliczony – stwierdziła Anka. – Nie trzeba będzie nawet podpowiadać. Dobra, a w temacie Kaśki i Mikołaja coś jeszcze robimy?

Gregg pokręcił głową.

– Nie, a przynajmniej nie my. My już teraz zajmujemy się tylko tą cholerną platformą. Właśnie, Bartek, kiedy planujecie to wszystko kończyć?

– W przyszłym tygodniu, a czemu?

– Bo zastanawiam się, jak długo jeszcze będziecie tu przyłazić – mruknął Gregg. – Następnym razem każdy, kto chce tu siedzieć, przynosi coś do żarcia dla wszystkich. A teraz idźcie już, bo mamy robotę.

– Turniej w coś gracie? – zapytał Marcin. – Może w Fortnite'a? Bo jakby co, chętnie... Ej, no nie patrz tak. Może nie jestem tak dobry jak wy, ale trochę gram.

– Idziemy – stwierdził Bartek i sam dla przykładu ruszył ku drzwiom. – Dzięki, Gregg, dzięki, chłopaki. Świetna robota jak zawsze.

– Dzięki, na razie – rzuciła Anka. – Bartek, podrzucisz mnie może?

– Przyjechałem Uberem.

– A, okej. No to ja chyba też tak zrobię. Dzielony?

Pokręcił głową.

– Chyba się przejdę.

Przyjrzała mu się uważniej.

– Wszystko w porządku? Bo nie chodzi ci chyba o tamte teksty, co? Głupie były, przepraszam, ale...

– Nie, w porządku. Zmęczony jestem trochę. Ganiańia dużo.

– Jak to w pracy. – Zaśmiała się i pocałowała go w policzek. – Dobra, to lecę, trzymaj się.

– Ty też.

Patrzył, jak wychodzi z budynku, a potem z całej siły kopnął w słupek poręczy.

– Kurwa. Kurwa mać!

*

Gdyby mogła, już by się wyprowadziła. Wszystko w tym mieszkaniu doprowadzało ją teraz albo do szału, albo do łez. Meble, drobiazgi na szafkach, kolory ścian, płytek, narzut i pościeli – patrząc na to, uświadamiała sobie, że choć mieszkanie jest jego, to ona była odpowiedzialna za niemal całą resztę. Czy dlatego, że we wszystkim jej ustępował, a może po prostu go to nie obchodziło? Nie umiała i nie chciała o tym teraz myśleć. Zresztą i tak nie zabierze ze sobą tego wszystkiego. Zostawi to, niech leży i mu przypomina.

Usiadła w fotelu z kieliszkiem wina i komputerem na kolanach. Włączyła go, kliknęła w przeglądarkę i zaczęła sprawdzać po kolei ulubione zakładki. Wiedziała, że powinna szukać mieszkania, jednak na razie nie miała na to ochoty. Postanowiła zatrzymać się na początku u matki, a potem na spokojnie poszukać czegoś przez znajomych. Opcja skorzystania z pośrednika, może nawet jednego z tych, których udało jej się wykiwać, oczywiście nie wchodziła w grę z masy powodów, ale nawet trochę ją bawiła.

Weszła na forum i zobaczyła, że pojawił się nowy wątek: FILM o B&H???

Zaskoczona odstawiła lampkę na stół i przeczytała krótką notkę, przypominającą trochę opis dystrybutora sklecony przez stażystę. Spojrzała

na autora komentarza – Makoaroni – i uznała, że wszystko jasne. Ten chłopak nie potrafił pisać. Jednak informacja o filmie brzmiała interesująco. Miało to być fabularne odtworzenie akcji w Gdańsku, gdzie rzekomo B&H przerobili duży trójmiejski gang, oferując im przy pomocy podstawionych włoskich mafiozów udział w nowym kanale przelutowym z Rosji. Grę, jeżeli wierzyć świadkom i dokumentom, przygotowano koncertowo do tego stopnia, że oszuści nie tylko uciekli z pieniędzmi, ale udało im się poważnie zachwiać wewnętrzną strukturą gangu, gdyż ta rozpadła się na kilka mniejszych.

Zdaniem Marty to dobry temat na film i chętnie by go zobaczyła, gdyby był dobrze zrealizowany. Tyle że taka produkcja obudziłaby powszechne zainteresowanie kręgiem i jego członkami. Zaczęłoby się szukanie, grzebanie. A wtedy...

– To już nie jest twoja sprawa – powiedziała na głos. Sięgnęła po wino, jednak po namyśle zamiast lampki chwyciła telefon. Otworzyła na nim forum i zrobiła printscreena ekranu z opisem filmu, po czym natychmiast wysłała do Bartka.

Widziałeś?

Odpisał po trzech minutach.

Tak. Dzięki za troskę.

Przeczytała tego esemesa, a następnie jeszcze raz spojrzała na opis filmu. I zaczęła się śmiać.

W piątek, na kolejnych zajęciach z improwizacji w Damce Karwasz ogłosił, że musi zrezygnować z ich prowadzenia ze względu na inne zobowiązania.

– Było mi niezmiernie miło pracować z każdym z was – powiedział, gdy już wszyscy z powrotem zajęli miejsca na widowni. – To wspaniałe doświadczenie widzieć, jak na scenie uwalnia się ta niezwykła energia i za każdym razem formuje się w coś innego. Nie zgubcie tego, trzymajcie w sobie, a zapewniam was, będzie wam to wynagrodzone. Nie tylko na scenie, ale w każdym aspekcie życia. Ja ze swojej strony zachęcam, byście nie odpuszczali tych zajęć. Nie wiem jeszcze, kto mnie zastąpi, jednak jestem przekonany, że pan dyrektor zadba o kogoś godnego waszego czasu. Dziękuję.

Nagrodzono go oklaskami, a on pożegnał się z każdym osobno, miło i serdecznie. Podawał ręce, odnosił się do konkretnych kwestii związanych z danym kursantem i wyraźnie pozwalał poczuć, że każdy z nich jest dla niego ważny.

– A, bo ja w końcu nie zapytałem, panie Zygmuncie – powiedział, gdy przyszła kolej na Gajewskiego. – Coś wyszło z tego castingu? Bo to chyba dzisiaj?

Mikołaj, który rząd dalej zmieniał buty, podniósł głowę, udając zaskoczenie.

– To dzisiaj było? – zapytał. – Ej, czemu nie przypomniłeś?!

Zygmunt podrapał się po głowie trochę zawstydzony, ale też dumny, że Karwasz pamiętał.

– Przygotowałem się, jak mogłem, i chyba dobrze poszło. W poniedziałek mają odzywać się z konkretami.

Karwasz położył mu rękę na ramieniu i ścisnął, uśmiechając się przy tym

dobrotliwie niczym dumny z syna ojciec – dumny, choć nie zaskoczony, bo przecież zawsze wiedział.

– To fantastycznie, panie Zygmuncie, będę trzymał kciuki. I proszę się tam nie dać.

– Dziękuję, panie profesorze – odparł Zygmunt. – Naprawdę dziękuję za wszystko.

Gdy pięć minut później razem z Mikołajem wyszli przed budynek, akurat zaczęło padać. Był to jednak ciepły, letni deszcz, wyczekiwany przez rozgrzane do czerwoności miasto, więc zamiast się schować, ruszyli spacerem w dół ulicy Grzybowskiej. Nie spłoszyły ich nawet błyskawica i grzmot, które przetoczyły się po niebie z kilkusekundowym odstępem.

– A poważnie to jak poszło? – zapytał Mikołaj.

– Ciężko powiedzieć – stwierdził Gajewski. – Odgrywałem różne scenki i w kilku momentach mogłem przeszarżować. Chociaż dobrze wyglądałem i czułem klimat. Tak mi powiedziała ta babeczka od nich, chociaż nie musiała. Wiesz, innym nie mówiła, do mnie wyszła pogadać. Więc chyba nieźle, nie?

– No, chyba tak – zgodził się Mikołaj. – Super, stary. Cieszę się.

Zygmunt zdjął i przetaił okulary, co zważywszy na nasilający się deszcz, było właściwie skazane na porażkę.

– W ogóle, Niki, to sorry, że się nie odzywałem, ale... Sam rozumiesz, trochę mnie stres zjadał. Ostatnie dni to siedziałem albo przed komputerem, czytając o oszustach, albo oglądałem filmy typu *Żądło*, albo ćwiczyłem jakieś głupoty przed lustrem. Jakieś scenki, pomysły. A, no i poznałem takiego policjanta, Skowroński się nazywa. Facet generalnie jest specjalistą od con-artistów w tym kraju. Wie o nich chyba wszystko!

– Nie ma sprawy, Zygmunt, naprawdę. I cholernie trzymam kciuki, żeby się udało.

Rozmawiając miło, choć w gruncie rzeczy potem już tylko o niczym, doszli do Jana Pawła, gdzie rozważali jeszcze jakieś piwo, ale ponieważ obaj zdążyli już zmoknąć, pożegnali się po prostu na przystanku i każdy z nich

wsiadł w swój tramwaj. Zygmunt obiecał, że jak tylko będzie coś wiedział, da znać, a niezależnie od wszystkiego spróbują się zderzyć w weekend.

Kilka minut później, gdy Mikołaj szedł na metro, deszcz przeszedł w ulewę, a później burzę.

*

Gdyby miał cokolwiek do powiedzenia w temacie, Marcin zakończyłby wszystko już dzisiaj i skrócił łańcuch o jedno ogniwo. Rozumiał ostrożność, ale w gruncie rzeczy co to za różnica? I tak po wszystkim musiał się przyczaić, i to na długo, a pewne środowiska, w tym show-biznes, już zawsze będą się wiązały z podwyższonym ryzykiem. Był tego świadom, choć to, że przy okazji dobrej akcji i czystej gry utarł nosa tym wszystkim świętojebnym celebrytom, zagrał na ich wrażliwości podszytej zwykłą próżnością, sprawiało mu niebywałą satysfakcję.

Trochę żałował, że ostatecznie nie udało się zrealizować tej społecznej kampanii, ale gdy potem jeszcze raz rozmawiał z Maurycym, starszy oszust wyjaśnił mu dwie istotne kwestie.

– Po pierwsze – powiedział – i tak by się rypło, a kampania z oszustwem w tle raczej by nie pomogła, prawda? No i druga rzecz, filmy to ślad. Coś, co zostaje i przypomina. Chcemy, by pamiętali?

Marcin trochę chciał, jednak wiedział, o co mu chodzi. Zresztą to nie było takie ważne. Liczył się numer, który zmierzał już do końca.

Teraz liczyło się wyczucie. Żadnego bezpośredniego nacisku, a jednocześnie przekonanie gapa, że teraz albo nigdy. Wyjął telefon, znalazł właściwy numer i zadzwonił.

– Panie Zygmuncie, dobry wieczór. Andrzej Toczek z tej strony. Tak, właśnie tak, Garcia, ha, ha, ha. Bardzo mi miło, że pan pamięta. Panie Zygmuncie, przepraszam za późną porę, ale właśnie widzę pana nagrania z dzisiejszego castingu i chciałem zapytać...

*

– ...kto pana reprezentuje, bo nie zostawił pan tej informacji – Zygmunt dokończył zdanie i wybuchnął śmiechem. – Kurde, Mikołaj, powinienem być o tym myśleć wcześniej?

Siedzieli na niemal pustym tarasie niewielkiego baru nad Wisłą. Wczorajsza pochmurna pogoda przeciągnęła się na dziś i miała utrzymać także jutro. Jeden z ostatnich weekendów lata zdecydowanie nie popisał się w tym względzie.

Mikołaj sączył piwo. Od dobrych dziesięciu minut właściwie tylko słuchał, raz po raz potakując, i nie za bardzo wiedział, jak mógłby bardziej zaangażować się w tę rozmowę.

Wiedział, że takowa nastąpi. Bartek go uprzedzał, dając przy okazji szczegółowe instrukcje postępowania, ale nie mówił, że to będzie tak szybko. Gdy Gajewski zadzwonił do niego rano z zapytaniem, czy mogą się spotkać, siedzieli akurat z Kaśką przed telewizorem, nadrabiając zaległe odcinki *Better Call Saul*, a właściwie niemal cały sezon. Nie była zadowolona, gdy powiedział, że wychodzi.

– Może zaprosz go do nas, co? – zaproponowała. – Zamówię coś na obiad albo zrobię.

– Nie wiem, o czym będzie chciał rozmawiać – skłamał. – No i tam postaram się uwinąć raz-dwa. Tu byśmy się go nie pozbyli. To fajny facet, tylko jak się nakręci...

– Ja go rozumiem – odparła Kaśka. – Fajnie jest, gdy coś się udaje, nie?

Odpowiedział, że owszem, i naraz zawisła nad nimi ta krępująca cisza. Taka, gdy obie strony uświadamiają sobie, że w rozmowę wkradła się niezręczność, wciąż na tyle subtelna, by można ją jeszcze zlekceważyć. Jej ostatnio faktycznie się udało i odnosiła sukcesy. On czekał na spadek po ojcu, który go opuścił, i był powiernikiem kumpla spełniającego marzenie.

– No dobrze, leć – powiedziała w końcu Kaśka. – Tylko nie siedź za długo.

Więc poszedł. A teraz siedział, słuchał i reagował zgodnie z wytycznymi od Bartka.

– W ogóle sporo mi wczoraj powiedział o tym projekcie. Wiesz, że robią

go częściowo przez crowdfunding? Temat rusza jutro i z początku będą to promować na produkcję offową, a dopiero potem wypalą z całością.

– Crowdfunding? Znaczy co? Nie mają pieniędzy?

– Nie no, mają – wyjaśnił Zygmunt. – Toczek mówi, że to po prostu świetne narzędzie promocyjne. Wyznaczasz jako cel małą kwotę, znacznie niższą, niż potrzebujesz, ale ludzie się angażują. Gdy wpłacają, to jest też po części ich film, rozumiesz. Jeśli cel zostaje osiągnięty, musisz zrealizować projekt, a jeśli nie, kasa wraca do ludzi.

– Zyga, ja wiem, jak działa crowdfunding. – Mikołaj się zaśmiał, na co Zygmunt wzruszył ramionami.

– No ja nie wiedziałem, bo nigdy nie musiałem korzystać. Fajne to jest. No i oczywiście kasy prawdziwej z tego nie będzie, tylko od sponsorów. Toczek mówi, że nie chce pracować z PISF-em, bo cholera wie, kto tam jest umoczony w sprawę.

– I on ci to wszystko powiedział przez telefon? Jezu, ten facet naprawdę za dużo gada.

– Co tam – odparł Zygmunt. – Gdyby nie jego gadulstwo, w ogóle by tego nie było.

Podniósł butelkę, jakby wznosił toast, po czym zorientował się, że właściwie nic jeszcze nie wypił. Szybko nadrobił i beknął dyskretnie.

– Przepraszam – powiedział.

Mikołaj machnął ręką.

– Czekaj, bo jednego nie rozumiem. Grasz w tym filmie główną rolę, tak? Znaczy jedną z głównych?

– Nie. To znaczy nie wiadomo jeszcze. Na razie jest tak, że podpisuję coś o deklaracji współpracy i kurier przyniesie mi jakieś kwity, ale kogo gram, to się okaże. Toczek mówi wprost, jemu pasuję, jednak inni naciskają na znaną gębę. I ja to, powiem ci, rozumiem. Zaraz wracam.

Wstał i przecisnął się do łazienki, skąd wrócił po pięciu minutach z dwoma kolejnymi piwami. Mikołaj westchnął ciężko.

– Dobra, stary, ale to już ostatnie. Znaczy ja naprawdę cieszę się razem

z tobą, tylko...

– Wiem, wiem. Masz życie. – Zygmunt klepnął go w ramię, a gdy usiadł, nagle się zamyślił. – Czy ja ci mówiłem, że wygrałem kiedyś w totka?

Mikołaj parsknął.

– Co zrobiłeś?

– No wygrałem. – Zygmunt rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć „nie moja wina”. – To było jeszcze na studiach, nie żadna wielka kumulacja, chociaż...

– Znaczący co, kurwa, szóstkę trafiłeś?

– No szóstkę. Dwie bańki wyszło.

Mikołaj pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Pierwszy raz widzę człowieka, który trafił w tym gównie więcej niż trójkę – stwierdził. – I co, pewnie wszystko przejechałeś? Albo sępy rozkradły?

– Część tak. No dobra, więcej niż część, połowę. I wcale nie przejechałem. Rodzicom mieszkanie wykupiłem, auto nowe. No dobra, na wycieczki też poszło, i na imprezy. – Dopił poprzednie piwo i znowu cicho beknął. – Przepraszam. Resztę też bym pewnie przejechał, gdybym nie poznał takiego Damiana. On siedział w finansach i jakiś czas mnie prowadził. Wiesz, giełda, takie sprawy.

– Czyli krótko mówiąc, jesteś milionerem, tak? – podsumował Mikołaj. – To powiedz mi, dlaczego właściwie sam sobie filmu nie zrobisz?

– Myślałem o tym, a potem zobaczyłem *The Room*.

– *The Room*? – Mikołaj potrzebował chwili, by skojarzyć. – Aaa, ten, co to ostatnio był o nim film? *The Disaster Artist*, tak? O najgorszym filmie świata? Dobra, kumam. No ale przecież nie tylko ten film powstał własnym sumptem. Jakby przejrzeć historię kina...

– Może potrzebowałem wiedzieć, że umiem? Że nie jestem tylko gościem z kasą, który może stawiać wszystkim warunki jak ten Tommy Wiseau od *The Room*. W końcu gównie wiem o robieniu filmów, nie znam ludzi.

– No to teraz znasz – powiedział Mikołaj i podniósł butelkę, kręcąc głową.

– Wygrał w totka, jebaniec. Pieprzone dziecko szczęścia.

– To się dopiero teraz okaże – stwierdził Zygmunt i obaj wybuchnęli śmiechem.

Bartek siedział na krześle i patrzył na pakującego się Karwasza, myśląc, że chciałby tak umieć. Trzymać rzeczy w szafie tak poskładane, żeby w razie potrzeby po prostu otworzyć walizkę i przełożyć skarpetki, spodnie, koszule. Wszystko podobne, więc bez szukania ulubionych, dołożyć kosmetyczkę, książkę, pięć minut i spakowany.

– Wiesz już, gdzie będziesz? – zapytał.

– Mam kilka pomysłów.

Bartek skinął głową, zupełnie odruchowo, bo przecież stojący tyłem Karwasz nie mógł tego gestu widzieć.

– Informować cię na bieżąco?

Aktor odwrócił się i wyszczerzył.

– Tylko w razie kłopotów, których raczej nie przewiduję – stwierdził, po czym przerwał pakowanie i usiadł na łóżku. – Cholera, dziwna rzecz. Jeszcze nigdy nie wyjeżdżałem przed końcem numeru. To takie... osobliwe. Jakbym uciekał.

– Co chciałbyś usłyszeć? – Bartek wyjął z kieszeni telefon i zaczął się nim bawić. – Trzeba było nie zostawać znanym aktorem. Teraz musimy dmuchać na zimne.

– Ano musimy – zgodził się Karwasz. Wyszedł z sypialni. – Chcesz kawy?

– Nie, dziękuję. Będę leciał. Tak tylko się upewniam, że wszystko mamy. Uruchomiliśmy serwis, sfabrykowaliśmy trochę wpłat, gap już się zaczepił i porozsyłał linki znajomym.

– To dobrze? Źle? Bo nie wiem. – Zabuczał ekspres i po chwili Karwasz wrócił z kawą. – Wiesz, że słabo się wyznaję na tych cudach od Gregga.

– Na razie nie stanowi większego zagrożenia. Gdybyśmy zrobili stronę po polsku, odezwałaby się konkurencja, jakieś PolakPotrafi.pl czy Wspieram.to,

jednak nasz serwis jest zachodni, stylizowany na amerykańskie Indiegogo. Jeśli ktoś się nie zna, potraktuje jak kolejną stronę do zbiórek. Gorzej jeśli się zna, ale to musiałyby i trafić, i zwęszyć aferę. Więc raczej luz.

Karwasz machnął wolną ręką. Odstawił filiżankę i wrócił do pakowania.

– Wolałbym tradycyjnymi metodami – stwierdził.

– On też są w odwodzie, przecież wiesz. Rzecz w tym, że ta metoda jest prostsza, bo nie musimy nic dodatkowo uwiarygadniać. Tu pracuje na nas renoma i marka już sprawdzonych serwisów. Zobacz, szefie, dzięki takiemu Kickstarterowi czy naszemu Wspieram.to wiadomo, jak to działa i wiadomo, że jest pewne. A potem trafiasz na podobną platformę i nie sprawdzasz dokładnie, bo uznajesz, że wszystkie serwisy działają tak samo uczciwie.

Karwasz z naręczem koszul zatrzymał się w pół kroku między szafą a walizką.

– Kiedy ja się tak zestarzałem, co?

– No miałeś na to trochę czasu – odparł Bartek. – I nic się nie martw. Zawsze jesteśmy gotowi na wariant klasyczny. Mogą zadziałać oba, zależnie od tego, co gap sobie wybierze. Będzie chciał, wpłaci na serwis. Postanowi pogadać z Marcinem? Ten jest na to gotowy. A gdyby nawet nie...

– Dobrze, już dobrze. – Karwasz zapiął walizkę i postawił ją koło łóżka. Wytarł ręce o spodnie. – Zrozumiałem i już się nie wtrącam. Radzicie sobie, a stary zrobił swoje.

Bartek wstał.

– Musimy jeszcze ustalić, co robimy z Mikołajem.

– To znaczy? – zdziwił się Karwasz. – Jeśli kasa będzie czysta, rozliczymy się z nim jak ze wszystkimi. A jeśli coś zacznie się psuć... Czytałeś ten zeszyt od Houdina. Na jego podstawie Mikołaj niczego nam nie udowodni. Więc w razie potrzeby wypalimy ze wszystkiego, co mamy.

– Jasne.

Podali sobie ręce i Bartek wyszedł.

Karwasz pokręcił się jeszcze po mieszkaniu, wyjął z lodówki wczorajszy niedojedzony obiad i podgrzał go w piecyku. Przy jedzeniu zamówił

taksówkę.

Nie chciało mu się wyjeżdżać, ale wiedział, że to jedyny dobry pomysł. Nie powinien rzucać na siebie nawet cienia podejrzenia. Może da się złapać Pudelkowi na jakiejś plaży – znany aktor wypoczywa z książką i ogląda się za dziewczynami.

Ciekawiło go, jak potoczy się ta sprawa później. Zwykle ostatnim etapem akcji było zabezpieczenie przed wyciekami do prasy, jednak tu wspólnie uznali, że właściwie dlaczego nie. Film o legendarnych oszustach wielkim oszustwem z udziałem celebrytów – czyż to nie brzmiało wspaniale? Jak prawdziwy przekręt dekady. Houdin musiał świetnie się bawić, wymyślając taki numer. I tak, do czego Karwasz doszedł po namyśle, okazał się lepszy niż ten cholerny Harry Potter. Bardziej...

– ...dydaktyczny – dokończył na głos.

Zamówił taksówkę na konkretną godzinę i przypomniał sobie, że nie spakował przyborów do golenia. Niósł je akurat do pokoju, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Podszedł, zerknął w wizjer i ku własnemu zaskoczeniu zobaczył stojącego na zewnątrz Mikołaja.

Otworzył.

– Co się sta... – zdążył powiedzieć, bo wtedy ręka chłopaka wystrzeliła jak z procy, trafiając go w szyję i Karwasz padł bezładnie na ziemię.

*

Zygmunt złapał go akurat w Złoty Tarasach. Marcin zerknął na telefon i zaklął cicho, bo nie było to najlepsze miejsce do przeprowadzenia rozmowy, zwłaszcza o tej porze w niedzielę, chociaż i tak nie znalazłby lepszego w centrum Warszawy. W grę wchodził jeszcze Centralny albo wyjście na deszcz. Odebrał.

– Panie Andrzeju, mam nadzieję, że nie przeszkadzam – zaczął Gajewski.
– Chodzi o to, że właśnie przeczytałem scenariusz... Jeszcze raz dziękuję za zaufanie! W każdym razie przeczytałem i jest wyśmienity. Wyśmienity! Te

dialogi, tempo akcji. No naprawdę świetna rzecz. I ja wiem, że nie powinienem tego mówić, Karwasz mnie przestrzegał, ale ja w tym muszę wystąpić, choćby za darmo.

Marcin pozwolił mu się wygadać. Powiódł wzrokiem za wysoką, szczupłą dziewczyną o prostych, sięgających pośladków włosach. Poruszała się tak, że na pewno miała doświadczenie z wybiegiem, i Marcin zastanawiał się, czy mógł ją gdzieś widzieć, skądś znać. Bo, nie ukrywał, chętnie by poznał.

Nagle zdał sobie sprawę, że Gajewski już nie mówi. Ile to trwało? Niezauważalną sekundę, wymowne pięć? Odchrząknął przede wszystkim, by dać znać, że wciąż jest na linii. Poza tym to był też dobry wstęp do tego, co zamierzał teraz powiedzieć.

– Bardzo się cieszę, że panu się podoba, panie Zygmuncie. – Starał się mówić spokojnie, w kontrze do ekscytacji Gajewskiego, ale i zwykłego sposobu mówienia wypracowanego dla tej postaci. – Niestety obawiam się, że napotkaliśmy pewną przeszkodę i projekt jest... No, zagrożony. Wycofał nam się jeden inwestor, bardzo poważny, i jeśli szybko nie znajdę zastępstwa... W każdym razie nie powinien pan czuć się zobowiązany terminami, tyle mogę powiedzieć.

Znowu zapadła cisza, jednak tym razem Marcin jej się spodziewał. Jego rozmówca potrzebował chwili, by to sobie poukładać, zrozumieć. Od nieba spełnionych marzeń do piekła zawiedzionych nadziei jest spory kawałek. Nawet jeśli spada się na łeb na szyję.

– A crowdfunding? – zapytał w końcu Zygmunt. – Może trzeba po prostu zwiększyć próg? Widziałem, że wpłaty idą dobrze, więc może...

Marcin się roześmiał.

– Przepraszam, panie Zygmuncie, nie śmieję się z pana, tylko to niestety nierealny pomysł. Próg na zbiórce wynosi sto tysięcy złotych i w najlepszym przypadku osiągniemy go za miesiąc. A ja potrzebuję dwóch milionów do pojutra. Gdyby to był milion, załatwiłbym od ręki, bo choć nie inwestuję swoich środków, to w ten projekt mocno wierzę. Ale dwa... – zrobił pauzę i odsunął telefon od twarzy, by kichnąć. Ktoś z przechodzących musiał mieć wyjątkowo uczulającego kota. – Przepraszam, nie powinienem pana tym

zamęczać, panie Zygmuncie. Nie składamy broni, jeszcze prowadzę rozmowy dzisiaj i jutro. Może któryś z pozostałych sponsorów da więcej? Może się uda. Będę informował, dobrze?

Gdy się rozłączyli, napisał do Bartka:

Odpalone. Czekamy.

OK, odpowiedział Bartek.

Skutki V

(wrzesień)

Bartek skończył oglądać filmik, ale wciąż nie odrywał wzroku od ekranu komórki Anki. Oddychał wolno, głęboko, powoli wciągając i wypuszczając powietrze. Usta miał ściągnięte, oczy lekko zmrużone. Milczał.

Anka nie była w stanie usiedzieć. Trzęsąc się, chodziła z telefonem Bartka tam i z powrotem po przedpokoju, od wejścia do kuchni do drzwi łazienki. To zerknęła na zegarek na ekranie, to nerwowo próbowała połączyć się na przemian ze Skowronem i Karwaszem pod wszystkimi znanymi im numerami.

– Nie odbiera, żaden nie odbiera. Kurwa!

– Może spróbuj do Maurycego albo Waldka?

– Na chuj mi! – ryknęła, po czym natychmiast wepchnęła sobie pięść w usta. – Przepraszam, kurwa, Bartek. Przepraszam.

Wstał i podszedł do niej, wyciągając rękę, jakby chciał ją objąć, ale Anka się odsunęła. Jeszcze raz wybrała numer Skowrońskiego. Jeden sygnał, dwa, cztery...

– Tu poczta głosowa numeru...

– Kurwa mać!

Bartek wrócił do salonu na kanapę. Opadł na nią ciężko i zaplótł ręce na karku. Potrzebował się skupić, jakoś ułożyć myśli.

Nie wiedzieli, co się działo. Karwasz zniknął, co przynajmniej do dzisiaj nikogo nie dziwiło, bo po skończonym numerze wysłał wiadomość, że wyjeżdża i że w razie potrzeby będzie pod telefonem. Tylko nie dało się do niego dodzwonić.

Marcin też zniknął, zresztą zgodnie z planem. Był twarzą „Dziecka szczęścia”, musiał się więc przyczaić, czy tego chciał, czy nie. Tyle że on

również miał być w kontakcie, a teraz nie odbierał. Telefon stacjonarny jego rodziców też milczał. To śmierdziało jeszcze bardziej.

Za co? To pytanie tłuło się w głowie Bartka. Za który numer? Czy w ogóle go znali, czy w nim uczestniczyli? Może za Gdańsk? Jeśli ostatnim numerem weszli tam w paradę lokalnym miastowym, ci mogli szukać odwetu. Tylko skąd w takim razie tyle wiedzieli o kręgu? No i ile dokładnie wiedzieli...

Nagle poderwał się i podbiegł do Anki.

– Daj telefon – zażądał.

– Ale gdzie...

– Daj mi, kurwa, ten telefon!

Podawała mu, a on szybko wybrał numer do Marty. Zaspana i zaskoczona, odebrała po trzech sygnałach.

– Tak? Co się stało?

Odetchnął.

– Gdzie jesteś? – zapytał. – Nic ci nie jest?

– U matki. I nie, nic. Co by mi miało być, Bartek? O co chodzi? – Słyszał w jej głosie, że się wystraszyła. – Coś się stało?

Nie wiedział, co powiedzieć. Kazać wezwać policję? Zaryglować drzwi? Zabrać matkę i natychmiast wyjechać z miasta? Nic nie przychodziło mu do głowy.

Skup się, skup się, kurwa, nakazał sobie w myślach. Skup się, skup się, skup... Może do mnie jeszcze nie dotarli, pomyślał. Jakimś cudem nie trafili do mieszkania Anki, tylko do jej domu rodzinnego. To znaczyło, że najpewniej szli po adresach zameldowania. Gdyby tak, do jego domu też powinni dotrzeć. Ale właśnie do domu, nie do Marty, która już tam przecież nie mieszkała.

I nagle go tknęło.

Wszedł na stronę, zalogował się, a gdy witryna się doczytywała, popatrzył na Ankę. Stała wpatrzona w niego, z rękami zaciśniętymi w pięści tuż przy twarzy. Nie musiał mówić, co i po co robi, domyśliła się.

Po chwili na ekranie pojawiły się obrazy z dwóch kamer, przedstawiające wnętrze jego mieszkania. Oba potwierdzały najgorsze obawy.

Bartek poczuł, że uginają się pod nim nogi. Oparł się o framugę i powoli osunął na podłogę.

– Jezu, jak dobrze, że jej tam nie było – szepnął, patrząc na poprzewracane regały, rozbity telewizor i porozrzucane rzeczy. Przez ułamek sekundy pomyślał, czy ktoś z sąsiadów, słysząc hałas, zadzwonił po policję. I jeśli tak, to czy w mieszkaniu nie znajdą nic, co mogłoby zaszkodzić kręgowi.

Anka przykucnęła przy nim.

– Dobrze, że ciebie tam nie było – powiedziała z nagłą stanowczością. Wyciągnęła do niego rękę, a gdy za nią chwycił, zapała się i pomogła mu wstać. – Teraz już wiemy, że jest chujnia. I że musimy jechać. Teraz, zaraz.

Potrząsnął głową.

– Gdzie chcesz jechać? Po niego? Opamiętaj się. Oni zaraz będą dzwonić, a jak im nie powiesz tego, co chcą usłyszeć... Jezu, sam nie wiem, sam nie wiem. – Teraz on zaczął nerwowo chodzić po przedpokoju. – Może powiemy, że Karwasz nam też zniknął, ale wiemy, jak go namierzyć. Może, nie mam pojęcia, spróbuję go udawać albo coś. Przecież nie wiedzą, kim jest Bosco, inaczej użyliby raczej nazwiska. Najważniejsze to teraz kupić czas i...

Stanęła dokładnie przed nim i położyła mu palec na ustach. Umilkł w jednej chwili, a ona uśmiechnęła się smutno i bardzo powoli, delikatnie, pokręciła głową.

– Nie jedziemy po Grzeška, Bartek – powiedziała. – On już nie żyje. Jedziemy po moją córkę.

*

Zatankowali do pełna na pierwszej stacji za miastem i ruszyli autostradą na Łódź. Prowadził Bartek, Anka w tym czasie rozmawiała przez telefon z teściami. I musiał przyznać, że choć znał jej możliwości, wiedział, co potrafi, zaskoczyła go tym, z jaką lekkością prowadziła tę rozmowę.

– Tak, mamo, i bardzo was przepraszamy, wiem, że sobie zaplanowaliście.

Ale to nagła sytuacja, naprawdę... Och, nic złego, po prostu mój szef miał lecieć z dziećmi do Eurodisneylandu pod Paryż, tylko syn mu się pochorował... Nie wiem, wyrostek chyba, w szpitalu wyładował. No to odkupiłam... – Przerwała, a potem zaśmiała się głośno. – Och mammo, jakie żerowanie na cudzym nieszczęściu? To dobry uczynek, bo tak by mu nie zwrócili... Na co za mała? Na Disneyland? Przecież ona uwielbia bajki Disneya... Tak, Grzesiu też tak uważa. Dałam mu teraz spokój, niech do mojego powrotu skończy tę pracę...

Odsunęła telefon od ucha, a wtedy uśmiech natychmiast spełził z jej twarzy, zupełnie jakby spadła z niej maska. Fascynowało go to i przerażało jednocześnie.

– Nie, no daj spokój, mammo. Co będziesz tatę męczyć, żeby jeździł po nocy. Ja już jadę i będę u was, poczekaj... – Spojrzała na telefon Bartka służący im teraz za nawigację. Wskazywał dwie i pół godziny do celu. – Za godzinkę, maksymalnie półtorej...

Bartek zjechał na lewy pas i przyspieszył z rykiem. Dobił do stu osiemdziesięciu i wbił tempomat.

– No to niech się kładzie, wezmę ją śpiącą do fotelika. Tak... Dobrze, mammo, to dziękuję... Nie, dziękuję, kupiłam sobie kanapkę na... Dobrze, dla Grześka możesz spakować, na pewno się ucieszy.

Rozłączyła się i natychmiast rozłożyła ręce, wypuszczając z nich telefon. Jakby ją parzył, jakby był najohydniejszą rzeczą, jakiej dotykała w życiu. Siedziała tak z rozcapierzonymi palcami, dysząc ciężko, drżąc na całym ciele.

Bartek wyciągnął ku niej dłoń, jednak od razu ją cofnął i położył z powrotem na kierownicy, bo Anka odsunęła się gwałtownie. Skupił się na drodze, choć wciąż nawet mimo ryku silnika słyszał jej płacz, gdy spazmatyczne wciągała powietrze. Czuł od niego ciarki rozchodzące się nieprzyjemnym mrowieniem po całym ciele.

Myślał wtedy: a może jest jakiś sposób, może coś wymyślą. Ale nie wymyślili wtedy, gdy tamci zadzwonili po raz drugi, a teraz telefon Grześka milczał. To nie zostawiało szczególnie dużego pola do interpretacji.

Za Łodzią Anka opanowała się na tyle, by przemyć twarz wodą z butelki i doprowadzić do jako takiego porządku włosy.

– Chcesz, żebym gdzieś stanął? – zapytał.

– Później – odpowiedziała. – Pod koniec trasy.

Skinął głową na znak, że zrozumiał, i kolejne pół godziny jechali w milczeniu. Zerkał na nią ukradkiem, widział jej wzrok skupiony na słabo oświetlonej drodze i zastanawiał się, jak daleko Anka sięga teraz myślami. Odbiorą małą i co? Ukryją się gdzieś? Pójdą na policję? Do Skowrona? Będą szukać Karwasza?

– Nie wiem – powiedziała nagle, jakby czytała w jego myślach. Aż się wzdrygnął. – Nie wiem, co robić, Bartek.

Nie mógł jej zaoferować żadnej porady, żadnego rozwiązania, choć bardzo chciał. Nawet obietnicy, choćby pokrzepiającego: damy sobie radę, przetrwamy to razem. Bo nie było żadnego razem. To kłamstwo, ułuda, mydlana bańka, jak umowa z Martą, jak krąg i całe ich życie! Ich nawet tak naprawdę, kurwa, nie było!

I nagle wiedział, co może jej dać.

– Czarek – powiedział. – Cezary.

Spojrzała na niego zaskoczona, a on wzruszył ramionami.

– To moje prawdziwe imię.

Patrzyła na niego tak, jakby przewiercała go na wylot albo rozkładała warstwa po warstwie jak na tych programach komputerowych do nauki anatomii, które pamiętał ze szkoły. Zrobiło mu się nieswojo.

– Maria – powiedziała w końcu. – Ale nie mów tak do mnie.

*

Czekał na nią w samochodzie. Widział, jak jej teść spogląda zza firanki, pewnie sprawdzając, czym przyjechała. A może z kim? W końcu zaświeciło się światło na klatce schodowej i niedługo potem Anka wyszła, niosąc zawiniątko w kocach. Szła krzywo, bo na ramieniu niosła wypełnioną po

brzegi torbę, ale nie wyszedł, by pomóc, bo miał wrażenie, że ktoś tam na drugim piętrze wciąż stoi przy oknie.

Wypiął się jednak z pasów i przechylił między siedzeniami, by otworzyć jej drzwi. Anka usadziła śpiącą małą na środku, taką pozawijaną przypięła pasami i położyła torbę na podłodze za swoim fotelem. Już chciała się przesiąść do przodu, gdy zmieniła zdanie, przestawiła torbę na siedzenie za kierowcą i usiadła z tyłu. Zamknęła drzwi.

– Jedź – powiedziała.

Ruszył bez słowa. Świt zastał ich w drodze.

VI

ŁUP

(sierpień)



Karwasz ocknął się, ale w pierwszej chwili nie mógł otworzyć zaropiałych oczu. Gdy wreszcie mu się to udało, zdał sobie sprawę, że siedzi na fotelu, nogi i ręce ma skrępowane grubą warstwą srebrnej taśmy. Od nadgarstków niemal po łokcie, od kostek po kolana. Szyja piekła go w miejscu oparzenia, a całe ciało mrowiło.

Rozejrzał się ostrożnie. Pomieszczenie było umeblowane jak kawalerka ubogiego studenta. W kącie stary tapczan, przy ścianie regał z książkami w miękkiej oprawie. Stół z jednym krzesłem, sprana namiastka dywanika, na ścianie kalendarz, a na nim większość dni oznaczonych krzyżykiem i cycata modelka z domalowanym szerokim uśmiechem.

Betonowe ściany bez tapety, żadnych okien, dwie ścianki działowe oddzielające od pokoju, tak przynajmniej podejrzewał, prowizoryczną łazienkę lub kuchnię. Szum spłukiwanej wody, który rozległ się po chwili, potwierdził pierwsze z tych przypuszczeń. Uświadomił też Karwaszowi, że nie jest tu sam.

– O, obudził się pan – zauważył Mikołaj, wychodząc zza przepierzenia. Jego czarne spodnie bojówki i tiszert khaki nasuwały groźne militarne skojarzenia, ale zwykłe czarno-białe trampki psuły efekt. Przeszedł na środek pokoju i rozłożywszy ramiona, wykonał powolny obrót. – I jak się podoba?

– Piwnica jak piwnica – stwierdził Karwasz. Jeszcze nie był pewien, jaki ton powinien teraz obrać, zdecydował się więc na możliwie neutralny. Chrząknął. – Możesz mi powiedzieć, Mikołaju, co ty właściwie zrobiłeś?

– Nie rozumiem pytania.

– W sensie skąd ta napaść i co ja tutaj robię?

– Aaa, to. Spokojnie, nie wszystko od razu. – Mikołaj się uśmiechnął. – Nie chce pan wiedzieć, jak idzie numer? Jest pan z ekipą w stałym kontakcie esemesowym. Właśnie godzinę temu przysłała wiadomość, że projekt

filmowy Ofensywa szulerów wsparto ogromnymi środkami w ramach akcji crowdfundingowej. Milion złotych! No kto by pomyślał? Znowu się udało, Bosco!

Karwasz nie odpowiedział.

Mikołaj podszedł do tapczanu, wyjął poduszkę i rzucił się na niego. Poduchę wsunął pod głowę.

– Mam dla pana dobrą historię. Romantyczną – dodał. – Chce pan posłuchać?

– Czy jest o tobie? Albo wyjaśni mi, co się tutaj dzieje?

– A nie wystarczy, że będzie po prostu dobrą historią?

W odpowiedzi Karwasz uniósł skrępowane ręce najwyżej, jak mógł, czyli mniej więcej na wysokość twarzy.

– To konieczne? – zapytał.

– Jeszcze tak – odparł Mikołaj. – To co, chce pan posłuchać opowieści?

– To bez znaczenia, czego chcę, Mikołaju – zauważył Karwasz. – Liczy się, że ty bardzo chcesz ją opowiedzieć.

– Chcę – zgodził się Otyś. – Ale nie muszę. Wcześniej wydawało mi się, że tak, trochę nawet żyłem tym momentem. Jednak potem pojawiła się inna myśl, trochę jak w *Skazanych na Shawshank*, pamięta pan tę rozmowę? I to też jest kusząca opcja. A jeśli nigdy się nie dowiesz? Jeśli resztę życia spędzisz na dociekaniu, co się właściwie stało? I powiem panu, cholera, sam nie wiem, która opcja podoba mi się teraz bardziej.

Karwasz pokiwał głową. Rozumiał to, miewał w przeszłości podobne dylematy.

– Odwieczny dylemat oszusta: podbudować własne ego czy zbudować legendę numeru – powiedział, po czym zaśmiał się krótko. – Ja wybrałem trzecią opcję. Znalazłem Skowrona, a on mówił za mnie. Ach, i nie myśl, że nie zauważyłem. Cieszę się, że wspominasz tu o reszcie mojego życia. Zabrzmiało tak, jakby jeszcze trochę miało potrwać, chociaż to może życzeniowe myślenie.

Ponownie uniósł ręce, tym razem, aby podrapać nieogolonym policzkiem

swędzące zgięcie ręki.

– No dalej, chłopcze. Opowiadaj tę swoją historię – zachęcił, po czym dodał: – Proszę.

Mikołaj, wyraźnie zadowolony, podciągnął się do pozycji półsiedzącej i poprawił ułożenie poduszki.

– Kojarzy pan Blaszką? – zapytał. – Tego gangstera z Krakowa. Wiktor Błachowski. Głośna afera była kiedyś, ze dwadzieścia lat temu, że niby zlecił podpalenie restauracji w czasie ślubu konkurenta. Jemu też przypisywano....

– Kojarzę, choć osobiście nie poznałem – odparł Karwasz. – Co z nim?

– Ano to, że moja mama udzielała się jako wolontariuszka w hospicjum i usłyszała kiedyś bardzo ciekawą historię na jego temat. A, jeszcze jedna rzecz: wie pan, kim jest Emilian Widacki?

Karwasz zmarszczył czoło. Coś mu mówiło to nazwisko.

– Jakaś rodzina tego adwokata Widackiego? – przypomniał sobie. – Jan Widacki reprezentował Kulczyka. I Wałęsę, a potem chyba posłem nawet został.

Po minie Mikołaja zrozumiał, że nie trafił.

– Nie wiem, czy to rodzina – przyznał chłopak. – O adwokacie nie słyszałem, jednak Emilian Widacki to taki prawie Kulczyk, tyle że siedział cicho. Regularnie na liście najbogatszych, ale nigdy w czołówce. Dużo różnych interesów, nic spektakularnego. Mówi się, że to on położył Lecha na Wawelu, a nie Jarosław z Dziwiszem. Cóż, gdyby chciał i się uparł, to by mógł. Bogaty prawak w każdym razie.

Karwasz westchnął.

– Dobra, Mikołaju. Bo zaczynasz mnożyć wątki, a mnie tu łeb napieprza i ręce drętwieją – powiedział. – Więc ja naprawdę chcę usłyszeć twoją historię, ale może skrócisz ją trochę albo dasz mi coś przeciwbólowego?

Mikołaj podniósł się z łóżka i zniknął za gipsową ścianką. Karwasz słyszał, jak odkręca butelkę i nalewa wodę, a potem wyłamuje tabletki z blistra. Po chwili zjawiał się ze szklanką i dwoma ibupromami. Podał je aktorowi do ust i pomógł popić.

– Dziękuję – odezwał się Karwasz. – Co więc łączy tych dwóch?

– Ilona Widacka-Błachowska. Córka jednego, żona drugiego. Media lokalne próbowały nawet z tego aferę kręcić, że taki mariaż biznesu i przestępczości, jednak to były inne czasy. Jeden z panów wziął gazety pod but, dogadał się i przeszło bokiem. Znaczący nikt tego nie kryje i nie krył, że Blaszak i córka Widackiego to małżeństwo, ale i nie wietrzy w tym skandalu. No co, co pana tak bawi, panie Karwasz?

Aktor pokręcił głową.

– Nic takiego. Tylko... zdałem sobie sprawę, że to chyba najdłuższa twoja wypowiedź, jaką dotąd słyszałem. Kontynuuj, proszę. Czekam, aż nastąpi zwrot akcji.

– Kiedy ten już nastąpił, i to dużo wcześniej. Jeszcze za komuny. Blaszak miał wtedy dziewczynę, Elżbietę Jerzyk. Bardzo ją kochał, chcieli się pobrać nawet, tylko przeszkodziły im jakieś zawirowania, jej rodzice, praca, przeprowadzka. W tym czasie Blaszak poszedł siedzieć i wyszedł dopiero przy okazji amnestii w osiemdziesiątym dziewiątym już jako zupełnie inny człowiek. Przeniósł się z grupą znajomych do Krakowa i zaczął działać. Słynął ze skuteczności i brutalności, ale i ze zdolności do przewidywania i planowania. To szybko dało mu... No wie pan, sukces w branży.

Mikołaj zdał sobie sprawę, że ciągle stoi. Podszedł do krzesła, ustawił je tyłem do przodu i usiadł okrakiem. Dopił wodę, którą przygotował dla Karwasza, i odstawił szklanekę za siebie, na stół.

– No dalej, panie Janie. Pewnie domyśla się pan reszty. Chociaż kawałek, co?

Aktor uśmiechnął się i znowu podrapał brodą po rękę.

– Trochę tak, jednak wolę to usłyszeć od ciebie.

– Nie liczy pan chyba, że ja się rozgadam, a tymczasem zjawi się ratunek?

– A nie zjawi się? – Karwasz udał zaskoczonego, co mocno rozbawiło Mikołaja.

– Nie, raczej nie. Przecież nie ma powodu, pan właśnie wypoczywa gdzieś w ciepłym kraju, trzymając się z dala od zgiełku. Ale proszę, skoro pan chce,

dokończę. Blaszak pnie się po szczeblach kariery, spotyka córkę Widackiego, pobierają się i nagle zostaje cichym królem Krakowa. Tyle że to... Jak to się ładnie nazywało w Rzymie? Pan będzie wiedział. Dwuwładza taka.

– Duumwirat.

– No właśnie! Blaszak i Widacki. Zięć i teść. Jeden to zaplecze finansowo-polityczne, drugi ramię zbrojne, a między nimi kobieta. I wszystko byłoby pięknie, gdyby...

– ...Blaszak nie spotkał dawnej miłości. – Tym razem aktor się nie powstrzymał i dokończył. Mina Mikołaja mówiła wyraźnie, że poczytał to sobie za mały sukces.

I słusznie, pomyślał Karwasz. Gówniarz mnie rozgrywa. Nie krył jednak, że jest ciekawy tej historii i tego, czy jego podejrzenia są słuszne.

– Tak jest, Blaszak spotyka Elżbietę Jerzyk, obecnie po mężu Gajewską. Rozmawiają o życiu, spędzają ze sobą trochę czasu, a Blaszak z jakiegoś powodu dostaje obsesji na punkcie jej dziecka...

Kolejna pauza, ale tym razem Karwasz nie dał się sprowokować. Siedział tylko i patrzył.

– ...chłopca imieniem Zygmunt, jak już się pan domyślił – dokończył Mikołaj. – Podobieństwo nie było oczywiste, jednak Blaszak zlecił badania i okazało się, że dziecko jest jego. Oczywiście nie mógł tego nikomu powiedzieć. Chciał pomagać Elżbiecie finansowo, ta jednak stanowczo odmówiła i w konsekwencji odcięła się od gangstera. Znalazł więc inny sposób. Oczywiście zna pan numer z praniem pieniędzy za pomocą Lotto, prawda?

– Muszę odpowiadać?

Mikołaj parsknął śmiechem.

– Jezu, oczywiście, że nie. Byłbym bardzo, bardzo zaskoczony, gdyby go pan nie znał. Zatem domyśla się pan już, w jaki sposób Zygmunt został dzieckiem szczęścia? Kolega namówił chłopaka na los, tatuś go podmienił i *voilà!* Nie budziło to niczyich wątpliwości, przecież nie kwestionuje się szczęścia. A potem jeszcze uczynny znajomy pomógł mu stosownie

zainwestować te pieniądze. Szczęście, panie Janie. Czystej wody szczęście! Zjemy coś?

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł do kuchni.

– Może pan mówić, jeśli chce pan o coś zapytać.

Karwasz jednak milczał. Układał wszystko w głowie, dopasowywał to, co właśnie usłyszał, do wydarzeń. I poczuł, że robi mu się niedobrze.

Tymczasem Mikołaj wrócił z dwoma dużymi kubelkami jogurtu. Postawił je na stole i wyjął z kieszeni szwajcarski scyzoryk.

– Jeśli pan obieca nie majstrować przy nogach ani nie rzucić się na mnie, uwolnię panu dłonie, co pan na to?

– Obiecuję. – Karwasz uniósł ręce, by łatwiej było ciąć taśmę. Gdy Mikołaj zabrał się do tego, zapytał: – To mówisz, że całą tę historię twoja mama usłyszała w hospicjum, tak? A od kogo?

– Nie wiem dokładnie. Matki Elżbiety? Jej ciotki? Kogoś z rodziny w każdym razie. Dobra, już. – Mikołaj cofnął się o krok i złożył nóż. – Proszę rozmasować i dam panu jogurt. Je trzeba zjeść w pierwszej kolejności.

– Nie rozumiem. – Aktor posłusznie zabrał się do rozmasowywania przedramion. – Jak długo zamierzasz mnie tu trzymać?

Mikołaj podrapał się po potylicy, jakby sam nie był pewien.

– Równiutko miesiąc, panie Janie – powiedział. – Sam pan mówił, że Gajewski zorientuje się za jakieś dwa tygodnie. No to skoro on, to i Blaszak. A może być pan pewien, że on się wkurwi. I gdy zacznie przetrząsać ulice, dostanie niezwykle wiarygodny cynk, kto to zrobił i gdzie szukać utraconych pieniędzy. Koperta, dane adresowe, zdjęcia, krótki list. Wszystko już gotowe. Tylko czeka na swoją chwilę.

– Nie rób tego – wycedził Karwasz. – Takie rzeczy potrafią się odbić...

– Panie Janie, pan mnie straszy? Naprawdę? – Mikołaj wziął się pod boki i spojrzał na niego z rozbawieniem. – Chyba nie myśli pan o tych wszystkich pierdołach, które na mnie zbieraliście, co? Rachunków, kwitów, odcisków w samochodzie czy śladów na moim koncie bankowym? Ekipa Gregga naprawdę nie jest jedyna w kraju, w dodatku grają bardzo rutynowo, a to nie

najlepsze w tym fachu. Nic w tej zabawie nie prowadzi do mnie. Jestem czysty. Wy za to... Cóż, zdecydowanie nie. Zwłaszcza pan, po tym jak po całej akcji ni stąd ni zowąd tak po prostu zniknie.

Karwasz otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale zamknął je i zwiesił głowę.

– Zabijesz ich – wyszeptał w końcu. – Zabijesz ich wszystkich! Marcina, Bartka, Skowrona...

– I Justynę – dopowiedział rozbawiony Mikołaj. – Zapomniał pan o asystentce mojej Kasi. I spokojnie, o Skowrońskim nie zamierzam wspominać, niech sobie działa dalej. Podobnie jak pan, jeśli po wyjściu uda się panu jakoś to poukładać. Ale wierzę w pana, naprawdę. A co do Marcina, Bartka i Justyny – przecież to nawet nie są ich imiona! Znam ich życiorysy i to jedno mogę panu powiedzieć na pewno – ci ludzie nie istnieją. Są pionkami w naszej grze, czy też, jak pan woli, szwindlu. I jako zawodowcowi nie powinno być ich panu szkoda. Jogurtu?

– Nie, dziękuję – odparł sucho Karwasz, wciąż masując dłonie. Zastanawiał się, czy nie rzucić się na Otysia, jednak wciąż był osłabiony, kręciło mu się w głowie, poza tym miał skrępowane nogi i zdrętwiałe ręce. A Mikołaj większość czasu trzymał się na bezpieczny dystans.

Teraz też musiał wyczytać z twarzy aktora jego zamiary, bo pokręcił głową.

– Bez szans, panie Janie. Nie ma co próbować, bo nie chcę, żeby się pan poturbował. Zresztą ja sobie zaraz stąd pójdę, a pan znajdzie tu wszystko, by wytrzymać ten miesiąc. Jedzenie, kanalizację, wodę. Tylko tę ostatnią proszę oszczędzać, przynajmniej w kwestii mycia i spłukiwania. Zbiornik nie jest bardzo duży.

Podszedł do stołu i wziął z niego jeden z jogurtów i łyżeczkę.

– Na drzwiach z drugiej strony jest zamontowany zegar do zamka. Otworzy się równiutko za miesiąc. Potem zrobi pan, co będzie pan uważał. Do Warszawy jest co prawda kawałek, jednak zostawię panu pod schodkiem telefon. – Coś zawibrowało mu w kieszeni, więc sięgnął i sprawdził, po czym wyszczerzył się w głupkowskim uśmiechu. – O, widzę nawet z jakim

zdjęciem na tapecie. Pan zobaczy, jak świętują zwycięstwo. Proszę. Zaraz ich pan opieprzy za nieostrożność, ale niech się nacieszą.

Podszedł i pokazał mu zdjęcie. Na pierwszym planie był Marcin i to on trzymał telefon. W głębi, przy długim stole zastawionym mięsiwem siedzieli Anka, Bartek i dwóch chudzielców z ekipy Gregga. Roześmiani wznosili kufle lub widelce z kawałkami krwistych steków.

– Najważniejsza jest satysfakcja z dobrze wykonanej pracy, co nie?

Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia tak, jakby celowo prowokował Karwasza do ataku. Przystanął dopiero w progu. Wziął do ust kolejną łyżeczkę jogurtu i spojrzał na zegarek.

– To co, panie Janie, zaczynamy?

– Czekaj! – krzyknął Karwasz i jakby zawstydzony tym nagłym wybuchem, poprawił się nerwowo na fotelu. – Nie wiem, jak i dlaczego to zrobiłeś. Chciałeś udowodnić, że jesteś lepszy od nas? Udowodniłeś. Chciałeś zemścić się za coś, odegrać? Udało ci się. A jeśli chcesz więcej pieniędzy, załatwimy to. I możesz mnie tu trzymać, ale nie rób im tego...

Przerwał, gdy dostrzegł wyraz obrzydzenia na twarzy Mikołaja. Chłopak wrzucił łyżeczkę do kubelka i cisnął go na bok. Wrócił do głównego pomieszczenia, podszedł do regału, przewertował grubą książkę Folleta i wyjął z niej kopertę. Patrząc Karwaszowi prosto w oczy, przedarł ją na pół i wepchnął do kieszeni.

– Myślałem, że pan sobie znajdzie i poczyta – powiedział. – Jednak nie zasługuje pan na żadne wyjaśnienie, panie Karwasz. – Prychnął. – Pieniądze? Ma pan na myśli to, co pewien podstarzały aktor trzyma w sypialni, w skrytce pod podłogą? O to panu chodzi? Jest pan jak naczelnik więzienia w *Skazanych na Shawshank*, panie Karwasz. Zgubiło pana przekonanie, że ma pan monopol na bycie draniem. A nikt go nie ma.

Przecesał włosy i na moment zniknął za przepierzeniem.

– Dobra, bo muszę jeszcze dojechać do Warszawy, dziś przecież świętowanie. – Przystanął i się zamyślił. – Swoją drogą to zabawny, wyjątkowy wieczór, czyż nie? Jedna taka chwila, gdy dwie strony są

przekonane, że właśnie wygrały. Właściwie ostatnia chwila, by jednak zmienić zdanie i zrobić coś dobrego, prawda? Bo potem to już tylko...

Nie dokończył. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Zygmunt Gajewski siedział w ogródku Hard Rocka i próbował skupić się na czytaniu książki, częściej jednak niż na czytnik patrzył na przechodzących wokół ludzi. A tych, jak zawsze w tym miejscu, było mrowie. Ludzie spieszący z dworca i na dworzec, klienci Żółtych Tarasów i grupki młodzieży, które neon w kształcie gitary uważały za doskonałe miejsce spotkań. Wciąż jeszcze ciepły wieczór niósł ze sobą obietnicę chłodu, jakże upragnioną po upalnym dniu. Warszawa zdążyła już zapomnieć o weekendowych deszczach.

Gajewski sięgnął po szklankę lemoniady, ale nie było w niej już niczego prócz topniejącego lodu, kawałków cytryny i listków mięty. Przywołał kelnera i poprosił o kolejną.

– Jasne. – Wytatuowany chłopak z gęstą, starannie wypielegnowaną brodą odruchowo wyjął notes z logo restauracji i przerzucił na wolną stronę. – A coś do jedzenia?

– Jeszcze dziękuję, czekam na kogoś.

– Dobra, pewnie. – Kelner schował notes. – Czyli jeszcze jedna lemoniada mango, tak?

– Tym razem poproszę zwykłą.

– Pewnie, zaraz podam – zapewnił i przeszedł do stolika właśnie zajmowanego przez trzech mężczyzn w garniturach, by uprzątnąć stojące na nim brudne naczynia.

Mikołaj zjawił się kwadrans później. Wylał się z falą widzów wychodzących ze specjalnego pokazu w Multikinie. Wyraźnie zawyżał średnią wieku – choć już nie wzrostu – i jako jeden z naprawdę niewielu nie miał na sobie promocyjnej koszulki z logo Disney Studios.

– Mogłeś powiedzieć, że chciałeś iść do kina, a nie wymyślać sobie

podróże – powiedział z udawanym wyrzutem Zygmunt, gdy już się przywitani.

– Nie mogłem. Jeszcze byś poszedł ze mną, a ja się strasznie wzruszam na animacjach – odparł Mikołaj. – A poważnie to nawet nie wiem, co to było. Tyle tego wypuszczają w roku, że już się gubię.

– Ja też nie wiem. Odkąd Pixar zszedł na psy z kontynuacjami, to w zasadzie nie oglądam. Jak podróż? Głodny jesteś?

Podał Mikołajowi kartę, jednak ten odłożył ją na stół i uśmiechnął się krzywo.

– Podróż w porządku, a to może poczekać. Teraz mów. Co się stało?

– Ale co? – Zygmunt starał się udawać, że nie rozumie, jednak niezbyt mu to wychodziło.

– No już, oczy ci się świecą, noga chodzi. Mów, człowieku! Znaleźli brakującego inwestora, tak?

– Tak.

Mikołaj odetchnął z wyraźną ulgą.

– No to, chłopie, gratulacje! Toczek powiedział ci, komu masz podziękować? Nie wiem, pojechać laskę zrobić za szansę?

Gajewski parsknął.

– Musiałbym sobie chyba żebra usunąć jak Marilyn Manson. Ej, no co jest, czemu tak spoważniałeś?

– Chcesz powiedzieć, że ten inwestor to ty? Kurde, Zygmunt, przemyślałeś to dobrze?

– A co tu myśleć, człowieku? – Gajewski wzruszył ramionami. – Dostałem scenariusz i wiem, że to będzie sztos. To taki *Vinci* Machulskiego, tylko na sterydach. No i... – ściszył głos i pochylił się nad stołem – ...z Garcia i Bernthalem. Lepszego startu sobie wymarzyć nie mogłem.

Mikołaj wciąż nie wyglądał na przekonanego.

– Sprawdziłeś to? Jesteś pewien?

– Puściłem przez tę zbiórkę na crowdfundingu. W razie czego, jakby film

miał nie wyjść, to oni będą ich ścigać. Czytałem parę tekstów na ten temat, nie chciałbyś z nimi zadzierać. A, no i gadałem z tym Skowrońskim z policji.

– I co powiedział?

– Mówi, że dla niego głupotą jest wydawać takie pieniądze na film. O, dziękuję panu! – zwrócił się do kelnera, gdy ten postawił na stoliku szklanę z lemoniadą. – To co, zamawiamy? Dla mnie jakiegoś dobrze wysmażonego burgera.

– Legendary? – podsunął kelner. – Klasyka zawsze na miejscu.

– Dobra, to pójdziemy w klasykę – zgodził się Zygmunt. – Dla ciebie?

– Ja poproszę Big Cheesburgera i do tego lemoniadę.

Kelner zanotował.

– To wszystko? – zapytał. – Może jakiś deser?

– Na razie nie – powiedział Mikołaj. – Ale proszę zostawić jedną kartę. A, i żeby nie było wątpliwości, dzisiaj ja stawiam. Ja nie robię ryzykownych inwestycji.

Zygmunt odchylił głowę, wybuchając śmiechem.

– Wiesz, kto nie ryzykuje... – stwierdził i przepił lemoniadą. – A po co właściwie wyjeżdżałeś, jeśli można?

Mikołaj machnął ręką.

– Ech, z ciotką mam problem – wyjaśnił. – Chora jest, sama na mieszkaniu, będę tam musiał na jakiś czas pojechać, pomóc w załatwieniu ośrodka. Dobrze, że robotę mam zdalną, to chociaż z tym nie będzie problemu. Ale moja to raczej zadowolona nie będzie.

– Kurde, przykra sprawa, stary. – Gajewski wyraźnie nie wiedział, jak zareagować. Na moment uciekł wzrokiem na bok i zmusił się, by jednak spojrzeć na Mikołaja. – Wiesz, jakbym mógł jakoś pomóc czy coś, to dawaj znać.

– Rolę mi załatw. Choćby trupa – odparł Mikołaj ze śmiechem.

– To masz jak w banku – powiedział Zygmunt z powagą.

*

Świętowanie, które zaczęło się obiadem, skończyli dopiero koło pierwszej. Właściwie do tej godziny zostali już tylko we trójkę, Anka, Bartek i Marcin.

Właściwie to był jeszcze plan, by pójść gdzieś potańczyć, ale Anka po namyśle stwierdziła, że jednak spasuje, bo rano miała pracę.

Na ewakuację ze stanowiska asystentki Kaśki potrzebowała około tygodnia, by nie robić tego z dnia na dzień i nie wzbudzać podejrzeń. Poza tym podobała jej się ta praca i, jak stwierdziła, gdyby nie to, że chciałyby chociaż chwilę posiedzieć w domu z dzieckiem, być może nawet popracowałyby dłużej.

– A mnie się zwyczajnie nie chce – szczerze i dosadnie podsumował temat Bartek. – Właściwie jedyne, co mi teraz chodzi po głowie, to żeby porządnie się wyspać. No i jutro muszę sprawdzić, czy Maurycy wszystko w Wólce posprzątał.

Marcin pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą.

– Kurwa, jesteście starsi, niż wyglądacie. Z wami to naprawdę lepiej pracować niż świętować.

Ostatecznie jednak i on dał za wygraną. Miał teraz trochę czasu na kluby. Przez najbliższe dni powinien być na miejscu, by wyciszyć podekscytowanego gapa i dać mu poczucie, że wszystko jest w porządku. Na tym etapie działania to nie była już praca na pełen etat.

– To był ładny numer, kochani – powiedział, gdy się rozstawali. – Powinniśmy częściej grać razem.

Skutki VI

(wrzesień)

Skowroński od rana siedział na telefonie. Nie było to łatwe, bo musiał się nagimnastykować, żeby uzyskać informacje o zabójstwie męża Anki bez jednoczesnego wzbudzenia podejrzeń swoją ciekawością. A nie umiał znaleźć żadnego powodu, by móc się z tą sprawą związać legalnie.

Tamtego feralnego wieczoru, gdy Anka, próbując się do niego dobić, zostawiła mu prócz śladów połączenia kilkanaście dramatycznych wiadomości, Skowroński nie mógł odebrać, ponieważ w jego telefonie numery zarówno Anki, Bartka, jak i Mikołaja zostały zablokowane. Odkrył to dopiero po kilku dniach, gdy Anka zadzwoniła do niego z nieznanego numeru z Niemiec. Zaskoczony przejrzał uważnie kontakty i całą trójkę znalazł na czarnej liście, której powiadomienia odruchowo lekceważył, bo do tej pory umieszczał na niej wyłącznie telemarketerów i firmę windykacyjną, gnębiącą go o czterdzieści złotych niezapłaconej kiedyś raty.

Próbował dojść do tego, w jaki sposób te trzy numery trafiły do automatycznie blokowanych, bo z całą pewnością nie wrzucił ich tam sam, a zrobienie tego przypadkiem nie wchodziło w grę. Przeanalizował ostatnie kontakty i wyszło mu, że po skoku dzwonił do niego wyłącznie Mikołaj. Nalegał na spotkanie, a gdy do niego doszło, zaniepokojony poinformował go, że Zygmunt coraz bardziej się martwi trwającym już od kilku dni milczeniem Marcina i że następnego dnia zamierza jechać do Wólki.

– Jak się okaże, że nic tam nie ma, pewnie się domyśli – powiedział Mikołaj. – I wtedy zgłosi się na policję.

Skowron nie wydawał się tym szczególnie zmartwiony.

– No przecież wiesz, że to było nieuniknione, prawda? – odparł. – I jak myślisz, kiedy już się na nią zgłosi, to do kogo? Przecież zrobił research w sprawie specjalistów od oszustw.

Widząc jednak, że Mikołaj wciąż nie jest przekonany, w jego obecności napisał na awaryjny numer Karwasza esemesa z informacją o sytuacji.

– *Powiedz szczeniakowi, że nie ma nerwów do tej roboty* – przeczytał odpowiedź.

Teraz jednak Karwasz nie odpowiadał i Skowroński był już pewien, że coś jest kurewsko nie tak. Nie wiązał jeszcze tego z nikim konkretnym, ale po kilkukrotnych próbach skontaktowania się najpierw z Marcinem, a potem z jego rodzicami, poprzez znajomego na Śląsku złożył anonimowy donos.

Informacja, która przyszła kilka godzin później, sprawiła, że Skowrońskiemu, mimo tylu lat doświadczenia w psim zawodzie, zrobiło się słabo.

*

Sześć dni później, w samo południe, w piwnicy Karwasza rozległ się szcęk otwierającego się zamka i krótka melodyjka.

Aktor ostrożnie otworzył drzwi i wyszedł z pomieszczenia, w którym spędził ostatni miesiąc wprost na niewykończone schody wiodące na parter. Na pierwszym z nich, w woreczku strunowym, leżał telefon komórkowy. W jego pamięci był zapisany tylko jeden kontakt: Podkomisarz Marek Skowroński.

EPILOG

(początek października)

Oprócz niego w restauracji Gościńca pod Bukiem siedziała trzyosobowa rodzina. On z wąsem i fryzurą ze zmierzchu stulecia, w czarnym krawacie do szarej marynarki, ona z włosami w warkocz, w prostej sukience w niegustowne, ciemne wzory. Z nimi chłopiec, trzynaście, może czternaście lat, w czarnych spodniach w kant i białej koszuli z krótkim rękawem i pagonami. Jedli w ciszy, wyprostowani, z łokciami przy sobie, najpierw rosół z makaronem, potem schabowy z ziemniakami i kwaszoną kapustą. Gdy skończyli, chłopiec zapytał nieśmiało o deser.

– Nie tutaj – odparł ojciec i poszedł się rozliczyć. Potem wyszli.

Karwasz zajął miejsce z widokiem na park. Gdy trafił tu raptem dwa lata temu, to miejsce zrobiło na nim bardzo dobre wrażenie. Ale wtedy był późny wieczór, alejki między drzewami skąpane w pomarańczowym świetle latarni, strumień pod kamiennym mostkiem skrzył się w blasku księżyca, a z pobliskiego amfiteatru dochodziły rytmiczne dźwięki bębnów w ramach trwającego Drum Djemboree.

Teraz było tu po prostu ładnie. Jakaś para zmierzała do altanki. On pchał wózek dziecięcy na wielkich terenowych kołach i choć podjazd wyglądał na ostry, nie sprawiało mu to trudności. Na lewo grupa chłopców wykorzystywała srebrne barierki wydzielające strefę płukania złota do uprawiania skoków z brzegu na brzeg. Pytał ich o to wcześniej, o tę zabawę. Użyli nazwy brzmiącej z francuska.

Drugi kwadrans mieszał już ledwie letnią kawę. Ciasta nie tknął, choć wyglądało apetycznie. Raz po raz spoglądał na zegarek, a potem znowu w okno.

Mimo iż miał stąd widok na prawie cały parking pod Gościńcem, Karwasz nie zauważył, jak Skowron podjechał. Zobaczył go dopiero, gdy tamten

zmierzał do budynku i kiedy znalazł się w środku, aktor skinął mu ręką, jakby się bał, że policjant nie zauważy go pośród pustych stolików.

Zauważył. Odmachał, zamówił kawę u kelnerki i podszedł. Uścisnęli sobie ręce i Skowroński usiadł.

– Ładne miasteczko – powiedział. – Ciche takie.

– Ano ładne – zgodził się Karwasz. Ciszy komentować nie zamierzał. Przez ostatni miesiąc aż nadto jej się nasłuchał. Wtedy, snując się po niewielkim schronie, który okazał się specjalnie zaaranżowanym podpiwniczeniem rodzinnego domu, budowanego dwadzieścia kilometrów stąd, na niemal totalnym odludziu, sądził, że taka cisza i konfrontacja sam na sam z własnymi myślami to najgorsze, co mogło go spotkać. A potem, gdy na zegarze wyświetliło się zero i otworzyły się drzwi, świat pokazał mu, że jednak się mylił.

– I jak jest? Jak Blaszak?

– Oficjalnie jest tak, że odpuści. Pieniądze przyjął w każdym razie. Wiesz, pewnie... O, dziękuję pani bardzo. A mógłbym jeszcze cukru?

– Ode mnie weź.

– W takim razie wszystko, dziękuję. – Skowroński rozerwał na raz dwie torebki i wsypał zawartość do niewielkiej filiżanki. Potem dobrał jeszcze jedną torebkę od Karwasza. – Wiesz, on też nie może iść na otwartą wojnę, bo przecież nie chce, żeby to wyszło. Ojebaliśmy mu pralnie, taka jest narracja na ulicy. To znaczy dzieciaki ojebały. Ty i ja rzeczywiście jesteśmy czyści. Także oficjalnie, bo tak jak gadaliśmy, pokazałem Gajewskiemu zdjęcia Marcina i oficjalnie potwierdził, że to on stał za przekrętem filmowym. Śledztwo w temacie współpracowników trwa, ale mam je pod kontrolą. Przyklepałem mu też kilka wcześniejszych spraw, w tym tę warszawską przygrywkę.

Aktor pokiwał głową, powoli, z rozmysłem. Wyjął łyżeczkę z kawy, obejrzał ją i znowu zaczął mieszać.

– Jakieś wieści o Ance i Bartku?

– Nie najlepsze. – Skowroński westchnął. – Anka jest główną podejrzaną

w sprawie śmierci męża. Teściowie obciążają ją i kochanka, z którym przyjechała. Robię, co mogę, ale gdybym nie miał pewności, że to nie oni... Kurwa, że mnie wtedy na ten wyjazd za miasto wzięło! Gdybym tylko był w zasięgu, kiedy dzwonili. Zanim pozbyli się telefonów.

Uniósł filiżankę do ust, dmuchnął i skosztował. Skrzywił się, parząc sobie usta.

– Próbowali się kontaktować? – zapytał Karwasz.

– Raz. Rozmawialiśmy chwilę. Powiedziałem im, że działam. Ale jedyne, co mogę, to powiązać ich z Marcinem i wpieprzyć w skok. Wtedy pójda siedzieć, tylko na krócej.

Umilkli. Skowroński pierwszy odwrócił wzrok.

– Widziałem zdjęcia rodziny Marcina – powiedział. – Zasyпали ich ługiem. Obrzydliwe gównno.

Wzdrygnął się i odsunął od siebie kawę, by jednak zaraz przysunąć ją z powrotem.

– Mam jeszcze wieści w sprawie Otysia – odezwał się wreszcie. – Chcesz?

– Chcę?

Skowroński odstawił filiżankę i pochylił się ponad stołem.

– Kurwa, Janek, ja rozumiem, że jesteś aktor – powiedział ściszym głosem. – Rozumiem wyrzuty sumienia, wkurwienie, żal, wszystko łapię. Ale weź mi nie odstawiaj teraz teatralnych zagrywek, bo kurwa, za dużo jest teraz gówna wokół, by i to znosić. Chcesz usłyszeć, czego się dowiedziałem, czy nie chcesz? Proste pytanie.

Karwasz zaśmiał się gorzko.

– No proste. I tak, chcę usłyszeć.

Skowroński wyprostował się, oparł ręce na stole.

– No więc niczego nie wiem na pewno. Faktycznie wychowywał się bez ojca, który odszedł, gdy dzieciak miał z osiem lat. Żyli sami z matką, ale nie klepali jakiejś strasznej biedy. W szkole ambitny i obrotny. Lubił podróże i nieustannie kombinował z programami pomagającymi mu je opłacić. No i faktycznie jeździł dużo, blisko i daleko. Jeśli nie wiesz, na co patrzeć – nic

niezwykłego, wyjazdy wakacyjne do Stanów i Meksyku, te w stylu pół czasu pracujesz, pół zwiedzasz. Europa na stopa i takie inne. Miga czasem na stronach tej czy tamtej wycieczki, jest opisany jako uczestnik różnych programów. Samo w sobie nic, jeśli jednak zestawisz to na przykład z artykułami o przekrętach i con-artistach, zaczyna się nakładać. Jeździł tam, gdzie wcześniej coś się działo. No i sieć. Jest zarejestrowany na różnych forach związanych z tym tematem, komentował, a więc czytał strony i artykuły, i jak ostatnio się dowiedziałem, korespondował z byłymi glinami, dziś łowcami oszustów. Szukamy też w środowisku, czy ktoś z nim gadał lub mógł gadać, ale gdy giną ludzie, nikt raczej się nie przyznaje.

Napił się kawy.

– Na moje – podjął – musiał sprawdzić każdą plotkę, każdą grubszą akcję opisaną w gazetach, bo szukał Houdina. No i istnieje podejrzenie, że go znalazł w pierdlu w Meksyku. Co by pasowało do kartki z Chile. Teraz już się nie dowiemy, bo nie dotrę do tamtejszych kwitów. Mam tylko plotki o polskim oszucie oraz potwierdzony, prawie trzymiesięczny pobyt Otysia w Mexico City.

Karwasz milczał, znowu utkwivszy wzrok za oknem. Na pobliskim placu zabaw mała dziewczynka, w czapce zdecydowanie za ciepłej jak na tę pogodę, domagała się od zajętej telefonem mamy, by ta ją pohuściła.

– Pamiętnik, list do ciebie, profil Gajewskiego – kontynuował Skowroński.
– To wszystko dzieciak zrobił sam. To znaczy nie w pojedynkę, to zresztą ty mówiłeś, że powoływał się na jakąś ekipę od czyszczenia podrzuconych śladów. Starannie wybierał, z kim pracuje, bo nikt ze znanych mi przy tym nie robił. A fałszerstwo fachura, nawet grafolodzy nie są zgodni. Do tej teorii o Meksyku nie pasuje tylko jedno – czas. Bo ten Polak, rzekomy Houdin, zmarł w pierdlu i o niektórych rzeczach nie mógł wiedzieć, a już na bank nie zrobiłby nam profilu Gajewskiego. To potwierdza słowa dzieciaka, że tę historię mógł usłyszeć od matki.

– Jak umarł? W sensie Houdin – odezwał się Karwasz.

– Ktoś go dźgnął w zamieszkach – odparł Skowroński. – Zlecenie, przypadek, chuj wie.

Przerwał, by dopić kawę, i skinął na kelnerkę.

– Jakbym mógł teraz, to bym jakąś zupkę prosił. Rosół macie?

– Mamy.

– To świetnie. Dziękuję pięknie.

Począł, aż dziewczyna odejdzie, i kontynuował.

– Na temat Górskiego z Piaseczna nie wiem niczego nowego. W sensie to nadal facet, który ma podobne warunki fizyczne, więc pasuje do opisu, nie ma rodziny, przyjaciół, a wcześniej nazywał się Jan Atlas. Jak podejrzewam, Otyś dobrze go sobie przygotował, licząc, że im mniej idealnie to będzie wyglądało, tym bardziej wyda nam się wiarygodne. Gdyby podłożył nam idealnego Houdina, nie nabrałibyśmy się. Ale zostawiając wątpliwości, pozwolił nam uzupełnić narrację. Klasyczniej już się nie dało. No i na pewno ta pielęgniarka, Wilk, jest czysta. Dziewczyna Otysia też raczej o niczym nie wiedziała. Teraz zgłosiła zaginięcie.

– Owszem, nie wiedziała – zgodził się Karwasz. – Anka mówiła, że Otyś związał się z tą Kasią już po śmierci matki, czyli wtedy, kiedy ruszył z planem. Dziewczyna była dla nas, byśmy mieli jak go sprawdzać. Przed nią też grał, a ona sprzedawała nam to swoją szczerością. Kłopoty finansowe, uśmiech losu, czyli rzekomy spadek od ojca – wszystko udawał. Pielęgniarka i jego dziewczyna są zupełnie jak ta babka z fundacji, która wyjęła nam celebrytów. Szczerość i autentyczność to zawsze klucz do najlepszych kłamstw.

Skowron chrząknął.

– Czy ja słyszę podziw w twoim głosie? – zapytał. – Bo przypominam, przez niego nie żyje Marcin, a Anka z Bartkiem są w dupie. Że już nie wspomnę o pomniejszych ofiarach, gdy ludzie Błaszaka, po tym jak im u dzieciaków nie wyszło, ruszyli na ulicę zbierać informacje.

Karwasz rozłożył ręce, a w głowie zahuczały mu słowa Mikołaja wypowiedziane w tej cholernej piwnicy: *Znam ich życiorysy i to jedno mogą panu powiedzieć na pewno – ci ludzie nie istnieją. Są pionkami w naszej grze.*

– To nie jest podziw, to zawodowy szacunek dla profesjonalnej roboty –

odparł. – Policz sobie, ile on to szykował. I od jak dawna trzymał legendę. Dziewczyna i zbudowanie z nią związku. Obciążenie finansowe w postaci opłacania staruszkowi ostatnich dni tylko po to, by w stosownym momencie przekazał zeszyt. Ja wiem, że gość cierpiał na nieuleczalną chorobę płuc, ale mimo wszystko. Okopał się tak mocno, że nawet tobie się lampka nie zapaliła! A potem krok po kroku sprawił, że jak ostatni naiwniak popełniłem w zasadzie wszystkie grzechy tego fachu. I do końca wydawało mi się, że to moja gra i czegoś przy okazji gnojka nauczę. – Przerwał, żeby nabrać tchu. – Przejdziemy się?

– Rosół zaraz dostanę.

– Poczekaj.

Karwasz podszedł do kontuaru, zapłacił za nich obu i poprosił o wstrzymanie się z rosółem, aż wróci. Gdy wyszli, głęboko wciągnął powietrze i ruszył schodami w dół, a potem przez plac zabaw na parkową alejkę. Skowron długo szedł dwa kroki za nim, aż w końcu przyspieszył, by się z nim zrównać.

– Jest jeszcze jedna rzecz – powiedział. – To również nic na sto procent, jednak obstawiam, że to może być jego prawdziwy motyw.

Karwasz przystanął. Popatrzył na goniące się dzieciaki i tę samą parę z wózkiem, którą obserwował wcześniej, a która teraz szła już dalej, w stronę amfiteatru i bębnowego festiwalu.

– Powinieneś od tego zacząć – zauważył.

Skowroński sięgnął do kieszeni, wyjął portfel, a z niego wycinek z gazety. Na zdjęciu artykułu o piekarzu pomagającym bezdomnym był postawny, łysejący mężczyzna i grupa roześmianych chłopców noszących skrzynki pełne chleba.

– To jest Otyś. – Skowron palcem pokazał jednego z nich. – A ten facet prowadził sieć piekarni i podobno bardzo pomagał okolicznym mieszkańcom. To znaczy do czasu, bo potem wpadł w poważne tarapaty finansowe, spiralę długów, a w końcu się powiesił.

Policjant złożył i schował wycinek.

– Kiedy sprawdzałem chłopaka za pierwszym razem, nie miałem szans na to trafić, bo nie jest to z nim bezpośrednio powiązane. Ale gdy sprawa się jebła, zacząłem grzebać szeroko, niestandardowo. I natknąłem się na to. Ktoś skroił tego piekarza, grubszy numer, od którego zaczęły się jego kłopoty. Nie wiem, czy to wy, czy po prostu oberwało się duetowi Bosco i Houdin, bo jesteście... a raczej byliście symbolem. Właśnie tym tropem doszedłem do tych wszystkich informacji. Na forach o oszustach logował się pod nazwiskiem piekarza. Gdy mi się to przypadkiem zgrało, cała reszta poszła łatwo. Pomogła mi zresztą Marta, była dziewczyna Bartka. To ona znalazła powiązania. W każdym razie to mi wygląda na motyw i tak bym obstawiał. Chęć zemsty w połączeniu z rosnącą fascynacją tematem oszustw. A że dzieciak jest socjopatą, padło na żyzny grunt.

– Może i tak – potwierdził Karwasz, jakby lekko rozczarowany. To było dobre wyjaśnienie, tylko jakby zwyczajne, banalne. Przyziemne takie.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, poczęstował policjanta i sam zapalił.

– Może kiedyś się tego dowiemy – dodał. – Wiadomo, gdzie ten chłopak jest teraz? Albo gdzie może być?

– Albo faktycznie tam, albo to po prostu żart... – Skowroński znowu sięgnął do kieszeni, jednak zamarł w połowie ruchu. – Nie, czekaj, w samochodzie zostawiłem.

– Co takiego?

– Pocztówkę dostałeś. Pustą.

– Z Chile?

– Blisko. Z Meksyku. Jakaś długa nazwa na Z. Zintulejo, Zin... Nie no, podejźmy do auta, sprawdzisz sobie.

Karwasz pokręcił głową.

– Nie muszę – powiedział, wypuszczając dym. – Zihuatanejo. To z filmu *Skazani na Shawshank*. Narrator spotyka się tam z głównym bohaterem po tym, gdy jeden uciekł z więzienia, a drugi dostał zwolnienie warunkowe. Rozmawialiśmy o tym filmie z Mikołajem, więc to taki nasz hermetyczny żart.

Skowroński nadal nie rozumiał.

– No i? To coś konkretnego znaczy?

– Dla ciebie nie, ale dla mnie tak – odparł aktor. – I to chyba znaczy:
„Mam nadzieję, że do zobaczenia”.

POSŁOWIE

Postawię śmiałą tezę, ale myślę, że uda mi się ją obronić: każdy, kto czyta tę książkę, przynajmniej raz w życiu złapał się na jakiś przekręt.

Możliwe, że nie było to nic poważnego, ot, zwykłe „Panie kierowniku, na bułkę, bo dawno nic nie jadłem”. Albo przeciwnie: „Szefie, nie będę zmyślał, na wódkę potrzebujemy”.

Powie ktoś, że to drugie nie jest przekrętem, bo człowiek mówi prawdę. Tylko kto powiedział, że w numerach nie można grać prawdą? Głównym celem oszusta jest nakłonienie gapa do postąpienia zgodnie z wcześniej ustalonym planem. Jedynym kryterium doboru metod jest ich skuteczność.

W znakomitej książce Marii Konnikovej *Myśl jak oszust. Żeby nie dać się oszukać* – pozycji stanowiącej dobry punkt wyjścia do zainteresowania się con-artistami – znalazłem anegdotę o legendarnym oszuście Victorze Lustigu. Nawet jeśli pierwszy raz słyszysz, Drogi Czytelniku, to nazwisko, z pewnością obił Ci się o uszy jego popisowy numer, czyli sprzedaż paryskiej wieży Eiffla.

We wspomnianej książce autorka przytacza okoliczności spotkania Lustiga z inną legendą – Alem Capone. Chicagowski boss, wiedząc, że ma do czynienia z oszustem, postanowił sprawdzić jego śmiałość i dał się namówić na zainwestowanie sześćdziesięciu tysięcy dolarów w interes, który miał podwoić tę kwotę w kilka tygodni. Po upływie tego czasu spodziewał się, że albo dostanie zdublowaną sumę stanowiącą w tej formie przyczynę do grubszego szwindla, albo Lustig zniknie z pieniędzmi. Ku ogromnemu zaskoczeniu bossa oszust zjawił się w umówionym dniu – dokładnie z sześćdziesięcioma tysiącami.

– Przepraszam, panie Capone – powiedział Lustig z pokorą i żalem. – Niestety nie udało mi się podwoić pana pieniędzy. Interes, w który miałem je zainwestować, okazał się oszustwem, więc nie odważyłem się narażać pana

środków. Bóg mi świadkiem, że mój procent od tej inwestycji bardzo by mi teraz pomógł, bo jestem w trudnej sytuacji, ale przecież nie kosztem cudzych pieniędzy!

Doceniając szczerść i uczciwość oraz wykazując się wielkodusznością, z której – obok brutalności i bezwzględności – słynął, Capone ofiarował mu obiecany procent, pięć tysięcy dolarów w ramach bezzwrotnej zapomogi.

Lustigowi udał się ten numer, bo doskonale znał swoją ofiarę z mediów i opowieści. Umiał właściwie odczytać Capone i podejść do niego indywidualnie na podstawie zasłyszanych historii. Przypuszczam, że ten, kto na jakimś dworcu czy ulicy jako pierwszy zmienił tekst „na bułkę” w „szczerze, na wódkę”, też dobrze odczytał osobę, do której się zwrócił. Świadom podejrzliwości, zaatakował szczerścią.

Dziś rzadko dajemy się nabierać na żebracze teksty, ale to nie dlatego, że jesteśmy bardziej świadomi. Po prostu trafiamy na leniwych oszustów. Idąc na ilość, nie jakość, zaczepiają nas wciąż tymi samymi tekstami, zgranymi już lata temu. Opłaca im się to, podobnie jak nigeryjski przekręt w mejlach albo dzwonienie i podawanie się za ciężko rannego wnuczka, bo wciąż ktoś się na to łapie i nie trzeba wysiłku. Wystarczy poczekać na frajera.

Są jednak tacy, którzy nie czekają beczynn timer. Ci nieustannie szukają ofiar, by poświęcić im całą swoją uwagę. To ludzie bezwzględni, pozbawieni większości ludzkich odruchów, ale też, nie bójmy się tych słów, artyści w swoim fachu. I zabrzmiał to może paranoicznie, jednak zapewniam, że gdy już będą gotowi, gdy już nas sprofilują, nie mamy z nimi najmniejszych szans. Jedyne, co możemy zrobić, to przejrzeć jeszcze raz swoje social media, zastanowić się, co mówimy o sobie na lewo i prawo, zwłaszcza o swoich marzeniach i lękach, i... No cóż, nie ułatwiać im pracy.

A, i jeśli to możliwe, trzymać się zasady:

Jeśli coś jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe, to znaczy, że... nie jest prawdziwe.

*

Podczas pisania korzystałem z szeregu materiałów na temat oszustów i metod ich działania – głównie książek i artykułów w języku angielskim. W Polsce niestety wciąż jest źle z uświadamianiem w tym temacie, ale miałem za to możliwość porozmawiania zarówno z policjantami, jak i oszustami, którzy podsunęli mi kilka tropów i konsultowali tę książkę. Poproszony o utrzymanie ich nazwisk w tajemnicy, pragnę tylko podkreślić, że bardzo dziękuję za pomoc i że każda kawa, piwo i sernik warte były swojej ceny. Ufam, że właściwie wykorzystałem otrzymaną wiedzę.

Bardzo dziękuję także całemu zespołowi Wydawnictwa Marginesy, a w szczególności redaktorce Karolinie Macios za pomoc w uporządkowaniu tej historii i oczyszczeniu jej ze wszystkiego, co zbędne.

I tak już zupełnie na koniec. Część opisanych w książce miejsc naprawdę istnieje. Większość z nich wybrałem ze względu na dobre skojarzenia czy to z jedzeniem, czy z atmosferą. Jako zdeklarowany popturysta, często wędrujący śladami książek i filmów, pomyślałem, że o tym wspomnę.

Dziękuję za wspólną przygodę.

Jakub Ćwiek